

Linda Francis Lee

Szmaragdowy deszcz

Jak zawsze, Michaelowi

„Miłość to słońce po deszczu radosne”.
- William Szekspir, Wenus i Adonis*

* Tłum. J. Kasproicz.

Prolog

Sierpień 1899

Ciężar samotności, Czasem nie do zniesienia. Czasem niezauważalny. Zawsze jednak przywodzący na myśl dni pełne słońca i śmiechu.

Słońce i śmiech.

Te słowa przemknęły mu przez pamięć, dźwięcząc jak syreni śpiew, wabiący w mroczne otchłanie pamięci. A on wcale nie chciał się tam znaleźć.

Wziął głęboki wdech i przegarnął swe ciemne włosy. Zmrużył nieprzeniknione niebieskie oczy, gdyż poraziły go promienie słońca, wpadające przez okno. Chyba pyłki kurzu tańczące w ich blasku musiały przypomnieć mu te słowa. Tak sobie przynajmniej to tłumaczył. Dlaczego bowiem miałyby pojawić się w jego pamięci niepożądane obrazy sprzed kilku lat?

A może po prostu dlatego, że są wakacje? Schyłek nowojorskiego lata? Nie lubił tej pory roku, przynajmniej od pewnego czasu.

- Proszę pana, czy coś się stało?

Zesztywniał na chwilę, westchnął, a potem odwrócił się od podzielonego kamiennymi słupkami okna swego gabinetu przy Piątej Alei.

- Nie, Henry. Wszystko w porządku. Na czym to stanęliśmy?

- Umowa z Vanderwee'em - powiedział sekretarz po chwili.

- Ach, tak.

Umowa ta będzie miała wpływ na dochody jego firmy co najmniej przez najbliższych pięć lat. Nicholas pochylił się nad dokumentem i czytał go wnikliwie, linijka po linijce, tak uważnie, jakby to nie on sam przygotował go kilka dni temu. Starannymi, śmiałymi literami podpisał: *Nicholas Drake*.

- Bardzo dobrze, proszę pana. Zaraz przekażę posłańcowi. - Sekretarz zebrał papiery, a potem podał szefowi kartkę. - Oto pańskie zajęcia na dziś. - Henry rzucił okiem na swój egzemplarz. - O dziewiątej ma pan przyjąć Maynarda Gibsona. On już tu czeka. O dziesiątej...

Słowa Henry'ego stawały się coraz bardziej odległe, w umyśle zaś Nicholasa pojawił się obraz deszczu, otaczającego go ze wszech stron niczym płynne, kryształowe drapery, przesłaniające cały świat. I jej twarz. Nieskazitelna, biała jak porcelana cera. Jego dłonie, zaplątane w długich, jasnych włosach. Jej rozchylone, czerwone wargi. Tamtego wiosennego, deszczowego dnia nie zamykała swych szmaragdowzielonych oczu. Patrzyła na niego, zaskoczona, ale ciekawa, spragniona jego tak samo, jak on jej.

- ...na szczęście mówi pan po burmistrzu, a wiadomo, jak on lubi długo przemawiać. Jestem pewien, że zdąży pan na czas, pod warunkiem iż wyjdzie pan z biura przed wpół do pierwszej...

- ...o trzeciej powinien pan być z powrotem - ciągnął monotonicznie Henry. - Ma pan spotkanie z przedstawicielkami Ligi Kobiet. Prosiły o dwie godziny, przyznałem im jedną. Domyślam się, że będą chciały wyciągnąć od pana jakieś pieniądze.

Nicholas uśmiechnął się przelotnie. Przez siedem miesięcy pracy Henry nauczył się już wszystkiego.

- O czwartej spotyka się pan z Thaddeusem Matthewssem; o piątej z Fieldingiem Banksem. Jestem pewien, że słyszał pan, iż chce on sprzedać tę swoją ruinę, którą na-

zywa hotelem. To chyba jedyny człowiek w mieście, który jeszcze nie wie, że już się pan nie zajmuje budowaniem.

- Henry pokręcił głową z niesmakiem. - O szóstej...

Nicholas rozsiadł się wygodniej w fotelu i przestał słuchać. Pamięć przywiodła mu wspomnienie jej śmiechu, musującego jak francuskie wino, otaczającego go zewsząd, nie opuszczającego go ani na chwilę, wzruszającego na wiele sposobów. Przez jakiś czas dane mu było żyć naprawdę, a nie tylko przyglądać się z boku temu, co dzieje się dookoła niego.

Odwracając się, wyjrzał przez okno i patrzył na ruchliwą ulicę.

- ...ma pan zajęty cały dzień... tak jak pan sobie życzył.

Nicholas zamknął oczy. Nie chciał widzieć kobiet, popychających wózki dzieciinne, poklepujących się po ramionach mężczyzn, zaśmiewających się z jakiegoś, na pewno sprośnego, dowcipu. Tak, pomyślał, ten dzień też spędzi pracowicie, tak właśnie, jak lubił, i to pozwoli mu zapomnieć o pewnym musującym jak wino śmiechu. Westchnął.

- Proszę pana? - zapytał niepewnie Henry. - Czy to już wszystko? - Nie uzyskawszy odpowiedzi, młody człowiek rozejrzał się po eleganckim gabinecie, pełnym ciemnych mebli i oprawnych w skórę książek, jakby mając nadzieję, że znajdzie tu jakąś pomoc. - Panie Drake?

Nicholas spojrział na swego sekretarza.

- Czy pan Gibson może już wchodzić... czy ma jeszcze poczekać? Może poczęstuję go kawą... albo herbatą?

- Nie, nie. - W niskim, mrocznym głosie Nicholasa zabrzmiała nutka żalu. Mężczyzna sięgnął po kolejną teczkę z dokumentami, czekającą na jego idealnie uporządkowanym biurku. - Poproś go, nie ma co zwlekać.

Po chwili Henry wprowadzał Maynada Gibsona. Za nim weszła sekretarka z notesem w dłoni.

- Nicholas! - ryknął jowialnie Maynard.

Jednak zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, do gabinetu wpadł młody człowiek.

- Nicky!

Widząc go, Nicholas drgnął. W głowie uczuł pustkę.

Intruz sprawiał wrażenie wyrośniętego dziecka, a nie dorosłego mężczyzny. Miał pokorny, miękki głos nie pasujący do silnej, męskiej postaci. Nosił pognieciony sweter, a kołnierzyk jego koszuli był przekrzywiony. Młodzieniec oddychał ciężko, jakby dotarł tu biegiem.

- Jim - zaczął ostrożnie Nicholas. - Co tutaj robisz? Coś się stało?

Oczywiście, wyrzekłszy te słowa, wiedział, że nie potrzeba na nie odpowiedzi. Jasne, że coś się stało. Coś bardzo złego. Powinien był się domyślić. Z pewnością dlatego właśnie tak prześladowały go dziś wspomnienia.

Jim odzyskał oddech, a w jego oczach pojawiły się łzy.

- Chodzi o Ellie.

Nicholas wzdrygnął się. *Ellie*.

- Musisz do niej iść!

Nicholas cofnął się w fotelu. Przez myśl przemknął mu deszcz i smaragdowe oczy. O Boże, nie. Nie może iść do niej. Nie może zaczynać wszystkiego od nowa.

Chociaż nigdy o niej nie zapomniał... i, jak się obawiał, nie zapomni... coraz rzadziej zdarzało mu się mieć złudne wrażenie, że widzi ją, oglądającą wystawę albo śmiejącą się do ulicznej kwiaciarki. Nie zapomniał jej, ale pomału zaczął się na nią uodparniać. Nie może teraz zmarnować nawet tych mizernych postępów, jakie uczynił.

Wziął głęboki wdech i zaczął się odwracać tyłem.

- Nicky, nie! - zawodził młody olbrzym. - Nie gniewaj się na nią! Idź do niej!

- Nie - odparł Nicholas zdławionym głosem.

- Och, Nicky - Jim wytarł sobie nos rękawem i szepnął: - Musisz iść. - Głos mu się załamał. - Ellie umiera.

Słowa te poraziły Nicholasa. Na chwilę zabrakło mu

tchu. Ellie umiera? Śmiech i słońce zdmuchnięte jak płomień świecy? To niemożliwe. Bystra, pełna życia Ellie, uwielbiająca wszystko, co niezwykle, ma nie żyć? O, nie.

Jednak, mimo że nie chciał w to uwierzyć, nie mógł zbagatelizować przeczuć, które dręczyły go od rana. Wiedział też, iż w życiu Ellie istniały ciemne strony i że słowa Jima mogą zawierać ziarno prawdy. Przede wszystkim zaś, chociaż Nicholas powiedział sobie, że nie chce jej więcej oglądać, nigdy nie przyszło mu do głowy, iż może się zdarzyć, że zechce, ale okaże się to niewykonalne.

To go przeraziło. Bez słowa odrzucił pióro, plamiąc dokumenty czarnym atramentem.

- Odwołaj wszystkie moje spotkania, Henry. Wrócę późno.

Henry zaczął się jąkać, a w końcu wykrztusił:

- Kiedy?

Nicholas zawahał się.

- Kiedy będę mógł.

Mówiąc to, wyszedł z biura, a za nim Jim, zostawiając interesanta i pracowników, patrzących na siebie ze zdumieniem, aż wreszcie sekretarka pokręciła głową i zapytała:

- A kto to, u licha, jest ta Ellie?

Część pierwsza

W objęciach

„Bo ujrzeć ją to pokochać, na zawsze, i ją jedynie .
Robert Burns, Ae Fond Kiss, And Then We Sever*

* Tłum. S. Twardo.

1

Trzy lata wcześniej, kwiecień 1896

Winny. Jedno krótkie słowo, które przecież oznaczało tak wiele.

Werdykt przyjęto w martwej ciszy, a wypowiedziane słowo przez chwilę odbijało się echem od drewnianych ław i zimnych, marmurowych ścian, po czym w sali sądowej rozpełtało się istne piekło.

Reporterzy - a sprawą interesował się nie tylko „Evening Sun” czy też „Evening Post”, ale nawet „New York Times” - gorączkowo wrzucali notesy do sfatygowanych teczek. Po kilku sekundach zaczęli się tłoczyć przy wyjściu, by jak najprędzej znaleźć się w swoich redakcjach. Żaden ze znajdujących się na sali dziennikarzy sądowych nie chciał zostać w tyle. Ogłoszony dopiero co wyrok stanowił największą sensację od czasu nominacji Theodore Roosevelt na stanowisko Przewodniczącego Departamentu Policji w Nowym Jorku.

Siedząca na galerii Eliot Sinclair patrzyła w dół na całe to zamieszanie i z niechęcią stwierdziła, że chyba nie warto było tu przychodzić. Jej najnowszy kapelusz: wspaniałe dzieło, które ukończyła tydzień temu po wielu godzinach pracy, leżał na jej kolanach zgnieciony, a pióra i wstążki sterczały z niego pod najdziwniejszymi kątami. Długą spódnicę jej jasnozielonej sukni pokrywały plamy błota i czegoś jeszcze gorszego, czego wolała nawet nie nazywać. Ellie miała jedynie nadzieję, że znajdująca się w komplet-

nym nieładzie suknia nie odsłania czerwonych pończoch, które nosiła na szczęście.

Wyszedłszy tego ranka zbyt późno z domu, Ellie jak szalona popędziła Broadwayem, żeby znaleźć się na czas w sądzie. Jednak, jak to się jej często zdarzało, mimo najlepszych chęci nie zdołała przekroczyć wrót tej szacownej instytucji bez niemiłego incydentu. Zanim bowiem to nastąpiło, natknęła się na dwóch dorożkarzy, toczących zacięty spór, w którym usiłowała wystąpić jako mediatorka. Niestety, mężczyźni nie zwrócili najmniejszej uwagi na jej wysiłki. Cóż jednak miała uczynić? zastanawiała się z grymasem niesmaku. Gotowa byłaby przysiąc, że ci dwaj znajdowali się o krok od wzajemnego zamordowania się. Dopiero gdy pchnięta przez jednego z nich znalazła się w błocie, przygniatając swój nieszczęsny kapelusz, co obudziło niekłamana wesołość obu uczestników sporu, zdała sobie sprawę, że być może niewłaściwie oceniła sytuację. Jej mediacja wcale nie była potrzebna. Niemniej, pomyślała, unosząc dumnie głowę, wydawało się przecież, że ta zwada może się bardzo źle skończyć.

Zrozumiawszy swój błąd, Ellie podniosła się z całą godnością, na jaką było ją stać, wyprostowała swe szczupłe ramiona, uprzejmie pożegnała obu gwałtowników, a potem majestatycznie wkroczyła po schodach sądu, wyglądając przy tym o wiele gorzej niż dorożkarze. Zupełnie nie wiadomo, dlaczego strażnik wpuścił ją do środka.

Mimo że tak starała się przybyć na czas, a nawet mimo tego, że miała na sobie swoje szczęśliwe czerwone pończochy, Harry Dillard został uznany winnym.

Gdybym chociaż mogła go odwiedzić, pomyślała ponuro, siedząc na opustoszałym balkonie i skubiąc zniszczone pióra swego kapelusza. Znaleźć się w objęciach jego silnych ramion. Gdyby tylko zechciał. Chociaż raz. Ale przecież to się nie zdarzyło. Nigdy. Żadnych kojących uścisków ani słodkich, czułych pocałunków. Żadnych słów

wyrażających miłość i troskę. Nawet przed wypadkiem.

W dniu, kiedy ulicami Nowego Jorku przebiegła wieść, że Harry Dillard został ranny od kuli, Ellie zebrała się na odwagę, nakazała sobie stanowczość i poszła do jego domu przy Lafayette Place bez względu na to, że postępek taki najzupełniej urągał zdrowemu rozsądkowi. Sama jednak musiała przed sobą przyznać, że jeśli w grę wchodził Harry Dillard, rozsądek nie należał do jej mocnych stron.

Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, bardziej przypominający goryla niż lokaja, otworzył jej drzwi, ale kazał poczekać na zewnątrz, podczas gdy sam poszedł dowiedzieć się, „czy szef jest w domu”. *Dowiedzieć się, czy jest w domu*, parsknęła, stojąc na mrozie i powstrzymując się przed wygłoszeniem kilku niemiłych słów, które przyszły jej na myśl. Jak, na litość boską, ma go nie być w domu? Przecież jest ranny. To nie jest właściwy stan, by udawać się z wizytą. Jednak powściągnęła swój język i po prostu czekała na to, co musiało nastąpić.

- Nie ma go w domu - nadeszła odpowiedź. Zawsze był nieobecny, ilekroć przychodziła go odwiedzić.

„Tak będzie najlepiej: żadnych związków bez przyszłości”. Tak powiedział osiem lat temu, kiedy zaprowadził ją do domu przy Szesnastej Ulicy i powiadomił ją, że nieruchomości owa należy do niej. Ellie stała, zaskoczona na podjeździe, a obok niej przetaczały się powozy. „Bezpieczniej będzie się więcej nie spotykać” - ciągnął swym gładkim, akksamitnym głosem. - „Dla twojego własnego dobra, Ellie”.

Wtedy pragnęła mu wierzyć... tak samo jak teraz.

Tylko że w tej chwili było to już nieistotne. On nie żył. Zmarł od rany postrzałowej w brzuch trzy miesiące temu. Dzięki zaś jakiemuś tajemniczemu przepisowi prawnemu i skomplikowanej procedurze sądowej formalnością zaledwie okazało się teraz uznanie Harry'ego Dillarda winnym oszustwa, tak że państwo mogło przejąć cały zgromadzony przez niego majątek.

Ellie musiała przyznać, że jego decyzja w ostatecznym rachunku okazała się dla niej zbawienna. Taką przynajmniej miała nadzieję. Dom należał do Ellie, bez żadnych zobowiązań i obciążeń, i istniał tylko jeden dokument, który mógł doprowadzić do Harry'ego Dillarda, zbrodniczego bossa przestępców, kontrolującego jedną z najgorszych dzielnic Nowego Jorku aż do tego pamiętnego dnia, kiedy to został postrzelony przez rozwścieczonego męża kobiety, z którą się zabawiał. Tak, powiedziała sobie Ellie, w końcu zabezpieczył ją znacznie lepiej, niż mogła liczyć.

A więc może, pomimo wszystko, jednak ją kochał.

Zamknęła oczy, a na jej wargach pojawił się łagodny uśmiech.

Jej dom. Zamieszkujący go ludzie. To oni właśnie ją kochali. Troszczyli się o nią. Cała ta heca w sądzie nie ma większego znaczenia. Winny czy niewinny, w niczym nie zmieniało to jej życia. W głębi duszy czuła jednak, że zagasła maleńka iskierka nadziei. Nigdy już nic między nimi się nie zmieni. Nie będzie rozmów, w których wyrazi swe żale i rozwieje nieporozumienia.

Zadbał o to człowiek nazwiskiem Nicholas Drake.

Odczekawszy chwilę, Ellie przygładziła włosy, spróbowała bez efektu strzepnąć zaschłe już błoto ze swej sukni, a potem podniosła się z miejsca. Pora wracać do domu. Kiedy jednak się całkiem wyprostowała, wiedząc, że powinna się pośpieszyć, zobaczyła go. Człowieka, którego nigdy dotąd nie widziała, o ciemnobrązowych, prawie czarnych włosach i oczach, które z tej odległości wydawały się ciemnoniebieskie.

Była pewna, że widzi go po raz pierwszy w życiu, chociaż patrzył na nią, marszcząc brwi z widocznym zdziwieniem, jak gdyby znali się od dziecka, a on nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

Stała jak urzeczona, czując, że zamiera jej serce. Wszelkie myśli o rozprawach sądowych, zdradach, pogniecionych kapeluszach i zabłoconych spódnicach opuściły jej umysł. W tej sekundzie jej świat ograniczył się do tego

mężczyzny, sprawiającego w jakiś dziwny sposób wrażenie, iż potrafi zajrzeć do tego tajemnego miejsca w jej duszy, które zatrzasnęła przed całym światem wiele lat temu.

Mężczyzna ów był niezwykle. Jego twarz, jego usta przyzywały ją, gdy tak się jej przyglądał oczami, które do niej wołały.

Przez chwilę chciała się uśmiechnąć i dać mu znak ręką. Jednak pragnienie to trwało tylko przez ułamek sekundy, bo potem przypomniała sobie, gdzie się znajduje, no i oczywiście, kim jest.

Nieślubną córką Harry'ego Dillarda.

- Gratuluję, stary!

Słowa te wyrwały Nicholasa z zamyślenia. Odwrócił się i ujrzał człowieka, z którym ojciec robił interesy, osobę, której Nicholas unikał ze wszystkich sił.

- Dziękuję - powiedział niecierpliwie.

- Najwyższa pora, żebyś zostawił za sobą ten cały bałagan. Ciężko pracowałeś, by załatwić tego drania Dillarda. Wszyscy twierdzą, że minąłeś się z powołaniem. Powinieneś zostać prawnikiem, a nie człowiekiem interesu. Tak czy siak, teraz to już skończone. Ale inni bossowie świata przestępczego zastanowią się dwa razy, zanim spróbują zdrzeć z takimi, jak my.

Nicholas nie słuchał go. Odwrócił się, nie chcąc tracić z oczu tej kobiety. Kiedy jednak znowu spojrzął na balkon, jej tam już nie było. Nic nie zobaczył. Żadnych jasnych, prawie białych włosów i oczu szmaragdowych jak morze.

- Co się dzieje, stary? - zapytał mężczyzna. - Czego szukasz?

- Niczego. Muszę już iść. - Nicholas wysunął spod siedzenia swą czarną, skórzaną teczkę, a potem stanowczym krokiem ruszył do wyjścia.

- Hej, Drake! Co się tak spieszysz?

Nicholas nawet mu nie odpowiedział. Przepchnął się

przez drzwi do foyer, mając nadzieję, że ją tam znajdzie.

Ze wszystkich stron dobiegały go podekscytowane głosy, odbijające się echem od marmurowej posadzki i sięgające wysokiego sufitu.

Dzięki swemu wzrostowi, przekraczającemu metr osiemdziesiąt, Nicholas z łatwością mógł z góry obserwować zgromadzony tłumek. Widział wiele twarzy ludzi przechodzących od schodów do drzwi wyjściowych sądu. Mężczyzn i kobiet, starych i młodych, ale żadna z nich nie przypominała złotowłosego anioła, który spojrział na niego z balkonu.

Kilka kroków i już znajdował się za szerokimi, dębowymi drzwiami, na granitowych schodach, wiodących na bruk ulicy. Zmrużył oczy, oślepiiony jasnym blaskiem padającym od białych chmur, ale kobiety, której szukał, nie zobaczył.

- Nicholas!

Odwrócił się zaskoczony, mając bezsensowną nadzieję, że to ona. Oczywiście pomylił się. Potrzebował kilku dobrych chwil, by przyjąć to do wiadomości. Potem wziął głęboki wdech i spojrział na niskiego, tęgiego mężczyznę, który stał przed nim.

- Oliver - stwierdził krótko.

- Możesz być z siebie dumny - rzekł Oliver, śmiejąc się szeroko.

I tak rzeczywiście było. Harry Dillard wykorzystywał słabszych. Wielu wiedziało, że miał bar, mało kto zdawał sobie sprawę, że był też właścicielem domu rozpusty, ale Nicholas odkrył dalsze jego występki, o wiele gorsze, niż można było przypuszczać. Na podstawie faktów, które zdołał wygrzebać, uzyskanie wyroku skazującego nie wymagało wiele wysiłku. W ostatecznym rozrachunku najtrudniejsze okazało się samo śledztwo.

Jednak teraz Nicholas nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że stracił z oczu tę kobietę. W tak wielkim mieście jak Nowy Jork może jej już nigdy nie odnaleźć. Myśl ta zirytowała go. Co za absurd. Przecież jej

nawet nie zna. Jest jedną z wielu osób, które przyszły do sądu. Z bliska okazałoby się zapewne, że ma na twarzy dzioby po ospie, a jej włosy są farbowane. Oczy szmaragdowe jak morze, też mi coś! Nawet nie nosiła kapelusza, była potargana, a co więcej, teraz uświadomił sobie, że na jej sukni zauważył plamy z błota. Potrząsnął głową. Chyba sobie tylko wyobraził, że na widok tej kobiety żywiej zabiło mu serce. Za wiele spędził ostatnio bezsennych nocy, pracując nad przywróceniem dobrego imienia rodzinom, by móc teraz myśleć jasno.

Potrzebował kobiety. Tak właśnie. Kogoś, kto ogrzeje jego łóżko. Kogoś, kto przez parę błogich godzin pozwoli mu zapomnieć. Ale nic ponadto. Do tego z łatwością znajdzie wiele chętnych.

Uspokoiwszy się, Nicholas zwrócił na powrót uwagę na swego wieloletniego przyjaciela.

- Przepraszam, Oliverze. O co pytałeś?

Oliver Wicks popatrzył na Nicholasa z zaciekawieniem.

- O rozprawę, stary. Jak się teraz czujesz?

Nicholas przegarnął włosy dłonią i kiwnął głową.

- Doskonale. Nareszcie koniec.

- Tak, trochę to potrwało. Szkoda tylko, że ten oszust, Dillard, dał się postrzelić, zanim się z nim rozprawiliśmy. Podobno w Teksasie takich się wiesz. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby i jego spotkał ten sam los.

Zdanie Nicholasa było podobne. Ale tak czy owak, sprawa została już zamknięta. Zemsta dopełniła się. Prawie całkiem.

Wrócił do swego biura przy Piątej Alei. Reszta dnia, spędzona pośród wyłożonych ciemną boazerią ścian gabinetu, minęła mu szybko. Ostry dźwięk niedawno założonego aparatu telefonicznego nie milkł ani na chwilę, chociaż Nicholas przestał podnosić słuchawkę pół godziny po powrocie. Nie chciał więcej wysłuchiwać pochwał i gratulacji. Zrobił to, co było konieczne. Nic ponadto.

Wysoki, rzeźbiony zegar stojący w kącie gabinetu właśnie wybijał piątą, gdy sekretarka, Jane, zastukała do drzwi.

- Przyszła pańska siostra - powiedziała przepraszającym tonem.

Nicholas skrzywił się.

- Wszystko widziałam - stwierdziła Miriam Drake, wkraczając do gabinetu jak zawsze w najmodniejszej sukni. Wysokie obcasy jej lekkich pantofli wbijały się w gruby, perski dywan. Przydałoby mi się trochę braterskiej miłości, Nicholasie.

- Służę ci - odparł, wstając z krzesła. Obszedł biurko i pocałował siostrę w policzek.

Miriam była wysoka i smukła. Miała ciemne włosy prawie tej samej barwy co Nicholas, ale jej oczy były raczej fiołkowe niż niebieskie. Wielu uważało ją za oszałamiającą piękność. Zdaniem Nicholas, Miriam była skłonna zgadzać się z tym osądem.

Nie zwlekając, wydobyla długiego papierosa z naszywanej kolorowymi paciorkami torebki zwisającej jej z przegubu na jedwabnym sznureczku, po czym, przybrawszy, wystudiowaną, zdaniem brata, pozę, czekała, aż poda jej ogień. Nicholas podsunął jej zapaloną zapałkę. Miriam zaciągnęła się głęboko, a potem opadła z gracją na skórzany fotel stojący przy biurku.

- To doprawdy okropne - powiedziała, wzdychając i równocześnie wypuszczając kłąb dymu.

Lata praktyki nauczyły Nicholas, że jedynym sposobem na Miriam jest jak najprędzej dotrzeć do sedna sprawy. Kiedy więc siostra przez dłuższą chwilę nie zdradzała chęci rozwinięcia tematu, zadał jej pytanie pomocnicze.

- Co jest okropne, Miriam?

- To. - Pozornie niedbałym gestem swej upierścienionej dłoni o pomalowanych paznokciach, trzymającej równocześnie tłącego się papierosa, podała mu kartkę eleganckiego, welinowego papieru.

Nicholas rzucił okiem na siostrę, która odwróciła głowę, udając, że patrzy przez okno, a potem zaczął czytać. Po chwili upuścił list na biurko.

- Co w tym dziwnego? Twojego męża widziano w Europie z jakąś Francuzką.

- Nie pierwszy raz.

- Zgodnie z tym, co przed chwilą czytałem, wielokrotnie. - Oparł się o krawędź mahoniowego biurka. - A więc o co chodzi?

Miriam popatrzyła na niego z wyrazem znudzenia w swych fiołkowobłękitnych oczach.

- Jesteś okropnym człowiekiem, Nicholasie Drake. Najwstrętniejszym człowiekiem, jakiego znam.

- Mówiłaś mi to nieraz.

Miriam westchnęła, łagodniejąc nieco.

- Były czasy, drogi bracie, kiedy nie byłeś taki nieprzyjemny. Prawdę mówiąc...

- Wystarczy, Miriam - rzekł krótko. - Z czym do mnie przysłałaś? Czego chcesz?

- Wyjeżdżam - rzuciła zaczepnie, a jej oczy stały się twarde jak dwa ametysty. - Do Francji. Po mojego męża.

Stwierdzenie to zaskoczyło Nicholasa, chociaż nic nie dał po sobie poznać.

- Jedziesz do Europy? - zapytał, unosząc pytająco ciemne brwi. - Żeby sprowadzić Williama do domu? Po co, na miły Bóg? Przecież go nie cierpisz! Ileż to razy przychodziłaś do mnie skarżyć się na tego „bezwartościowego wałkonia” jak, o ile pamiętam, zwykłaś go określać od pierwszego dnia waszego idiotycznego małżeństwa. Byłbym skłonny przypuszczać, że jego wyjazd powinien cię raczej uszczęśliwić.

Miriam odwróciła wzrok i wrzuciła ramionami.

- Może kocham go bardziej, niż myślałam.

- Jak diabli - warknął Nicholas, zniecierpliwiony kolejnym wyskokiem swojej siostry. - Szukasz tylko wymówki, żeby wyjechać za granicę.

Zaczerwieniła się z oburzenia.

- A jeśli tak, to co? Ten łajdak zostawił mnie tutaj, a sam bawi się w Europie.

Nicholas potarł czoło i westchnął.

- Kiedy więc chcesz wyjechać? Każę mojemu sekretarzowi zorganizować twoją podróż.

- Odpływam dziś wieczorem. - Miriam spuściła oczy.

- Co? Dlaczego mi nic wcześniej nie powiedziałaś? I co z Charlotte? Chcesz włóczyć to biedne dziecko po całej Europie?

Miriam wstała i zgasiła papierosa w kryształowej popielniczce stojącej na podręcznym stoliku. Nicholas wyczuł, że jest zdenerwowana. Jednak, zanim zdążył zareagować, otworzyła drzwi. Ukazała się w nich jej córeczka, trzymająca w drobnej ręczce małą walizeczkę.

- Nie mam zamiaru ciągnąć mojej córki do Europy - stwierdziła Miriam, uśmiechając się sztywno. - Zostawię ją u ciebie.

- U mnie?! - parsknął Nicholas.

- Tak, właśnie. - Odwróciła się do córki, która patrzyła na Nicholasa, jakby zaraz miał jej odciąć głowę. - Charlotte, kochanie, chodź do mamusi.

- Miriam - zaczął ostrzegawczo Nicholas.

Ignorując go, siostra wciągnęła dziecko do pokoju. Dziewczynka stanowiła istną kopię swojej matki, tyle że nie tak doświadczoną przez czas i przeżycia.

- Charlotte, skarbie. Przecież zawsze mówiłaś, że kochasz wujka Nicholasa.

Dziewczynka zakłopotana się, jak gdyby nigdy dotąd nie słyszała o takim krewnym. I pewnie tak właśnie jest, pomyślał Nicholas. Przez te krótkie sześć lat, podczas których chodziła po świecie, on zajmował się wyłącznie doprowadzaniem Harry'ego Dillarda do zguby.

- Nie bądź dzika, Charlotte - powiedziała ostro Miriam. - Przywitaj się Z wujkiem.

Zbierając się na odwagę, dziewczynka uniosła głowę tak wysoko, że aż przechyliła ją do tyłu, i spojrzała mężczyźnie w oczy.

- Dzień dobry panu - szepnęła dzielnym głosem, który wywołał dziwne uczucia w duszy Nicholasa.

Odniosł wrażenie, że z dzieckiem dzieje się coś niedobrego. Nie wiedział też, czy to fakt, że pod fiołkowymi oczętami dziewczynki dostrzegł ciemne półkola, jak gdyby była bardzo zmęczona, czy malujący się w nich wyraz lęku, sprawiły, iż ścisnęło mu się serce. Niemniej, jedno było dla niego jasne: nie on powinien zajmować się małą.

- Charlotte - zaczął, gestem przywołując sekretarkę. - Pójdiesz teraz z Jane. Jestem pewien, że pozwoli ci usiąść przy swoim biurku, jeśli ją o to ładnie poprosisz, a może nawet da ci porozmawiać przez swój nowy telefon. Ja muszę teraz pogadać z twoją mamą. - Popatrzył na Miriam. - Sam na sam.

- Nie mam czasu. - Miriam pochyliła się i pocałowała powietrze obok policzka swojej córki. - Muszę zdażyć na statek.

- Miriam! - warknął Nicholas. - Nie możesz jej mi tak po prostu zostawić!

- Panie Drake! Panie Drake! Mam!

Nicholas, Miriam i Jane, a nawet mała Charlotte odwrócili się do drzwi. Stał w nich zadyszany Bert, zaufany sekretarz Nicholasa. Mimo wiosennego chłodu pot pozlepiął resztki włosów na jego wielkiej czaszce.

- Mam! - wydyszał. - Wszystko załatwione.

- Wszystko? - zapytał Nicholas, na chwilę zapominając o swojej siostrze i siostrzenicy.

- No, prawie wszystko.

Nicholas zeszywniał.

- Co to znaczy „prawie”?

- W kwartale należącym do Dillarda jest jeden dom, który nie był jego własnością. Ale mamy całą resztę. Czy to nie wspaniałe?

- Wspaniałe? - Słowo to obiegło echem cały gabinet. Bert spoważniał.

- No, tak mi się zdawało.

- Muszę mieć cały kwartał. Wiesz o tym doskonale. Sekretarz skrzywił się.

- W którym miejscu jest ten dom?

Na twarzy Berta pojawiło się zrozumienie, a potem niepokój.

- W samym środku.

- Więc jak mam to wszystko wyburzyć i postawić coś nowego na tym miejscu, jeśli pośrodku zostanie jeden dom?

- Nicholas odwrócił się gwałtownie i niewidzącym spojrzeniem musnął ciemniejące za oknem miasto. - Do diabła!

- Ależ, Nicholasiu - wtrąciła się trochę przekornie Miriam - nie przy dziecku.

- Zaraz się tobą zajmę, Miriam. - Zwrócił się do Berta. - Co wiesz na temat tej nieruchomości?

- Niech spojrzę. - Grzebiąc nerwowo w teczce, Bert wyciągnął z niej kartkę papieru i notatnik.

- Wydaje się, że ten dom nie zmieniał właściciela co najmniej od dwudziestu lat... na długo przedtem, zanim Harry Dillard zaczął kupować resztę. - Potrząsnął głową. - Ale nie mam wszystkich dokumentów. Brakuje kilku. Nigdy w życiu nie widziałem takiego bałaganu. Zdołałem się tylko dowiedzieć, że obecnie właścicielem domu jest ktoś o nazwisku Eliot Sinclair.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Ani ja. - Bert niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. - Co miałem robić? Tak się ucieszyłem, że wszystko idzie jak z płatka, że... nie pomyślałem o tym.

Nicholas rzucił swemu sekretarzowi zniecierpliwione spojrzenie, a potem zaczął się zastanawiać. Przysiągł sobie, że zmiecie z powierzchni ziemi budynki, które należały do Harry'ego Dillarda, i postawi na ich miejscu drapacz chmur, na zawsze zacierając ślad tego nikczemnika. Wtedy rachunki

zostaną w pełni wyrównane. Po dwudziestu trzech latach. Ale teraz okazało się, że przeszkadza jeden dom. Nicholas nie miał nic przeciwko Eliotowi Sinclairowi, ale potrzebował jego budynku, by ostatecznie zemścić się za swoich rodziców.

- Dowiedz się o nim jak najwięcej. Potem idź do tego domu i porozmawiaj z facetem. Zaoferujemy mu tyle, ile będzie trzeba.

- Zacznę jutro z samego rana - zaofiarował się Bert. - Ale teraz musimy iść do sądu.

- Gratuluję sukcesu, czymkolwiek on jest, drogi bracie - przerwała mu Miriam. - Z przyjemnością zostałąbym, by go z tobą uczcić, ale muszę już pędzić. Bądź grzeczna, Charlotte - zakończyła, zwracając się do małej.

- Miriam! - warknął Nicholas.

- Ależ panie Drake - powiedział przepaszająco Bert. - Nie mamy ani chwili czasu. Trzeba dopełnić formalności. Urzędnik czeka, a już jest po piątej. Wyjdzie do domu, jeśli się tam szybko nie znajdziemy.

- Ale... - Nicholas zwrócił się najpierw do Charlotte, a potem poszukał wzrokiem siostry, lecz jedynym śladem jej niedawnej obecności były wahające się drzwi.

- Za pozwoleniem, proszę pana. Jest wielu, którzy mają ten sam pomysł, co pan. Jeśli się pan nie pospieszy, może pan stracić wszystko.

Nicholas poczuł irytację, ale spojrzawszy na przerażoną twarzyczkę siostrzenicy, wysłał w ślad swojej siostry stłumione przekleństwo, a potem przykucnął i spojrział dziecku w oczy. Odchrząknął, nie zdając sobie sprawy, że mars na jego czole, który stropił niejednego dorosłego mężczyznę, napełnia małą śmiertelnym przerażeniem.

- Muszę pędzić do miasta. - Rozciągnął wargi w uśmiechu, mając nadzieję, że sprawi on wrażenie ojcowskiego. - Kiedy wrócę zajmimy się tym... problemem. Teraz zaopiekuje się tobą moja sekretarka. - Rzucił jej wymowne spojrzenie. - Prawda, Jane?

Kobieta była równie zaskoczona rozwojem wypadków, jak wszyscy obecni, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Ależ oczywiście, proszę pana. Z przyjemnością zatroszczę się o tę małą.

Mając złudne wrażenie, że wszystko doskonale załatwił i rozproszył lęk siostrzenicy, Nicholas wstał, chwycił kapelusz i ruszył do drzwi. Być może, pomyślał, arogancko wzruszając ramionami, opiekowanie się dzieckiem okaże się nie takie trudne.

2

- Chciałbym cię malować, moja droga. Nago.

Druty, które Hanna Schurr trzymała w swych pulchnych, lekko pomarszczonych dłoniach, zamarły. Siedząc bez ruchu Hanna wpatrywała się w siwowłosego mężczyznę, stojącego w wykuszowym oknie, obramowanym czyściutkimi, białymi krochmalonymi firankami, wychodzącym na Szesnastą Ulicę. Patrzyła w milczeniu, nie mówiąc ani słowa, cóż bowiem miała mu odpowiedzieć. Proste „nie” wydawało się jej w jakiś sposób niewystarczające.

- No, jak, Hanno? - nalegał Barnard Webb. - Pozwól mi się namalować nago. Na wielkim łożu z baldachimem, zarzuconym stokrotkami. Pośród wielkich, białych stokrotek. - Jego siwe oczy zabłyśły. - Mam to przed oczami. „Kobieta w kwiatach”. Ten obraz stanie się sławny. Powieśzą go w Luwrze. - Barnard stanął przed sztalugami z paletą w jednej ręce i pędzlem w drugiej, a na jego ustach zagrał diabelski uśmieszek.

- Lepiej by go nazwać „Kobieta, która nie jest już w kwiecie wieku” - parsknęła Hanna. - Może znalazłby miejsce w jakimś domu rozpusty - dodała zgryźliwie, na nowo

wprawiając w ruch swe druty. Ten człowiek zawsze potrafił ją poruszyć... budząc przyjemne wspomnienia dawnych miłości, ale znacznie częściej wprawiając ją w gniew. - Znajdź sobie jakąś młodą nimfę, żeby ci pozowała, starcze.

Barnard prychnął z niesmakiem.

- Nie mam ochoty malować dziewcząt, które mogłyby być moimi wnuczkami. - Oparł się niedbale o ścianę i uśmiechnął. - Chodźmy na górę, do mojego pokoju. Pomogę ci się rozebrać.

- Po co, ty libertynie! Jesteś za stary na takie bzdury.

- Kiedy stwierdzę, że jestem za stary, żeby malować nagie kobiety, to będzie znaczyło, że należy mnie pogrzebać.

- Co ty wygadujesz! Wstydz się!

- Co cię tak niepokoi: pogrzeb czy malowanie?

- Jedno i drugie. - Rzuciła mu surowe spojrzenie.

Barnard zaśmiał się.

- Zawsze byłaś taką skromnisią, czy przyszło ci to z wiekiem?

- Jestem przyzwoitą kobietą, Barnardzie Webb, i staraj się o tym nie zapominać - warknęła, próbując się skupić na swojej robótce. - Chociaż podejrzewam, że nie potrafibyś takiej kobiety rozpoznać, nawet gdyby podsunięto ci ją pod sam nos.

Mężczyzna roześmiał się jeszcze głośniej.

- Ależ z ciebie złościca. Jeśli pozwolisz mi się namalować, nago oczywiście, postaram się uchwycić ten ogień. To będzie piękne. Na pewno ci się spodoba, moja droga Hanno.

Kobieta spojrzała na niego znad okularów, a potem uniosła brwi.

- Wolałabym, żebyś zamilkł i dal mi spokój, chyba że masz poważne zamiary i za chwilę zamierzasz mi się oświadczyć.

Śmiech umilkł, a zmarszczki na twarzy Barnarda pogłębiły się.

- Znowu zaczynasz. Wszystko zepsułaś. - Chrząknął

z niezadowoleniem, odepchnął się od ściany i odwrócił do sztalug. - Ślub! Jestem na to za stary.

- Minutę temu nie byłeś za stary na nic.

- Zostaw mnie w spokoju, kobieto - gderał Barnard. - Wracam do pracy.

- Świetnie. Obraż się, jeśli chcesz. Ale dobrze wiesz, że mam rację. Powinniśmy się pobrać. - Złagodniała nieco. - Zaopiekowałam się tobą, kiedy się naprawdę zestarzejesz.

- Już jestem stary! Nie myśl, że o tym nie wiem! - prawie krzyczał, ciskając pędzlem o paletę. - Moje ciało codziennie mi o tym przypomina! Nie musisz mi tego wytykać, próbując wbić we mnie pazury. - Odwrócił się, mamrocząc pod nosem. - Poza tym nie mam czasu na ożenek. Mój syn po mnie przyjeżdża! Zabierze mnie do siebie, do Ohio. Będę się tam bawił z dziećmi i psami. Mam rodzinę! Słyszysz, Hanno Schurr? - zapytał, wykrzywiając swą pomarszczoną twarz. Nie patrzył na kobietę, tylko gdzieś w dal, jakby chciał sięgnąć wzrokiem do dalekiego stanu. - Powiedz mi wreszcie, słyszysz mnie?

- Owszem, słyszę, tak samo jak wszyscy w odległości pół mili dookoła.

- Włącznie ze mną.

Barnard i Hanna odwrócili się, zaskoczeni.

- Ellie! - zawołałi jednym głosem.

- O co się tym razem pokłóciliście? - zapytała Ellie, zdejmując z głowy swoje najnowsze dzieło, ozdobione kokardkami oraz cienką siatką, i kładąc je na dębowym stole o nogach rzeźbionych w lwie łapy.

- Dyskutowaliśmy - uściśliła Hanna. - Tylko sobie dyskutowaliśmy, ale się nie kłóciliśmy.

- A niech to diabli, kobieto - warknął Barnard - nazwij rzecz po imieniu. *Kłóciłaś się ze mną.*

-Ja?!

- Tak, ty. Niewiele brakowało, a dałabyś mi lewego sierpowego - dodał, parszkając z satysfakcją.

- Może wbiłoby ci to trochę rozumu do tego zakutego łba, starcze!

Barnard uniósł brwi i lekko przechylił głowę, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Ona jest złośliwa, Ellie. Nie wiem, dlaczego ją tu jeszcze trzymasz.

- Lepiej zapytaj - wtrąciła się Hanna - czemu *ty* tu jeszcze siedzisz, stary, rozpustny koźle.

Niedowierzenie zniknęło z jego twarzy, zastąpione złością.

- Ona mnie nie trzyma...

- Dość tego - zawołała Ellie, rozdzielając ich od siebie jak sędzia bokserki. - Kłóciliście się czy dyskutowaliście, wszystko jedno. On najwyraźniej nie chce cię poślubić.

Hanna parsknęła, zupełnie tak samo jak Barnard.

- Poślubić mnie? Nie. Ale ten stary kozioł chciał malować mnie... uważasz tylko... nago!

Ellie popatrzyła z zaskoczeniem na Barnarda.

- Poprosiłeś Hannę, żeby pozowała ci nago?

- No... - zawahał się.

Nad ramieniem Ellie Hanna rzuciła mężczyźnie triumfujące spojrzenie, na które niewątpliwie zareagowałyby, gdyby droga Ellie na niego nie patrzyła. Tak jednak posłał swojej gospodyni niewinny uśmiech, zostawiając sobie na potem wyładowanie gniewu na Hannie Schurr. Może będzie przez całą noc walił kijem od szczotki w podłogę. To zawsze doprowadzało staruszkę do pasji, bo jej pokój znajdował się bezpośrednio pod jego apartamentem. Prawie się uśmiechnął na myśl o tej przyjemności, ale w porę się zmytygował.

Hanna pochyliła się do przodu.

- Nago, jak niemowlę: tak chciał mnie namalować. Do tego na łożu pełnym kwiatów. Co on sobie wyobraża? Że jest prawdziwym artystą?

Zaśmiała się, starając się zapomnieć o szyderstwach Barnarda.

- Ależ moja droga Ellie, ja tylko tak sobie żartowałem. -

Mężczyzna wzruszył swymi wciąż jeszcze mocnymi i szerokimi ramionami. W młodości był marynarzem i opłynął świat dookoła, zwiedzając prawie wszystkie porty.

- W takim razie postaraj się bawić w inny sposób - stwierdziła sucho Ellie. - Graj w szachy, warcaby albo nawet w pokera. W moim domu nie wolno ci robić Hannie takich propozycji.

- Słyszałeś, co ci Ellie powiedziała?

Uśmiech Barnarda przemienił się w grymas gniewu.

- Pilnuj swojego nosa, babo.

Znowu zaczęli się kłócić. Ellie skrzywiła się i pokręciła głową. W takich dniach miała ochotę wyrzucić ich oboje. Ale oczywiście nigdy tego nie zrobi. Kochała ich tak samo jak oni ją. No i nie co dzień się kłócili. Tylko w większość z nich, to musiała przyznać.

Chciała zapytać, gdzie jest Jim. Chociaż jej trzeci lokator miał już dwadzieścia jeden lat, o pięć mniej niż Ellie, bardziej przypominał dziecko niż dorosłego mężczyznę, więc niepokoiła się o niego. Jednak zanim zdążyła się odezwać, ktoś zapukał do drzwi.

W ich małym gospodarstwie goście byli rzadkością. To znaczy, zanim zaczęły się wizyty tego upartego człowieczka o imieniu Bert uporczywie próbującego kupić jej dom przez dwa tygodnie, które upłynęły od czasu sprawy sądowej.

Ilekoć się pojawił, Barnard podchodził do drzwi i mówił mu, że właściciela nie ma i nie jest zainteresowany sprzedażą. Ellie wiedziała, że w końcu będzie musiała stawić natrętowi czoło osobiście. Mimo to wciąż starała się odkładać tę chwilę jak najdłużej, mając nadzieję, że może osobnik ten sam zrezygnuje. Jednak dzisiaj, zanim odwróciła się, by pobiec na górę, rzuciła okiem na przyciemnioną szybkę w drzwiach frontowych i serce w niej zamarło.

Po drugiej stronie ujrzała zniekształconą twarz, która jednak nie należała do jej dotychczasowego prześladowcy. Zmrużyła oczy i wzięła głęboki wdech. Osobnik znajdują-

cy się za drzwiami był niewątpliwie przedstawicielem płci męskiej, jednak nie należałoby go określać mianem karzełka, lecz raczej olbrzyma. Miał także rzeźbione rysy i ciemne włosy. Czy to możliwe?

Ellie zdawała sobie sprawę, że powinna jak najprędzej znaleźć się na górze i pozostawić Barnardowi rozprawę z natrętem, ale mimo to otworzyła drzwi, stając twarzą w twarz z nowo przybyłym. Nim. Tym z sądu.

Przez drzwi wpadły promienie słońca, oświetlając złotym blaskiem silną, smukłą męską sylwetkę. Twarz przybysza byłaby idealnie piękna, gdyby nie złamany, prawdopodobnie w dzieciństwie, nos. Ten przystojny, ciemnowłosy mężczyzna nie sprawiał wrażenia kogoś, z kim można igrać.

Powtarzając sobie w duchu, że powinna pobiec na górę i pozwolić Barnardowi zająć się nieproszonym gościem, Ellie przez chwilę stała bez ruchu, a potem rozpromieniła się.

- To pani - powiedział mężczyzna bez wstępów, a jego ostre rysy złagodził wyraz zdziwienia.

Uśmiech zniknął z twarzy Ellie.

- To przecież panią widziałem w sądzie. Próbowałem... - Urwał nagle, jak gdyby mitygując się.

Ellie patrzyła z zaskoczeniem na przemianę, jaka odbywała się na jej oczach. W pierwszej chwili człowiek ten sprawiał wrażenie dobrego i przystępnego. Po sekundzie jakby zapadła kurtyna, a z jego twarzy znikły wszelkie uczucia, zamieniając ją w twardą, nieprzystępną maskę.

Ta przemiana otrzeźwiła Ellie. Na policzki dziewczyny wypłynął krwisty rumieniec. Nawet gdyby człowiek ten przyszedł na spotkanie towarzyskie, nie powinna aprobować jego obecności. Najwyraźniej jednak cel jego wizyty był inny. Przypomniała sobie, kto ostatnio często pojawiał się pod jej drzwiami, i zaschło jej w gardle.

Za plecami Ellie pojawił się Barnard.

- Czego pan chce? - zapytał szorstko.

Obcy uniósł ciemną brew.

- Przyszedłem zobaczyć się z panem Eliotem Sinclairem.
- A więc traci pan czas. - Barnard sięgnął do drzwi.
- Ja jestem Eliot Sinclair - oznajmiła Ellie.

Barnard jęknął, a na twarzy stojącego w drzwiach mężczyzny ponownie odmalowało się zaskoczenie.

- Ależ pani jest kobietą! - Maskę zsunęła się odrobinę.

Barnard potrząsnął głową i wydał z siebie dźwięk, który bardzo przypominał ironiczne parsknięcie.

- Nie masz chyba ani krzty rozumu w tej pięknej głowie, przystojniaku! Oczywiście, że jest kobietą! Nigdy żadnej nie widziałeś z bliska? - spytał i zachichotał, najwyraźniej zadowolony ze swojego dowcipu. Jednak ani przybysz, ani Ellie nie zwrócili na niego uwagi. Stali naprzeciw siebie i patrzyli sobie w oczy.

- Kobieta - szepnął Nicholas.

Hanna postąpiła o krok do przodu.

- Może jest słaby na umyśle? - rzuciła w powietrze, przyglądając się przybyszowi.

To sprawiło, że Nicholas oprzytomniał.

- Przepraszam - powiedział. - Jestem zaskoczony. Nie przypuszczałem... - Potrząsnął głową. - Nieważne. - Wyprostował się. - Nazywam się Nicholas Drake.

Nicholas Drake.

Ellie trudno było zachować opanowanie. Człowiek, który zniszczył jej ojca, stał przed nią. W jej własnych drzwiach.

Szukał jej.

Człowiek, którego widziała z balkonu, który nawiedzał jej sny, znalazł się tutaj. Czy wiedział, kim ona jest? Poczwała, jak coś ją ścisną w gardle. Zmusiła się jednak do zachowania spokoju, pocieszając się myślą, że on nie może tego wiedzieć. Ojciec obiecał jej, że dochowa tajemnicę, i zmusił ją, by ona jemu także przysięgła milczenie.

- Panno Sinclair? - Nicholas przerwał jej rozważania. - Jest pani niezamężna?

- To nie pańska sprawa - warknął Barnard.

- Tak, jestem panną - przyznała Ellie bez zastanowienia, gorączkowo rozważając, jak ma poradzić sobie z tą nieoczekiwaną sytuacją.

Barnard jęknął znowu.

- Dziewczyno, gadasz jak nakręcona. Nie udzielaj żadnych więcej informacji temu człowiekowi. Nie wiesz przecież, z czym tu przyszedł.

Nicholas rzucił okiem na starego marynarza.

- On ma rację - zwrócił się do Ellie z nieoczekiwanie opiekuńczym wyrazem twarzy. - Istotnie, powinna pani uważać, co pani mówi... nieznanym.

Jego słowa zaskoczyły wszystkich obecnych, włącznie, jak się wydawało, z samym mówiącym. Nicholas zmarszczył brwi i zacisnął szczęki.

- Panno Sinclair - rzekł stanowczo. - Przychodzę w sprawie pani domu. O ile wiem, mój sekretarz był tu już kilkakrotnie...

- I powiedzieliśmy mu, co może zrobić ze swoją propozycją - wtrącił się Barnard, kiwając głową.

Nicholas rzucił mu krótkie spojrzenie.

- Istotnie. - Odwrócił się do Ellie. - Przyszedłem tu dziś osobiście, bo jestem przekonany, że Bert nie wyjaśnił pani, jak korzystna jest dla was ta oferta.

- Wielka mi oferta! - zawołał Barnard. - Nie chcemy się stąd przenosić. Nie rozumiesz po angielsku, chłopcze?

Ellie stała niczym sparaliżowana, obserwując, jak Nicholas zaciska szczęki. Była pewna, że upłynęło już wiele lat od czasu, kiedy do tego posępnego mężczyzny zwrócono się „chłopcze”. Gdyby serce nie waliło jej tak mocno, wybuchnęłaby śmiechem, widząc wyraz jego twarzy.

- Panie Drake...

- Hej, patrzcie wszyscy! Patrzcie, kogo znalazłem!

Do domu wpadł Jim Angelo, trzymając za rękę małą dziewczynkę, wystrojoną w różową koronkową sukienkę.

- Znalazłem dziewczynkę! - Potężny mężczyzna, zachowujący się bardziej jak chłopiec niż jak dorosły człowiek, odwrócił się do małej.

- No, powiedz coś, proszę!

- Puść ją. - Głos Nicholasa rozległ się nieoczekiwanym echem w hallu.

Jim popatrzył na mówiącego swymi dziecięcymi oczami.

- Kim pan jest?

W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się czerwona na twarzy, zasapana kobieta w średnim wieku.

- Najmocniej przepraszam, proszę pana - wymamrotała nerwowo, zwracając się do Nicholasa, który odciągnął dziewczynkę od Jima. - Grzecznie sobie z nią gawędził, a potem, zupełnie zniemacka, wciągnął ją tutaj na górę.

Ellie rozejrzała się dookoła siebie. Dziewczynka stała spokojnie obok Nicholasa albo przestraszona całą sytuacją, albo po prostu bojąc się tego wysokiego, ciemnego mężczyzny. Jedno było pewne: mała była na coś chora. Ellie zauważyła sine podkówki pod oczami i niezdrową bladość. Co prawda, dziecko mogło być też po prostu zmęczone.

Kiedy Jim zrobił krok w stronę dziewczynki, Nicholas zastawił ją sobą. Ellie odniosła przelotne wrażenie, że mężczyzna ten broniłby swoich bliskich do ostatniego tchu. Pożalowała kogoś, kto miałby stać się przedmiotem jego gniewu.

- Cofnij się - polecił i Jim zatrzymał się jak wryty.

- Po co się tak denerwować - wtrącił się Barnard. - Jim nie skrzywdziłby nawet muchy.

Nicholas nie wydawał się skłonny z tym zgodzić.

- Czy to pana córeczka? - zapytała Hanna, uśmiechając się do małej.

- Nie - odparł sztywno po dłuższej chwili. - To moja siostrzenica.

A więc nie córka, tylko siostrzenica, przebiegło Ellie przez myśl.

Bez zastanowienia przykucnęła przed dziewczynką, zwr-

cając się do niej z cierpliwą łagodnością, której, jak już dawno temu uznała, nigdy nie skieruje do własnego dziecka.

- Cześć - powiedziała. - Nazywam się Ellie. A ty?

Dziewczynka stała, pochylając nieśmiało główkę i zaciśkając nerwowo rączki.

- Charlotte - wyszeptała.

- Jakie ładne imię - stwierdziła z uśmiechem Ellie. - Zawsze chciałam się tak nazywać.

- Twoje imię też jest ładne - wyrzekła z wahaniem mała.

- To prawda, jest dosyć ładne. Ale naprawdę nazywam się Eliot - odparła Ellie, patrząc wymownie.

Charlotte zmieszała się.

- Tak, to męskie imię - potwierdziła Ellie.

- Dlaczego masz męskie imię?

Pytanie to sprawiło, że Ellie pożałowała, iż rozwinęła temat. Jego kontynuacja mogła zaprowadzić ją o wiele za daleko. Jednak coś tej malej, ślicznej, ciemnowłosej dziewczynce poruszyło w niej czułą strunę. Zmusiła się do śmiechu.

- Kto to wie? A poza tym teraz to już nieważne. Masz ochotę na filiżankę herbaty?

Kiedy Charlotte podniosła pytające spojrzenie na swego wuja, Ellie zakłęta w duchu. Zupełnie zapomniała o jego istnieniu. O ile z przyjemnością ugościłaby siostrzenicę, nie miała najmniejszej ochoty zapraszać tego mężczyzny. Z wielu powodów.

- Ależ ja jestem niemądra - powiedziała, prostując się. - Twój wujek z pewnością jest bardzo zajęty. Przyjdź na herbatę kiedy indziej, Charlotte.

- Myślę, że to świetny pomysł - wtrącił gładko Nicholas, uśmiechając się tak, jakby czytał w myślach Ellie. - Charlotte i ja właśnie zamierzaliśmy coś przekąsić. Bardzo nam będzie miło.

Ellie obserwowała, jak buzia dziewczynki rozjaśnia się. Jeszcze chwila, a pojawi się na niej najprawdziwszy uśmiech. Czyż więc mogła im odmówić? W żaden sposób.

Muszę dać sobie radę Z tą krępującą sytuacją, pomyślała i zakłęta pod nosem.

- Słucham? - zapytał Nicholas z nieoczekiwanym uśmiechkiem, unosząc przekornie brew.

Ellie odpowiedziała uśmiechem, o ile obnażenie zębów dałoby się określić takim mianem. Poczęstuje tę uroczą dziewczynkę, zignoruje jej wuja, a potem odeśle ich do domu tak szybko, jak tylko się da.

Jim podszedł do małej, wyciągając rękę.

- Chodź, będziesz siedziała koło mnie.

Nicholas popatrzył na Jima i już chciał coś powiedzieć, ale Ellie nie dała mu dojść do słowa:

- Nic jej nie zrobi, panie Drake. Zapewniam pana.

Nicholas jeszcze raz rzucił okiem na Jima, Ellie, potem na swoją siostrzenicę i wreszcie krótko skinął głową.

Charlotte bez oporu podeszła *do Jima*. Ellie miała przez chwilę wrażenie, że na twarzy jej wuja pojawił się wyraz cierpienia. Jednak zniknął on prawie natychmiast, a mężczyzna zwrócił się do Ellie. Stali przez chwilę bez ruchu, patrząc na siebie tak samo jak wtedy, w sądzie, i tak jak wtedy Ellie zapomniała o wszystkim: o swoim bólu, o tym, kim była, a kim on... ale tylko na jedną, krótką chwilę.

Odwróciła się gwałtownie i zaczęła zapraszać gości do bawialni. Hanna zeszła do kuchni, by przygotować herbatę. Nicholas, idąc na końcu ich niedużej gromadki, na chwilę zatrzymał się przy małym stoliku.

- M. M. Jay - powiedział z nieoczekiwanym zainteresowaniem, podnosząc egzemplarz „New York Timesa” otwarty na trzeciej stronie.

Ellie spojrzała na niego, a na jej białej i nieskazitelnie czystej jak chińska porcelana twarzy odmalowało się nagłe zmieszanie.

- M. M. Jay - powtórzył Nicholas, pokazując jej gazetę. - Artysta malarz. Co pani sądzi o najnowszym artykule Able Smythe'a na jego temat?

Ellie rzuciła Barnardowi gniewne spojrzenie, a potem powiedziała:

- Nie czytałam go. - I natychmiast skierowała się do bawialni.

- Mówi się, że ma duży talent - ciągnął Nicholas, podążając za Ellie. - Jest to artysta kontrowersyjny, ale, z tego co sły-
szałem, wielce obiecujący. Smythe jest nim zafascynowany.

Ellie usiadła na otomanie.

- Doprawdy? - zapytała, wyglądając spodnicę.

Nicholas zajął ustawiony naprzeciwko fotel. Pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek dowiemy się, kim naprawdę jest ten facet.

- Są tacy, którzy twierdzą, że to ja nim jestem - powiedział Barnard.

W tym momencie w bawialni pojawiła się Hanna, trzymając oburącz tacę.

- Phi! Niech pan nie wierzy ani jednemu słowu z tego, co on wygaduje, panie Drake! Ten stary kozioł nie potrafiłby przyzwoicie pomalować nawet ściany. Stokrotki, rze-
czywiście!

- Ty głupia...

- Barnard! - zawołała ostro Ellie, gromiąc go wzrokiem. -
Mamy gości.

Rzuciwszy mordercze spojrzenie Hannie, Barnard wymamrotał coś pod nosem, a potem usiadł na otomanie.

- Pora na herbatkę - powiedziała Ellie.

Nalała ją w błyskawicznym tempie..

- Śpieszy się pani, panno Sinclair? - zapytał Nicholas z lekkim błyskiem w oku.

To prowokacyjne pytanie i rozbawiony uśmieszek sprawiły, że Ellie zapragnęła chlusnąć mu wrzątkiem w twarz. Jednak zabrałyoby to czas, zwłaszcza że potem musiałyby go oczyścić, a ona pragnęła, aby ten mężczyzna jak najprędzej opuścił jej dom. Sprawiał, że doznawała uczuć, któ-

rych nie rozumiała w pełni, których wcale nie pragnęła, wiedząc, że jedyne, co powinno pojawić się w jej duszy, to nienawiść. Nieważne, że od dawna zdawała sobie sprawę, iż ojciec jej powinien zostać ukarany za swoje uczynki. Był jednak jej ojcem... chociaż nie przyznał się do tego oficjalnie. Nicholas Drake go zniszczył.

- Ja się śpieszę? Skąd ten pomysł? - zapytała, udając, że nie wie, o co chodzi. Zamieszała gwałtownie herbatę, a potem wypijała ją jednym haustem jak marynarz wódkę w portowej knajpie.

Hanna, Jim i Charlotte patrzyli na to z otwartymi ze zdumienia ustami. Barnard z trzaskiem odstawił filiżankę na spodek, Nicholas zaś patrzył na Ellie z przerażającym spokojem, przez co jeszcze bardziej zapagnęła, by wreszcie sobie poszedł.

- No i już - zaszcebiotała, delikatnie ocierając sobie usta serwetką. - Już po wszystkim. - Wstała raptownie i sięgnęła po ich filiżanki, wciąż jeszcze pełne.

- Panno Sinclair - przerwał jej lodowato Nicholas, a w jego oczach nie malował się już błysk humoru. - Pomówmy o domu.

- Nie ma o czym rozmawiać, panie Drake. Jak poinformowałam pana Barnarda, nie jestem zainteresowana sprzedażą.

Nicholas uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały poważne.

- Z pewnością nie zdaje sobie pani sprawy...

- Wszystko doskonale rozumiem. Pan chce kupić mój dom. Ja nie chcę go sprzedać - odparła, jakby oskarżała go o grę znaczonymi kartami.

- Ależ chcę za niego zapłacić majątek!

- Może dla pana, ale dla mnie to nie jest tak wiele.

Poirytowany, Nicholas przeciągnął dłonią po włosach.

- Niech się pani chociaż zastanowi...

- Nie, panie Drake. - Wyprostowała się z tacą w dłoniach. - Nie chcę sprzedawać mojego domu bez względu na to, ile gotów jest mi pan za niego zapłacić.

Nicholas zacisnął szczęki.

- Nigdy w życiu nie spotkałem takiej... upartej kobiety.

- Upartej? Mówi pan tak o mnie, bo nie chcę panu sprzedać domu?

- Tak - warknął. - Jest pani uparta. A także niemądra. Oferuję pani wielką sumę pieniędzy, panno Sinclair. Przekracza ona znacznie wartość tego domu. Każdy rozsądny mężczyzna natychmiast przyjąłby moją propozycję. Mężczyzna, panno Sinclair, zgodziłby się natychmiast. Powinna pani wyjść za mąż. Każdy, kto ma chociaż odrobinę rozumu, od razu pojąłby, jak korzystna jest moja oferta.

Ellie zarumieniła się z gniewu.

- Odrobinę rozumu... Jak pan... - Opanowała się z wysiłkiem. - Niech pan sobie nie żałuje, panie Drake. Niestety będzie musiał mieć pan do czynienia wyłącznie ze mną, bo ja nigdy nie wyjdę za mąż.

- Akurat - zadzwiał. - Każda z was tylko o tym marzy. Pani też, bez wątpienia.

Słyszając to, Ellie uspokoiła się, a w jej szmaragdowozielonych oczach pojawił się przekorny błysk.

- To prawda, pragnę tego. Czekam na rycerza w lśniacej zbroi, który zbuduje dla mnie srebrny zamek na wysokiej skale nad brzegiem morza.

Nicholas zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się nad jej słowami.

- Czyta pani za dużo tanich powieści, panno Sinclair. Pod koniec dziewiętnastego wieku w Ameryce niestety brakuje rycerzy, którzy zechcieli by uczynić dla damy cokolwiek, nie mówiąc już o budowaniu zamków.

- To właśnie miałam na myśli.

- A mianowicie?

- Nigdy nie wyjdę za mąż - zareplikowała uparcie.

Nicholas przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Potem zacisnął zęby, wstał, zagarnął Charlotte i jej nianię i ruszył w stronę wyjścia. Kiedy Ellie już myślała, że uda-

ło się jej go pozbyć, odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Niech pani tylko nie myśli, że z panią skończyłem. Chcę kupić pani dom.

Wyszedł, ale jego słowa nie pozostawiły im żadnych wątpliwości. Ellie przeniknął zimny dreszcz, gdy usłyszała zamykające się drzwi frontowe. Nie mogła pozwolić, by Nicholas Drake albo ktokolwiek inny grzebał w jej przeszłości. Nie dość że była córką przestępcy, ale na domiar złego bękartem... Dziewczyna zadrżała na myśl o tym, jakie mogłyby być konsekwencje ujawnienia tych informacji. Może powinna sprzedać mu ten dom. Jednak, rozjeżdżawszy się dookoła, poczuła, że nie potrafiłaby pozbyć się jedynej rzeczy, jaką posiada. Jedyne prezentu od ojca. Co gorsza, aby zawrzeć akt kupna-sprzedarzy, musiałaby okazać dokumenty, o których, jak miała nadzieję, nikt nie wiedział... zwłaszcza jeden z nich, bezpośrednio wiążący ją z Harrym Dillardem. Akt własności. Tak więc po raz kolejny doszła do ostatecznego wniosku, że nigdy nie będzie mogła sprzedać tego domu. Nawet gdyby tego chciała. Ten dom, jak wiele innych rzeczy w jej życiu, był równocześnie błogosławieństwem i przekleństwem.

- Cóż - rzekła i odstawiła tacę, usiłując uśmiechnąć się uspokajająco do swoich lokatorów. - Myślę, że poradziliśmy sobie z nim całkiem nieźle.

Barnard skrzywił się, ale nic nie powiedział.

- Chyba pójdę do siebie - stwierdziła ze sztuczną pogodą w głosie, a potem szybko pobiegła na górę, na trzecie piętro... które należało wyłącznie do niej. Kiedy wreszcie zamknęła za sobą drzwi, westchnęła z ulgą, opierając się o nie plecami, rada, iż jest nareszcie sama... w swoim schronieniu, górującym nad resztą świata.

Pokój był wysoki, ściany pomalowano na biało, a liczne okna wpuszczały dużo światła. Upłynęło kilka dobrych minut, zanim Ellie oderwała się od drzwi i podeszła do parawanu, który osłaniał jeden z kątów obszernego pomieszczenia.

Wzięła głęboki wdech, odsunęła parawan, a potem wspięła się na stołek, stojący w ciepłym, kojącym blasku słońca. Po chwili zamknęła oczy i zjrzała w głąb swojej duszy. Pomału myśli o domach, ojcu, przystojnych nieznanomych i ich nieletnich siostrzenicach zaczęły blaknąć, opuszczając jej umysł.

Wtedy zaczęła malować.

3

Obsesja. Niepokój szarpiący duszę jak szpony.

Nicholas stał przy oknie w jadalni, mrużąc ciemnoniebieskie oczy, porażone blaskiem wschodzącego słońca. Czyżbym rzeczywiście miał obsesję na punkcie Eliot Sinclair? zapytał sam siebie już po raz setny w ciągu ostatnich sześciu tygodni. W wieku lat dwunastu zaczął obsesyjnie interesować się losem Harry'ego Dillarda... od czasu jego zdrady. Nie ukrywał tego. Jednak oszaleć na punkcie kobiety nazwiskiem Eliot Sinclair?

Myślał o niej stale. Wypełniała jego umysł, niewiele miejsca pozostawiając na cokolwiek innego. A przecież była zbyt pewna siebie i stanowcza jak na jego gust. Mimo to nie potrafił o niej zapomnieć ani na chwilę. Dotąd wierzył w potęgę woli. Zawsze sądził, że wystarczy czegoś bardzo mocno pragnąć, a do spełnienia pozostaje tylko krok, lecz wola okazywała się bezskuteczna w walce z tą dziwną kobietą o męskim imieniu. Czy pragnął jej, gdyż nie zdołał przeprowadzić swojej woli? Bo nie potrafił zdobyć jej domu? To chyba nie takie proste.

Westchnął głęboko, a potem odwrócił się od okna, stając się poskromić gonitwę myśli i zapanować nad sobą, tak jak to czynił od wielu, wielu lat.

Parkiet odbijał echem jego kroki. Ogromny mahoniowy stół był nakryty dla dwojga, jak zwykle od czasu, gdy w domu pojawiła się Charlotte, której twarzyczka właśnie wyłoniła się zza kanelowanej futryny drzwiowej. Główkę dziewczynki otaczała burza ciemnych loków, a fiołkowe oczy lśniły na tle przezroczystej cery. Na delikatnych usteczkach igrał cień uśmiechu.

Chociaż zawsze przygotowywano nakrycia dla dwóch osób, mała rzadko pojawiała się na śniadaniu. W rezultacie Nicholas widywał ją tylko sporadycznie, mimo że zamieszkiwała jego dom od kilku tygodni. Teraz jednak zauważył w niej pewną zmianę. Policzki miała zaróżowione i gotów był przysiąc, że ciemne podkówki pod oczami stały się mniej wyraźne. Częściej się uśmiechała, a raz Nicholas usłyszał, jak roześmiała się głośno, bawiąc się w pokoju, który dla niej urządził i wypełnił zabawkami. Niezrozumiałymi zabawkami dla nieprzewidzianej siostrzenicy. Pokręcił głową.

Jak zawsze nie wiedział, o czym z nią rozmawiać. Co mówi się do dziecka, kiedy nie daje się mu prezentów albo się mu nie wydaje poleceń?

- Dzień dobry - rzucił.

Najwyraźniej zachęcona tym powitaniem, wyprostowała się i wyłoniła zza futryny z gracją, która pasowałaby raczej znacznie starszej osobie.

- Dzień dobry, panie Drake.

Nadal „panie Drake”. Nie „wuju Nicholasie” ani „wujku”, ani po prostu „Nicholasie”. Jednak nie potrafił zaproponować jej, by zwracała się do niego bardziej poufale.

Wymienili powitania, a potem zapadła martwa cisza.

- Hm - chrząknął Nicholas, odbierając filiżankę kawy od Lucy, pokojówki. - Jadłaś już, Charlotte?

- Nie.

- Masz na coś ochotę?

Dziewczynka wspięła się na palce i powiodła wzrokiem od swego wuja do licznych potraw ustawionych na kreden-

sie. Zacisnęła usta na widok jajecznicy, szynki i owsianki.

- Poproszę filiżankę kawy.

- Kawy?

Mała weszła głębiej do jadalni i zbliżyła się do krzesła.

- Tak, poproszę. Z odrobiną mleka i cukru.

Jak gdyby miała sześćdziesiąt, a nie sześć lat.

Lucy zaczęła nalewać drugą porcję aromatycznego napoju.

- Mowy nie ma - stwierdził Nicholas, odstawiając z hałasem filiżankę. - Nie wolno ci pić kawy.

- Dlaczego? - popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Dlatego - odparł krótko po upływie pełnej napięcia chwili.

- Dlaczego „dlatego”?

Nicholas przez chwilę przyglądał się dziewczynce, marszcząc brwi, aż wreszcie odparł:

- Jesteś za mała, żeby pić kawę.

- Mamusia tak nie uważa.

Odstawił filiżankę i spodek na stół, a potem wstał, podsunął siostrzenicy krzesło, a następnie polecił Lucy, by przyniosła talerz jedzenia i kubek mleka.

- Twoja matka rzadko kiedy się nad czymś zastanawia.

- Ale ja nie bardzo lubię mleko - skrzywiła się Charlotte.

- Bzdury. Mleko jest zdrowe. Zjedz też jajko, trochę szynki i owsiankę - polecił, ignorując jej ciężkie westchnienie.

Po chwili dziewczynka podniosła wzrok.

- Dostałam wczoraj list od mamusi. - Wyjęła pismo z kieszeni swojej ciemnoniebieskiej sukienki.

- Doprawdy? - zapytał sucho. - Jak zdrowie mojej drogiej siostry?

- Chyba wszystko w porządku - odparła, wygładzając drobnymi rączkami kartkę na stole. - Jest bardzo zajęta.

- O ile znam moją siostrę, zajmuje się głównie przyjęciami, proszonymi obiadami i innymi równie ważnymi sprawami.

- Hucznymi przyjęciami i wspaniałymi proszonymi obiada-

mi - uściśliła dziewczynka marząco. - Wszyscy piją tam kawę.

Nicholas przyjrzał się swojej siostrzenicy, zastanawiając się, czy usiłuje ona dać mu coś do zrozumienia.

- Jestem pewien, że pije się tam więcej szampana niż kawy. Na obiad poprosisz mnie o butelkę Dom Perignon?

Ku zdziwieniu wuja dziewczynka zachichotała. Zaraz jednak spoważniała i rozmarzyła się.

- A potem tańczą: mamusia i tatuś. Mamusia doskonale tańczy. Umie walce i menuety. - Popatrzyła poważnie na Nicholasa. - Widziałeś kiedyś, jak tańczy mój tatuś?

- Raczej nie. On zaś prawdopodobnie nie tańczy teraz z twoją mamą - odparł bezmyślnie, rozkładając gazetę.

- O co chodzi, wuju?

Nie zauważył, że na jej gładkim czole pojawiła się zmarszczka, ani też że w fiołkowych oczach ukazał się wyraz troski, a zarazem wyrzutu.

- Ależ o nic, Charlotte, to nic ważnego - odrzekł i zagłębił się w swojej gazecie.

Przez całą drogę do biura, w którym zastał ciszę i spokój, dręczyły go niejasne wyrzuty sumienia. Po jego uwadze na temat rodziców Charlotte cichutko wymknęła się z jadalni. A on przecież ma interesy do załatwienia. Musi podpisać ważne dokumenty, robić plany, budować. Na tym się zna, a nie na małych dziewczynkach, pomyślał, siadając za biurkiem. Panna Shamworthy miała doskonałe referencje, jego siostrzenica zaś potrzebowała przede wszystkim kobiecej opieki, jaką mogła zaoferować wykwalifikowana niania. On przecież nie ma czasu zajmować się tym dzieckiem... zostało mu jeszcze wiele do zrobienia, zanim ostatecznie skończy sprawę Harry'ego Dillarda. Wtedy zajmie się swoim własnym życiem.

Nicholas już dawno zdał sobie sprawę, że jego życie stoi w miejscu, podczas gdy on ściga Harry'ego Dillarda. Przez dwadzieścia trzy lata koncentrował się na jednej sprawie

i *zatracił* umiejętność zmieniania się. Teraz czasami wątpił, czy kiedykolwiek ją odzyska. Refleksje te nachodziły go jednak rzadko i nie trwały długo. Nauczył się tłumić je i zapominać o nich, ale niekiedy żałował, iż posiadał tę umiejętność.

Westchnął i, jak zwykle, postarał się myśleć o ważniejszych sprawach. O Eliot Sinclair i jej domu.

Od czasu pamiętnej „herbatki” pojawiał się tam kilkakrotnie, próbując zdobyć ostatnią nieruchomość w pożądanej przez siebie części ulicy.

Za każdym razem, gdy przybywał na miejsce, zawsze bez zaproszenia, przyjmowali go wszyscy mieszkańcy. Barnard był uparty i bojowy. Hanna gadała bez ustanku. Jim chciał zobaczyć się z Charlotte.

No i oczywiście nie brakowało Eliot. Ellie.

Bert spędził wiele godzin, grzebiąc w przeszłości Eliot Sinclair, i nie znalazł nic więcej ponad to, że poza domem na Szesnastej Ulicy posiada także sklep z kapeluszami na znajdującym się opodal Broadwayu.

Okazało się też, że Hanna w ramach opłaty za czynsz pomaga Ellie w sklepie, Jim jest gońcem, a Barnard gotuje i zajmuje się domem. Nicholas pokręcił głową. Dziś po południu zamierzał znowu się u nich pojawić. Tym razem nie pozwoli się odprawić z kwitkiem.

- Kochaj się ze mną, kobieto.

Hanna, usadowiona w swym ulubionym fotelu, podniosła oczy znad książki.

- Nigdy w życiu, stary capie, chyba że padniesz na kolana i zaproponujesz mi małżeństwo.

- Owszem, o coś cię zapytam - mruknął Barnard, wiskając ręce w kieszenie szarych, workowatych spodni. - Ile razy mam ci powtarzać, że nie zamierzam się żenić?

- Któżegoś dnia wreszcie ci uwierzę, a wtedy, zapewniam cię, Barnardzie Webb, że tego pożalujesz!

. - Na razie żałuję, że nie uwierzyłaś mi do tej pory! - Wziął

głęboki wdech, starając się opanować, a potem wbił w nią spojrzenie swych siwych oczu. - Mówiłem ci - powtórzył sucho. - Nie żenię się. Mój syn wkrótce mnie stąd zabierze.

Hanna westchnęła ciężko i przechyliła głowę.

- Barnardzie, mój drogi, kiedy wreszcie pogodzisz się z tym, że twój syn nie przyjedzie po ciebie ani wkrótce, ani kiedykolwiek?

- Co ty tam wiesz! - warknął.

- To, co trzeba. Sam mówiłeś, że prawie nie znasz swojego chłopca.

- On nie jest już dzieckiem! Jest dorosłym mężczyzną! A nie znam go, bo pracowałem, tak, ciężko pracowałem, żeby zarobić na życie.

- Włóczyłeś się, Barnardzie - uściśliła bezlitośnie. - Gotów byłeś wyruszyć, ilekroć trafiła się pierwsza lepsza okazja. Uciekałeś. Byłeś beznadziejnym ojcem i twój syn dobrze o tym wie. Sam przyznaj, ile listów do niego napisałeś? Śmiałem twierdzić, że całe setki, od czasu kiedy cię poznałam. A ile dostałeś w odpowiedzi?

Barnard zaczerwienił się.

- No, ile? - nalegała.

Mężczyzna odwrócił się i zaczął odchodzić.

- Ani jednego - ciągnęła, wstrzymując jego kroki. - Chłopak nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej.

- Kłamiesz! - ryknął, odwracając się z wściekłością. - Jestem jego ojcem! On mnie kocha!

- Co się stało, Hanno?

Jim nadszedł z kuchni i stał w drzwiach.

- Co się tu dzieje? - powtórzył z wyrazem niepokoju na swej prostodusznej twarzy. - Hanno? Barnardzie? Powiedzcie mi, co tu się stało?

Jednak ani jedno, ani drugie nie zwróciło na nią uwagi. Pomstowali na siebie i nie dostrzegali, że przerażają tym wrażliwego chłopca, który, nie rozumiejąc, o co chodzi,

wyobraził sobie, iż nastąpiło coś strasznego i bezwładnie opadł na dolny stopień schodów wiodących na piętro.

Stukot końskich kopyt o uliczny bruk rozlegał się echem pośród grubych murów nowojorskich budynków. Nicholas stał przed owalną szybką w dębowych drzwiach domu przy Szesnastej Ulicy. Kiedy przekręcił niedużą mosiężną gałkę, uruchamiającą znajdujący się wewnątrz dzwonek, nie wywołał tym żadnej reakcji. Po chwili powozy rozjechały się, a hałas ucichł. Wtedy to usłyszał. Gniewne głosy i krzyki.

Tym razem mocno zastukał do drzwi, ale i to nie pomogło. Nie zastanawiając się, nacisnął klamkę i zaklął pod nosem, bo drzwi okazały się otwarte, a potem wszedł do środka.

- Przepraszam - powiedział cicho, a następnie głośniej, starając się przyciągnąć uwagę kłócącej się pary.

- Halo! - zawołał. Popołudniowe słońce złotym blaskiem obrysowało jego ciemną, rzeźbioną sylwetkę.

Barnard odwrócił się w pół zdania. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Jednak widok, jaki ujrzał, sprawił, że zamilkł z otwartymi ustami. Czerwień spełzła z jego policzków, a w oczach zabłyśły mu łzy.

- Martin - szepnął.

Nicholas stał bez ruchu, zaskoczony. Barnard zbliżył się do niego na krok, a potem zatrzymał niepewnie.

- Wróciłeś.

Nowo przybyły chrząknął i wszedł głębiej do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Pan Drake! - zawołała Hanna.

Barnard zachłysnął się, rozdymając nozdrza. Twarz mu poszarzała, a po wychudłych policzkach popłynęły łzy.

- Co tu się dzieje? - zapytał Nicholas.

- Nic poważnego. No, może trochę. - Hanna podeszła do Barnarda, który schronił się w swoim kącie.

Gość mógł tylko z niepokojem przyglądać się całej scenie. Barnard najwyraźniej znajdował się w stanie wielkie-

go wzburzenia. Hanna próbowała go pocieszyć. Osilek imieniem Jim siedział na schodach i płakał jak małe dziecko. Nicholas nie miał pojęcia, jak zareagować. Wymknąć się dyskretnie i wracać do domu? Domagać się wyjaśnień? Z niewiadomych przyczyn ani jedno wyjście nie wydawało mu się właściwe.

Najpierw Charlotte, a teraz ta tajemnicza kłótnia, na którą niechcący wpadł. Jednak wkrótce okazało się, że nie musi nic robić, gdyż w drzwiach pojawiła się Ellie. Nicholas na chwilę zapomniał o niepojętych dla niego krzykach i łzach dorosłego człowieka. Mógł tylko patrzeć. Zawsze tak było, od kiedy ujrzał ją po raz pierwszy.

Stała w wejściu, wysoka, dumna i dzielna. Jak zwykle uparta. Piękna ponad wszelkie słowa. Jak zawsze miała na sobie zieloną sukienkę, która na każdej innej kobiecie wydawałaby się pospolita. Kiedy nosiła ją Eliot Sinclair, wydawała się miękka i wdzięczna i podkreślała raczej niż zakrywała łagodne zaokrąglenia jej figury. I ten kapelusz. Mój Boże, cóż za kapelusze nosi ta kobieta, pomyślał Nicholas z niesmakiem, ale też i rozbawieniem.

- Ellie - szepnął, mrużąc oczy, by ukryć swoje uczucia.

Jeśli nawet Ellie zauważyła ton jego głosu, a może nawet samego mówcę, nie dała tego po sobie poznać. Rozejrzała się po pokoju, patrząc po kolei na Barnarda, Hannę i Jima, a potem bardzo powoli odwróciła się do Nicholasa.

- Co pan tym razem narobił? - zapytała, podpierając się pod boki.

Nicholas zeszywniał i spoważniał.

- Obawiam się, że wyciągnęła pani zupełnie niewłaściwe wnioski, panno Sinclair. Nic nie zrobiłem.

- Jasne - odparła oskarżycielsko. - Na pewno wpadł tu pan znowu ze swoimi natrętnymi propozycjami, a potem im groził.

- Nigdy nikomu nie grozę. - Nicholas zacisnął zęby.

- A ja jestem królową Anglii.

- Zarzuca mi pani kłamstwo, panno Sinclair? - Popatrzył na nią gniewnie.

Ellie parsknęła lekceważąco.

- Skoro to nie pan, to czemu Barnard jest taki zdenerwowany?

Nicholas rzucił okiem na starszego mężczyznę, po raz pierwszy w życiu czując, że powinien się usprawiedliwić.

- Przez chwilę wydawało mu się, że jestem kimś innym. Kimś o imieniu Martin.

Ellie jęknęła, a potem ściągnęła kapelusz z głowy, odwróciła się na pięcie i podbiegła do Barnarda.

Patrzył, jak go pociesza, uspokaja Hanne, a potem przekonuje oboje, że pogoda jest wprost idealna na wieczorny spacer. Na koniec podeszła do Jima, który wciąż siedział na schodach i pociągał nosem. Usiadła obok niego, nie troszcząc się o swoją suknię. Objęła go ramieniem i przyciągnęła go do siebie.

- Już dobrze, Jim.

- Nie, Ellie. Wszyscy są wściekli.

- Nikt już nie jest wściekły.

- Ale Barnard tak głośno krzyczał.

- Wiesz, jaki on jest. Zawsze musi sobie pokrzyczeć.

Nicholas patrzył jak zahipnotyzowany. Zauroczony. Jakby ta dziewczyna przemawiała do niego, nie do innych, a jej głos stanowił balsam, który koił jego serce.

- Nie byłyby sobą, gdyby nie krzyczał - dodała na koniec. - Chyba sobie nie wyobrazasz, żeby było inaczej?

Jim popatrzył na Ellie przez łyzy.

- Chyba nie. Chyba masz rację. - Przeciągnął rękawem po oczach. - Ale, Ellie, on był *taki* wściekły.

Nicholas ujrzał, że ramiona dziewczyny opadły, jakby przytłoczyło ją nagłe zmęczenie. Nie zastanawiając się, odchrząknął.

- Jim - zaczął, zastanawiając się gorączkowo, co ma powiedzieć dalej. - Zapomniałem ci powiedzieć... - Już wiedział. - Charlotte pytała o ciebie.

- Charlotte? Pytała o mnie?

- Tak. Chciała, żebym cię od niej pozdrowił.

Jim rozjaśnił się.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście - dodał Nicholas, zadowolony z efektu.

- Jejku, myślisz, że zechciałaby tu przyjść i pobawić się ze mną?

Ellie milczała przez chwilę, a potem odrzekła:

- Zobaczymy. Teraz idź i poszukaj Barnarda i Hanny.

- Obiecujesz, że się nad tym zastanowisz?

- Jasne, Jim - odparła.

Jim wstał.

- Niech pan ode mnie pozdrowi Charlotte, panie Drake - powiedział i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Kiedy znaleźli się sami, Ellie odwróciła się do Nicholasasa.

- No i co pan znowu narobił!

Nicholas oczekiwał, że odetchnie z ulgą, *podziękuje* mu... a może nawet obdarzy uśmiechem.

- Niewątpliwie właśnie mnie należy winić za to, że spowodowałem kłótnię, z którą nie miałem nic wspólnego, a potem sprawiłem, że Jim się uspokoił.

- I że liczy na coś, co nigdy nie nastąpi!

Ciemna brew uniosła się do góry, dodając Nicholasowi uroku.

- A kto twierdzi, że nie?

- Ja - oznajmiła Ellie, zaciskając usta. Nie miała nastroju na towarzyskie uprzejmości. Nie podobał jej się także dreszcz, który ją przeszywał, ilekroć ten mężczyzna znajdował się blisko niej. Na chwilę miała dosyć Barnarda, Hanny, a nawet Jima. Co więcej, musi pracować nad nowymi kapeluszami. Zarobić na zapłacenie rachunków. Nie ma czasu na rozmówki z Nicholasem Drake.

- Po co pan tu przyszedł?

- Słucham? - zapytał, a oczy zabłyśły mu przekornie. - Nie zaprosi mnie pani na herbatkę i ciasto? Albo chociaż na herbatnika?

- Pańskie dowcipy nie śmieszają mnie, panie Drake.
- Jaka szkoda. Ale jeśli woli pani rozmawiać o interesach, służę uprzejmie.
- Znowu? - zapytała ironicznie.
- Tak, znowu. Aż przyjdzie pani do rozumu.
- Do rozumu? - powtórzyła ostro.
- Tak. To, czego dowiedziałem się o pani, świadczy o tym, że jest pani rozsądną...
- Wtykał pan nos w moje sprawy? - Zmrużyła oczy, czując, że serce jej zamiera.
- Przeprowadziłem mały wywiad, panno Sinclair.
- Przez chwilę patrzyła na niego twardo, a potem zapytała:
- Czego jeszcze się pan dowiedział?
- Przyjrzał się jej badawczo, odchylając głowę do tyłu.
- Że siedem lat temu otworzyła pani sklep z kapeluszaniami i że nie ma pani żadnych długów. - W jego oczach pojawiło się nieoczekiwane rozbawienie. - I że ulubionym panu kolorem jest zielony.
- Co to ma znaczyć? - zapytała, dumnie unosząc podbródek.
- Zielony, jak trawa latem, sosny na Boże Narodzenie... albo pani oczy...
- Daruj pan sobie te poezje, panie Drake - odparła z niesmakiem, czując, że się rumieni. - Skąd przyszło panu do głowy, że lubię ten kolor?
- Rozejrzałem się po prostu dookoła. Zielona sukienka, zielone tapety...
- Tapeta nie jest zielona - warknęła dziewczyna.
- Przepraszam - skłonił się, udając pokorę. - Biała z zielonym wzorkiem.
- Ellie popatrzyła na tapetę, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu.
- Zielony wcale nie jest moim ulubionym kolorem.
- Po tym stwierdzeniu nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Ellie patrzyła na tapetę, a Nicholas na dziewczynę.

- A więc jaki nim jest? - zapytał wreszcie.
- Czerwony. - Ellie popatrzyła na niego w rozmarzeniu. Słyszając to, Nicholas roześmiał się głośno.
- Nie. Nigdy. Ten kolor nie jest dla pani.
Odwrociła się wreszcie w jego stronę, pytając:

- Co pan sobie wyobraża, pouczając mnie, jaki jest mój ulubiony kolor?

- Wcale pani nie pouczam. Dziękuję z panią wynikiem mojej obserwacji. Znam panią na tyle długo, by wiedzieć, że nigdy nie pozwoli sobie pani na to, by polubić czerwieni. - Jego niski głos złagodniał. - Tak samo, jak widzę doskonale, że jest pani przemęczona.

Na policzkach Ellie wykwitły krwiste rumieńce. Przemęczona? Czyżby rzeczywiście tak było? zastanowiła się nagle, odwracając głowę. Tak, odczuwała zmęczenie. Tak *wielkie*, że nawet nie chciało jej się spać.

- Czuję się świetnie.

Niebieskie oczy mężczyzny pociemniały. Ściągnął brwi, by ukryć swe uczucia.

- Ależ skąd - powiedział, dotykając jej policzka i zmuszając w ten sposób, by podniosła wzrok.

Dotyk. Wyraz oczu. Ellie przez chwilę miała wrażenie niezwyklej bliskości, jakby znała tego człowieka od zawsze.

Dookoła nich zapadła cisza. Żaden powóz nie przejeżdżał z kłopotem, nie zaszczekał żaden pies w oddali. Istniał tylko Nicholas, silny i pewny jak opoka, jedna z nielicznych, które istniały w jej życiu.

Rozsądek podpowiadał jej, że trudno byłoby znaleźć dwie tak różne osoby jak on i ona. Nicholas był dla niej zbyt godny i pewien siebie. Nigdy nie wmieszałby się w spór dwóch dorożkarzy.

- Robisz za dużo tych kapeluszy - powiedział czule - i przejmujesz się losem zbyt wielu ludzi. Widać to po twoich oczach.

Przygryzła wargę, słysząc te słowa, przepojone niezwykłą jak na niego troską.

- Nie sprzedam domu, panie Drake.

- Świetnie, niech pani nie sprzedaje.

Ellie przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Chyba nie mówi pan serio?

- Faktycznie - zgodził się z szatańskim uśmiechem i wzruszył ramionami. - Jednak o tym porozmawiamy kiedy indziej.

- Bez pytania ujął jej dłoń i pociągnął za rękę, podnosząc ze stopnia schodów, na którym siedziała. - Chodźmy - rzeki, uprawiając ją w pomieszczenie. - Poczęstuję panią zupą.

- Chce mi pan ugotować zupy? - Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Tak, właśnie - przyznał godnie. - Albowiem jest pani przygnębiona.

Na ustach dziewczyny pojawił się przekorny uśmieszek.

- Chyba się pan pomylił i miał na myśli gorące kakao. Zupę, a ściślej mówiąc, bulion, podaje się chorym, panie Drake.

Nicholas spowaźniał. Pokręcił głową, marszcząc brwi.

- Wcale się sobie nie dziwię. Nie mam wielkiego doświadczenia w opiece nad innymi.

- Ach - odparła Ellie, z zaskoczeniem czując, że doskonale zrozumiała, o co mu chodzi. - Domyślam się, że nie najlepiej radzi pan sobie z Charlotte?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i pociągnął młodą kobietę na schody do kuchni, mówiąc:

- Może to dziwne, ale teraz sprawia wrażenie o wiele szczęśliwszej niż na początku. A przynajmniej w chwilach, kiedy mnie nie ma.

- Jak to?

- Nie wiem, jak powinienem z nią postępować. Na przykład dzisiaj rano domagała się kawy.

- Kawy? - powtórzyła Ellie z rozbawieniem i zdziwieniem zarazem i zatrzymała się w połowie schodów.

- Tak, kawy - mruknął. - Uwierzy pani?

Ellie przypomniała sobie, że ta mała, słodka dziewczynka ma oczy osoby dobrze znającej życie.

- I owszem, uwierzę panu. Niech pan jej na to pozwoli. Nie ma w tym przecież nic złego.

- Pozwolić sześciolatniemu dziecku pić kawę? Powinna dostawać mleko i owsiankę.

Owsianka.

Słowo to zabrzmiało echem w głowie Ellie. Już dawno nie myślała o swoim dzieciństwie, ale teraz serce zaczęło jej walić jak młotem.

- Nienawidzę owsianki.

Odwrociła oczy, patrząc niewidzącym spojrzeniem na tapetę z zielonym wzorkiem.

- Prawdę powiedziawszy, najbardziej nie znosiłam mycia miski po niej. Nie jej ohydneho smaku ani oślizgłych grud, tylko tego mycia - powiedziała w przestrzeń. Niejeden raz zastanawiała się, co sprawia, że tak trudno jest ją odskrobać, kiedy przychodziła jej kolej, by przystąpiła do tej pracy przy zlewie w sierocińcu. - Zakonnice zmuszały nas do zjedzenia każdej grudki.

- Zakonnice?

Rzuciła mu zaskoczone spojrzenie, gorączkowo zastanawiając się, co ona tutaj robi. Ellie często się to zdarzało. Upłynęło już tyle lat, a wciąż trudno jej było uwierzyć, że już nie mieszka w wilgotnych murach sierocińca. Nie potrafiła też przyjąć do wiadomości, że ten dom, którego każdy cal był jej nad wyraz drogi, należy właśnie do niej. Jest jej i może dzielić go z ludźmi, którzy stali się jej bliscy jak rodzina.

Po dłuższej chwili zmusiła się do śmiechu.

- Zakonnice, które dawały nam owsiankę... w szkole - dokończyła wykrętnie, mówiąc tylko połowę prawdy, bo w istocie sierociniec prowadził także szkołę. Nauczyła się w nim bardzo wiele.

Odwrociła się i szybko zeszała do kuchni.

- Niech już pan stąd pójdzie, panie Drake! - zawołała nerwowo. - Nic więcej nie mamy sobie do powiedzenia.

Nie sprzedam panu mojego domu... i wcale nie potrzebuję pańskiej zupy.

Nicholas spokojnie zszedł za nią na dół. Czuła spojrzenie jego ciemnoniebieskich oczu przenikające ją, jak gdyby mogły zajrzeć w głąb jej duszy. Zaraz zaczęły się pytania. Jest dla niej o wiele za sprytny. Nie uda się go omamić zręczną historyjką, jeśli zacznie domagać się konkretnych odpowiedzi. Jednak udzielanie ich zostało jej oszczędzone. Mężczyzna powiedział tylko.:

- Podobno jest pani bardzo rozsądna.

- Owszem - zaśmiała się z ulgą, zajmując się zakupami zostawionymi na stole. - Mam dosyć rozumu, żeby kazać panu odejść.

- Moim zdaniem jest pani zbyt rozsądna.

Ellie zeszczywniała. *Zbyt rozsądna*. Czyżby on rzeczywiście potrafił ją przejrzeć?

- Rozsądku nigdy nie za wiele, panie Drake - odparła spokojnie, mierząc go chłodnym spojrzeniem.

W jego oczach pojawił się nagły błysk.

- Też byłem takiego zdania... zanim poznałem panią.

Jak w dniu, kiedy po raz pierwszy pojawił się pod jej domem, ujrzała, że zaskoczyły go jego własne słowa. Odwrócił oczy.

- O czym to rozmawialiśmy? - zapytał szorstko. - Ach, prawda, o zupie.

- Nie - zmusiła się do odpowiedzi. - Mówiliśmy o tym, że pan właśnie wychodzi.

- Szczerze mówiąc, miałem zamiar zrobić kawy - uśmiechnął się lekko, jakby nie usłyszał jej słów. - To przynajmniej potrafię.

- Doprawdy, panie Drake...

Uśmiech ogarnął całą jego twarz.

- Tak, naprawdę doskonale opanowałem tę umiejętność.

Ellie wiedziała, że powinna wpaść w gniew i zażądać, żeby natychmiast opuścił jej dłoń, ale słowa te jakoś nie chcia-

ły jej przejść przez gardło. Tyle już czasu upłynęło od dnia, kiedy ktoś gotów był się o nią zatroszczyć. A przecież troska Nicholasa wcale nie była szczerą: on usiłował tylko wyłudzić od niej zgodę na sprzedaż domu. Jednak w tej chwili dla Ellie przestało to być istotne. Zapra gnęła zapomnieć o rzeczywistości. Chciała, by ktoś otoczył ją opieką. Jak w bajce.

Zaczął grzebać w szafkach, jak gdyby mieszkał tu od dawna. Silny i pewny siebie, a przede wszystkim całkowicie odprężony.

- Gdzie pani trzyma kawę? - zapytał.

- Naprawdę, powinien pan...

- Znalazłem! - Odwrócił się do Ellie i dumnym gestem pokazał jej puszkę z kawą. - Jaką pani pija? Gęstą, rzadką...?

Wbrew samej sobie Ellie nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Nie wiedziałam, że pija się kawę gęstą albo rzadką.

- Ach, bo nigdy nie mieszkała pani z moją babcią. Piła kawę na gęsto, chociaż przysięgłbym, że czyniła to, bo wierzyła, iż dzięki temu będzie miała kręcone włosy. - Uśmiechnął się. - Uważała, że to wygodniejsze niż używanie metalowej lokówki.

Ellie sapnęła, starając się pohamować wybuch śmiechu.

- Tak, tak, piła ją tak gęstą, jak melasa. - Skrzywił się i zaczął szukać łyżeczki. - Robiłem ją dla niej codziennie od chwili, gdy zamieszkałem u niej jako dwunastolatek, aż do dnia, kiedy siedem lat później się od niej wyprowadziłem.

- Mieszkał pan z babcią?

Jego duża, silna dłoń zastygła w bezruchu, ale tylko na chwilę.

- Tak - odparł krótko, a potem nabrał trochę zmielonej kawy na łyżeczkę.

Spowaźniał, może nie całkowicie, ale jednak na tyle, by przypomnieć Ellie, że pod pozorami niefrasobliwości ukrywa swą starannie kontrolowaną siłę, którą może wyzwolić w każdej chwili. Dzisiaj śmiał się beztrosko, ale przecież El-

lie doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z człowiekiem bezwzględny. Cały Nowy Jork słyszał o jego obsesji na punkcie ukarania jej ojca. Inni dawno z tego zrezygnowali. Ale nie on. Było ogólnie wiadome, że nie nawidził wszystkiego, co w jakikolwiek sposób związane było z Harrym Dillardem. Ellie nie miała najmniejszej wątpliwości, iż gdyby ten silny i pewny siebie mężczyzna dowiedział się, kim ona naprawdę jest, doprowadziłby do jej zguby z równą swobodą, jaką okazywał teraz, uśmiechając się i przyrządzając kawę.

- Gdzie są filiżanki? - zapytał, przerywając jej rozmyślenia.

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, ale zanim zdołała wyrzec choć jedno słowo, ktoś znienacka pojawił się w drzwiach kuchni.

- Ellie!

Odwróciła się, zaskoczona.

- Charles!

Nie patrząc, czuła, że Nicholas mierzy ją przenikliwym spojrzeniem, a potem zwraca się do wejścia.

Charles Monroe był młodym mężczyzną o starannie zaczesanych blond włosach. W jego piwnych oczach malował się wyraz radości. Jednak po chwili, przyjrząwszy się uważnie Nicholasowi i Ellie, młody człowiek spoważniał. Wyprostował się, przywołał na twarz uprzejmy uśmiech i zrobił krok w stronę Nicholasa.

- Jestem Charles Monroe - rzekł grzecznie, wyciągając dłoń na powitanie. Skany Anula43, przerobienie pona.

- Nicholas Drake - usłyszał w odpowiedzi. Z twarzy Nicholasa zniknął wszelki ślad rozbawienia, z jakim szykował kawę.

Charles szeroko otworzył oczy.

- Naprawdę? Jest pan tym przedsiębiorcą budowlanym? Nicholas niecierpliwie kiwnął głową.

Na twarzy Charlesa pojawił się szczery uśmiech.

- Nie do wiary! Całe miasto opowiada o nowym gmachu, który zamierza pan postawić.

Ellie popatrzyła najpierw na jednego, a potem drugiego mężczyznę.

- O czym ty mówisz, Charlesie?

- O gmachu. Ma mieć osiemnaście pięter. Lada chwila zacznie wyburzać domy stojące na tym terenie. Słyszałem, że wszystkie formalności są już załatwione. - Rzucił podniekowane spojrzenie na Nicholasa. - Gdzie to ma być?

Tymczasem indagowany patrzył tylko na Ellie i ujrzał w jej oczach coś, co mu się nie spodobało. Był to lęk, ale także i coś więcej: prawdziwy ból. Nie chciał jej go sprawiać.

- Ellie - zaczął, ignorując Charlesa.

Spojrzała mu prosto w oczy z narastającym gniewem.

- Myślę, że na pana już pora - rzuciła szorstko.

Charles zmarszczył brwi.

- Co tu się dzieje?

Ani Ellie, ani Nicholas nie poświęcili mu najmniejszej uwagi. W końcu to Nicholas odwrócił wzrok.

- Nic takiego. Właśnie wychodziłem. - Skinął głową w stronę Ellie i Charlesa. - Żegnam. Panno Sinclair. Panie Monroe - rzekł i już po chwili zamykał za sobą frontowe drzwi.

- Co robił u ciebie Nicholas Drake? - zapytał Charles z niekłamany zdziwieniem.

Ellie odwróciła się raptownie w jego stronę i ujrzała w oczach Charlesa nie tylko troskę, ale i zaciekawienie.

- Nic takiego, Charlesie.

- Jak to, nic? Taki człowiek jak Nicholas Drake nie odwiedzałby cię bez powodu. - Wyprostował się. - On jest straszliwym kobieciarzem, Ellie. Mam nadzieję, że ty nie...

Odpowiedziała mu morderczym spojrzeniem.

- Czego się obawiasz, Charlesie? Że padłam do jego stóp? Rozpłynęłam się w jego ramionach? Uległam jego słynnemu czarowi?

- No, ja... To znaczy...

- Pozbądź się swych niepokojów. Nienawidzę Nicholasa Drake. Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, bym stała się jedną z jego licznych ofiar - powiedziała, zdając sobie sprawę, że nie całkiem jest to prawda. Przez jedną szaloną chwilę pragnęła, by Nicholas został, żeby z nią rozmawiał, śmiał się, żeby... Co jeszcze mogło się stać, gdyby nie pojawił się Charles?

- A więc po co tutaj przyszedł?

- Chce kupić mój dom - stwierdziła ponuro.

- Racja! Drake chce budować tutaj, na Szesnastej Ulicy! Jak mogłem sam na to nie wpaść! Ile ci zaproponował? - Urwał, by się nad czymś zastanowić, a potem rzekł: - Jako twój przyszły mąż mam obowiązek się tym zająć.

- Charles - zaczęła łagodnie, jakby zwracała się do małego dziecka. - Mówiłam ci już wiele razy, że nie zamierzam wychodzić za mąż... za ciebie ani za nikogo innego.

- To nie ma sensu. Musisz wyjść za mąż, Ellie. Tak będzie dla ciebie najlepiej. Zajmę się tobą - rzekł pompatycznie. - Ochronię cię przed takimi ludźmi, jak Nicholas Drake. Ile ci zaproponował?

- Myślę, że czas już na ciebie, Charles.

- Ależ ja chcę ci pomóc. Przecież sama nie jesteś w stanie ocenić, czy jego oferta jest korzystna. Mam nadzieję, że jeszcze nic nie podpisałaś?

- Nie, Charlesie. I nie zamierzam.

- Bardzo dobrze, wstrzymaj się z tym, dopóki ja się temu nie przyjrzę. Pokażę jego ofertę tacie. Może powinniśmy włączyć w to też doradcę prawnego taty. Twój dom nie jest wiele wart, ale jeśli Nicholas Drake chce tutaj budować, może da się coś na tym zarobić.

- Ten dom - rzekła sztywno - nie jest na sprzedaż.

- Świetnie. Nie okazuj zainteresowania. Więcej wtedy dostaniesz.

- Nic nie rozumiesz. Nie sprzedaję mojego domu. Ani teraz, ani w przyszłości.

- Co za bzdury. Z tego, co wiem, Drake ma wielkie plany. Możesz na tym doskonale zarobić.

- Tu nie chodzi o pieniądze. To jest mój dom. Kocham go. - Dom, którego, w ogólnym rozrachunku, nie mogła sprzedać z powodów, których nie mogła mu wyjawić.

- Kupisz sobie inny.

- Wiesz doskonale, że nie stać mnie na nic na podobnym poziomie w żadnym innym punkcie Manhattanu.

- A więc możesz zamieszkać w pensjonacie i odłożyć pieniądze do banku. - Uśmiechnął się. - Będziesz miała posag. Właśnie pieniądze. Pozwolę ci je wydawać, na co tylko zechcesz.

Ellie pomału traciła cierpliwość.

- Nie chcę mieszkać w pensjonacie. I na pewno nie potrzebuję posagu - warknęła.

- Ależ...

- Nie, Charlesie. - Westchnęła, żałując swojej chwilowej szorstkości. - Żadnych ale. Nie sprzedam domu. A teraz, moim zdaniem, już na ciebie pora.

- Powinniśmy jeszcze o tym porozmawiać, Ellie. Nie jesteś dzisiaj sobą.

Nie jest sobą? Też mi coś! Jasne, że nie! prawie krzyknęła na głos. Nagle pomyślała o czerwonych pończochach, które nosiła prawie co dzień. W tej chwili gotowa była wyrzucić je na śmietnik. Co, na litość boską, sprawiło, że uwierzyła, iż przynoszą szczęście? Nigdy dotąd nie miała takiego pecha, jak teraz.

- Charlesie, idź do domu. Proszę.

Sapnąwszy gniewnie, Charles opuścił kuchnię.

Ellie nie miała ochoty biec za nim i go przeproszać. Zdawała sobie sprawę, że była wobec niego bardzo niegrzeczna, że go obraziła, ale czuła ulgę, że sobie wreszcie poszedł... nie było to uczucie, jakie przystoi *rozsądnej* kobiecie.

Przypomniała sobie kąśliwe słowa Nicholasa. Czy rzeczywiście jest zbyt rozsądna? Czy kobieta w ogóle może być zbyt rozsądna? Znienacka poczuła ochotę, by zrzucić

z siebie swą obcisłą, krępującą ruchy suknię i nałożyć luźny, bawełniany kitel. Wyobraziła sobie, jak delikatna tkanina pieści jej skórę niczym dłoń sunąca lekko po ramieniu. Jak nigdy dotąd zatęskniła za swobodą, zwolnieniem od odpowiedzialności i konieczności kierowania własnym życiem. Za tym, by przestać wreszcie być rozsądną.

4

Upłynęło kilka tygodni i upał zaczął rozprażać granitowe płyty i bruki Nowego Jorku. Jednak tego dnia niebo było ciemne i groźne niczym zimą.

Nicholas szedł ulicami Manhattanu, czując zamęt w głowie. Jeśli koncentrował się na swych krokach, było mu lepiej. Skupianie się na tym, gdzie stawiać nogi, wprowadzało go w stan otępienia, przynajmniej na jakiś czas, dopóki nie wyrwał go z niego ostrzegawczy okrzyk furmana, kierującego ciężkim wozem pełnym beczek piwa... albo nie usłyszał śmiechu dziecka.

Tego dnia zabrał Charlotte do lekarza, a potem odprowadził do domu i nawet zdobył się na uśmiech, gdy dziewczynka popatrzyła na niego swymi świetlistymi, fiołkowymi oczami i szepnęła:

- Proszę, niech się pan nie martwi, panie Drake. Wszystko będzie dobrze.

Sześciolatka uspakaja jego.

Zaklął w duchu i ruszył dalej bez kapelusza, którego zapomniał, wbijając pięści w kieszenie płaszcza. Przenikliwe hałasy miasta, które zwykle odbijały się echem od bruku ulic i kamiennych ścian budynków, sprawiały dzisiaj wrażenie stłumionych w gęstym, przedburzowym powietrzu. Nie wiadomo dlaczego pobołęwało go serce. Miał ochotę rzucić

się na kogoś z pięściami. Ale, oczywiście, zachowa spokój. Niezliczone lata panowania nad sobą nie mogły pozostać bez śladu. Tak przynajmniej sądził. Musiał tak sądzić.

Nie zauważył pierwszych kropli deszczu i dopiero gdy rozpadało się na dobre, przyszło mu do głowy, żeby schronić się w pokrytym czerwoną dachówką pawilonie. W przeciwległej ścianie znajdowało się symetryczne, pozbawione drzwi wejście, zaś po bokach rozmieszczone były wielkie okna. Nicholas oparł się ramieniem o słupek, na którym opierał się od frontu daszek, i zapatrzył się w ponury półmrok, doskonale odzwierciedlający jego nastrój. Z kieszeni płaszcza wydobył krótkie cygaro, przyciął je, a potem, przykładając zapałkę do jego końca, mocno wciągnął powietrze do płuc.

Ojciec Nicholasa także palił cygara. Ich zapach na zawsze skojarzył się Nicholasowi z rodziną i domem. Latami dzieciństwa. Zanim wszystko się popsuło. Sam palił rzadko. Nie pragnął zbyt wielu wspomnień.

Sądził zawsze, że gdy zniszczy Harry'ego Dillarda, tym samym pozbędzie się go ze swego życia i odzyska spokój. Okazało się jednak nagle, że jego życie stało się bardziej niespokojne niż przedtem. Tłumaczył sobie, że wynika to z utraty celu, który przyświecał mu od dwudziestu trzech lat. Zdobycie posiadłości Dillarda nie usatysfakcjonowało go. Nicholas zdał sobie sprawę, że jego niepokój wywołują dwa zupełnie inne powody. Dwie istoty płci żeńskiej, jedna młoda, a druga dorosła. Z żadną nie chciał mieć nic więcej do czynienia, ale jednak czuł, że coś go do nich ciągnie.

Charlotte i Eliot.

Mała dziewczynka, której spojrzenia nie potrafił odczytać, i tajemnicza kobieta, która budziła w nim tęsknoty, których nie potrafił nazwać.

Ellie.

Co do niej czuł? Czy ciągnęło go do niej z powodu jej domu? Czy też może, jak sam przypuszczał, była to obsesja? A gdyby wziął tę kobietę w ramiona lub dotknął usta-

mi jej warg, czy zdołałby o niej nareszcie zapomnieć? Czy, gdyby nabył jej dom, pragnienie by zniknęło?

Te pytania dręczyły go nieustannie.

Ciągle jej poszukiwał... Kiedyś stwierdziła sucho, łagodząc surowość uśmiechem, że pojawia się na jej drodze równie często jak mleczarz, tylko nie jest równie mile widziany.

Boże mój, jakże umiała go rozśmieszyć... albo doprowadzić do tego, by nie spał w nocy, przypominając sobie jej kolory: różowawy odcień płatków jej uszu, prawie białe włosy, czerwień ust... które pragnął całować. Działo się tak, chociaż doszedł do wniosku, iż nawet jej nie lubi. Miała zbyt ostry język i otaczała się twardą skorupą. Tylko że w skorupie tej znajdowały się pęknięcia, przez które można było zobaczyć, iż dusza dziewczyny kryje w sobie liczne skarby.

Ellie. Och, Ellie. Gdybyś tu przy mnie była i podarowała mi chwilę radości.

Cichy okrzyk przerwał jego rozmyślenia. Zaskoczony, odwrócił głowę i spojrzał przez ramię.

I ujrzał właśnie ją.

Stała w wejściu do pawilonu. Jej prawie białe włosy pociemniały od wilgoci, a ubranie było miejscami mokre, jakby usiłowała naciągnąć na siebie płaszcz, dopiero kiedy rozpadało się już na dobre.

- Pan Drake - szepnęła. Na jej porcelanowej cerze pojawił się rumieniec. Nicholas przysięgłby, że został on wywołany pożądaniem. Pragnieniem równie silnym jak to, które sam odczuwał.

Pachniała bzem. Spojrzał jej w oczy. Oczywiście, patrzył w nie już nieraz, ale dopiero w tej chwili zauważył, jak intensywny jest ich kolor. Przypominały dwa szmaragdy, a ich odcień zmieniał się zależnie od nastroju ich właścicielki. Pragnął w nie patrzeć... gotów był czekać godzinami, aż nastąpi zmiana.

- Panna Sinclair - odparł ostrożnie, starając się zapanować nad głosem.

Jednak porzucił te usiłowania, kiedy ona westchnęła głęboko, a jej piersi poruszyły się pod rozpiętym płaszczem. Zmoczone deszczem bluzka przylgnęła do ciała. Nicholas poczuł mocny aż do bólu przypływ pożądania. Zmarszczył brwi i bez zastanowienia wyciągnął ramiona. Jak zawsze, gdy była obok niego, pragnął jej dotknąć, przytulić do siebie. Znaleźć spokój w jej objęciach.

Niespodziewanie postąpiła o krok do przodu, wchodząc w głąb pawilonu i zbliżając się do niego, ale wyraz jej twarzy zmienił się... na obojętną uprzejmość. Pancierz wrócił na swoje miejsce. Nicholas zeszywniał i opuścił ręce.

- Co za okropna pogoda - powiedziała Ellie, otrząsając wodę z włosów. Dziś nie miała kapelusza.

Wyrzekła te słowa beznamiętnie, jakby rozmawiała z kimś obcym. Nicholas oparł się znowu o słupek i przyjrzał się jej uważnie. Była spokojna i opanowana. Jej oczy przypominały teraz morze podczas ciszy i Nicholas pomyślał, że tylko sobie wyobraził, iż przed chwilą wyrażały pożądanie.

Ilekcroć się widzieli, zawsze starała się dać mu jasno do zrozumienia, że nie chce go znać. Czasami nawet miał wrażenie, że chce go znienawidzić, ale nie wiedział, dlaczego.

Czy dlatego, że chciał kupić jej dom? Czy to wystarczy, by żywić do kogoś nienawiść? Chyba nie.

Przypomniał sobie proces Harry'ego Dillarda, człowieka, który bez skrupułów brał sobie kobiety, a potem porzucał je brutalnie. Nicholas zacisnął pięści. Poczuł w gardle dławienie, na które nie pozwalał sobie już od wielu lat... od czasu, kiedy zabronił sobie wspomnień. Wspomnienia nie przynoszą nic dobrego. Zamiast tego zajął się Ellie.

Podczas swego śledztwa dowiedział się, że Harry Dillard nigdy się nie ożenił ani nie miał dzieci czy też żyjących krewnych. Jednak posiadał rozliczne kochanki. Czy ta kobieta była jedną z nich? Nicholas otrząsnął się na samą myśl. Nie. Eliot Sinclair nie była niczyją kochanką. Do sądu przyszła wiedzona ciekawością jak wiele innych osób,

które pragnęły obejrzeć upadek notorycznego przestępcy.

Odgarnęła wilgotne włosy, jak gdyby nie zdawała sprawy, że Nicholas się jej przygląda, albo po prostu o to nie dbała.

Jemu zaś na niej zależało, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego. Nie powinien. Nie chciał. Ale od dnia, kiedy ujrzał ją w sądzie, sprawiała, że ogarniały go uczucia, których nie rozumiał... ani nie pragnął, a co gorsza, nad którymi nie był w stanie zapanować.

Zamknął oczy. Ból, który odczuwał niedawno, powrócił ze zdwojoną siłą, a wraz z nim chęć walki. Bez miłosierdzia. Ogarnął go irracjonalny gniew, który, połączony z bólem i poczuciem osamotnienia, sprawił, że tama pękła.

- Charlotte ma suchoty.

Przez chwilę słychać było tylko bębnienie deszczu o dach. Spokój i obojętność znikły ze szmaragdowych oczu.

- Och, nie - wyszeptała Ellie.

Nicholasowi ścisnęło się serce, gdyż w jej głosie zabrzmiało szczere współczucie i żal, które tylko uzmysłowiły mu, jak bardzo ich potrzebował.

- Mała Charlotte - powiedziała, jakby nie wierzyła własnym uszom. - Jest pan pewien?

- Doktor jest pewny - odparł, odwracając głowę, by nie zobaczyła udręki w jego oczach.

Ellie potrząsnęła głową i westchnęła.

- Jej rodzice muszą być zrozpaczeni.

Ludzie, którzy wyjechali na drugi koniec świata, nie podając adresu.

- Rodzice Charlotte nie mają pojęcia o jej stanie.

- Jak to?

Popatrzył na ciężkie od deszczu chmury.

- Tak to. Moja siostra hula sobie w Paryżu - powiedziała ostro. - Nikt nie wie, gdzie przebywa teraz jej mąż. Dlatego Charlotte zamieszkała u mnie. Miriam przyprowadziła dziecko do mnie do biura w kwietniu. Od tej pory nie miałem od niej wieści.

Ellie pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Biedne dziecko. Taka straszna choroba. Ale może to coś innego? Może to tylko ciężki przypadek krupu? Lekarze często mylą choroby.

Zacisnął wargi i nie odpowiedział.

- A nawet jeśli to suchoty, doktorzy mogą przecież coś poradzić. W ostatnich latach nastąpił duży postęp w leczeniu tej choroby. Trzeba znaleźć kogoś, kto potrafi się z nią uporać.

- Mówią, że to jakaś rzadka odmiana i że choroba posunęła się już za daleko - odparł beznamiętnie.

- Och, panie Drake - westchnęła. - Tak mi przykro.

- Nie zwracaj się do mnie w ten sposób! - warknął. - Mam na imię Nicholas, do diabła! Dlaczego wszyscy upierają się mówić do mnie panie Drake? - Złagodniał. - Nawet Charlotte tak się do mnie zwraca. Czyżbym był aż takim tyranem?

Ellie popatrzyła na niego ze współczuciem, ale na jej wargach pojawił się cień uśmiechu, którego nie widział już od tak dawna.

- Nie - powiedziała. - Nie jesteś tyranem.

- Skąd wiesz?

- Mówią, że jeśli ktoś kocha dzieci i zwierzęta, to nie może być złym człowiekiem.

Nicholas popatrzył na deszcz i zapytał gniewnie:

- A skąd przyszło ci do głowy, że je kocham?

Czuł, jak ocenia go wzrokiem.

- Bo widać wyraźnie, że kochasz swoją siostrzenicę. Nie wątpię też, że jeśli zechciałaby mieć jakieś zwierzątko, znalazłbyś je dla niej i o nie dbał.

Zacisnął zęby, szukając w swej duszy miejsca, które by go nie bolało.

- Jest jeszcze taka młoda. Zasługuje na życie. Długie życie. Należą jej się wycieczki na wieś i rój kawalerów, i słuchanie szczebiotu własnych dzieci. To niesprawiedliwe. Zawsze wierzyłem, że każdą przeszkodę można pokonać dzięki ciężkiej pracy, determinacji i uporowi. - Zmrużył

oczy, jakby zamiast chmur na niebie pojawiło się słońce i oślepiło go. - Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuję, że czeka mnie klęska. Zostanę pokonany przez chorobę małej dziewczynki.

Ellie westchnęła i oparła się o drugi słupek.

- Jest pan tylko człowiekiem, panie Dra... Nicholasie. Nie zdołasz naprawić wszystkiego zła na świecie ani nawet zwalczyć choroby Charlotte. Jednego zdążyłam się nauczyć w życiu: często więcej ma w sobie z tragedii niż z komedii... i zazwyczaj bywa niesprawiedliwe.

Odwrocił się do niej i popatrzył zakłopotany.

- Jesteś za młoda na taki cynizm.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że kobieta dwudziestosześcioletnia wcale nie zalicza się do młodych. Sam nie tak dawno mówiłeś, że jestem rozsądna. Nie cyniczna, lecz rozsądna i praktyczna. Mam swój świat i swoje w nim miejsce.

Nicholas pokręcił głową.

- I tu się mylisz, Eliot Sinclair. Mimo tego, co dzisiaj czuję, wiem, że każdy może osiągnąć wszystko, co zechce. To kwestia woli i ciężkiej pracy. Większość ludzi za tym nie przepada. - Popatrzył jej głęboko w oczy. - Ty zaś nie sprawiasz wrażenia osoby, która jej unika.

Drwiący śmiech Ellie rozległ się echem po niewielkim budyneczku.

- Następnym razem będziesz chciał sprzedać mi działkę na Księżycu.

Przez doskonałą, rzeźbioną twarz mężczyzny przebiegł cień smutnego uśmiechu.

- A kupiłabyś?

Przez chwilę, milcząc, patrzyli sobie w oczy.

Wreszcie Ellie opuściła wzrok.

- Za nic w świecie.

- Jaka szkoda. Miałem nadzieję, że mógłbym sprzedać ci wszystko... zaprowadzić cię, dokąd zechcesz.

Ellie zachnęła się i, oderwawszy się od słupka, zaczęła

zbierać się do wyjścia. Jednak powstrzymała ją silna, ciepła dłoń mężczyzny.

- Nie odchodź. Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić. Ja tylko...

Urwał, nie kończąc myśli. Co chciał mi powiedzieć? zastanawiała się Ellie. Bezwzględny biznesmen gdzie się zapodział, utrudniając jej wytrwanie w nienawiści. Pozostał mężczyzna, patrzący na nią z rozpaczą. Człowiek zraniony i zdolny do ludzkich uczuć. Od początku intrygowała ją jego siła, ale ta... ta wrażliwość duszy przyciągnęła ją do niego tak, że zapomniała wszystko, o czym tak bardzo starała się pamiętać. Jakieś nieznane uczucie ścisnęło jej serce. Może był to strach, ale może coś więcej.

Poczuła na ramieniu jego dłoń.

- Nicholas? - zapytała niepewnie.

Nie odezwał się, lecz zajął jej głębooko w oczy, budząc popłoch w sercu. Wiedziała, że powinna mu się wyrwać z wielu powodów, takich jak przyzwoitość czy uczciwość, na przykład. Albo ze względu na ojca. Zamiast tego, gdy Nicholas przyciągnął ją do siebie, pozwoliła mu na to, chociaż wiedziała, że nie powinna. Tylko że w tym pawilonie deszcz zmył wszystko to, co wypada, i to, czego nie wypada... uwalniając Ellie od wszelkich dotychczasowych ograniczeń.

- Dlaczego - szepnął - tak mnie pociągasz?

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, czując, że jego słowa wywołały w niej dreszcz. Jednak Nicholas przyłożył jej palec do ust.

- Cóż. Nie próbuj tego wyjaśnić - poprosił cicho. - Nie umiałabyś. - Powędrował palcami przez jej podbródek, w dół szyi, aż do koronkowego kołnierzyka. - Nie jesteś w stanie powiedzieć, dlaczego nagle zacząłem marzyć o jasnowłosych pannach o oczach jak dwa szmaragdy, mieszkających w zamkach nad brzegiem morza.

Zamki nad morzem. Nie powinna mu była nigdy opowiadać o swoich marzeniach. Powinna była uciekać, ale dotyk je-

go dłoni pozbawił ją zdolności ruchu. Odepchnęła go słabo, lecz on przyciągnął ją do siebie, pokonując resztki jej oporu.

Ellie poczuła, że czekała na to od dawna. Nicholas wypełniał jej sny... Nicholas stojący pod zamkiem. Nicholas nad morzem, całujący jej wargi, rozpalający ją do obłędu. Zsunął z niej płaszcz i popatrzył na nią gorącym wzrokiem.

- Jesteś taka piękna.

Ellie wiedziała, że powinna być oburzona, zgorazona i zażenowana. Tymczasem, widząc jego zachwyty, doznała tylko głębokiej satysfakcji.

Stali przez chwilę bez ruchu, a potem Nicholas przyciągnął ją do siebie i ich wargi spotkały się w czułym, a zarazem dziwnie rozpaczliwym pocałunku, jakby Nicholas chciał uzyskać od niej coś więcej niż tylko przyjemność. Coś, czego nie była w stanie mu dać.

Deszcz okrył pawilon jak płaszcz, spływając po oknach, kryjąc ich w półmroku. Na moment przeszłość uległa zapomnieniu. Znaleźli się poza czasem. Nie było już „przedtem” ani „potem”. Teraz mogli delektować się chwilą, ukradzioną spośród wielu dni, wypełnionych walką, która została im narzucona przez los dawno temu.

W końcu jednak odezwał się on, a jego słowa zaparły Ellie dech w piersiach i czar przysł.

- Kim jesteś, Eliot Sinclair? - szepnął. - Skąd się tutaj wzięłaś?

Rzeczywistość powróciła jak fala na oceanie podczas sztormu. Ellie dopiero po chwili w pełni zrozumiała, co robi... pozwala w publicznym miejscu obejmować się mężczyźni... Nicholasowi Drake.

- Chociaż, prawdę mówiąc - ciągnął, ocierając policzek o jej twarz, nieświadom jej nagłego zakłopotania - wcale mnie to nie obchodzi.

Jednak obchodziło to ją. I to bardzo. Wielki Boże, co ona wyrabia? Szarpnęła się.

- Ellie? - Nicholas zmarszczył brwi, a w jego głosie zabrzmiał niepokój. - Co się stało?

Szarpnęła się mocniej, starając uwolnić się z jego objęć.
- Proszę mnie puścić, panie Drake. Już nie pada. Muszę iść. - Westchnęła, a potem wyprostowała się, dumnie unosząc głowę. - Zachowałam się bezwstydnie. Proszę mi wybaczyć. - Owinęła się płaszczem i ruszyła do wyjścia.

Nicholas już chciał ją zatrzymać, by raz jeszcze przekonać się, co do niej czuje. Jednak w końcu pozwolił jej odejść. Po chwili jej kroki ucichły na granitowych płytach chodnika.

Głęboko nabrał powietrza do płuc, by się uspokoić. Zapach bzu powoli rozwiewał się w wilgotnym powietrzu. Ellie odeszła. Pozbawione drzwi wejście do pawilonu znowu ziało pustką.

Przez dłuższy czas Nicholas stał bez ruchu, aż wreszcie zrozumiał, że jego życie odzyskało harmonię. Zaraz jednak wyrzucił ze świadomości myśl, że to Ellie przywróciła mu spokój, że istotnie odnalazł ukojenie w jej ramionach. Był znowu dawnym Nicholasem Drake, silnym i stanowczym.

Pomoże Charlotte. Na pewno mu się uda. Jest przecież na świecie wielu doskonałych specjalistów od chorób płucnych. Któryś z nich bez wątpienia zdoła uleczyć małą.

Na ciemnym niebie zabłysło słońce. Gdy Nicholas wyszedł z pawilonu, powietrze było rześkie, oczyszczone deszczem. Popatrzył w stronę, w którą oddaliła się Ellie, ale już jej nie zobaczył.

Powiedział sobie, że to bardzo dobrze. Nie chce przecież mieć z nią więcej do czynienia. Ona go tylko rozprasza. Jeszcze nie wykupił od niej domu. Przez nią zapomniał o swoich planach. Stał się niedbały. Należy z tym skończyć jak najprędzej. Teraz niech Bert załatwia z nią sprawy. Sekretarz doskonale poradzi sobie z formalnościami. A Nicholas już nigdy nie spotka tej kobiety.

Jednak kiedy, odprężony, ruszył przed siebie, nagle zdał sobie sprawę, że bez względu na to, czy jeszcze kiedykolwiek ją ujrzy, czy też nie, wystarczy, żeby usłyszał czyjeś

ciche westchnienie albo nagle spojrzął przez ramię, a zobaczy deszcz spływający niczym kryształowy płaszcz i pełne namiętności oczy, zielone jak dwa szmaragdy.

5

Światło jest kolorem, tylko że jej życie toczyło się w cieniu. Jak mogłaby przypuszczać, że potrafi malować?

Pytanie, zawsze to samo, krążyło jej w głowie, coraz szybciej i szybciej, aż stało się niewyraźną smugą, o której mogła zapomnieć. Dopiero wtedy pędzel, który trzymała w drobnej, lecz pewnej dłoni, zaczynał się poruszać. Czasami prędko, czasami zaś powoli wyobrażenia przybierały swą materialną postać na płótnie.

Zapomniała o gołych, białych ścianach i wielkich oknach, znajdując pociechę w kolorach i odcieniach, liniach prostych i zakrzywionych... wizjach, którymi delectowała się w taki sam sposób, jak marzeniami o ukochanym mężczyźnie.

Została nareszcie sama, osiągając spokój, dążąc tylko do uchwycenia emocji i istoty rzeczy. Jej jedynym zadaniem było przelać na płótno to, co widziała oczyma duszy.

Linie i barwy zmieniały się wraz z przemianami jej wyobraźni, nowe pomysły wypierały stare. Obraz, który odstawiała do kąta, by wysechł, rzadko oddawał to, co na początku istniało w jej wyobraźni. Jednak tego dnia niebo było czyste i promienie słońca strumieniami wpadały przez okno, a pomysł rysował się tak wyraźnie przed oczami, że Ellie wydawało się, iż ręka jej pracuje niezależnie od umysłu.

Pędzel zapełniał płótno wijącymi się liniami i plamami o cielistej barwie. Pojawiły się rozpuszczone, kaskadami spływające włosy. Wilgotne i ociekające wodą. Splatające się ramiona. Ukojenie pomieszane z pożądaniem, tak wy-

raziste, iż prawie dotykalne. Bardziej rzeczywiste niż dotyki silnych dłoni na jej ramionach.

W tym właśnie momencie, bez najmniejszego ostrzeżenia, gdzieś w domu rozległ się łoskot i brzęczenie spadających na podłogę garnków. Pędzel zamarł w pół pociągnięcia. Ellie popatrzyła na płótno i zdała sobie sprawę, że ma policzki mokre od łez. Nie próbowała ich nawet otrzeć, lecz cofnęła się o krok, by przyjrzeć się swemu dziełu. Obraz nie był ukończony, ale wyraźny. *Pożądanie, wyrażone w uścisku.*

Zacisnęła powieki. Poczowała, że przenika ją uczucie zakazanej radości i na jej wargach pojawił się uśmiech szczęścia. Znowu. Nareszcie. Sekretna praca dała swoje rezultaty. Ale teraz dosyć już tego.

Z westchnieniem zadowolenia oderwała oczy od obrazu i ukryła go za parawanem..

6

ZAMIESZANIE W GALERII SZTUKI

Able Smythe

W dniu dzisiejszym świat sztuki przeżył wstrząśnienie z powodu pokazu najnowszego dzieła coraz bardziej niesławnego M. M. Jaya, obrazu pod tytułem „W objęciach”. Zamieszanie to jednak nie zniechęciło przedstawicieli nowojorskiej elity, tak znawców, jak i wielbicieli sztuki, którzy tłumnie pojawili się przed malowidłem, budzącym, jak twierdzą, zarówno zachwyt, jak i oburzenie.

Autor dzieła opanował technikę malarską w wysokim stopniu i ma szansę osiągnąć niebawem mistrzostwo. Doskonale potrafi oddać głębię i świetnie posługuje się bar-

wami. Zna także podstawową zasadę, iż światło jest kolorem, i stosuje ją ze znakomitym efektem.

Nie zgadzam się z krytykami, którzy pomniejszają wagę dzieła Jaya, moim zdaniem wyłącznie ze względu na ich treść, a nie formę. Ja zaś uważam, iż artysta ten nie powiedział jeszcze swego ostatniego słowa. Jego obrazy sprawiają wrażenie niedokończonych. Każda linia na jego płótnach nacechowana jest powściągliwością. Gdyby zechciał pozwolić sobie na więcej swobody, uwolnić się od wszelkich ograniczeń, jakie go powstrzymują tak stanowczo, jak lejce hamują rasowego rumaka, rezultat będzie niewątpliwie godzien oglądania.

Temat, jaki sobie obrał, a mianowicie półnagi mężczyzna obejmowany przez całkowicie ubraną kobietę, oboje stojący, jak się wydaje, w strugach deszczu, każe nawet najbardziej liberalnym krytykom powątpiewać w jego poczucie przyzwoitości. Od czasu „Śniadania na trawie” Maneta żadne dzieło malarskie nie wywołało podobnego poruszenia.

Jednak o ile koledzy krytycy pragnęliby zatrzaskać drzwi do świątyni sztuki przed tajemniczym M. M. Jayem, ja mówię do niego: Przejdź przez wrota do nowego świata, przekrocz granicę. Wyzywam cię, panie Jay, gdziekolwiek się znajdujesz.

Artykuł ciągnął się dalej, ale Nicholas przestał go czytać. Opuścił dłonie i zgniótł egzemplarz „New York Timesa”.

W objęciach.

Po plecach przebiegł mu dreszcz, chociaż nie wiedział, dlaczego. O tajemniczym malarzu krążyły liczne plotki. Obrazy, jak mówiono, pojawiały się na progu jednej z ważniejszych galerii sztuki na Manhattanie bez żadnej kartki, żadnych wyjaśnień, i nikt też nie zgłaszał się po dzieło po zakończeniu wystawy.

Nicholas nigdy dotąd specjalnie nie interesował się sztuką. Jednak kiedy kilka miesięcy temu pojawił się pierwszy

artykuł o M. M. Jayu, poczuł się zaintrygowany. Nie ciekawiły go jednak inne, coraz liczniejsze szkoły malarstwa i kluby, które jak grzyby po deszczu wyrastały w mieście. Tylko M. M. Jay przyciągał jego uwagę, chociaż nawet pod karą śmierci nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego.

- Proszę pana...

Nicholas w roztargnieniu spojrział w stronę drzwi.

- Słucham, Albercie?

- Powóz czeka.

Nicholas popatrzył przez okno na czysty błękit nieba.

- Chyba pójde dzisiaj piechotą, Albercie. Odeślij powóz.

- Tak, proszę pana.

Po chwili Nicholas wychodził z domu na wyłożony kamiennymi płytami chodniczek, a potem przez żelazną furtkę z kutego żelaza na ulicę, gdzie nieoczekiwanie natknął się na Jima.

- Dzień dobry, panie Drake - powiedział Jim, uśmiechając się nieśmiało.

Lokator Ellie miał na sobie starannie połatane, wełniane spodnie, wykrochmaloną koszulę i gruby sweter, chociaż robiło się coraz cieplej.

- Dzień dobry, Jim.

- To tutaj pan mieszka? - zapytał z podziwem w głosie, odwracając się od Nicholasa i patrząc przez wykonane z kutych prętów ogrodzenie na dom.

Nicholas odwrócił się także, jak gdyby oczekiwał, że ujrzy coś innego niż dotychczas.

- Tak, tutaj.

- Charlotte też?

- Tak. - Nicholas przyjrzał się badawczo Jimowi. - Czy coś stało się z Ellie? - zapytał z troską, jakby wbrew sobie.

- Ależ skąd - odparł krótko Jim, a potem znowu wbił wzrok w dom.

Nicholas poczuł ulgę, a zarazem niezadowolenie.

-Jim?

- Co?

- Jeśli Ellie nie ma żadnych kłopotów, to dlaczego tutaj przyszedłeś?

Jim popatrzył ze zdziwieniem.

- Bez powodu.

Zdając sobie sprawę, że nic więcej się od niego nie dowie, Nicholas pokręcił głową, a potem ruszył Piątą Aleją. Po chwili u jego boku pojawił się Jim. Nicholas spojrzał na niego badawczo, oczekując dalszych pytań, ale Jim po prostu szedł obok niego, przyglądając się otoczeniu. Szli tak, ramię w ramię, bez słowa.

- Ładny dzień - powiedział wreszcie Jim.

- Piękny - zgodził się Nicholas.

- Idę do pracy.

- Tak właśnie myślałem. Nie spóźnisz się?

- Nie. Ellie powiedziała, że mogę przejść się dzisiaj do parku. Lubię chodzić do parku. Barnard pokazał mi, jak trafić. Byłem tam tydzień temu, a kiedy wracałem do domu, zobaczyłem, że wchodzi pan do tego wielkiego budynku. - Jim uśmiechnął się. - Zapamiętałem to. Wyszedłem dzisiaj wcześniej i przypomniałem sobie właściwy dom.

Byli już w pobliżu biura Nicholasa.

- No to brawo. Jeśli jednak nie masz innych spraw, pozwól, że pójdę do pracy. - Nicholas odczekał chwilę, a potem obciągnął mankiety koszuli i wszedł przez drzwi, których skrzydło przytrzymywał odziany w liberię portier.

Jim patrzył, jak Nicholas znika. Gdy drzwi się za nim zamknęły, rzucił okiem na swoje wielokrotnie reperowane mankiety, obciągnął je niezgrabnie, uśmiechnął się, a potem pospieszył do swojej pracy.

Zawsze szedł tam tą samą drogą. Tak, jak nauczyła go Ellie. Nigdy nie zmieniał trasy. To było bardzo ważne.

Kiedy był już w połowie drogi, pojawiło się przed nim trzech mężczyzn.

- No, no. Kogo my tu widzimy...

- Cześć, Rudy - zawołał Jim, machając do niego radośnie. - Cześć, Billy. Cześć, Bo.

Rudy, Billy i Bo zastawili mu drogę, opierając się niebale o kute pręty ogrodzenia.

- Co się tak spieszysz? Nie masz czasu, żeby chwilkę pogadać? Jesteśmy przecież twoimi kumplami, co, Jim?

- Jasne, Rudy. Jesteście moimi najlepszymi kumplami. Tylko że jeśli się nie pośpieszę, to się spóźnię. Ellie mówiła, że mam być w sklepie na dziewiątą. - Jim wydobył stary, sfatygowany zegarek kieszonkowy. - Widzicie, już jest prawie dziewiąta. Ellie nie lubi, kiedy się spóźniam.

- W takim razie chyba musimy cię przepuścić - powiedział Rudy, odrywając się od słupka. - Ale zanim co, mamy do ciebie pewną sprawę, prawda, chłopaki?

- Tak jest, szefie - zawołali chórem Billy i Bo, uśmiechając się szeroko.

- Jaki interes, Rudy? - zapytał Jim, siląc się na spryt.

- A taki jeden, Jim - zaczął Rudy, otaczając swym potężnym ramieniem szerokie barki Jima. - Jak wiesz, że za przejście tą ulicą pobieramy od ciebie każdego popołudnia pięć centów.

- No - przyznał Jim ostrożnie.

- Niestety - ciągnął Rudy, wruszając ramionami - opłata się podniosła. Pozwalaliśmy ci tędy przechodzić przez tyle czasu za jedne pięć centów, bo jesteś naszym... kumplem. Ale wszyscy pozostali płacą dziesięć.

- Dziesięć centów? - Jim rozejrzał się dookoła. - Na pewno, Rudy?

- Ależ Jimmy, przecież bym cię nie okłamywał.

Billy i Bo zaśmiali się.

Jim westchnął i cofnął się o krok.

- Pewnie nie, Rudy. Ale dziesięć centów to trochę dużo.

Rudy znowu wruszył ramionami.

- To chyba będziesz musiał chodzić do pracy i wracać do domu inną drogą.

Gdyby Jim miał zmienić swoją trasę, musiałby poprosić Ellie albo Barnarda, żeby mu pokazali nową. A gdyby ich o to poprosił, zaczęliby pytać, dlaczego chce ją zmienić. Wtedy on musiałby im powiedzieć, że oddaje swoje napiwki kolegom. Ellie byłaby niezadowolona.

- Dobra - mruknął. - Spróbuję zdobyć dziesięć centów.

- Świetnie, wspaniale, cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Nie chcielibyśmy stracić naszego najlepszego kumpla - powiedział Rudy, klepiąc Jima po plecach. - A teraz pośpiesz się, bo spóźnisz się do pracy.

Nicholas siedział za biurkiem, gdy do otwartych drzwi gabinetu zastukał Bert.

- Proszę.

- Jakiś dzentelmen chce się z panem widzieć - powiedział pokornie sekretarz. - Nie był umówiony, ale chce sprzedać jakąś nieruchomości. Pomyślałem, że może wolałby pan z nim porozmawiać osobiście.

- Gdzie to jest?

Bert pokazał mu odręcznie naszkicowany planik.

- Przy Szesnastej Ulicy.

- Myślałem, że na Szesnastej mamy wszystko, poza własnością panny Sinclair.

- Wszystko na odcinku, który chciał pan kupić. Ale, jak pan wie, Szesnastą dzieli na pół ślepa uliczka. - Wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że skoro panna Sinclair robi takie trudności, można by kupić nieruchomości po drugiej stronie tej ślepej uliczki i pociągnąć budowę w tamtą stronę. Na pewno uda się uzyskać pozwolenie na jej zabudowę.

Nicholas odchylił się do tyłu, rozważając tę propozycję. Wyjście nie było idealne. O wiele dogodniej byłoby wykupić dom Ellie. Jednak musiał pogodzić się z tym, że niewiele istniało na to szans. Może gdyby zdołał zdobyć resztę budynków, a Ellie pozostałaby jedyną pozostałą właścicielką, potrafiłby przekonać ją do wyprowadzki.

- Poproś go.

Po chwili do pokoju wszedł starszawy mężczyzna najwyraźniej ubrany w swój najlepszy garnitur. Jego nazbyt długie, siwe włosy były starannie zaczesane do tyłu, a twarz gładko ogolona. Podniszczone buty zostały wypastowane do blasku. Mężczyzna podszedł do Nicholasasa, wyciągając rękę.

- Jestem Grady O'Shea, panie Drake. Miło mi pana poznać.

- Niech pan siada, panie O'Shea - powiedział Nicholas. - Jak rozumiem, chce mi pan sprzedać nieruchomość.

- Tak, proszę pana. Mam dom na Szesnastej Ulicy, a mówię się, że chce pan tam postawić jakiś wielopiętrowy budynek.

- Być może - odparł krótko Nicholas.

- Hm... no tak... - jękał się mężczyzna. - Z tego, co słyszałem, wydawało mi się...

- Panie O'Shea, jeśli rzeczywiście chciałbym coś tam pobudować, to na co miałyby mi się przydać jeden dom w szeregu innych?

Grady rozjaśnił się, słysząc te słowa.

- Pozwoliłem sobie zaprosić wszystkie zainteresowane osoby. Zwołaliśmy zebranie. Pomyślałem, że może zechciałby pan z nimi porozmawiać. Namówić ich do sprzedaży.

Nicholas popatrzył ostro na mężczyznę siedzącego po przeciwnej stronie biurka.

- Dobrze. Kiedy odbywa się to zebranie, panie O'Shea?

- We czwartek. Zostawię adres pańskiemu sekretarzowi - rzekł Grady O'Shea, opuszczając gabinet.

Nicholas został sam. Dlaczego Ellie nie chce sprzedać domu? zastanawiał się po raz setny. Jej odmowa była za każdym razem równie stanowcza, jak na początku. Najpierw Nicholas uważał, że kobieta chce podbić cenę, ale wkrótce stało się jasne, że mogłaby zaproponować jej podróz na Księżyc, a ona i tak nie zgodzi się na transakcję.

Podróż na Księżyc.

Uśmiechnął się. Właśnie coś takiego mogłaby powiedzieć Ellie: nierealnego i ze świata fantazji. I natychmiast owaład-

nęto nim pragnienie, by ją znów zobaczyć... mimo iż obiecał, że nigdy się już z nią nie będzie spotykał. Chciał słuchać jej śmiechu, patrzeć w jej szmaragdowe oczy, obserwować, jak się mu przygląda, jak pomaga mu otworzyć się na świat.

Jednak nie zdążył pomyśleć już nic więcej, gdyż za drzwiami rozległy się jakieś głosy.

- Pan Drake jest bardzo zajęty - tłumaczyła jego sekretarka.

- Niewątpliwie. Ja zaś jestem bardzo zapracowaną kobietą. - Melodyjny głos należał niewątpliwie do osoby w starszym wieku. Brzmiał znajomo, ale Nicholas nie potrafił określić, kto mówi. - Przyjmuję zamówienia - ciągnęła. - Składam zamówienia. Dzień po dniu, bez końca, zapewniam panią. Nie żyję w luksusie. Ale pracuję, dużo pracuję. Więc proszę wpuścić mnie do pana Drake, a postaram się streszczać.

- Jak mówiłam - odparła sekretarka z westchnieniem - nie jest pani umówiona.

- No dobrze, moja droga. Proszę mnie umówić, jeśli tak tego pani pragnie.

Tym razem sekretarka westchnęła z ulgą.

- Proszę bardzo. Kiedy chce się pani spotkać z panem Drake?

- O dziesiątej, w poniedziałek, trzynastego.

- Ależ to przecież jest właśnie dzisiaj!

- Zgadza się. A teraz, skoro już mnie pani zapisała, nie wypada, by kazała mi pani dłużej czekać. Niech pani spojrzy - ciągnęła, a Nicholas był pewien, że wskazuje na zegar stojący przy ścianie - już jest po dziesiątej.

Nicholas nie mógł powstrzymać uśmiechu. Kim jest ta kobieta? zastanawiał się, wstając z krzesła i podchodząc do drzwi.

- Pani Schurr - stwierdził na widok przybyłej.

- A, jest pan, panie Drake. Jak to miło, że jest pan tak punktualny - rzekła, kiwając wymownie swą siwą głową.

- Wszystko słyszałem - odpowiedział poważnie, ale oczy mu się śmiały. - Proszę do środka. Czym mogę służyć?

Hanna pozwoliła mu wprowadzić się do gabinetu.

- Oooch - powiedziała, przeciągając pulchną dłońią po oparciu obitego skórą fotela.

- Proszę, niech pani siada, pani Schurr.

- Panno - poprawiła. - Chociaż może niedługo zostanę „panią”.

- Doprawdy? A kim jest szczęśliwy wybraniec?

- Barnard Webb - odparła, rumieniąc się, Hanna.

- Tak? Nie wiedziałem, że jesteście zaręczeni.

- Prawdę mówiąc, on też o tym nie wie - odparła Hanna. - A przekona się, stary kozioł. Wspomni pan moje słowa. Ale nie o mnie przyszłam tu rozmawiać, tylko o panu.

Nicholas wyprostował się w fotelu.

- O mnie?

- Tak, o panu, proszę pana, i strapieniach, jakich przysparza pan drogiej Ellie.

- Ellie?

- Nie jest pan chyba głuchy? Oczywiście, że Ellie. Nie przyszłabym tutaj w czyjejs innej sprawie.

Racja. Nicholas opadł na oparcie fotela.

- To wspaniała dziewczyna - ciągnęła Hanna. - Uratowała mnie, Jima i nawet tego starego kozła, Barnarda. Gotowa byłaby walczyć o nas zębami i pazurami, i tak właśnie się stało. Dała mi pracę, kiedy nie mogłam jej znaleźć. Moi niewdzięczni krewni wyrzucili mnie na bruk, gdy ich dzieci nie potrzebowały już niani. Gdzie miałam się podziać? Nie umiałam nic innego, jak tylko zajmować się małeństwami. Ellie musiała mnie sama nauczyć, jak robić te nieszczęsne kapelusze. Z Jimem to samo. Ona go także uratowała. Sprowadziła go z... - Poczerwieniła. - No, nieważne, skąd. Liczy się tylko to, że potrafi walczyć o innych, ale nie umie zadbać o swoje.

- I dlatego pani tu przyszła - stwierdził, przyglądając się Hannie znad zetkniętych czubkami palców dłoni. - Żeby bronić Ellie.

Hanna popatrzyła na niego badawczo.

- Walczyć? Nie. Chciałabym tylko spróbować pana przekonać.

Nicholasa uczuł, iż pomału ogarnia go niepewność. Najpierw choroba Charlotte. Potem wizyta Jima. Teraz ta kobieta, która przysłała do niego, by bronić Ellie. Chronić ją. Ratować drogie sobie istoty.

- Niech pan da jej spokój, panie Drake - powiedziała Hanna, a jej niski głos zabrzmiał prosząco. - Jest dobra i szlachetna i tak kocha ten dom. Pan może kupić sobie każdą nieruchomość w mieście. Ona chce mieć tylko tę jedną.

- Zastanowię się nad tym, pani Schurr - odparł szorstko. Zapragnął być przez chwilę sam. Wstał.

Po chwili Hanna podniosła się również.

- No dobrze, już idę.

Nicholas nie wiedział, czy uznała swoją misję za spełnioną, czy też zamierza jeszcze coś powiedzieć.

- Rozumiem, dlaczego pani tu przysłała - rzekł. - Naprawdę. Pomyślę nad tym, co mi pani dziś powiedziała.

Słowa te ułagodziły kobietę. Podała mu rękę na pożegnanie i wyszła.

Nicholas podszedł do okna i wyjrzał przez nie na miasto. Tysiące budynków, setki domów mieszkalnych. Większość z nich była zdecydowanie piękniejsza niż dom Ellie. Tylko że on wcale nie pragnął tego domu ze względu na jego wygląd. Musiał go mieć. Żaden inny nie może go zastąpić.

Ledwo zdążył wrócić na swoje miejsce za biurkiem, za drzwiami gabinetu znowu wybuchło zamieszanie. Podniesiony głos, tym razem doskonale rozpoznawalny, zahuczał za drzwiami.

Nicholas zerwał się z fotela, obszedł biurko i otworzył drzwi. Skrzywił się na widok swego gościa.

- Barnard - zapytał - czy przyszedłeś z Hanną?

Barnard odwrócił się gwałtownie i triumfalnie pokiwał głową.

- Wiedziałem, że pan tu jest. Nie pozwoliłem im wyrzucić się jak śmiecia. Co pan opowiada o Hannie? Dlaczego miałbym ją tu przyprowadzać? Z panem chciałem się zobaczyć! - wykrzyknął i wkroczył do gabinetu, mijając stojącego w drzwiach Nicholasa. Pracownicy patrzyli z niedowierzaniem. Nicholas uniósł brew i podążył za swym nieproszonym gościem. Barnard stał milcząc i czekał, aż usiądzie w swoim fotelu.

Nicholas uśmiechnął się grzecznie.

- Niech pan siada, panie Webb.

- Nie usiądę. Nie zostanę tu długo.

- Dobrze. Czym więc mogę służyć?

- Niech pan zostawi naszą Ellie w spokoju. - Słowa te zostały wypowiedziane z uporem i pewną dozą złości.

- Co to znaczy, że mam „zostawić Ellie w spokoju”? - Oczywiście, Nicholas wiedział, o co chodzi. Hanna przecież już go poinformowała.

- Wie pan doskonale, co. Ellie mówiła panu, że nie chce sprzedać domu. Niech pan przestanie ją napastować. Niepokoi pan ją, a jeśli Ellie jest zdenerwowana, my wszyscy, jej domownicy, martwimy się o nią.

- A czemuż to, panie Webb? Jest dorosłą kobietą i najwyraźniej pragnie być niezależna.

- Niech cię diabli, człowieku! Kochamy ją! Jest dobra i uczciwa, a tych cech pan pewnie nie zna. Ale to nie jej wina. Ona troszczy się o innych - dodał mruklawie. - Zatrudniła mnie, żebym zreperował parę rzeczy w jej domu. Oczywiście usiłowałem sprawić wrażenie, że świetnie mi się powodzi. Ale, do licha, wcale tak nie było. Miałem jeden przyzwity garnitur. Mieszkałem jak włóczęga na ulicy. Zapraszała mnie na śniadania i prosiła, żebym został na kolację. Dom się sypał. Trzeba było masę przy nim zrobić. Więc jednego dnia ona powiada: „Barnardzie, a może po prostu tutaj zamieszkać. Mam wolny pokój, obok pokoju Jima”. Oczywiście, nie miałem jej czym zapłacić, ale zanim zdążyłem wydusić z siebie jedno słowo, ona mówi: „Dostaniesz mieszkanie i wyży-

wienie za prace, jakie wykonasz w domu". Tego wieczoru wprowadziłem się i mieszkam do tej pory. Uratowała mnie, panie Drake. Nie będę więc siedział z założonymi rękami, kiedy pan zamienia jej życie w piekło.

Nicholas wbił się plecami w oparcie fotela. Popatrzył na swego gościa zimno i bezlitośnie. Stary opowiadał jakieś brednie. Czemu wyobraża sobie, że jest w stanie skłonić jego, Nicholasa, żeby zrobił coś, na co on nie ma ochoty? Poczł narastający ból głowy.

Wróciły wspomnienia.

- Myślę, że powinien pan wyjść - stwierdził Nicholas napiętym głosem.

- Wyjdę, ale jeśli obieca mi pan, że zostawi pan naszą Ellie w spokoju!

Nicholas z trudem panował nad sobą.

- Zdobędę jej dom, panie Webb. Jeśli to ją niepokoi, to jej problem.

Barnard wziął się pod boki.

- Nie może pan tego zrobić!

- Doprawdy? - zapytał Nicholas ze zwodniczym spokojem. - A cóż mnie może powstrzymać?

Barnard uniósł głowę i zaczął coś mówić, ale Nicholas mu nie dał dojść do słowa.

- Mam masę pracy, panie Webb. - Twarz mu pociemniała; wyglądał teraz na twardego, bezlitosnego człowieka interesu, jakim dotychczas był. Patrzył, jak odwaga zaczyna opuszczać Barnarda. Chciał, żeby stary wreszcie wyszedł. Opuścił gabinet. Nieważne, w jaki sposób.

- Niech pan nie myśli, że na tym koniec, Drake. Ellie uratowała mnie. Nie pozwolę, by pan ją teraz zniszczył.

- Wynocha, Webb.

Barnard patrzył na niego przez chwilę, a potem pokręcił głową i ruszył do drzwi. Kiedy jednak się przy nich znalazł, odwrócił się.

- Jesteś podłym draniem, Drake. Nie wątpię, że na-

wet własna matka cię nie kochała - powiedział i wyszedł.

Nicholas przycisnął dłonie do gładkiej powierzchni swego mahoniowego biurka.

Matka.

Odwrócił się do okna, jakby w ten sposób mógł odwrócić się plecami do niepożądanych wspomnień. Jednak ulice i domy, które ujrzał, nie przyniosły mu ukojenia.

Och, mamó.

7

Nowy Jork, rok 1875

- *Mamo!*

Mały Nicholas wbiegł przez drzwi frontowe i zatrzymał się raptownie na czarno-białej posadzce w wielkim hallu ich ogromnego domu przy Lafayette Place. Koledzy wybierali się omnibusem na drugą stronę miasta, a Nicholas bardzo pragnął pojechać z nimi.

Czternastoletni Ted i Maynard byli od niego starsi o dwa lata. Nicholas wiedział, że rodzice nie przepadali za jego nowymi kolegami, i musiał przyznać, że ich antypatia nie pozbawiona była racji. Ci dwaj chłopcy poruszali nie najważniejsze tematy i śmieli się z rzeczy, z których nie powinni. Jednak wybierali się na ryby, a Nicholas chciał też.

Matka stała w połowie wielkich, zakręconych schodów, piękna jak postać z bajki, zapatrzona w coś, czego Nicholas nie widział. Miała na sobie cudowną złotoniebieską suknię, a jej ramiona, co zauważył z dumą, otaczał cienki jak pajęczyna szal, który dał jej jako swój pierwszy samodzielnie wybrany prezent.

Była piękna jak zwykle, ale coś wydawało się nie w porządku.

- Mamo - powtórzył z niepokojem

Drgnęła i popatrzyła na niego.

- O, jesteś, Nicholasie. Właśnie wychodziłam.

Jakby nie była w pełni sobą, niepewnie zeszła na dół. Ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się w pół kroku. Odwróciła się do syna, z nagłą rozpaczą, a może nawet błaganiem, w pięknych, fiołkowych oczach.

- Chodźmy gdzieś razem. Na lunch albo po zakupy.

Ta nieoczekiwana propozycja zaskoczyła Nicholasa. Zazwyczaj matka miała czas wypełniony różnymi zajęciami, balami i przyjęciami. Jeśli chciał spędzić trochę czasu w jej towarzystwie, musiał prosić o to na wiele dni wcześniej. Popatrzył na drzwi. Co powie Tedowi i Maynardowi?

- Jeśli się pospieszymy - dodała, śmiejąc się z przymusem - może nawet uda nam się pójść do parku.

- Nie mogę, mamo. - Nicholas skrzywił się. - Idę na ryby.

- Oczywiście - rzekła, wzdychając. - Koledzy, ryby. Niewinne rozrywki dzieciństwa. Ach, gdybym mogła być znowu małą dziewczynką...

Nicholas popatrzył na matkę ze zdziwieniem.

- Czy to znaczy, że mogę iść?

Zaśmiała się, ale w jej głosie brzmiał smutek.

- Ależ oczywiście, możesz, kochanie. Baw się dobrze.

Zanim wrócił z wędką, wymknęła się przez drzwi frontowe. Niepokój ogarnął go dopiero kiedy znalazł się na brzegu rzeki Hudson. Przypomniał sobie, że wyszła z domu, nie biorąc powozu. A przecież nigdzie nie chodziła piechotą. Dokąd poszła, tak pięknie ubrana, w środku dnia?

Nie złowił żadnej ryby. Zostawił na brzegu Teda i Maynarda i wrócił do domu omnibusem. Dotarł na miejsce o drugiej, a do wpół do trzeciej czyścił i porządkował swój sprzęt. O trzeciej matki nadal nie było.

Krażył nerwowo po pokojach, aż wreszcie wyszedł przed dom i usiadł na schodach. Coraz bardziej żałował, że ojciec jeszcze nie wrócił. Wiedział jednak, że nie ma co na to liczyć.

Ostatnimi czasy ojciec rzadko bywał w domu. A kiedy się w nim pojawiał, był zawsze czymś zajęty i poirytowany. Zamiast śmiać się i żartować jak dawniej, często okazywał gniew i surowość, znienacka wyładowując złość na tych ze służby, którzy mieli nieszczęście akurat znaleźć się pod ręką.

Dopiero o wpół do piątej przed eleganckim, kutym ogrodzeniem ich domu pojawiło się obce, czarne lando, zaprzężone w piękne, kare konie. Drzwiczki otworzyły się i Nicholas ujrzał, jak z pojazdu wysiada jego matka. Płakała. Słońce połyskiwało we łzach, które cicho spływały jej po policzkach.

Mamo, szepnął w myślach Nicholas.

Stał porażony tym widokiem, nie wiedząc, co ma robić. Jego matka płakała. On zaś nie potrafił tego pojąć.

Chciał coś powiedzieć, cokolwiek. Zaprzagnął ją pocieszyć. Ale jak? Czuł lęk i zmieszanie, jednak nade wszystkim nie chciał, by płakała.

Wbiegła po schodach, nie zauważając syna. Nie wypowiedziała ani słów przywitania, ani wyjaśnienia. Nicholas ujrzał tylko, że na swych mlecznobiałych ramionach nie ma szala, który okrywał je, kiedy wychodziła.

8

Jak mogłeś?

Barnard skulił się, zatrzymując się w połowie schodów. Poranne słońce wpadało strumieniami przez okna. Widok Ellie, ale jeszcze bardziej ton jej głosu sprawiły, że odwrócił się i usiłował jak najprędzej schronić się na piętrze.

- Za późno, Barnardzie. Tym razem mi nie umkniesz. - Ostatni raz widzieli się wczoraj, zanim Ellie dostała „Timesa” i przeczytała wydrukowany w nim artykuł Able’a Smythe’a. - Jesteś mi winien wyjaśnienie.

- Ach, Ellie - odparł z jękiem i niechętnie zszedł na dół. - Nie będziesz na mnie krzyczała, prawda?

- Obiecywałeś! - wybuchnęła, wyładowując swój lęk i frustrację. - Obiecałeś, że już nigdy nie wyniesiesz żadnego obrazu!

Barnard postarał się przybrać skruszony wyraz twarzy.

- Wiem, wiem. Ale ten ostatni był tak dobry, że nie mogłem pozwolić, żeby porastał kurzem.

- Pan Able Smythe wcale tak nie sądzi! Powściągliwy, napisał! Powściągliwy! - Połknęła głupie łzy, zła, że przejmuje się, iż człowiek, którego nie widziała na oczy, napisał, że jej obraz nie jest wystarczająco dobry.

Pragnęła zostać malarką od chwili, kiedy siostra Beatrice podarowała jej, małej wtedy dziewczynce, pudełko kolorowych kredek. Od tego dnia Ellie rysowała na wszystkim, co wpadło jej w ręce. To potrafiła. Rysować. Dzięki temu stawiała się sobą, istotą godną akceptacji, nawet jeśli zajmowała się tym w ukryciu. I też „w ukryciu” jedynie mogła malować. Na świecie nie istniało miejsce dla kobiet-malarek, a zwłaszcza takich, które zajmowałyby się tym dla zarobku.

- Ten mędrzek nie zna się na rzeczy - dodał Barnard, przerywając jej rozmyślenia.

- Zna się i dobrze o tym wiesz. Dlatego je do niego nosisz.

- Wcale ich do niego nie noszę - odparł z urazą.

- Przepraszam - poprawiła się cierpko Ellie. - Ty je tylko podrzucasz pod tylnymi drzwiami jedynej galerii sztuki w mieście, do której on przychodzi.

- Ktoś musi oglądać twoje prace, do diabła! Ile razy mam ci to powtarzać?

- Czemuż to wszyscy nagle czują się w obowiązku mówić mi, co powinnam robić? - Zamachała rękami. - „Powinnaś sprzedać dom, Ellie!”, „Powinnaś wyjść za mąż, Ellie!”, „Powinnaś wyjść za *mnie*, Ellie!”, „Powinnaś pokazać ludziom swoje prace, Ellie!” Na miłość boską, dawno już

ukończyłam dwadzieścia lat! Jestem wystarczająco dorosła, żeby samodzielnie podejmować decyzje.

- Ależ oczywiście, Ellie - powiedział Barnard łagodnie - jesteś dostatecznie dorosła i świetnie potrafisz to robić. My tylko się o ciebie martwimy. Kochamy cię.

- Mów za siebie. Charles mnie nie kocha.

- Znacie się od lat i od dawna prosi cię o rękę. Ty mu odmawiasz, a on nie rezygnuje. Jak możesz twierdzić, że cię nie kocha?

- Bo nie. - Odwróciła wzrok. Barnard mówił prawdę. Charles starał się o nią od wielu lat. Pochodził z przyzwolonej rodziny, która ciężko pracowała, by poprawić swój byt. Ellie wiedziała, że Charles kocha ją na swój sposób, ale nie był to rodzaj miłości, jakiego pragnęła. Nagle coś ją zapiekło w oczach. Chcę być kochana i pieszczona, dodała w myśli, przypominając sobie cudowny dotyk dłoni Nicholasasa.

- Po prostu czujesz się nie najlepiej, droga Ellie. Może powinnaś pójść na górę i trochę odpocząć?

- Czuję się dobrze! - wybuchnęła. - Nie chcę odpoczywać. - Pragnęła żyć pełnią życia. Odrzucić precz zdrowy rozsądek i ostrożność, tańczyć na ulicach Nowego Jorku w swoich czerwonych pończochach. Chciała pójść do sklepu Palette Art Company sama. Nie wysłać tam Barnarda. Na własną rękę. Przejsć się po zatłoczonych salkach, samej wybierać pędzle, czuć zapach pokostu i oleju lnianego. Przeciągnąć dłonią po nienapiętym jeszcze płótnie. Poznać innych malarzy. Może nawet pójść do jednej z pobliskich kawiarni, w których przesiadywali i rozmawiali o swoich pracach. Nade wszystko jednak pragnęła malować, nie ukrywając się. Otwarcie przemawiać swymi obrazami do ludzi.

- Zanadto się zamartwiasz, Ellie.

- Zamartwiam się! Oczywiście, że tak. Mam po temu wiele powodów. Moje obrazy uważane są za skandaliczne, chociaż wszyscy myślą, że to dzieła mężczyzny. Ludzie uwielbiają portrety, krajobrazy, martwe natury i sceny

z polowania... ale nie to, co ja maluję! Przeraza mnie myśl, co by było, gdyby Able Smythe dowiedział się, że M. M. Jay jest kobietą.

- Able Smythe nie dowie się, kim jesteś.

Ellie popatrzyła na Barnarda przenikliwie.

- Nie dowie się! - powtórzył stary z uporem.

- Lepiej, żebyś miał rację. - Ellie nie potrafiła wyobrazić sobie, w jaki sposób przetrwałaby skandal, który niewątpliwie by wybuchnął, gdyby dowiedziano się prawdy. Kobiety, o ile w ogóle zajmowały się malarstwem, ograniczały się do martwych natur i akwael przedstawiających niewinne letnie pejzaże. Nie tworzyły dzieł, wywołujących skandale. Ale martwe natury i krajobrazy to nie było coś, co kiedykolwiek interesowało Ellie, ani nie budziło w niej większych emocji.

Ruszyła do wyjścia, ale odwróciła się.

- Jeszcze jedno. Nie waż się wynieść ani jednego więcej obrazu! Jasne?

Barnard jęknął, ale po chwili kiwnął głową.

- Tak, jasne. Tylko że to wielka szkoda.

- Te artykuły powinny przestać się ukazywać. Trzeba z tym skończyć.

- Z czasem - mruknął stary z niesmakiem - nawet Able Smythe zapomni o tobie.

Ellie ponownie skierowała się do drzwi, ale tym razem zatrzymała ją Hanna, wyłaniająca się z kuchni.

- Jest gazeta - powiedziała. Miała na sobie wesołą, żółtą, bawełnianą suknię, która jaskrawo kontrastowała ze zmartwionym wyrazem jej twarzy. Rzuciła dziennik na stół. - Popatrz sobie na trzecią stronę.

Barnard zbladł. Ellie zamarła. Barnard powiódł wzrokiem od Hanny do Ellie, a potem chwycił „Timesa”.

Ellie nie była w stanie się poruszyć. Następnny artykuł? zastanawiała się w panice. Przez wiele lat żyła, lękając się, iż w każdej chwili może zostać zdemaskowana jako córka Harry'ego Dillarda. Teraz, dzięki podstępным działaniom

Barnarda, czynionym w dobrej wierze lub nie, zaczęła żyć w strachu, że zostanie napiętnowana jako autor gorszących malowideł, M. M. Jay.

- Co piszą? - zapytała wreszcie, niepewna, czy rzeczywiście chce się tego dowiedzieć.

Barnard uśmiechnął się, złożył gazetę i schował pod pachę.

- Nic. Omawiają pracę artysty. Co więcej, artyści, godnego poznania. Jestem przekonany, że Hanna właśnie dlatego wspomniała o tym artykule, prawda? - powiedział, rzucając kobiecie znaczące spojrzenie.

- Ojej, zapomniałem ci coś powiedzieć, Ellie - ciągnął, nie pozwalając Hannie sobie przerwać. - Słyszałem, że w czwartek ma się odbyć jakieś zebranie u Grady'ego O'Shea.

- Kłamiesz, Barnardzie.

Szeroko otworzył oczy i położył sobie rękę na piersi.

- Ależ skąd, to zebranie na pewno się odbędzie.

- Nie mówię o zebraniu. Nic mnie ono nie obchodzi. Daj mi tę gazetę.

- Ależ, Ellie... - zaczął.

- Dość tych wykrętów - syknęła. - Daj gazetę.

Barnard jęknął i rzucił Hannie mordercze spojrzenie.

- Widzisz, czego narobiłaś, kobieto? - warknął i podał Ellie gazetę.

Czując narastający niepokój, Ellie otworzyła na trzeciej stronie i ujrzała widniejący tam wielki tytuł.

KIM JESTEŚ, M. M. JAY?

Autorem artykułu był nie kto inny, lecz pan Able Smythe.

Ellie wyszła z domu, byle jak nasadzając na głowę swój najnowszy kapelusz, ozdobiony dzwonekami i kokardkami i zapominając rękawiczek. Dlaczego to wszystko dzieje się właśnie teraz, po tylu latach życia we względnym spokoju i anonimowości? Myśl ta zaprzętała całą jej uwagę. Najpierw sprawa domu. Teraz te artykuły. Dlaczego właśnie teraz?

Co gorsza, ledwo zamknęła za sobą drzwi, ujrzała Nicho-

łasa Drake'a siedzącego na schodkach w towarzystwie Jima.

- Co wy tutaj robicie? - zapytała, zapominając o wszelkiej uprzejmości i dobrym wychowaniu.

- Witam panią... - zaczął z uśmiechem Nicholas.

- Nie jestem w nastroju do żartów, Drake - rzuciła, schodząc na dół krokiem generała.

- Drake, mówi pani? - Nicholas spojrział na Jima ze współczuciem. - Masz coś podobnego na co dzień?

- Tak - odparł Jim.

-Jim!

- To znaczy, nie - poprawił się zmieszany młodzieniec. Ellie rzuciła Nicholasowi mordercze spojrzenie.

- No i widzi pan, co pan narobił?

- Dlaczego wini się mnie za wszelkie zło, jakie ma tutaj miejsce? - zapytał Nicholas, potrząsając głową.

- Bo to pan jest przyczyną wszystkich naszych problemów.

Nicholas wstał z chłodnych granitowych stopni. Na jego nieskazitelnych spodniach z lekkiej wełenki nie powstała ani jedna zmarszczka.

- Zapomniałem. Pani życie to była istna oaza spokoju, dopóki się w nim nie pojawiłem.

- No, może nie aż do tego stopnia - przyznała ze skruchą, wywołując tym stwierdzeniem szczery wybuch śmiechu.

Jim także wstał. Jakby na dany znak, obaj mężczyźni poprawili sobie mankiety. Ellie badawczo przyjrzała się ich gestom, a potem pokręciła głową i ruszyła przed siebie.

Po kilku krokach dogonił ją Nicholas, a za nim Jim.

- Musimy porozmawiać.

- Ależ skąd, Drake.

- Wolałbym doprawdy, żeby pani nie zwracała się do mnie w ten sposób. Brzmi to trochę... nieprzyjaźnie.

- I tak właśnie ma brzmieć - odparła, idąc uparcie przed siebie i patrząc w przestrzeń.

- Co za charakterek - zadrwił. - Czyżbyśmy dzisiaj wstali lewą nogą?

- Nie wstaliśmy. I nie wstaniemy.

- Ale przynajmniej mogła by się pani do mnie zwracać per „Nicholas” albo chociaż „proszę pana” - zaproponowałam z przekornym błyskiem w oku.

- Chyba we śnie, Drake - zadrwiła Ellie. Potem, jakby po chwili namysłu, dodała: - Ale „Nicky” brzmiałoby całkiem przyjemnie.

- „Nicky” mi się podoba - oznajmił Jim. - Nicky - powiedział w przestrzeń. - Nicky. Nicky.

Nicholas jęknął.

- No i widzi pani, co pani narobiła?

Ellie odpowiedziała mu uśmiechem satysfakcji.

Przeszli w milczeniu kawałek drogi, aż Nicholas odezwał się znowu:

- Mam dla pani nową propozycję. Myślę, że zgodzi się pani, iż jest uczciwa. Oferuję znacznie więcej, niż wart jest pani dom.

- Uważa pan, że zmienię zdanie ze względu na uporczywość pańskich nalegań? - zapytała, odwracając się zniecierpliwiona. Nagły ruch sprawił, iż niestarannie założony kapelusz osunął się jej na ucho.

Zanim Ellie zdążyła zareagować, Nicholas wyciągnął rękę i poprawił go. Znajdowali się już obok sklepu i Jim dumnie wbiegł po schodkach, otworzył kluczem drzwi, a potem wsunął się do środka. Nicholas i Ellie zostali sami. Stali bardzo blisko siebie.

- W tej chwili nie jestem już wcale pewien, co myślę - odparł Nicholas. - Nie wiem, dlaczego, ale nie mogę o pani zapomnieć... Tak, chcę nabyć pani dom, a jeśli uporczywość da efekt, będę uporczywy. - Westchnął. - Ale poza tym bardziej pragnę pani niż tego domu. Chcę czegoś więcej niż przelotnych spojrzeń i złośliwych uwag.

Ellie ze zgrozą poczuła, że przenika ją błogi dreszcz. Przecież nienawidzi tego człowieka. On jest twardy. Zimny. Bezlitosny. Ostatnia rzecz, jaka jest jej w życiu potrzebna, to następny twardy, zimny i bezlitosny mężczyzna.

Mimo to, gdy jego wzrok spoczął na jej ustach, zastanawiała się, czy myśli o tamtej chwili, kiedy wargi ich spotkały się, a jego dłonie pieściły jej ciało wtedy, w czasie deszczu? Ona ani na moment o niej nie zapomniała.

Jakby w odpowiedzi na jej myśl ujął jej dłoń.

- Co pan robi? - szepnęła suchymi nagle wargami.

- Chcę panią pocałować.

- Tak nie można.

- Można - mruknął, a potem złożył na jej ustach pocałunek.

Westchnęła, a wtedy on ogarnął ją ramionami. Ich pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny.

Wreszcie Ellie wyrwała się.

Nicholas odezwał się dopiero po dłuższej chwili, a przyszło mu to z trudnością.

- Obiecywałem sobie, że nigdy już pani nie zobaczę.

- Szkoda, że pan tego nie dotrzymał - szepnęła.

- Tylu rzeczy załujemy w życiu - powiedział ze smutkiem. - Ale nie ma co rozmyślać o tym, co nie nastąpiło. Osobiście wolę zajmować się tym, co jest. - Pogładził ją po twarzy. - A rzeczywistość jest taka, że pragnęłaś tego pocałunku tak samo jak ja.

Powiedział prawdę. Ellie przyzwoliła mu na pieszczoty i teraz nie warto było przeczyć.

- Ellie! Co wy tam robicie? - rozległ się głos stojącego w drzwiach Jima.

Dziewczyna cofnęła się raptownie. Co ona wyprawia? Te pocałunki. Prawda. Przycisnęła dłonie do policzków. Wciąż czuła na nich dotyk palców Nicholasa, jakby w jakiś sposób została napiętnowana jako jego własność. Czuła na sobie jego gorące spojrzenie i zdała sobie sprawę, że policzki jej płoną rumieńcem.

- Nie wchodzisz do środka? - zapytał Jim. - A ty, Nicky, nie wejdiesz?

Ruszyła do sklepu. Chciała jak najprędzej znaleźć się

w jego bezpiecznym wnętrzu. Jednak zatrzymała się w pół drogi, gdy Jim zapytał o Charlotte. Mała, słodka Charlotte. Taka chora. Taka osamotniona.

Nie mógł sobie znaleźć lepszej chwili! Kiedy ona tak bardzo chciała uciec. Jednak nawet w swoim wielkim zmieszaniu zauważyła, że Nicholas nagle zeszywniał.

- Jak z nią? - zapytała cicho.

Milczał przez chwilę.

- Nie wiem - odparł szczerze. - Chcę wierzyć, że jej stan się poprawia. Sprawia wrażenie szczęśliwszej. Jednak lekarze, którzy podczas badania są dla niej tacy mili, czekają, aż wyjdzie, a potem mówią mi, że nie ma żadnej nadziei.

- Żadnej nadziei? Jak to możliwe?

- Nie wiem - powtórzył, tym razem trochę szorstko. - Ona domaga się kawy, a lekarze.... - Wzruszył ramionami, marszcząc brew. - A ci wszyscy lekarze odmawiają jej szans na wyzdrowienie.

- Mój Boże...

- Ja jednak jeszcze nie dałem za wygraną - stwierdził stanowczo. - Zamierzam znaleźć kogoś, kto potrafi udzielić lepszej odpowiedzi.

- Ach, te odpowiedzi. Szukasz kogoś, kto powie to, co chcesz usłyszeć. To chyba ma jakiś związek z tą twoją sławetną „wołą”. Wystarczy chcieć, żeby coś nastąpiło. - Ellie westchnęła z troską. - Może pora, żebyś popatrzył na sprawy z innej strony.

- To znaczy? - Nicholas spojrzał na nią mrocznie.

Ellie jednak nie dała się zbić z tropu.

- Pomimo swoich wielkich odkryć i osiągnięć medycyna nie potrafi dać Charlotte tego, co ty masz.

- A mianowicie? - zapytał lodowato.

- Miłości. Możesz dać jej miłość.

Przestąpił z nogi na nogę i zacisnął szczęki.

- Miłość? Moja siostrzenica potrzebuje leków, panno Sinclair, a nie jakich idiotycznych, wymaginyowanych uczuć.

- Wyimaginowanych? - powtórzyła, zaskoczona. Gdy jednak spojrzała w otchłań jego oczu, zdała sobie sprawę, że on mówił serio. Taka była jego prawda. Nie pocałunki, które sprawiały, że jej pragnienia rosły. Nie rojenia o czułym kochanku. Ten mężczyzna był twardy i zimny tak jak jego ostre, surowe rysy. Dążył bez skrupułów do celu. Bez radości. Bez cienia słabości, którą, jak jej się wydawało, zauważyła u niego, gdy spotkali się w pawilonie, podczas deszczu.

W wyniku jakich wydarzeń ten człowiek uwierzył, iż miłość nie istnieje? pomyślała i zapytała o to bez zastanowienia.

- Co sprawiło, że ma pan serce z kamienia?

Jej słowa zaskoczyły go. W jego oczach odmalowało się zdumienie. Zacisnął zęby i pięści. Najwyraźniej w jego duszy toczyła się jakaś walka.

- Jest pani naiwną romantyczką, panno Sinclair - rzekł wreszcie, gdy zdołał się opanować. - Rycerze w lśniącej zbroi. Serca z kamienia. Miłość zamiast nauki. Miłość to wytwór wyobraźni naiwnych romantyków. Nauka to fakty.

Nie wiedząc, dlaczego, Ellie uparła się przy swoim.

- Są ludzie, którzy umieją kochać - stwierdziła stanowczo.

- Nie, panno Sinclair - powiedział, nagle wyglądając znacznie starszej niż zazwyczaj. - Ludzie potrafią tylko odczuwać pożądanie. I niech pani o tym nie zapomina.

To rzekłszy, odwrócił się i odszedł, zostawiając Ellie na chodniku, świadom, że mówiąc te ostatnie słowa, miał na myśli samego siebie.

9

- *Jesteśmy zrujnowani!*

Nicholas siedział przy stole jadalnym, wpatrując się w ojca, który stał w drzwiach.

- Jesteśmy zrujnowani, powtarzam! - szalał ojciec. - Zrujnowani!

Szczęk srebrnych sztućców, opadających na kosztowną zastawę, odwrócił uwagę Nicholasa. Matka siedziała na swoim miejscu, u szczytu stołu, szeroko rozwierając swe fiołkowe oczy. Jej nieskazitelne niczym królewska porcelana policzki poblady.

- O czym ty mówisz, Pierre? - zapytała, starając się zachować spokój. - Dlaczego twierdzisz, że jesteśmy zrujnowani?

- Wszystko przepadło! Nie mamy nic!

Nicholas poczuł, że się dusi. Coś ścisnęło go w piersiach. Nie było to wynikiem słów ojca, gdyż mało co z nich rozumiał. Miał jednak wrażenie, że wali się cały świat. Najpierw łzy matki i zagubienie szala. Teraz jego ojciec, zawsze tak dumnie wyprostowany, opierał się bezradnie o futrynę drzwiową, z twarzą zmienioną w ohydłą maskę. Nicholas nie wiedział, czemu tak się dzieje, ani jak ma położyć temu kres.

Pierre Drake, dziedzic długiej linii nowojorskich Drake'ow, był ogólnie szanowany nie tylko ze względu na swe arystokratyczne pochodzenie. Dbał o przestrzeganie sprawiedliwości i wysokie wartości moralne. Wraz z rodziną prowadził spokojne życie zamożnych ludzi. Trzynaćście lat temu poślubił młodą Louise Whitmore, wywodzącą się z szacownych Whitmore'ow z Bostonu. Wszyscy powtarzali, iż było to prawdziwe małżeństwo z miłości.

- Wytłumacz, Pierre! - zawołała matka. - Co ty opowiadasz? W jaki sposób mogliśmy stracić wszystko?

- Ten interes był pewny - jęknął ojciec, kręcąc głową. - Tak, jak mówiłem tobie i Nicholasowi. Zainwestowałem w rury do ścieków, które miasto miało budować. Kupiłem je za gotówkę! A kiedy poszedłem do nich z moją ofertą, okazało się, że już je nabyli od kogoś innego.

- To straszne, Pierre. Ale przecież to tylko jedna inwestycja. W jaki sposób możemy zostać zrujnowani z powo-

du jednego interesu? A co z moim posagiem? I tym, co ty odziedziczyłeś po rodzinie?

- Wszystko przepadło.

- Ale jak? Tu przy tym stole mówiłeś, że to jest ryzykowna, ale niewielka inwestycja.

- Włożyłem wszystko. Kupiłem rury dla całego miasta. Zainwestowałem wszystkie pieniądze!

- Nie - szepnęła matka. - Nie.

- Nikt inny nie wiedział, że miasto planuje takie roboty. Byłem pewien sukcesu. Mogłem potroić kapitał. Ale ktoś dowiedział się o tym i wyprzedził mnie. Ktoś zgłosił się do nich wcześniej. I nie tylko to, sprzedał im rury po śmiesznie niskiej cenie. Nie miałem szans, nawet gdybym pojawił się przed nim. On zaś musiał na tym stracić. To wygląda tak, jakby ten ktoś zrobił to celowo!

Matka westchnęła.

- Jak to się mogło stać? - zawołał Pierre. W jego głosie brzmiał gniew pomieszany z rozpaczą. - W jaki sposób ktoś mógł się o tym dowiedzieć?

Kiedy Nicholas odważył się podnieść oczy, matka wciąż siedziała przy stole. Jedną rękę przyciskała do piersi, drugą zatykała sobie usta, jakby chciała zdławić krzyk.

- Mamo, co ci jest?

Popatrzyła na niego, a on ujrzał lęk w jej oczach. Jednak zanim zdążył zadać następne pytanie, zerwała się od stołu, przewracając krzesło, i wybiegła z jadalni.

10

Był czwartek, dzień, na który Grady O'Shea zwołał spotkanie z Nicholasem. Zbliżała się trzecia. Nic nie podejrzewając, Ellie spokojnie pracowała w sklepie. Zabrzęczał

dzwonek przy drzwiach, oznajmiając czyjeś przybycie.

Kapelusze Ellie sprzedawały się bardzo dobrze. Najmodniejsze i najbogatsze panie z towarzystwa odwiedzały jej sklep.

- Witam panią, pani Roberts - Ellie przywitała niską, elegancko ubraną kobietę o gładko zaczesanych ciemno-blond włosach. - Miło mi panią widzieć.

- Ach, panno Sinclair - ćwierknęła Maisy Roberts. - Chciałabym, żeby poznała pani moją drogą przyjaciółkę, Deirdrę Carlisle.

Nowo przybyła była wysoką, gibką kobietą o ciemnobrązowych włosach i ciemnych oczach. Jest piękna i wie o tym, pomyślała po chwili Ellie, dokonując krótkiej oceny swojej nowej klientki.

- Właśnie przyjechała z Karaibów, gdzie mieszkała na plantacji swojego ojca, i musi sobie sprawić kompletnie nową garderobę, w tym kapelusze - szczebiotała Maisy. - Gdy opowiedziałam jej o pani wspaniałych dziełach, bardzo chciała tu przyjść.

- Jak to miło z pani strony, pani Roberts - powiedziała Ellie i zwróciła się do panny Carlisle. - Z przyjemnością pokażę pani kilka naszych modeli.

Poprowadziła młodą klientkę do krzesła, ustawionego przed lustrem. Oceniła jej karnację, owal twarzy i zadała kilka pytań, a potem zaczęła jej demonstrować serię kapeluszy o najrozmaitszych kolorach i fasonach. Panna Carlisle przyglądała się sobie w jednym z nich, a Ellie podeszła do ustawionej z boku półki po kupon czarnego woalu, o który poprosiła ją Deirdra. Maisy poszła za nią.

- Panno Sinclair - szepnęła, patrząc ukradkiem na swą młodą podopieczną. - Panna Carlisle spędziła wiele lat w... powiedzmy, mniej cywilizowanej części świata. Przyjechała tu, by znaleźć sobie męża, więc nie powinna wyglądać jak wdowa... albo kobieta podejrzanego konduity.

- Chodzi pani o to, żebym podsunęła jej... właściwe rozwiązanie.

Maisy westchnęła z ulgą.

- Otóż to.

Wiedząc już, na czym polega jej zadanie, Ellie posłała Jima, aby poroznosił gotowe kapelusze do klientek. Z przyjemnością podejmując swe nowe wyzwanie, odwróciła się znowu do Maisy.

- Zobaczmy, co się da zrobić.

Nicholas przeglądał dokumentację związaną z nieruchomością należącą do Eliot Sinclair. Popatrzył na swoją najnowszą ofertę. Ellie doprowadzała go do szaleństwa. Po chwili jednak na jego twarz powoli wypłynął uśmiech. Ta panna denerwowała go, ale zarazem bawiła. Poza tym jest z gruntu dobrą dziewczyną. Popatrzył na zegar. Piąta piętnaście. Jeśli się pośpieszy, zdąży do sklepu Ellie przed zamknięciem i przedstawi jej propozycję, której nie będzie mógł odrzucić.

Wyruszył swoim czarnym landem, polecając woźnicy jechać bocznymi uliczkami, żeby uniknąć tłoku. Zaledwie jednak zdążyli przejechać kawałek, Nicholas zobaczył jakąś skuloną postać. Po chwili z zaskoczeniem stwierdził, że jest to Jim.

Nicholas zaklął pod nosem, ale nakazał woźnicy zatrzymać lando. Jim siedział na dolnym stopniu schodków prowadzących do jakiegoś domu, z głową ukrytą w ramionach, które opierał na kolanach. Nicholas mógłby przysiąc, że młody olbrzym płakał.

- Jim? - zawołał, rozglądając się dookoła, jakby mógł znaleźć w okolicy jakąś pomoc.

- Idź sobie - wymamrotał młodzieniec.

Nicholas niczego innego nie pragnął, jednak westchnął tylko, wysiadł z landa i, nie troszcząc się o swój elegancki garnitur, przysiadł obok Jima.

- Mówiłem ci, Nicky. Idź sobie.

Nicky. Nicholas ukrył grymas niesmaku.

- No, Jim. Powiedz mi, co się stało.

Jim podniósł głowę i popatrzył na Nicholasa przez łąy.
- Nic.

Nicholas zmełł w zębach przekleństwo.

- Jesteś pewien?

Jim wytarł twarz rękawem.

- Jasne, że jestem pewien.

Nicholas zastanawiał się przez chwilę. Czy powinien go zostawić samego? Czy też po prostu posiedzieć z nim? Nie potrafił się zdecydować. Dlaczego, pomyślał z irytacją, ostatnio bez przerwy natygam się na jakieś dziwaczne... prywatne sprawy. Pokręcił głową. Wtedy odezwał się Jim.

- Czy to twój pojazd? - zapytał.

- Tak - przyznał Nicholas. - Masz ochotę się przejechać? - Byle tylko Jim nie zaczął znowu płakać.

- Jasne, Nicky. Muszę wrócić do sklepu.

- Doskonale.

Podczas drogi w pojeździe panowało milczenie, poza tym że Jim od czasu do czasu wydawał okrzyki zachwytu. Kiedy zatrzymali się przed sklepem, Nicholas ujrzał Ellie, stojącą w drzwiach w towarzystwie dwóch kobiet. Sprawiała wrażenie czymś zaabsorbowanej.

- No, nareszcie! - zawołała, marszcząc brwi z gniewu, ale także by ukryć ulgę, kiedy Jim wyskoczył z landa.

- Pan Drake! - zawołała Maisy. - Miło nam pana widzieć.

Nicholas z niechęcią oderwał uwagę od Ellie i dostrzegł żonę Harveya Robertsa.

- Witam, pani Roberts - skinął jej głową.

- Panie Drake, chciałabym pana przedstawić mojej drogiej przyjaciółce, która dopiero co przyjechała z plantacji ojca na Karaibach, pannę Deirdrę Carlisle.

Nicholas skłonił się.

- Miło mi panią poznać.

Deirdra podała mu okrytą rękawiczką dłoń.

- Miło mi poznać pana, panie Drake - powiedziała, obdarzając go powłóczystym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że podoba się pani w Nowym Jorku - rzekł, ujmując jej rękę.

Deirdra uśmiechnęła się kusząco.

- Ależ oczywiście, panie Drake. Z chwili na chwilę metropolia ta staje się coraz bardziej atrakcyjna.

Wymienili jeszcze kilka grzeczności, aż wreszcie Nicholas mógł pożegnać się z oboma kobietami. Odwracając się do Ellie, kątem oka zauważył, że dziewczyna przyglądała się im badawczo.

Najwyraźniej zmieszana, szybko zajęła się rozmową z Jimem.

- Spóźniasz się już trzeci raz w tym tygodniu - powiedziała.

Nicholas uważnie obserwował reakcję młodego mężczyzny.

- Wiem, Ellie - odparł Jim pokornie. - Przepraszam. Nie chciałem.

- Jasne, że nie chciałeś. - Położyła dłoń na ramieniu Jima. - Co się stało? Czy przydzieliłam ci za dużo dostaw?

- Ależ skąd, Ellie! - zawołał, patrząc na nią błagalnie. - Naprawdę. Przepraszam za spóźnienie. Jutro się poprawię. Obiecuję.

Kiedy Jim wyszedł ze sklepu, Ellie zwróciła się do Nicholasa.

- Dziękuję panu, że był pan łaskaw go przywieźć - powiedziała sztywno, zła na siebie za to, że w jakikolwiek sposób obchodził ją fakt, iż poznał Deirdrę Carlisle.

- Spodziewałem się, że obwini pani mnie o spóźnienie Jima - rzekł, uśmiechając się rozbrajająco i gniew Ellie stopniał.

- Prawdopodobnie miałabym rację - zadrwiła, starając się ukryć rodzący się w kącikach ust uśmiech.

Nicholas zaśmiał się.

- Wszystko jedno, co się stało. Jim jest już z powrotem. Może się pani uspokoić.

- Ja? Mam przestać się martwić? - Pokręciła żałośnie głową. - Daję panu słowo, że martwię się o Jima od niepamiętnych czasów.

- Od szkoły?

- Szkoły? - Ellie zmieszała się.

- No, tej, gdzie zakonnice kazały jeść owsiankę. - Nicholas uśmiechnął się i wrzucił ramionami. - Przecież opowiadała mi pani o swojej szkole.

Ellie wypuściła powietrze z płuc i powoli usiadła na schodku.

- Ależ tak, ma pan rację, od szkoły.

Zaśmiała się, ale jej oczy pozostały smutne. Przez chwilę wyglądała jak mała, zagubiona w wielkim świecie dziewczynka i Nicholas zapragnął przygarnąć ją do siebie i mocno przytulić. Wbrew sobie przestąpił z nogi na nogę. Wtedy ona zaczęła gorączkowo mówić.

- Jim miał sześć lat, kiedy... zapisano go do naszej szkoły. Był taki kochany i słodki. - Wydęła wargi. - Ale od pierwszej chwili stał się obiektem napaści.

- A pani zaczęła go bronić? - domyślił się Nicholas.

- Poniekąd. Miałam wtedy jedenaście lat i robiłam co mogłam.

- Więc od dziecka jest pani waleczna.

- Waleczna? Kto to wie? - Zachmurzyła się. - Inne dzieci były dla Jima takie niedobre. Droczyły się z nim, wyśmiewały go... zabierały mu, cokolwiek by miał. Robiłam to, co zrobiłby każdy. Byłam starsza. Staralam się go chronić.

- Nie, Ellie, przecież inni nie robili tego, co ty - powiedział łągodnie, ukazując brak logiki w jej rozumowaniu. - To przecież inne dzieci były dręczycielami.

Ellie uśmiechnęła się, jakby nie usłyszała jego słów.

- Był taki jeden chłopak. Nazywał się Clive. Miał trzynaście lat i odnosił się szczególnie wrogo do Jima. I jakkolwiek bym się starała, nie umiałam go powstrzymać. - W szmaragdowych oczach pojawił się chochlik.

- Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że w końcu ci się udało - powiedział, czując, że opowiadanie interesuje go coraz bardziej.

- Bo jest pan zbyt sprytny, panie Drake - zachichotała. - Ubolewam nad tym od dnia, w którym pana poznałam. - Zaczęła podnosić się ze schodka.

- Zaraz, zaraz! Dokąd to? Nie może mnie pani zostawić, nie kończąc tej historii. Co się stało z niedobrym Clive'em?

Ellie usiadła z powrotem i zaśmiała się srebrzyście.

- Niedobry Clive - powtórzyła w zamyśleniu. - Cóż, chłopiec ten lubił chować różne nieprzyjemne przedmioty w ubraniu Jima, jego ławce... jego jedzeniu. I nieważne, ile razy się to powtarzało, Jim nigdy nie mógł nauczyć się tego przewidywać.

W jej wzroku odmalował się smutek, a Nicholas z trudnością utrzymał swe ręce na wodzy.

- Ja zaś usiłowałam sprawdzać wszystko, zanim Jim na coś natrafi. Jednakże pewnego dnia wpadłam na pomysł. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Jednym z obyczajów przestrzeganych w... naszej szkole było to, że w piątki podawano budyn ryżowy. Deser ten należał do przysmaków Jima. Clive też go lubił, a przynajmniej sprawiało mu przyjemność odbieranie go Jimowi. Zamieniał po prostu swój pusty talerz na pełen, należący do Jima. - Poruszyła lekko swymi delikatnymi ramionami. - Tak się też składało, że Jim uwielbiał nosić przy sobie lizski. Takie małe, białe. Więc pewnego dnia dyskretnie umieściłam kilka z nich w budyniu Jima.

Wargi Nicholasa zadrgały.

- Tak, właśnie - ciągnęła Ellie. - I, jak może pan się domyślać, Clive zamienił talerze. Miałam nadzieję, że po prostu zje porcję Jima, pochoruje się i nigdy więcej nie zechce tknąć budyniu ryżowego.

Urwała na chwilę, a Nicholas poczuł, że koniecznie musi dowiedzieć się, co się dalej stało: z Clive'em, z Jimem, ale przede wszystkim z dzielną dziewczynką imieniem Ellie.

- Okazało się, że umarł od tego - stwierdził tylko na pół żartem.

Wybuchnęła śmiechem.

- Nie, ale jeden z robaków poruszył się, dokładnie wtedy, gdy Clive nabrał go na łyżkę. Oczywiście chłopak wybałuszył na to oczy i mogłabym przysiąc, że szykował już zemstę na mnie i Jimie. Jednak mieliśmy szczęście. Uratowały nas dwie rzeczy. Clive jak zwykle miał pod talerzem rysunek jakiejś... bardzo rozebranej kobiety, który przemycił do szkoły.

- A to drugie? - ponaglił ją, gdyż umilkła na dłuższą chwilę.

- Mateczka przełożona podeszła do Clive'a. „Nie dokończyłeś deseru, Clive”, powiedziała, kiedy odsuwał od siebie talerz.

Nicholas wybuchnął śmiechem, słysząc jej doskonałą imitację surowego głosu dystyngowanej zakonnicy.

- „Nie jestem głodny”, wymamrotał Clive. „Nonsens. Masz zjeść do dna”. Biedaczek nie mógł nic poradzić. Wszyscy śmiertelnie baliśmy się mateczki przełożonej. Sprzeciwić się jej, to tak jakby rzucić wyzwanie samemu Panu Bogu. Zaś gdyby Clive zechciał poinformować ją o obecności robaków w deserze, odkryłaby jego rysunek. - Ellie skrzywiła się. - Chłopiec zjadł robaki. Wiedząc, że tam są. Wszystkie, co do jednego. - Pokręciła głową. Czasem zastanawiam się, czy mateczka przełożona rzeczywiście nic nie zauważyła. Ale trudno cokolwiek zawyrokować. Tak czy siak, z przyczyn znanych tylko mateczce przełożonej, Clive'owi i Panu Bogu, chłopak nigdy więcej nie zaczepił Jima.

Nicholas patrzył na tę młodą kobietę, czując się trochę dziwnie. Ellie próbowała bronić Jima przy pomocy wszelkich dostępnych jej środków. On sam zapragnął chronić ją ze wszystkich sił. Miał ochotę na kwaśne jabłko sprać nieznośnego Clive'a, zdobyć całą kadź budyniu ryżowego dla Jima... i zapewnić Ellie bezpieczeństwo.

- Może powinienem być pogadać z Clive'em - wydusił z siebie. - Zanim zacząłem mieć do czynienia z osobami takimi, jak ty. Na pewno wiele by mnie nauczył i już dawno miałbym twój dom.

Słowa te sprawiły, że czar prysł. Nicholas z pewną ulgą patrzył, jak na twarzy Ellie pojawia się znowu niecierpliwość i gniew, niszcząc wyraz rozmarzenia, który sprawiał, iż pragnął chwycić ją w ramiona, bez względu na konsekwencje... bez względu na jej dom i zaprzysiężoną zemstę. Bo było to niemożliwe.

- Ile razy mam panu powtarzać, panie Drake, że nie zamierzam sprzedać domu? - zapytała cierpko.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, w drzwiach wejściowych do sklepu pojawiła się Hanna, a za nią Jim.

- Chodźcie wszyscy - powiedziała Hanna, wręczając Ellie jej płaszcz i torebkę. - Już najwyższa pora. Wiesz przecież, jak Barnard się denerwuje, kiedy się spóźniasz. - Urwała i popatrzyła badawczo na Nicholasa.

- Dzień dobry, panie Drake - powiedziała, siląc się na uprzejmość.

Wiedział, że myśli o swojej wizycie w jego biurze. Był ciekaw, czy Ellie zdaje sobie sprawę, że tamtego dnia odwiedziły go dwie osoby. Przypuszczał, że nie.

- Witam, panno Schurr - rzekł, wkładając w uśmiech cały swój czar, co sprawiło, iż Hanna, wbrew samej sobie, zachichotała.

- Figlarz z pana, panie Drake. Niech pan uważa, bo jeszcze zrezygnuję z Barnarda na pańską korzyść.

- Będę zaszczycony.

Ellie parsknęła z irytacją.

- Ellie! - wykrzyknęła Hanna.

- Co takiego? - Ellie nie mogła pojąć, że właśnie opowiedziała temu człowiekowi o swojej przeszłości. Jedynej osobie na świecie, która powinna wiedzieć jak najmniej. Co się z nią dzieje?

Hanna syknęła, a potem rozejrzała się po ulicy.

- Ojej, jaki piękny powóz. I pewnie bardzo szybki. Skoro pan tutaj już nim jest, to może by nas pan podwiózł do domu, panie Drake?

- Hanno!

- Droga Ellie, mamy strasznie mało czasu - stwierdziła Hanna.

- Wiem, ale w każdej chwili może się tu pojawić Charles. On nas też może podwieźć.

- Charles się tutaj nie pojawi i dobrze o tym wiesz. Pomaga swojemu ojcu otwierać to ich nowe wydawnictwo. Nie pokazuje się już od wielu dni i pewnie upłyną jeszcze tygodnie, zanim uporają się z tą pracą. Już nic lepszego nie mogli wymyślić. - Hanna pokręciła ironicznie głową. - A pan Drake jest tutaj z nami i był łaskaw zaoferować nam swój pojazd. Nic ponad to, moja droga.

- Pójdziemy pieszo, Hanno.

- Może nie jestem tak... rycerski jak pan Monroe - wtrącił się Nicholas, składając przesadnie niski ukłon - ale, jak panna Schurr była łaskawa zauważyć, znajduję się na miejscu i mam powóz do dyspozycji.

Na te słowa, nie zwracając na Ellie najmniejszej uwagi, Hanna i Jim zbiegli po schodkach prosto do czarnego landa. Ellie rzuciła Nicholasowi gniewne spojrzenie.

- Zawsze musi pan postawić na swoim.

- Gdybyż mogło to dotyczyć także pani - odparł, uśmiechając się.

Ellie poczerwieniała. Z przyjemnością uczyniłaby temu człowiekowi coś złego. Jednak, zanim zdążyła zareagować, Nicholas wyjął jej klucze z ręki i wsunął do zamka w drzwiach.

- Hanna się śpieszy, skarbie. Nie możemy pozwolić, by Barnard musiał na nią czekać.

Ten gest zaskoczył Ellie. Dokonano go jakby mimochodem, ale zarazem z czułością. Ktoś inny wziął na siebie cięż-

zar podejmowania decyzji. Ellie zachnęła się i wyszarpnęła klucze z zamka, próbując opanować zamęt, jaki ten człowiek wprowadzał w jej życie.

- Może mi pan wierzyć, panie Drake, ale doskonale potrafię samodzielnie zamknąć drzwi na klucz.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Chciałem tylko pomóc.

- Niech pan to zachowa dla bardziej potrzebujących. Na przykład Hanny... albo panny Carlisle.

Czarne brwi mężczyzny uniosły się, a na jego ustach pojawił się psotny uśmiech. Przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem Nicholas kiwnął sam do siebie głową i pospieszył pomagać Hannie wsiąść do landa. Gdy nadeszła Ellie, usunął się na bok, nie podając jej ręki.

Ellie zmrużyła oczy, zacisnęła zęby i zebrała fałdy swej długiej sukni, a potem postawiła obutą w elegancki pantofelek nóżkę na stopniu landa. Przez chwilę wydawało jej się, że zdoła wsiąść. Jednak prawie natychmiast straciła równowagę i, mając obie ręce uwikłane w fałdach materii, zachwiała się. Próbowwała uwolnić dłonie, ale bez skutku. Krzyknęła i spadłaby ze stopnia, gdyby nie to, iż Nicholas błyskawicznie ją pochwycił.

Hanna zachłysnęła się, ale zaraz potem Jim wydał okrzyk podziwu. Nicholas skłonił się z uśmiechem, wciąż trzymając Ellie w ramionach.

- Pewnie chciałby pan, żebym upadła na twarz - mruknięła gniewnie.

- Gdyby tak było, nie pochwyciłbym pani.

- A może chodziło o to, żeby właśnie móc mnie pochwycić - ciągnęła z uporem.

Nicholas uniósł brew.

- Mamy dzisiaj bardzo wysokie pojęcie o sobie.

- Znowu pan zaczyna z tymi pańskimi „my”. Ja prawie upadłam, bo pan okazał się pozbawionym wszelkich manier gburem.

- Nie można mieć wszystkiego, panno Sinclair. Albo po-

zwała mi pani na proste grzeczności, albo nie. Niech pani wsiada.

- Ach, panie Drake - powiedziała Hanna, gdy Nicholas również znalazł się w powozie. - Można by sądzić, że próbował pan sprowokować naszą słodką Ellie.

Nicholas zaśmiał się, ale odpowiadając, patrzył tylko na Ellie.

- Czy nigdy nie przyszło pani do głowy, panno Schurr, że to pani słodka Ellie próbowała sprowokować mnie?

Tym razem to Ellie uniosła brew.

- I kto teraz ma wysokie pojęcie o sobie?

- *Touche*, panno Sinclair - powiedział Nicholas, uśmiechając się. - Czy zgodzi się pani na rozejm?

- Za nic w świecie, panie Drake.

11

O siódmej wieczorem tego samego dnia Nicholas przybył do znajdującego się na Szesnastej Ulicy domostwa Grady'ego O'Shea. Chociaż pojawił się punktualnie, na miejscu było już pełno sąsiadów pana O'Shea.

- Pan Drake! - zawołał z entuzjazmem Grady. - Miło nam pana widzieć.

Nicholas został przedstawiony po kolei wszystkim obecnym. Wiele osób było już w latach, inni, młodszy, mieli już jednak odchowane dzieci. Nieliczne osoby, jak wdowa nazwiskiem Walsh, były młode, samotne i posiadały liczną progeniturę.

Niespiesznie Nicholas omówił każdą posesję, wyjaśniając, w jaki sposób miałyby się odbyć transakcja, gdyby właściciel się na nią zdecydował. Kiedy w końcu zaproponowano mu, żeby zajął miejsce na specjalnie w tym celu przygotowanym

podium i zwrócił się do wszystkich zebranych, okazało się to zbędne. Wytworzyła się bowiem atmosfera prawie zabawy i wszyscy gotowi byli zgodzić się na sprzedaż.

Jednak ten przyjemny nastrój uległ zmianie, gdy znie-
nacka otworzyły się drzwi.

- Jak pan śmie, panie Drake!

Grady poderwał się z miejsca.

- Panna Sinclair - powiedział z wymuszonym uśmie-
chem. - Co sprawiło, że zjawiła się tu pani w ten piękny
wieczór?

Ellie patrzyła tylko na Nicholasa.

- Ten... ten... nikczemnik jest przyczyną mojej obecno-
ści tutaj.

Nicholas zmierzył Ellie zimnym spojrzeniem. Przez krót-
ką chwilę dziewczyna zapragnęła odwrócić się na pięcie
i uciec. Ale nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Ten czło-
wiek nie zrezygnuje łatwo ze swoich zamiarów. Ona zaś nie
doceniła jego determinacji. A przecież nie może pozwolić,
żeby zobaczył jej akt własności. Trzymała go w szufladzie
pod kluczem. Gdyby mogła, spaliłaby go już dawno temu.

Co by się stało, gdyby się dowiedział, kim ona napraw-
dę jest? Zniszczyłby ją równie zimno i brutalnie, jak znisz-
czył jej ojca? Teraz już sama nie wiedziała, co mogłoby się
wydarzyć. W jednej chwili gotowa byłaby przysiąc, że czło-
wiek ten jest dobry i szlachetny. Ale wkrótce potem oka-
zywało się, iż potrafi postępować bezlitośnie, zupełnie tak,
jak mówiono. Którą stronę swego charakteru ukazałby,
gdyby się dowiedział, że Ellie jest córką jego znie-
nawidzonego wroga? Nie wiedziała, ale wołała tego nie sprawdzać.
Instykt samozachowawczy, doskonale wyostrzony pod-
czas lat spędzonych w sierocińcu, podpowiadał jej, że Ni-
cholas Drake miał znacznie poważniejsze motywy niż pra-
gnienie," by sprawiedliwości stało się zadość.

Nabrała powietrza do płuc, wygładziła spódnice, a po-
tem powoli podeszła do Nicholasa, stojącego pośrodku po-

koju. Zmusiła się, by ze spokojem spojrzeć mu w oczy. Na chwilę zapomniała o całym świecie. Co kryje w sobie jego spojrzenie? zastanawiała się. Błysk dumy pomieszanej z gniewem. Jednak kiedy przyjrzała się dokładniej, dostrzegła tylko nieprzenikloną, granatową głębię.

Zanim utraciła resztę odwagi, odwróciła się do zebranych.

- Panie i panowie, przyszłam tu dzisiaj, aby wam powiedzieć, iż popełnicie błąd, sprzedając temu człowiekowi wasze domy.

Rozległy się okrzyki zdziwienia. Pani Lambert, która sąsiadowała z Ellie po drugiej stronie ślepej uliczki, pochyliła się do siedzącej obok niej osoby i szepnęła głośno:

- Dotychczas myślałam, że panna Sinclair jest damą.

Ellie poczuła, że się rumieni, ale nie pozwoliła się speszzyć. To była jedyna szansa. Dowiedziała się o tym spotkaniu *od Barnarda*, który *czekał na nią przed drzwiami*, kiedy Nicholas podwiózł ich pod dom.

W pierwszej chwili świadomość, że nie można skłonić Nicholasa Drake do zmiany zdania, że skoro nie może zdobyć jej domu, wykupi wszystkie pozostałe, sparaliżowała ją. Jednak Ellie nie poddała się i zmusiła się do działania. Jej ostatnią nadzieją było pojawić się na zebraniu i wyjaśnić sąsiadom, dlaczego sprzedaż nie leży ich w interesie. Jednak mówienie zebrany, że popełniają błąd, nie stanowiło najlepszego początku. Niestety, jak już nieraz, znowu powiedziała coś, zanim zdążyła się zastanowić.

- Możecie sobie o mnie myśleć, co chcecie - zwróciła się do rozgniewanych ludzi - ale mam prawo poinformować was, jakie jest moje zdanie na ten temat.

- Nie ma pani żadnego prawa! Nie była pani zaproszona! - zawołał jakiś mężczyzna z głębi sali.

Jednak inny powiedział:

- Pozwólcie jej mówić.

- Dziękuję panu, panie Priori - odparła Ellie, korzystając nawet z tak zdawkowego poparcia. - Postaram się nie

zabrać wam zbyt wiele czasu. Muszę jednak podzielić się z wami paroma faktami. Jeśli sprzedacie wasze domy panu Drake po cenie rynkowej, a nawet trochę drożej, nie uzyskacie wystarczająco dużo, żeby kupić jakąkolwiek przyzwoitą nieruchomość w obrębie Manhattanu.

- O czym ty mówisz, panienko?

- Wszyscy mamy domy na Szesnastej Ulicy. Oczywiście, nie jest to najlepsza dzielnica w mieście, ale my przecież dbamy, żeby nasza ulica miała klasę. Nie dopuszczamy tu łobuzów i chuliganów.

- To Harry Dillard trzymał ich z daleka - stwierdził Grady.

Na wzmiankę o swoim ojcu Ellie z trudnością zachowała opanowanie.

- Ale teraz Dillard nie żyje - ciągnął Grady - i nie wiadomo, jacy złodzieje i rzezimieszki zaczną tu rządzić.

Wśród zebranych rozległ się szmer poparcia.

- Żadni złodzieje i rzezimieszki tu nie przyjdą - rzekła Ellie. - Pan Roosevelt powsadzał ich wszystkich do więzienia. Przystępczy bossowie utracili panowanie nad miastem. Polityka Theodore Roosevelta osiągnęła niewątpliwe sukcesy

- A ty, panienko, kierujesz jego kampanią wyborczą?

Wszyscy zebrani roześmiali się poza Nicholasem, który stał, milcząc, ze zwodniczym, jak już to Ellie wiedziała z doświadczenia, spokojem. W rzeczywistości Nicholas Drake był wściekły. Tyle tylko, że Ellie to nic a nic nie obchodziło.

Zebrani skoncentrowali uwagę na Nicholasie.

- Czy to prawda? - padło z sali pytanie.

- Zapewniam państwa, że panna Sinclair grubo przesadza.

- Przesadza! - wykrzyknęła Ellie. - Jeśli mi nie wierzycie, to rozejrzyjcie się dookoła siebie. Sprawdźcie, co zdołacie kupić za pieniądze, które pan Drake jest gotów wam zapłacić. Wy go nie obchodźcie, tylko jego własne interesy i zyski.

- Ellie. - Słowo to zabrzmiało groźnie, jak komenda.

Ellie zebrała siły i odwróciła się do Nicholasasa i spojrze-

ła mu w oczy. Widniał w nich gniew, który widziała w nich tylko raz: wtedy, gdy mówił o świetle bez miłości.

- Jeśli zamierza pani mówić im o moich interesach - stwierdził beznamiętnie - to może wypadałoby też powiedzieć o swoich.

Zmrużyła oczy. Powinna była to przewidzieć.

Kiedy się nie odezwała, Nicholas odwrócił się do zebranych.

- Panna Sinclair nie chce, żebyście sprzedawali waszych domów, bo ona pragnie zachować swój. Ma ochotę podejmować decyzje za was wszystkich.

- Jasne - burknął jakiś mężczyzna. - Niektórzy z nas woleliby sprzedać.

- Ale pan Drake nie może kupić pojedynczych domów - wtrącił się Grady. - Bierze wszystko, albo nic.

- Sami słyszeliście, co panna Sinclair powiedziała. Nasza okolica schodzi na psy. Teraz mamy szansę sprzedać nasze domy i jeszcze na tym zarobić.

- Proponuję natychmiastowe głosowanie - oświadczyła pani Walsh.

Ellie przeraziła się. To niemożliwe. Nie mogą się zgodzić na sprzedaż.

- Pani Walsh. Jak może pani w ogóle myśleć o sprzedaży. Gdzie się pani podzieje?

- Może sprzedać dom i przenieść się do pensjonatu i żyć dostatnio do końca swoich dni - wtrącił się Nicholas, uśmiechając się do pani Walsh.

- Ależ ona ma siedmioro dzieci - odparła Ellie. - Żaden przyzwoity pensjonat nie przyjmie kobiety z siedmiorgiem dzieci.

- To prawda - stwierdziła pani Lambert, kiwając głową. - Jeśli nie stać pani na kupno nowego domu, skończy pani w czynszówce.

- Na Lower East Side? - jęknęła pani Walsh, a na jej twarzy pojawił się lęk i zgroza.

- Pani Walsh na pewno będzie mogła sobie pozwolić na coś lepszego niż Lower East Side - wtrącił się Nicholas.

- Gdzie? - zapytała Ellie. - Na Lower West Side?

Pani Walsh nie czekała na odpowiedź.

- Jestem przeciw sprzedaży.

- Ale przedtem zgodziła się pani - powiedział Nicholas, tracąc cierpliwość.

- A teraz nie. Może nie posiadam rezydencji przy Piątej Alei - rzekła znacząco - ale mój dom jest czysty i w doskonałym stanie, a mój drogi Orville, niech mu ziemia lekką będzie, spłacił go w całości.

- Ja też. Jestem przeciw.

Jeden po drugim zebrani wypowiadali się przeciwko sprzedaży. Ellie doznała ulgi, ale także odczuła wyrzuty sumienia, że udało jej się pokrzyżować zamiary Nicholasas. Co za idiotyzm. On z pewnością w najmniejszym stopniu nie przejąłby się, gdyby zrujnował jej życie. Popatrzyła na Nicholasas. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale Ellie wiedziała, że jest wściekły. Rzucił jej mroczne spojrzenie swych ciemnych oczu, tym bardziej mordercze, że pozabawione wszelkich uczuć.

- Cóż - powiedziała Ellie, odwracając się. - Na mnie już pora.

Liczyła na to, że zdoła się wymknąć, unikając rozmowy z Nicholasem. Jednak nadzieja ta okazała się płonna. Gdy Ellie wyszła za próg, drzwi otworzyły się znowu.

- Ellie.

Zwolniła na moment, ale zaraz przyspieszyła kroku, pragnąc jak najprędzej znaleźć się bezpiecznie w domu. Jednak po chwili Nicholas był tuż przy niej.

- Ellie!

Chwycił dziewczynę za ramię i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Do diabła, zrobiłaś to tylko po to, żeby mnie rozżłościć!

Ośłupiała. Wcześniejsze wyrzuty sumienia zniknęły bez śladu.

- Jesteś zarozumiałym, zapatrzonym w siebie egoistą. Nie chodzi o ciebie. Ratujemy nasze domy. Bronimy się przed zależnością od oszukańczych właścicieli czynszówek.

- To ty jesteś właścicielką!

- Owszem, ale Barnard, Hanna, Jim i ja stanowimy rodzinę. Polegamy na sobie. Kochamy się. Ty o takich sprawach nie masz najmniejszego pojęcia.

Ellie widziała, że Nicholas zaciska szczęki, jednak nie potrafiła się pohamować.

- Nie wiesz, co to tworzyć, potrafisz tylko niszczyć i nie dbasz o to, kogo po drodze skrzywdzisz.

Czuła, że bliska jest przekroczenia granicy. Nicholas ledwo już powstrzymywał wściekłość. Jednak Ellie nie mogła przestać. Opanowała przyptyw lęku, pozwalając, by do głosu doszły gniew i oburzenie.

- Mówi pan, że chce pomóc Charlotte. Jedynym powodem, dla którego pragnie pan to uczynić, jest to, że nie potrafi pan przyznać, iż stracił pan panowanie nad sytuacją. Gniewa pana to, że jest dziewczynka jest chora, a wszechpotężny pan Nicholas Drake nic na to nie może poradzić. Panu tylko chodzi o poczucie władzy, Drake, nie zaś czynienie dobra.

W jego wzroku czaił się mord. Bolesnie ścisnął ją za ramię, ale nie odezwał się. Zamiast tego skierował ją na ulicę.

- Dokąd idziemy? - zapytała, gdy minęli jej dom.

Nicholas szedł, nie odpowiadając jej.

Ellie próbowała się wyrwać, gdyż jej gniew ustąpił strachowi.

- Dokąd mnie pan prowadzi?

Oddalili się o parę przecznic od Szesnastej Ulicy i dotarli do wysokiego, licowanego granitem budynku z zewnętrznymi kręconymi schodami, które prowadziły na samą górę. Ellie potknęła się na jednym z pierwszych stopni i spadłaby, gdyby Nicholas mocno jej nie trzymał.

- Proszę mnie puścić!

Nie usłuchał jej i wspinali się coraz wyżej i wyżej. Ellie

dostała zadyszki, ale oddech mężczyzny pozostał równy i spokojny. Dopiero kiedy znaleźli się na samej górze, Nicholas z niesmakiem uwolnił jej ramię.

Wziął głęboki wdech, ale tylko po to, by uspokoić myśli. Potem przez chwilę stał w milczeniu, patrząc na rozciągający się przed nimi widok. Ellie rozejrzała się i przekonała się, że na zachodzie widzi stąd rzekę Hudson, za nią klify New Jersey, a na wschodzie East River i tereny, które, jak mówiono, miały wkrótce zostać włączone do właśnie tworzonej wielkiej aglomeracji Nowego Jorku. Długi, wąski pas ziemi między dwoma rzekami, znany jako Manhattan, pokrywała nieskończona liczba budynków.

Ellie odwróciła się do Nicholasa, trochę niespokojna, a trochę zadowolona. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to to, że wyraz jego twarzy nasuwa jej na myśl jej własne doznania, kiedy malowała. Zatrącenie się w innym świecie.

Patrzyła, jak gniew go opuszcza, ale wiedziała, że człowiek ten nigdy nie zaznaje prawdziwego spokoju.

- Ja nie pragnę niszczyć - powiedział cicho. - Chcę tworzyć. Budować. Wszystko jest zaplanowane. Budynek. Wnętrze. Nawet wspaniałe przyjęcie, na którym ogłoszę moje plany. Machina została puszczona w ruch, Eliot. Przyjęcie odbędzie się w pierwszym tygodniu września. - Na chwilę zacisnął powieki. - Co więcej, może mi pani wierzyć lub nie, ale nie chcę kontrolować Charlotte. Pragnę tylko, żeby wyzdrowiała - dodał, nie odrywając wzroku od horyzontu.

- Wiem, przepraszam. Nie powinnam była tego wszystkiego mówić. - Popatrzyła z westchnieniem w dal. Jej gniew i strach gdzieś się rozwiały. - Dlaczego właśnie wtedy, kiedy najbardziej pana nienawidzę - szepnęła - najpierw w deszczu, a teraz w tej chwili, kiedy chce pan odebrać jedyną rzecz, która... się dla mnie liczy, pragnę powiedzieć panu, że wszystko będzie dobrze?

Chociaż stali o prawie pół metra od siebie, wyczuła w nim napięcie. Nieoczekiwanie zapragnęła go pocieszyć.

Jednak zanim zdążyła cokolwiek uczynić, Nicholas odezwał się:

- Czasami zastanawiam się, czy rzeczywiście wszystko może się dobrze skończyć. Czy przypadkiem rzeczywiście nie gonię za promieniami księżyca na czarnym niebie, które może tylko mnie pochłonać?

Ellie nie mogła znieść cierpienia innych, zwłaszcza tych, którzy byli jej bliscy. Teraz właśnie zaczęła odczuwać, że taką osobą staje się dla niej Nicholas Drake.

- Przecież to pan mówił mi, że wszystko jest możliwe. Nicholas skrzywił się.

- Ależ tak. I pan... może schwytać promień księżyca.

Odwrócił się do niej powoli.

- To znaczyłoby, że musiałbym znaleźć sposób na uratowanie Charlotte... i że pani musi sprzedać mi swój dom.

- Niech pan sobie znajdzie jakiś inny dom, w innej okolicy.

- Nie ma innego domu. Tylko ten.

- Dlaczego? Może pan budować gdziekolwiek. Są setki innych ulic, zupełnie takich jak moja, gdzie ludzie z przyjemnością sprzedadzą panu swoje domy. Całe kwartały, które dawno powinny iść do rozbiórki. Niech pan zajmie się okolicą, która potrzebuje przebudowy.

- Nie mogę. Muszę zacząć od tego miejsca.

Ellie zniecierpliwiła się.

- Dlaczego, do licha? - Ale przecież, oczywiście, wiedziała, dlaczego, a przynajmniej domyślała się. Harry Dillard.

- To nie jest pani sprawa.

- Właśnie, że jest.

Popatrzył na nią wnikliwie.

- Niech mi pani nie staje na drodze, Ellie.

- Ktoś musi!

- Nieprawda. Mogłaby mi pani sprzedać dom, a ja nie zwracałbym innym głowy. Potrzebna mi tylko pani własność.

- Dlaczego? Czemu to dla pana takie ważne?

- Bo chcę tu budować.

- Czemu właśnie tutaj? Proszę mi odpowiedzieć. -
Chciała usłyszeć to z jego ust. Nie plotki. Nie domysły. -
Proszę powiedzieć mi prawdę.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, aż wreszcie przemówił. Jednak słowa, które wypowiedział, zaskoczyły ją.

- Muszę tu budować, żeby... ocalić honor moich rodziców.

12

Nowy Jork, rok 1873

W domu przy Lafayette Place panowała cisza. Cisza i bezruch. Matka Nicholasa poszła na górę i zamknęła się w swoich apartamentach. Ojciec udał się do biura, chociaż Nicholas nie miał pojęcia, po co. Niania zabrała Miriam do parku. Służba miała wychodne. Ze słów ojca, które usłyszała mimochodem, zrozumiał, że wkrótce służby wcale nie będzie.

Kochana Eva, poczciwy James. Nicholas nie potrafił wyobrazić sobie życia bez nich. Nie miał pojęcia, co ich wszystkich czeka.

Upłynęło już sporo czasu od dnia, kiedy ojciec oznajmił im, że są zrujnowani. Nicholas miał teraz całkowitą swobodę. Mógł wychodzić z domu i wracać, kiedy chciał, mógł jeździć omnibusem na ryby na drugi koniec miasta, nie mówiąc nikomu ani słowa. Ale Nicholas nie miał ochoty chodzić na ryby. Chciał tylko, żeby wróciło ich dawne życie.

Stukot ciężkiej, mosiężnej kołatki, szarpniętej niecierpliwą ręką, rozległ się po całym domu. Nicholas wiedział, że nikt nie podejdzie do drzwi, więc powoli podniósł się z fotela, na którym siedział w bibliotece.

- Dzień dobry - powiedział przybysz, ukazując w uśmiechu równe, białe zęby.

Był wysoki i dobrze ubrany, tyle że w innym stylu niż ojciec Nicholasa. Czy to jest właśnie fioletowa kamizelka? zastanawiał się Nicholas z ciekawością.

- Dzień dobry - odpowiedział mężczyźnie, który wyglądał znajomo.

- Czy ojciec jest w domu?

- Nie - odparł grzecznie. - Poszedł do biura.

Mężczyzna wszedł do środka, niezaproszony. Nicholas zaniepokoił się. Z bliska widać było, że włosy przybysza są gęste i jasne, ale matka uznałaby taką fryzurę za niewłaściwą, a w orzechowych oczach nieznanego malował się wyraz, który wprawił chłopca w zakłopotanie.

- Powiedziałem, że ojca nie ma w domu... proszę pana.

Mężczyzna wcale go nie słuchał, rozglądając się po hallu, szacując wzrokiem obrazy i meble, starożytne wazony i wschodnie dywany.

- Myślę, że powinien pan stąd wyjść - zażądał Nicholas, usiłując mówić stanowczo - bo poproszę kogoś ze służby, żeby wezwał policję.

Nieproszony gość zaśmiał się.

- Nie ma tu nikogo ze służby, chłopczyku. Myślisz, że nie sprawdziłem? O, nie. Tylko głupiec mógłby być taki nieostrożny. - Spojrzał Nicholasowi w oczy. - A ja nie jestem głupcem. - Jego śmiech rozległ się echem po hallu. - Nie, to inni są niemądrzy. Ci, którzy zdradzają swoje tajemnice żonom. Mam rację?

- Prosiłem, żeby opuścił pan ten dom - powiedział Nicholas, czując, że serce wali mu jak młotem.

Obcy uniósł brew.

- Chłopiec usiłuje być mężczyzną. - Zachichotał złowieszczo. - Nic się nie martw. Już sobie idę - powiedział, rzucając ostatnie spojrzenie na hall. - Widziałem, co trzeba. Chciałem się tylko upewnić, co wkrótce stanie się moją własnością.

- To nasz dom! - zawołał Nicholas.

Mężczyzna zaśmiał się ironicznie.

- Jak na razie. - Westchnął, a na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia. Potem, najwyraźniej usatysfakcjonowany, skierował się do wyjścia. Jednak, będąc już w drzwiach, zatrzymał się i cofnął. Z ponurym uśmiechem wy dobył z kieszeni na piersiach długi, złocistobłękitny szal z cienkiej tkaniny. Nicholas poznał go od razu.

- To mojej mamy - wyjąkał.

- Tak. Istotnie. Oddaj go swojemu ojcu. To wiadomość... dla niemądrego mężczyzny - dodał, chichocząc. - Z podziękowaniami ode mnie. - Znowu ruszył do drzwi i ponownie zatrzymał się. - Powiedz mu, że to od Harry'ego Dillarda.

Harry Dillard.

Nicholas, stojąc samotnie w hallu, zastanawiał się przez chwilę nad tym nazwiskiem. Mimo młodego wieku wiedział, że Harry Dillard nie jest człowiekiem, który powinien mieć szal jego matki. Zdawał sobie też sprawę, że jego ojciec nienawidzi niedawnego przybysza.

Chłopiec tkwił w bezruchu, trzymając w dłoni szal i próbując zrozumieć usłyszane przed chwilą słowa. Odsunął zasłonę i wyjrzał przez okno. Nieproszony gość wsiadał właśnie do wielkiego, czarnego powozu, zaprzężonego w parę karych koni.

Nagle przypomniał sobie dzień, w którym jego matka chciała iść z nim na spacer. Na lunch. Do parku. Gdziekolwiek. Ale on miał inne plany. Poczował, że ogarnia go przerażenie. Powóz, który właśnie odjeżdżał sprzed ich domu, to był ten sam, który oddalił się od ich drzwi w dniu, kiedy jego matka płakała.

Wszystko stało się jasne.

Jego matka zdradziła Harry'emu Dillardowi tajemnice.

Wielki Boże, co teraz robić? Zażądać od matki wyjaśnień? Nie wiedział, jak miałby to zrobić, zwłaszcza że ojciec ostatnio był tak pełen gniewu i nienawiści.

Nicholas nie zdawał sobie sprawy, jak wiele czasu upłynęło do chwili, gdy jego matka pojawiła się u szczytu schodów.

- Był tutaj ktoś, Nicholasie? - zapytała nabrzmiałym łzami głosem.

Nicholas błyskawicznie ukrył szal w kieszeni, a potem otworzył usta, by udzielić jej odpowiedzi. Wtedy jednak drzwi otworzyły się nagle. Przez chwilę Nicholas myślał, że wrócił Harry Dillard. Jednak nie, to był ojciec, który pojawił się w wejściu z twarzą nabiegłą krwią od gniewu. Włosy i ubranie miał w nieładzie. Skierował dzikie spojrzenie na swego żonę i syna.

- Ktoś mnie chyba przeklął w dniu moich narodzin! - wściekał się Pierre Drake. - Dowiedziałem się, kto mnie zdradził!

13

Na biurku leżała pojedyncza kartka eleganckiego papieru listowego. Nie pismo, ani list. Wiadomość ograniczała się do jego imienia, jednej linijki starannie wykaligrafowanego tekstu i podpisu.

Najdroższy Nicholasie,

Wybacz mi.

Mama

I nic ponadto.

Nicholas zaczerpnął tchu i zamknął oczy, starając się nie słyszeć hałasu, dobiegającego z Piątej Alei, przy której znajdowało się jego biuro. Przeciągnął dłonią po włosach, a potem oparł głowę na rękę, walcząc z falą wspomnień.

Poradził sobie z koszmarem, zamykając go w odległej komórce pamięci i nigdy do niego nie wracając. Aż do niedawna. Teraz wspomnienia wróciły. Dlaczego?

Czyżby z powodu Ellie?

Ellie. Ellie w sądzie, cała ubłocona. Ellie widziana przez

owalną szybkę w drzwiach. Przede wszystkim jednak Ellie w deszczu.

Pokręcił głową. Zawsze podobały mu się kobiety ciemnowłose i ciemnookie. Wyrafinowane, o niskich głosach i pełnych ciałach. Co za ironia, że w końcu uległ jasnowłosej, zielonookiej kobiecie o ostrym języku, która żywiła do niego uczucia dalekie od przyjaźni.

Co do niej czuł? Czyżby była to obsesja? Nigdy nie podejrzewał, że jest zdolny popaść w obsesję na czyimkolwiek tle.

Nie. To było pragnienie. Niechciane i nieoczekiwane. Od lat nie odczuwał przywiązania do żadnej ludzkiej istoty. Nie mógł sobie na to pozwolić. Nie można obdarzać ludzi zaufaniem. Nicholas nauczył się tego dawno temu. Ludzie, od których stajemy się zależni, zdradzają nas.

Usiłując się skupić, Nicholas sięgnął po sprawozdanie i przeczytał pierwszą linijkę. Budyńki, które wzniesiono na podstawie jego projektów, stały się znane. Jeden z poważniejszych bankierów w kraju pragnął, by Nicholas zaprojektował mu nowy bank. Większy. Lepszy. Piękniejszy. Nicholas powinien być zadowolony. Ale, siedząc samotnie w swoim gabinecie, słuchając monotonnego tykania zegara, mógł myśleć tylko o Ellie i jej domu na Szesnastej Ulicy.

Nieważne, że dom znaczył dla niej tak wiele. Nicholas wiedział tylko, jak ważny jest on dla niego samego. Należy zamknąć koło. Zakończyć pewien rozdział życia. Ostatecznie wyrzucić z pamięci Harry'ego Dillarda. Wtedy wspomnienia znikną. Tylko Ellie stała mu na drodze.

Zniechęcony, Nicholas odłożył pióro i skierował się do wyjścia.

Dzień był piękny, więc poszedł pieszo. Na skrzyżowaniu Piątej Alei, Broadwayu i Dwudziestej Trzeciej ruch prawie zamarł. Tak jak wczoraj, Nicholas ruszył Piątą Aleją na południe, minął budynek Western Union Telegraph, skręcił w prawo w Dwudziestą Pierwszą Ulicę, mówiąc sobie w duchu, że przejdzie przez Szóstą Aleję i złapie ko-

lejkę nadziejną. Sam sobie nie przyznawał się, dokąd naprawdę zamierza się udać.

Zwolnił kroku, gdy w połowie drogi natrafił na Jima, który znowu siedział na schodkach, chowając głowę w ramionach. Nicholas skrzywił się, ale wiedział, że nie ma wyboru.

- Cześć, kolego - zawołał, a potem usiadł obok Jima.

Młodzieniec poderwał głowę i popatrzył na Nicholasa, wybałuszając oczy.

- To ja, Jimie. Nicholas.

Nicholas nie miał wątpliwości, że Jim rozpoznał go dopiero po chwili.

- Nicky - powiedział zmieszany, marszcząc brwi. - Co tutaj robisz?

- Przechadzam się - odparł Nicholas, wruszając ramionami.

- Naprawdę jesteś moim kolegą?

Pytanie zaskoczyło Nicholasa. Użył tego słowa, nie zastanawiając się nad jego znaczeniem.

- Jasne - odpowiedział jednak.

- Naprawdę? - zapytał Jim z troską.

- Oczywiście. Nie mam żadnych prawdziwych kolegów. Jeśli chcesz, będę twoim kumplem.

- Czy to znaczy, że tobie też będę musiał płacić? - zapytał z westchnieniem Jim.

- Płacić mnie? O czym ty mówisz, Jim?

- Rudy, Billy i Bo są moimi kumplami. A ja muszę im codziennie płacić pieniądze.

- Płacisz ludziom pieniądze?

- Tak - westchnął olbrzym, opuszczając bezradnie ramiona.

- Ile? - zapytał Nicholas, mrużąc oczy.

- Do tej pory pięć centów. Ale teraz ma to być więcej. Dziesięć centów - jęknął Jim, kręcąc głową. - To za dużo.

- Zaraz, zaraz, Jim. Kim są ci... twoi koledzy? Jak się nazywają?

- Mówiłem już: Rudy, Billy i Bo. Są dobrymi kumplami. Przez dłuższy czas mogłem im płacić pięć centów, chociaż inni dawno płacili po dziesięć.

Nicholas wreszcie zrozumiał, o czym Jim mówi. Nieoczekiwanie przypomniał sobie wczorajszy dzień. Jim znalazł się znowu w takiej samej sytuacji. Nicholas przypomniał sobie, jak Ellie mówiła, że Jim spóźnił się po raz trzeci. Przypomniał sobie także jej opowiadanie i młodocianego chuligana imieniem Clive... i Jima płaczącego samotnie na schodkach. Poczował, że rośnie w nim złość.

- Gdzie można znaleźć tych twoich kumpli?

- A tam - Jim machnął ręką w stronę, z której Nicholas niedawno przyszedł. - Ale już sobie poszli.

- Zapłaciłeś im?

- Tak - odparł załóżnie. - Wszystkie moje napiwki. Dziewięć centów. - Skulił się. - Jestem im winien jeszcze jednego.

- A co Ellie na to mówi?

. Jim szeroko otworzył oczy.

- Ona nic nie wie. Nie mów jej. Nie wolno ci. - Wygrzebał z kieszeni zegarek. - Muszę już iść.

Wstał niezgrabnie i ruszył przed siebie. Po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił do Nicholasa.

- Naprawdę jesteś moim kumplem, Nicky?

Nicholas patrzył na niego, czując, że coś ścisza mu serce.

- Jasne, Jim. Jesteśmy kumplami.

Jim uśmiechnął się i odwrócił znowu. Tym razem to Nicholas do niego zawołał.

- Jeszcze jedno, Jim!

- Co, Nicky?

- Jutro pójdz o dwa skrzyżowania dalej do Dziewiętnastej Ulicy, a potem przejdź do Szóstej. Prawdziwi kumple nie zabierają sobie pieniędzy.

- Co ty mówisz? - Jim wyglądał na zdruzgotanego.

Nicholas stał na chodniku, trzymając ręce w kieszeniach.

- Nic - powiedział wreszcie. - Mówiłem do siebie. Poprosz się, bo się spóźnisz.

Jim dawno już znikł, ale Nicholas stał bez ruchu, zaciśniętymi szczękami. Nagle zwiesił głowę i jęknął, ale potem wyprostował się i ruszył z powrotem w stronę, z której przyszedł. Miał pewną sprawę... do trzech facetów o imionach Rudy, Billy i Bo.

O wpół do szóstej następnego popołudnia do gabinetu Nicholasa wpadł lokaj, a jego zazwyczaj starannie przyczesane włosy rozwiewały mu się dookoła głowy.

Dzień był ciężki i Nicholas był w złym humorze. W nocy, mimo wszelkich starań, nie mógł zasnąć. W biurze pojawił się wczesnym rankiem i odwołał wszystkie spotkania. Teraz wyglądało na to, że będzie jeszcze gorzej.

- Proszę pana! - powiedział Albert, oddychając z trudem, jakby przybiegł z domu do biura, a potem wszedł pieszo na dziesiąte piętro. - Charlotte zginęła!

Nicholas przez chwilę, nie rozumiał, o co chodzi.

- Zginęła?

- Tak, proszę pana. Nigdzie nie mogliśmy jej znaleźć.

Po chwili siedzieli w dwuosobowej kolasce, a Nicholas poganiał batem czarnego wałacha. Mimo tłoku na ulicach w kilka minut przebyli Piątą Aleję galopem, nie zwracając uwagi na wielkie wozy transportowe, i zatrzymali się przed domem.

Panna Shamworthy znajdowała się w stanie hysterii.

- O mój Boże, ani na chwilę nie spuszczałam jej z oczu, przysięgam, na grób mojego ojca. Panna Charlotte poprosiła o filiżankę herbaty. Poszłam powiedzieć kucharce, żeby ją dla niej przygotowała. Kiedy wróciłam, małej już nie było. Znikła, jak...

- Jak mogła tak po prostu zniknąć? Sprawdziła pani na górze, w pokoju dzieciennym? Na podwórku? W wozowni?

- Ależ oczywiście. Kilka razy. Musiała wyjść na ulicę. Zabłąkała się.

- Dlaczego miałyby dokądś wychodzić. Przecież chciała herbaty. - Nicholas poczuł, że ogarnia go przerażenie.

- Wiem, wiem.

- Czy widzieliście kogoś albo coś niezwykłego?

- No, jakiś czas temu przed domem stał ten mężczyzna.

- Jak wyglądał?

- Sprawiał wrażenie niezręcznego. Teraz wydaje mi się, że skądś go znam.

- Wysoki?

- Tak.

- Miał ciemnoblond włosy i flanelową koszulę mimo upału?

- Tak! To on.

Nicholas uspokoił się nieco. Bez słowa ruszył do drzwi, wskoczył do kolaski i pognął co koń wyskoczy Piątą Aleją. Błyskawicznie przedostał się Trzydziestą Czwartą Ulicą na Szóstą Aleję, a potem pospieszył na południe. Był wściekły, ale przede wszystkim czuł lęk. I to mu się bardzo nie podobało.

Wziął zakręt w Szesnąstą Ulicę, podnosząc dwa zewnętrzne koła kolaski. Nagle na jezdni zrobiło się luźniej i zobaczył je. Serce zabiło mu jak młotem. Zatrzymał konie i wyskoczył z pojazdu.

- Charlotte! - ryknął na całą okolicę.

Dziewczynka odwróciła się tak szybko, że prawie straciła równowagę. Nicholas usiłował zaś zrozumieć, co ma przed oczyma. Mała stała na chodniku, rozpościerając ramiona, a Ellie siedziała na schodkach przed domem i przyglądała się jej.

- Wujku Nicholasie! - zawołała Charlotte, najwyraźniej nie dostrzegając jego zagniewania. - Jeżdżę na wrotkach!

Słyszając, że dziewczynka po raz pierwszy zwróciła się do niego „wujku”, Nicholas odczuł nieoczekiwaną przyjemność. Po chwili jednak opanował się i popatrzył na buty małej, do których, skórzanymi paskami, przymocowane były dosyć prymitywne metalowe kółka. Dziewczynka

ostrożnie zrobiła krok w jego stronę, zachwiała się, co sprawiło, że Nicholas rzucił się ku niej, ale ona, śmiejąc się radośnie, odzyskała równowagę i podjechała prosto do niego.

- To cudowne! Jeżdżę na wrotkach!

Nicholas chwycił ją w objęcia, rzucając wściekłe spojrzenie w kierunku Ellie, która nadal siedziała na schodkach z zadowoloną miną. Co gorsza, wyglądała znacznie piękniej, niż by wypadało.

- Co pani wyrabia? - zapytał.

Wbrew sobie zafascynowany, patrzył, jak idealna harmonia jej rysów ulega zakłóceniu.

- A jak pan myśli? - warknęła.

Nicholas przykucnął i zaczął odpinać Charlotcie wrotki.

- Ale ja jeszcze nie chcę kończyć, panie... to jest wujku Nicholasie.

Mężczyzna rzucił Ellie gniewne spojrzenie, czując, że to ona w jakiś sposób nakłoniła dziewczynkę, by zwracała się do niego po imieniu.

- Właśnie zaczęłam nabierać wprawy - ciągnęła Charlotte. - Chcę dużo ćwiczyć, żeby jeździć tak dobrze, jak Ellie.

- Pani też jeździła na wrotkach?

- Oczywiście - odparła Ellie z dumą, a po chwili uśmiechnęła się psotnie. - Jeśli będzie pan bardzo, ale to bardzo miły, to też pana nauczę.

- Wolałbym nie - odrzekł sucho.

Nicholas sprawnie dokończył odpinania wrotek i już po chwili znaleźli się wewnątrz domu. Charlotcie nakazano umyć ręce, a jej wuj zamierzał „zamienić dwa słowa” z panną Sinclair.

Ellie niezbyt spodobało się to określenie, ale postanowiła nie poddawać się łatwo.

Gdy znaleźli się sami, Nicholas zwrócił się do Ellie oskarżycielsko. Jednak dziewczyna była na to przygotowana.

- Dlaczego pan mnie nachodzi? - zapytała. Wiedziała, że pytanie to nie ma sensu, ale było we właściwym tonie.

Nicholas uległ chwilowemu zaskoczeniu, szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą.

- Jak to? A pani co wyrabia? Zabiera pani Charlotte z domu, nie mówiąc nikomu ani słowa. Wszyscy szalejemy z niepokoju, a pani sobie uczy ją jeździć na wrotkach!

- Jak nikogo nigdzie nie zabierałam. Mała przyszła z Jimem. - Słowa zamarły jej w gardle. - O, nie. Zabrał ją bez pytania?

- Tak. Zabrał ją i w drodze mogło im się wszystko zdarzyć.

- No, ale na szczęście nic się nie stało. - Ellie potarła skronie. - Porozmawiam z Jimem. Ale z drugiej strony, ona tak strasznie chciała się z kimś pobawić.

- Ma własny pokój wypełniony zabawkami.

- Chciała bawić się z kimś - Ellie przewróciła oczami. - ...i niech pan nie mówi, że ma od tego nianię. Charlotte jest małą dziewczynką, Drake. Wasza panna Shamworthy najwyraźniej nie ma pojęcia, co to znaczy zabawa. Mój Boże, kiedy zapytałam Charlotte o jej ulubioną bajeczkę, okazało się, że mała nie ma pojęcia, o czym mówię. Sześcioletnia dziewczynka, która nie zna bajek!

Nicholas patrzył na Ellie, jakby straciła rozum.

- A więc poszłyśmy na strych i wyszperałyśmy *moją* książeczkę z bajkami i wierszykami dla dzieci - ciągnęła Ellie, łagodniejąc. - Małej najbardziej spodobał się Humpty-Dumpty. Jeśli pan chce, mogę wam pożyczyć tę książeczkę.

- Wolałbym nie.

- Ciekawe, czemu wcale mnie to nie dziwi - zadrwiła.

W oczach Nicholasa pojawił się groźny błysk. Przegarzał dłońią włosy, a Ellie zauważyła siniaki i zadrapania na kostkach palców.

- Co się stało? - zapytała.

Nicholas popatrzył na swoje ręce i wydawało się, iż widok zadrapań zdziwił go w tym samym stopniu, co Ellie.

- Nic - powiedział, opuszczając rękę.

- Wygląda, jakby uderzył pan w coś ostrego. - Przyjrzała

się mu dokładniej. - Pańska szczeka! Bił się pan z kimś? - zapytała z niedowierzaniem.

- Ależ to nie takiego.

- Wcale nie. - Bez zastanowienia wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

Nicholas drgnął.

- No właśnie! Jest pan posiniaczony. Co się stało?!

- Nic, naprawdę. Miałem taką drobną... sprawę do załatwienia na Dwudziestej Pierwszej Ulicy.

- Panie Drake, straszny z pana łobuz - uśmiechnęła się przekornie. - Prędzej uwierzyłabym, że niebo jest pomańczone, niż w to, że weźmie pan kiedykolwiek udział w walce na pięści. - Śmiała się jeszcze, gdy ktoś otworzył frontowe drzwi.

- Ellie! - zawołał Jim, ale urwał na widok Nicholasa. - Nicky! Co tutaj robisz? Widziałeś Charlotte? Też tutaj jest. Jeździliśmy na wrotkach. Ellie nas nauczyła. Chce pan zobaczyć? - Coś sobie nagle przypomniał. - A właśnie. Patrz, Nicky. - Sięgnął do kieszeni, a potem wyciągnął rękę zaciśniętą w pięść. Z namaszczeniem otworzył ją, wnętrzem dłoni do góry. - Patrz!

Nicholas popatrzył i na jego usta powoli wypłynął uśmiech.

- Widzę, Jim.

- Dziesięć pensów! - Jim popatrzył ukradkiem na Ellie, a potem dodał ciszej: - Chociaż poszedłem Dwudziestą Pierwszą.

Ellie popatrzyła na Jima i uśmiech zamarł na jej ustach. Bardzo powoli odwróciła się i spojrzała Nicholasowi głęboko w oczy.

- Gdzie jest Charlotte? - zapytał Jim, rozglądając się.

- Jest na górze, z Hanną - odparł Nicholas, nie odwracając głowy.

Jim schował monety do kieszeni, odwrócił się na pięcie i popędził na górę.

- Chyba jestem panu winna podziękowanie - powiedziała Ellie, czując dziwną suchość w gardle.

- To nie tak było.

- Nie? Powinam się domyślić, że Jim spóźnia się, bo ma jakieś kłopoty. Przypuszczam, że oni wyglądają gorzej niż pan - ciągnęła, a w kącikach jej ust czaił się uśmiech. Po chwili jednak zgasł, gdyż w oczach zapiekły ją łzy. - Obronił go pan.

- Ellie - powiedział Nicholas, podchodząc bliżej.

Jednak dziewczyna cofnęła się.

- Pan go ochronił - szepnęła. - Ja nie umiałam.

Odwróciła się i pobiegła do domu, a Nicholas został sam, patrząc, jak zamykają się za nią drzwi.

Czekał w milczeniu. Sam nie wiedział, dlaczego zaatakował łobuzów, którzy napastowali Jima, ani czemu po raz kolejny znalazł się pod drzwiami Eliot Sinclair. Miał tylko znaleźć Charlotte i zabrać ją do domu. Raz na zawsze zapomnieć o Ellie. Kiedy jednak Nicholas wreszcie pchnął drzwi frontowe, nie zawołał dziewczynki. Zamiast tego poszedł na górę, do Ellie.

Znalazł ją na trzecim piętrze. Były tam tylko jedne, zamknięte drzwi. Wciąż jeszcze mógł zawrócić. Kiedy jednak nikt nie zareagował na jego stukanie, nacisnął klamkę.

Ellie stała, opierając czoło o futrynę jednego z wielkich okien. Jak zawsze, na jej widok zabrakło mu tchu.

Był pewien, że zauważyła jego nadejście.

- Co tam widzisz? - zapytał cicho.

Nie odpowiedziała. Słyszał tylko stukot kół pojazdów, przejeżdżających ulicą.

Podszedł bliżej.

- Ellie, co ci jest?

Powoli narysowała palcem jakąś postać na szybie. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Obroniłeś Jima - wyszeptała.

- Ellie...

- A ja nie. Nie potrafię...

- Jesteś dla siebie niesprawiedliwa.

- Nie. Tylko szczerą. Mogę zapewnić Jimowi utrzymanie, ale nie bezpieczeństwo.

- Udawało ci się to przez wiele lat.

Zaśmiała się głucho.

- Wcale nie. Nie tak jak ty, jednym gestem. - Spojrzała mu w oczy. - Tobie wyznał, jakie ma kłopoty. Mnie nic nie powiedział.

- Nie chciał cię martwić.

- Tak, ale to nie wszystko. Potrzebuje mężczyzny, którego mógłby naśladować.

- Jest Barnard.

- Jakiż przykład może dać mu Barnard? - zaśmiała się znowu. - Jim ciągnie do ciebie. Widzi w tobie wzór silnego mężczyzny. Kogoś, kim ja nie mogę się stać.

- Może nie jesteś mężczyzną, ale nigdy dotąd nie spotkałem nikogo silniejszego od ciebie. Ani mężczyzny, ani kobiety. - Z zaskoczeniem stwierdził, że mówi prawdę. Jej siła była głęboko ukryta, ale niemała.

- Być może Jim ciągnie do mnie - dodał, wracając na pewniejszy grunt - ale ode mnie pragnie tylko przyjaźni. Ty jesteś najbliższą mu osobą.

- Wiem - powiedziała zdławionym głosem. - Ale wszystko sprowadza się do jednego problemu. W dzisiejszych czasach, kiedy na ulicach dzieją się takie rzeczy, ja nie mogę zapewnić mu bezpieczeństwa po prostu dlatego, że mam za wiele zajęć. Nie dam rady pilnować go cały czas.

- Pokręciła głową. - Biorę się za tyle spraw, że przez to nic nie jest zrobione jak należy.

Podszedł do niej i z bliska ujrzał to samo zmęczenie, które dostrzegł w dniu, kiedy chciał ugotować dla niej zupę. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że stan jej wynika z czegoś więcej niż zwykła bezsenność. Po raz pierwszy zastanowił się, jak musi się czuć niezamężna kobieta próbująca

jąca znaleźć swoje miejsce w świecie zdominowanym przez mężczyzn. Wszystkie pieniądze, jakie pojawiały się w domu, przychodziły ze sklepu... za który również odpowiadała. W dniu dzisiejszym Ellie wzbudziła w Nicholasie rozmaite uczucia. Teraz należało dodać do nich szacunek.

- Udaje ci się mnóstwo. Ze mną poradziłaś sobie doskonale.

Oczekiwał, że zareaguje śmiechem. Ale ona tylko zaciśnęła powieki.

- A co z twoimi kapeluszami? Są przecież... w modzie.

- Nie chcę się tym zajmować - powiedziała z nagłym ogniem.

Pokręcił głową, nie rozumiejąc.

- Co więc pragniesz robić?

- Chcę żyć - odparła, uspokajając się.

- Żyć? O czym ty mówisz? - zapytał, zaskoczony.

- Chcę wspiąć się na najwyższą górę, tańczyć flamenco. -

Nabrała powietrza do płuc. - Chciałabym zobaczyć ocean.

- Nigdy nie widziałaś oceanu?

- Nie. Całe życie spędziłam na Manhattanie, wyspie otoczonej rzekami, które wpływają do oceanu. Tak blisko, a mnie jest tak trudno tam dojechać.

- Podróż trwa bardzo krótko, Ellie.

- Może dla ciebie. Masz konie i powozy, a jeśli chcesz, stać cię na to, żeby wynająć dorożkę.

- Ty też możesz pojechać nad ocean, Ellie.

- Nie mogę. Tak samo, jak nie jestem w stanie zapewnić Jimowi bezpieczeństwa. Chociaż zawsze tyle mówiłam o rozsądku i praktyczności, teraz widzę, że patrzyłam na świat jak przez mgłę, nie chcąc przyjmować do wiadomości obowiązków związanych z utrzymywaniem trzech dorosłych osób oraz siebie samej.

- Nie rozumiem.

- To tak, jak przyglądanie się sobie w blasku świec. - Westchnęła. - To, co widzę, podoba mi się, ale tylko dlatego, że

blask świec łagodzi ostre kontury. Mogę zapomnieć, że w ciągu dnia dokładnie widać, iż mam dwadzieścia sześć lat.

- Bzdura. Nigdy nie spotkałem kogoś równie pięknego jak ty, bez względu na oświetlenie.

- Nie chodzi mi o urodę - powiedziała z zakłopotaniem.

- Przy blasku świec nie widzę osamotnionej trzyletniej dziewczynki ani osiemnastolatki, zdeterminowanej, by stworzyć sobie nowe życie... ani dwudziestotrzylatki, która wciąż czuje się, jakby miała lat trzy, marząc tylko o tym, by ktoś przytulił ją i pozwolił jej się wypłakać... i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

Słowa te przeniknęły do głębi serca Nicholasa. Nie zastanawiając się, powoli przyciągnął ją do siebie.

- Wszystko będzie dobrze, Ellie.

Wyczuł, że zeszywniała, jakby toczyła jakąś wewnętrzną walkę.

- Pozwól, kochanie... możesz sobie popłakać.

Wtedy Ellie poddała się i rozszlochała na dobre. Przez koszulę Nicholas czuł ciepło jej łez. Wiedział tak dobrze, jakby powiedziała mu to słowami, że płacze i nad małą dziewczynką, i nad osiemnastolatką. Ale czuł też, że to dwudziestosześcioletnia kobieta znajduje się w jego ramionach, jakby zawsze tutaj przynależała.

Kołysał ją łagodnie i szeptał słowa pocieszenia. Po dłuższej chwili łzy zaczęły wysychać.

- Och, Ellie - powiedział - umiesz tyle rzeczy. Ile kobiet potrafiłoby sobie tak świetnie dawać radę w życiu? Nawet jeśli nie lubisz robić kapeluszy, są one bardzo piękne.

- Wcale ci się nie podobają - pociągnęła nosem.

- Nigdy nic takiego nie mówiłem. - Nicholas uśmiechnął się.

- Nie musiałeś.

Nicholas po raz pierwszy rozejrzał się po pokoju i dostrzegł liczne nakrycia głowy wiszące na ścianach. Kapelusze najrozmaitszych kształtów i rozmiarów, we wszystkich

kolorach tęczy, ale żaden nie dałby się określić słowem „elegancki”. Były dziwaczne, szokujące nawet, ale nigdy wyrafinowane. Niestety, właśnie w chwili, gdy Nicholas skrzywił się bezwiednie, Ellie podniosła wzrok.

- No właśnie - rzekła oskarżycielsko. - Nie podobają ci się. - Odsunęła się z zawstydzaniem od Nicholasa, a potem podeszła do swoich wyrobów.

Nicholas ruszył za nią, ale zatrzymał się przed kołkiem, na którym wisiało kilka nakryć głowy. Wiedziony nagłym impulsem, zdjął zawadiacki kapelusz o szerokim rondzie i bez ceremonii założył go sobie na głowę, zaczepiając gumkę pod szyją.

- No i jak?

Ellie szeroko otworzyła oczy. Po chwili jednak uśmiechnęła się przez łzy.

- Prawdę mówiąc, wyglądasz fantastycznie. Moje kapelusze lepiej pasują tobie niż większości kobiet.

- Ta uwaga nie jest chyba komplementem, panno Sinclair. Wcale nie oczekiwałem takiej oceny.

- A jaką?

- Że wyglądam dziwacznie. - Zniżył głos. - Chciałem się z tobą podroczyć.

- Ze mną? Przecież ja jestem rozsądna; sam tak powiedziałeś.

- Trudno mi uwierzyć, że mówiłem coś takiego o kobiecie, która robi takie... nieprawdopodobne kapelusze, jeździ na wrotkach i pije wrzącą herbatę.

Ellie zarumieniła się i spuściła oczy. Nicholas ujął ją pod brodę.

- Jesteś niestety najbardziej irytującą, niepojętą i upartą kobietą, jaką znam. - Lekko pogładził ją po policzku. - Ellie - szepnął, a kapelusz opadł mu na plecy.

Pocałował ją lekko, tak by jej nie spłoszyć. Usłyszał, że raptownie nabiera powietrza do płuc, gdy jego ręce powędrowały wzdłuż jej barków, ramion i przedramion, aby

w końcu odnaleźć jej dłonie. Powoli podniósł rękę Ellie do ust i złożył na niej pocałunek. Kiedy zamierzał całować każdy jej palec, nagle to zobaczył.

Farbę. Pod jednym paznokciem w kształcie półksiężyca.

- Co to jest? - zapytał z uśmiechem, odsuwając od siebie jej dłoń, żeby móc się lepiej przyjrzeć.

Ellie zachnęła się, wyszarpnęła mu rękę i popatrzyła na nią. Wzruszyła ramionami.

- Musiałam się pobrudzić, kiedy pomagałam Barnardowi - powiedziała, odsuwając się. - A teraz pora, żebyś już sobie poszedł.

- Ależ...

- Nie, panie Drake. To, co się zdarzyło między nami, nigdy nie powinno było mieć miejsca.

- Co? Dlatego, że chciałem wiedzieć, skąd masz farbę pod paznokciem? - Ujął jej dłoń. - Nigdy więcej o to nie zapytam - powiedział pokornie.

- Wie pan, że nie to miałam na myśli - odparła Ellie nerwowo.

- Hmm. A więc chodzi o to, że panią pocałowałem? - Przyciągnął ją do siebie. - Obawiam się, że nie mogę obiecać, iż więcej tego nie zrobię.

Leciutko musnął wargami jej kark.

- Nie - szepnęła. - Nie może pan. Nie możemy.

- Dlaczego? - Usta Nicholasa znalazły się tuż przy jej uchu. Zadrżała. Jednak zaraz wyrwała się i odwróciła twarzą do niego. Czerwień jej policzków zdradzała, że jej spokój jest pozorny.

- Nic nam to nie przyniesie dobrego.

- Ellie... - zaczął, ale zamilkł, ujrawszy swoje odbicie w szybie okna. Wysoką, ciemną postać, mężczyznę, którego znał od tyłu lat... z idiotycznym kapeluszem zwisającym na plecach.

Ten widok wstrząsnął nim. Nie dlatego, że wyglądał głupio, ani że umarłby ze wstydu, gdyby go ktoś tak zobaczył, lecz dlatego, że świadczył o tym, jak bardzo oddalił się od

człowieka, jakim od dawna starał się być. Twardym. Zimnym. Bezlitosnym, w razie potrzeby. Ten Nicholas Drake nie miał zwyczaju zabawiać opornych kobiet, zakładając śmieszne kapelusze.

Nagle ogarnęły go wspomnienia. I wstyd. Zacisnął zęby, nabrał powietrza do płuc i powoli odwiązał jedwabne wstążki kapelusza.

- Skoro tak - powiedział w końcu - to życzę pani dobrej nocy.

14

Nowy Jork 1873

Zdradziłeś mnie!

Nicholas stał jak skamieniały, rozpaczliwie próbując zrozumieć zarzuty ojca. Wobec niego. Nicholasa.

Ojciec obwinił jego.

Jak przez mgłę usłyszał zachnięcie się matki. Usiłował skupić się na tym, jak zegar wybija godzinę.

Ojciec winił jego.

Jego ukochany ojciec. Ojciec, którego tak bardzo starał się naśladować.

Ojciec winił go za coś, czego nie popełnił.

- Kość z mojej kości, krew z mojej krwi - wściekał się ojciec, czerwieniejąc na twarzy. Na czole pulsowała mu żyłka. - Zdradził mnie! Mój własny syn!

Nicholas nie mógł wydobyć głosu, nie wiedział, co ma powiedzieć, jak się bronić. W kieszeni miał szal, przyniesiony przez Harry'ego Dillarda. Chłopiec spojrzął na matkę i zakręciło mu się w głowie. Co zobaczył w jej oczach? Lęk? Panikę?

Mamo, proszę, modlił się w duchu, powiedz tacie, że to nie ja.

- Nie mogę uwierzyć, żeby mój własny syn opowiadał swoim koleżkom o moich planach. Ale ktoś inny mógłby mnie zdradzić? Ufałem ci. Mojemu synowi. Dziedzicowi. Byłeś świadkiem wszystkich naszych rozmów. Mogłeś się więc dowiedzieć.

- Ależ, ojcze...

- Żadnych „ależ, ojcze”. Nie ma usprawiedliwienia dla twego postępków. - Potrząsnął głową. - Twoja matka mówiła mi wielokrotnie, że Ted i Maynard to nic dobrego. Powinienem być jej słuchać.

Nicholas czuł, że serce zamiera mu w piersi. W głowie miał chaos. Jego ojciec nienawidzi go. Raz jeszcze odwrócił się do matki, błagając ją wzrokiem o pomoc. Nie zastanawiał się, co stałoby się, gdyby powiedziała prawdę. Patrzył tylko na matkę i zaczął znowu oddychać dopiero wtedy, gdy zaczęła mówić.

15

Nicholas stał przy oknie w swoim gabinecie i patrzył w ociekający deszczem nocny mrok. Był wściekły. Zmęczony. Zły na samego siebie za to, że znowu dał się ponieść fali wspomnień.

Musi odzyskać panowanie nad sobą.

Odwrócił się, postanawiając, iż pora już iść spać. Może wtedy zazna trochę spokoju.

Poszedł na górę. Gruby dywan tłumił jego kroki. Wiedziony impulsem Nicholas zajął do Charlotte.

- Wujku Nicholasie?

Wujku. Prawie się uśmiechnął.

-Tak?

- Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałam, wychodząc do Ellie z Jimem. Nie chciałam cię rozgniewać.

Nicholas oparł się o futrynę i westchnął. Czasami tak łatwo było zapomnieć, że dziewczynka jest chora.

- Nie gniewam się.

Zawahała się.

- Ale wyglądałeś, jakbyś się gniewał.

- No, pewnie tak. Ale ja się tylko... martwiłem o ciebie.

Nastała chwila milczenia, zdumiewająco przyjemna, jakby wszystko na całym świecie było w porządku.

Chciał już powiedzieć „dobranoc” i odejść, kiedy z po-koju dobiegł cichy głosik.

- Czy mamusia kiedyś do mnie wróci?

Nie wiedział, co ma zrobić. Powiedzieć jej zgodnie z prawdą, że nie wie? Że na listy, które wysyła do siostry, nie uzyskuje odpowiedzi? Czy też ma skłamać? Nie chciał pisać do Miriam, że jej dziecko jest chore, więc prosił ją tylko, żeby wróciła do domu. Bez skutku.

Niech cię diabli, Miriam, pomyślał. Jak możesz mi to zrobić? Potem jednak poprawił się. Jak możesz to zrobić własnej córce?

Do tej pory wszystko w jego życiu było albo czarne, albo białe. Teraz, gdy Charlotte czekała na jego odpowiedź, padło na nie tysiąc odcieni szarości. Zapewnienie dziecku stawy i odzieży, to jedno. Z tym sobie radził. Ale rozmowy o mamie, która wróci, albo, jak sądził Nicholas, nie, wykaczały poza jego umiejętności wychowawcze.

Raz jeszcze przeklął swoją siostrę. Zawsze była nieodpowiedzialna. Jako dzieci zmuszeni byli zamieszkać u babci. Miriam miała wtedy siedem lat. W wieku lat dziesięciu stała się nie do zniesienia. Potem wyrosła na skandalicznie zachowującą się nastolatkę, a gdy dorosła, nie można było na niej polegać w najmniejszym stopniu. Do tej pory nie przeszkadzało to jednak Nicholasowi. Do chwili,

gdy musiał odpowiedzieć na pytanie małej dziewczynki.

Wszedł do pokoju i usiadł na krawędzi łóżeczka. Niezręcznie pogładził gęste włosy dziewczynki, usiłując poradzić sobie jakoś z sytuacją.

- Oczywiście, że tak - powiedział z uśmiechem, który miał być krzepiący.

- A tata?

- Tata też. - Nawet jeśli będzie musiał przekopać cały Paryż, znajdzie ich, a potem sprowadzi osobiście do Ameryki.

Słyszając jego słowa, Charlotte rozpromieniła się. Uwierzyła mu, miała do niego zaufanie. Nicholas poczuł nieoczekiwane zadowolenie.

- Dziękuję. - Westchnęła z satysfakcją, a potem odwróciła się na bok, przytulając nieznaną Nicholasowi szmacianą lalkę, i zamknęła oczy. - Dobranoc, wujku Nicholasie. Jesteś kochany.

Nicholas zamarł, sparaliżowany niechcianym uczuciem.

- Śpij dobrze - odszepnął tylko. Nie potrafił powiedzieć swojej siostrzenicy, iż także ją kocha.

Wyszedł z pokoju i oparł się plecami o drzwi. Jak dawno temu wypowiadał słowa „kocham cię”? Ile czasu upłynęło, kiedy ostatni raz je usłyszał?

Kochał matkę... swoją piękną matkę o bujnych, ciemnych lokach, wymykających się kosmykami na twarz.

Och, mamo.

Dlaczego płakała? zastanawiał się tak samo jak niegdyś. Teraz jednak miał nadzieję, że znajdzie nową odpowiedź na to pytanie. Taką, która podważy to, czego się dotychczas nauczył o życiu.

Czemu nie poszedł z nią wtedy na spacer? Czemu nie zapytał, co się stało, kiedy wróciła? Czemu wybrał się z kolegami na ryby?

Westchnął głęboko i poszedł do siebie. Wiedział, że tej nocy nie zaśnie. Próbował czytać, ale bez skutku. Wyciągnął z szafy płaszcz przeciwdeszczowy, a potem wymknął

się na taras prowadzący na podwórko. W ciemną noc. Na ulice miasta.

Dopóki jej nie odnajdzie.

16

Ellie stała, milcząc, pod rozgwieżdżonym niebem, a w duszy czuła wielką radość. Wyszła na spacer pomimo późnej pory, bo coś pociągnęło ją do galerii sztuki. Tej właśnie. Do tego miejsca, gdzie Barnard zanosił jej obrazy. Jeden z nich widać było teraz w oknie wystawowym.

„W objęciach”. Taki tytuł nadał mu Able Smythe. Oprawiony obraz wisiał na ścianie, prezentując śmiało swoją treść, budząc w Ellie nieoczekiwane emocje. Po raz pierwszy widziała swoje własne dzieło w innym miejscu niż jej pokój.

Zamknęła parasolkę, a płaszcz zsunął jej się z ramion. Już prawie nie czuło się deszczu. Ellie oparła dłoń o szybę i wpatrywała się w swój obraz. Teraz nie obchodziło jej wcale, że Able Smythe napisał, iż nie jest doskonały. Cieszyła się widokiem swojego dzieła. Każdy mógł je zobaczyć. Cały świat.

Całe życie czekała na taką chwilę.

- Witaj, Ellie.

Zamknęła oczy. Nie była ani zaskoczona, ani przestraszona. W głębi duszy wiedziała, że on przyjdzie.

- Pan Drake. - Ellie podniosła powieki i spojrzała na jego odbicie w szybie.

- Doprawdy nie powinna pani stać w deszczu, a tym bardziej samotnie poruszać się po mieście o tak późnej porze.

Spojrzała na niebo.

- Deszcz już nie pada. - Popatrzyła mu w oczy, uśmiechając się trochę krzywo. - I, niestety, nie jestem już sama.

Zrobiło jej się trochę przykro na widok wyrazu, jaki pojawił się na krótką chwilę na jego twarzy... a może jej się tylko tak wydawało.

- Jest pani dla mnie jak zwykle miła. - W głosie Nicholasa zabrzmiała zarazem przekora i ironia. - Powinna pani być ostrożniejsza. Ktoregoś dnia mogę źle panią zrozumieć.

- Marny z pana trefniś, Drake.

- Ach, znowu wracamy do „Drake'a” i dworskich analogii.

Popatrzyła na niego z niesmakiem.

- Jakże żałuję tej chwili, w której powiedziałam coś o... - usiłowała znaleźć jakieś słowo, które złagodziłoby dramatyzm słów, których użyła, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- O rycerzach w lśniącej zbroi, nie tak? - podsunął. - Budujących srebrzyste zamki nad brzegiem morza? - Pokręcił głową. - Trudno byłoby zgadnąć, że kobieta o tak ostrym języku może mieć takie... romantyczne pomysły.

Już, już miała się obrazić, ale wtedy on zauważył wystawę i w jego wzroku pojawiło się zaskoczenie.

- „W objęciach” - szepnął ze zdumieniem.

Ellie wstrzymała oddech. Skąd on to wie? I jak wiele?

- Czytałem w gazecie - odpowiedział na jej milczące pytanie. - To musi być to.

Kiedy Ellie nie zareagowała, dodał:

- M. M. Jay. Pamięta pani? Pytałem panią o artykuł na temat tego artysty opublikowany w „Timesie”, który leżał u pani na stole podczas mojej pierwszej wizyty. - Odwrócił się do Ellie. - To właśnie ten obraz, o którym tyle się mówi. - Znowu zwrócił się w jego stronę i popatrzył badawczo.

Ellie wiedziała, że powinna uciekać póki czas. Zamiast tego w milczeniu przyglądała się, jak Nicholas ogląda jej obraz. Na jego twarzy pojawiały się rozmaite uczucia: zaskoczenie, zaciekawienie, a w końcu, widziała to z całą pewnością, podziw. Raz wreszcie zdołała do kogoś przemówić.

Miała takie wrażenie, jakby wypięła jednym haustem ca-

ły kieliszek szampana. Uderzyło jej to do głowy. Wtedy jednak na twarzy Nicholasa pojawił się wyraz zakłopotania, jakby scena na obrazie była mu w jakiś sposób znajoma, ale nie wiedział skąd.

- Chodźmy - powiedziała Ellie, pragnąc oderwać uwagę Nicholasa od obrazu, zanim cokolwiek sobie przypomni. - Skoro nie powinnam chodzić sama, proszę odprowadzić mnie do domu.

Mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi.

- Nicholas, chodźmy stąd!

Nareszcie ją zauważył. Rozjaśnił się.

- Nicholas - powtórzył. - Zwróciłaś się tak do mnie tylko jeden raz, wtedy, w pawilonie...

Raptownie odwrócił się do obrazu, jakby nagle coś stało się jasne.

Ellie zaklęła w duchu.

- Ten obraz to właśnie mi przypomina - szepnął jakby z szacunkiem. - Ten dzień, kiedy wyłoniłaś się z deszczu. Wtedy tak do mnie powiedziałaś po raz pierwszy. - Spojrzał na Ellie i niskim głosem powiedział: - A ja pocałowałem cię po raz pierwszy.

Deszcz ustał kompletnie, a zazwyczaj rojna ulica była całkiem pusta. Nicholas powoli przyciągnął Ellie do siebie. Przez chwilę wahali się, jednak gdy mężczyzna musnął wargami jej czoło, wszystko przepadło. Jak zawsze Ellie wiedziała, że powinna uciekać, ale widok jej własnego obrazu oraz zachwyt w oczach Nicholasa sprawiły, że nie mogła ruszyć się z miejsca. Dotknięcie jego warg stało się dla niej tak niezbędne jak woda dla wędrowca zbłąkanego na pustyni.

Ujął w dłoń jej twarz i złożył lekki pocałunek na skroni.

- Ellie - szepnął.

Jego oddech wywołał w niej drzenie rozkoszy, a gdy mężczyzna pociągnął ją do wnęki, utworzonej przez wejście do galerii, uległa mu bez wstydu i oporu.

- Oszłamiasz mnie - powiedział, oddychając szybko

i gładząc jej plecy. - Powaliłaś mnie z równą łatwością, jak mistrz szachowy obala króla swego przeciwnika.

- A co dostanę w zamian za tę wygraną? - Jej własne słowa zabrzmiały echem w jej uszach. Śmiała i bezwstydne, tak samo jak jej obraz. Jakaś część jej istoty nie mogła uwierzyć, że je wypowiedziała. Jednak druga część, ta, która nakazywała jej pogardzać obcisłymi, krępującymi ubraniami, tańczyć po ulicach w czerwonych pończochach, teraz domagała się, by poddać się uściskom Nicholasas.

- W nagrodę? - mruknął i musnął dłonią jej szyję.

Westchnęła głośno.

- Nicky - wyszeptała jego imię, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, i zdziwiła się, gdy zaśmiał się cicho.

- Ledwo zostałem zaszczycony „Nicholasem”, a już posuwasz się dalej. Co tak cię frapuje w moim imieniu?

Spojrzała mu śmiało w oczy.

- Już nazbyt długo byłeś „Nicholasem”. Pewnie mówiono tak do ciebie nawet wtedy, gdy byłeś małym chłopcem. Czule pogładziła go po policzku. - Takie poważne imię dla dziecka. Już dawno temu ktoś powinien zacząć zwracać się do ciebie „Nicky”.

Ujrzała błysk w jego ciemnoniebieskich oczach. Co oznaczał? Gniew? Nie. Ale może tęsknotę. Jednak czymkolwiek on był, Ellie wyczuła, że mężczyzna nie nawykł do tego uczucia. Wiedziała także, w którym momencie odzyskał panowanie nad sobą.

- Odpręż się, Nicky. Pozwól sobie na uczucia. Mówiłeś, żebym zaczęła żyć. Ciebie też to dotyczy.

Błysk uczucia pojawił się znowu w jego oczach. Walka toczyła się nadal. Tym razem jednak Nicholas nie zdołał się opanować i gdy Ellie nieśmiało zbliżyła swe wargi do jego ust, oddał jej pocałunek i zmiądzzył dziewczynę w uścisku swych mocnych ramion.

Mówiąc Nicholasowi, żeby zaczął żyć, nie rozumiała przez to namiętności i pożądania. Chodziło jej raczej o to,

żeby przestał kontrolować każdą swoją myśl. Kiedy jednak znalazła się w jego objęciach, zapomniała o wszystkim.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Nicholas odezwał się znowu.

- Eliot Sinclair, dlaczego, ilekroć mam z tobą do czynienia, staję się najzupełniej pozbawiony własnej woli? - wyszeptał. - Wydaje mi się, jakby jakaś wyższa Wola przyciągała mnie do ciebie.

Ledwo mogła zrozumieć jego słowa. Odczuwała tyle rzeczy naraz. Niewątpliwie przyjemność. Jej ciało wibrowało po tym, czego przed chwilą doznała. Jednak oprócz tego dręczyło ją niezrozumiałe wrażenie pustki. Chciało jej się płakać. Chciała, żeby ktoś ją do siebie mocno przytulił. Ten mężczyzna. Już na zawsze.

Nie dane jej było zastanowić się nad tym dokładniej, gdyż nie wiadomo skąd do jej świadomości dotarł obcy męski głos.

- Co wy tu, u licha, wyrabiacie?

Nicholas zareagował natychmiast. Przygarnął Ellie i nie ruszył się z miejsca.

- Nic, sierżancie - odparł głosem, który wyrażał zarażeniem szacunek i stanowczość.

Ellie ukryła głowę w ramieniu Nicholasas, ale wyrzała ukradkiem i w mroku dostrzegła błękitny mundur i kask rewirowego. Mężczyzna miał zawadiackie wąsy, typowe dla przedstawicieli swojej profesji. Ellie pomyślała, że chyba umrze ze wstydu.

- Nic, powiadasz pan? Trudno mi w to uwierzyć - odparł sarkastycznie stróż porządku. - Chyba że masz coś zielonego, co spowoduje, że ujrzę sprawy w innym świetle.

Nicholas odwrócił się odrobinę tak, żeby policjant mógł zobaczyć, że jego ubranie jest strojem dżentelmena, a w jego spojrzeniu maluje się chłód.

- Być może powinniśmy przekazać sprawę porucznikowi Reynoldsowi, sierżancie. Może powinienem porozma-

wiać z nim o tym na najbliższym spotkaniu z komisarzem.

Postawa policjanta zmieniła się natychmiast. Każdy rewirowy wiedział doskonale, że porucznik Reynolds ściśle współpracował z Theodore Rooseveltem, walcząc z korupcją w szeregach policji.

- Spotkanie, mówi pan - powiedział. - Ja tylko żartowałem, to znaczy o tych zielonych.

- Oczywiście - warknął Nicholas.

- To ja już będę szedł. - Policjant oddalił się niespiesznie, trochę fałszywie pogwizdując pod nosem.

Ellie poczuła, że ramiona Nicholasa rozluźniają się. Długa spódnica zakrywała jej nogi, więc nikt nie mógł stwierdzić, co właściwie zaszło pod ciężkimi fałdami materii. Jednak wiedziała to Ellie. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, dotarło do niej w całej rozciągłości, co stało się kilka chwil temu.

Całe jej ciało przeniknął wstyd z równą siłą, jak przedtem namiętność.

- Puść mnie - zażądała przez zaciśnięte zęby.

- Spójrz na mnie, Ellie.

- Puść mnie - syknęła, wbijając wzrok w ścianę za głową Nicholasa.

- Ellie, niech to diabli. Spójrz na mnie. Nie pozwolę, żeby to, co wspólnie przeżyliśmy, uległo zagładzie tylko dlatego, że byłem na tyle głupi, by zapomnieć, gdzie jesteśmy. Zasługujesz na coś lepszego. Zdaję sobie z tego sprawę i jest mi wstyd. Ale nie mogę powiedzieć, żebym żałował tego, co się stało. Wolałbym tylko, żeby nastąpiło to w bardziej stosownym miejscu. Następnym razem nie popełnię takiego błędu. - Urwał na chwilę, przekrzywił głowę i uśmiechnął się. - Zabiorę cię tam, gdzie rycerz mógłby bez wstydu pójść ze swoją damą.

Wbiła w niego oczy jak dwa sztylety.

- Nie pochlebiaj sobie, Drake. Daleko ci do rycerza, a ja nie jestem słabą kobietką. Puszczaj.

Uwolnił ją z westchnieniem.

- Ellie. Nie niszczy tego, co nas łączy.

- Nic nas nie łączy. Kiedyż ty wreszcie to zrozumiesz? -
Wstyd sprawiła, że mówiła ostrzej, niż zamierzała.

- Mylisz się, skarbie. Coś nas łączy. - Pokręcił głową, nagle zdając sobie sprawę, że właściwie powiedział prawdę. - I w przyszłości czeka nas wiele pięknych chwil. Jeszcze nie teraz. Nie jesteś gotowa. Jednak wierz mi, one nadejdą. Spędzimy razem cudowne noce.

Serce Ellie zabiło jak szalone. Zapragnęła poddać się Nicholasowi, ulec w tej bitwie, a może nawet w całej wojnie. To jednak sprawiło, że poczuła gniew. Nie może się poddać. Nieważne, że co noc jego obraz nawiedzał jej sny, bo w dzień królowała brutalna rzeczywistość. Być może on jej pragnie, może kiedyś ona odwzajemni tę chęć, ale przecież on sam kiedyś jej powiedział, iż nigdy nikogo nie pokocha. Nikogo. Jest zdolny jedynie do pożądania. Ellie zaś czuła w głębi duszy, że gdy płomień namiętności się wypali, pozostają tylko popioły.

- A kimże ty jesteś, żebyś mógł pouczać mnie o tym, co będę robić albo nie, Drake? Nie należysz do mojego życia i nigdy tak się nie stanie. Postaraj się o tym nie zapominać.

Nie zwracając uwagi na jej słowa, pogłodził ją leciutko po policzku. Kiedy próbowała odepchnąć jego rękę, mocno ujął ją pod brodę i uniósł głowę tak, by spojrzała mu w oczy.

- Chcesz, czy nie, jestem częścią twojego życia. Będziemy razem.

Zamachnęła się, żeby go uderzyć. On jednak bez trudu schwycił jej rękę.

- Nie broń się, Ellie. Ze mną nie wygrasz.

- Ty zarozumiała... - Urwała i spróbowała się opanować. Wyrwała mu się nagłym szarpnięciem, wygładziła suknię i ruszyła chodnikiem, w nadziei że mu ucieknie. Po sekundzie Nicholas znalazł się u jej boku.

- Odprowadzę cię do domu.

- Nie trzeba - odparła przez zaciśnięte zęby. - I ty mi nie jesteś do niczego potrzebny, Drake.

Wkrótce znaleźli się pod jej domem.

- Każdy kogoś potrzebuje, Ellie.

Zamarła na chwilę. Na ulicy panowała cisza.

- A ty kogo? - szepnęła Ellie.

Pytanie to zaskoczyło go. Jej, oczywiście. Jednak kiedy pojawiła się ta myśl, zanim zdołał ją stłumić, poczuł niepokój. Zmusił się do uśmiechu i powiedział:

- Ja jestem wyjątkiem od tej reguły.

- Mylisz się, Drake - odparła z westchnieniem, wchodząc na schodki prowadzące do frontowych drzwi jej domu. - Miałeś rację, mówiąc, że każdy z nas kogoś potrzebuje. Nawet ty.

- A jeśli ja potrzebuję ciebie?

Zacisnęła palce na klamce. Serce mężczyzny zamarło, gdy czekał na jej odpowiedź.

Po nieskończeniu długiej chwili oparła czoło o futrynę.

- Nie potrzebujesz mnie, Drake. Tak samo jak ja nawet nie mogę cię potrzebować. Naszym przeznaczeniem jest zostać wrogami. Mówiłeś o szachach. To gra, w której tylko jeden z przeciwników może zwyciężyć. Niestety, ja nie należę do jej mistrzów. Cały czas staram się odeprzeć twoje posunięcia, ograniczyć szkody. Teraz może i mnie pragniesz, chcesz się ze mną kochać, ale to tylko dlatego, że dzięki temu znajdziesz się o krok bliżej do celu.

- To nieprawda, Ellie.

- Tak? Czyż nie gonisz za mną tylko po to, żeby zdobyć mój dom? Cóż, nie sprzedam go ci, Drake. Ani teraz, ani nigdy.

Oczy ich spotkały się, a chociaż Ellie wiedziała, że to nie nastąpi, zapragnęła, by zaprzeczył, iż pragnie jej domu, by wyrzekł się swej nienawiści do człowieka, który, chociaż Nicholas o tym nie wiedział, był jej ojcem. Jednak gdy milczenie przedłużało się, szepnęła, besztając się w myślach za swą naiwność i głupotę:

- Proszę cię, Nicholasie. Nawet jeśli miałabym błagać cię na kolanach, proszę, daj mi spokój. - Otworzyła drzwi i zostawiła go samego na stopniach.

Na nocnym niebie nie było już ani jednej chmurki. Nicholas stał bez ruchu. Czuł nieoczekiwany spokój. Wspomnienia, przed którymi uciekł z domu, stały się blade i odległe. Zdał sobie sprawę, że właśnie Ellie szukał, jej głosu i jej szmaragdowych oczu. Chciał, żeby dała mu chwilę ukojenia. I uczyniła to. Jak nic i nikt dotychczas. Na jego ustach pojawił się uśmiešek.

Zostaw mnie. Tak mu powiedziała. O to go prosiła.

Nicholas wiedział, że czasami ułamek sekundy może zmienić ludzkie życie. Gdyby poszli inną drogą albo odczekali chwilę dłużej, wszystko pozostałoby po staremu. Ale teraz, stojąc pod czarnym niebem, zdał sobie sprawę, że w jego przypadku jest inaczej. Jasne, że jego życie zmieniło się, gdy ujrzał Eliot Sinclair na balkonie w sali sądowej. Jednak wiedział z nieoczekiwaną jasnością, że bez względu, w którą stronę by się skierował i gdziekolwiek by spojrzął, nie zmieniłoby to nic, i czuł, że nie może usłuchoać prośby Ellie: nigdy nie zdoła zostawić jej w spokoju.

Powiedział jej, że będą spędzali razem szalone noce. Teraz jednak czuł, że owszem, była to prawda, ale zdawał sobie sprawę, że łączy ich znacznie więcej. Nawet gdyby ją posiadał, i tak nie potrafił o niej zapomnieć. Byli sobie przeznaczeni. Ellie stanowiła część jego duszy. Próbować z tym walczyć to daremny trud.

Wbił ręce w kieszenie i odwrócił wzrok. Zrozumiał także, że wiedział o tym od chwili, gdy się poznali, ale ze wszystkich sił próbował nie dopuścić tego do swojej świadomości.

Jak to się stało? On, taki silny, zdolny, niezależny? Nic to nie zmieniało. Eliot Sinclair owinęła się wokół jego serca jak bluszcz. Dopiero w jej obecności stawał się pełnym człowiekiem. I tylko ona na całym świecie może sprawić, że zapomni o przeszłości.

Jedna tylko *rzecz* stała na przeszkodzie.

Nabrał powietrza do płuc, wiedząc, co powinien uczynić. Pomimo przeszłych wydarzeń, pomimo swych przysiąg i obietnic, jeśli pragnie Ellie, jeśli chce rozpocząć nowe życie, musi zrezygnować z jej domu.

I zapomnieć o Harrym Dillardzie.

Po raz pierwszy od czasu, gdy miał dwanaście lat, przypominając sobie zapach i dotyk jej skóry, poczuł, że jest do tego zdolny. Zaśmiał się cicho, z ulgą, jakiej nigdy dotąd nie doznawał. Ellie nawet nie zdaje sobie sprawy, że zwycięzyła, choć nawet nie miała pojęcia, jak grać.

17

Nicholas budził się zwolna w ciemnym pokoju. Ciężkie, zielone zasłony były, jak zawsze, rozsunięte. Czuł w sercu lekkość, którą z trudem rozumiał.

Ellie. Słodka, namiętna Ellie, dająca więcej, niż można by przypuszczać. Jej paląca zmysłowość. Tylko dla niego. Wspomnienie to sprawiło, że znowu jej zapragnął. Wiedział też, iż pociąg ten jest wzajemny. Gdyby nie była taka uparta i niezależna, zrozumiałaby to już dawno temu.

Po krótkim czasie Nicholas był wykąpany, ogolony i ubrany. Zakładał -właśnie krawat, kiedy usłyszał jakiś hałas.

- Charlotte - powiedział ze zdziwieniem, widząc swoją siostrzenicę. - Dzień dobry.

Patrzyła na niego bez słowa przez dłuższą chwilę, jakby rozważając jakąś bardzo istotną sprawę. Oddychała przy tym z wysiłkiem, a pod oczami miała ciemne półksiężyce. Nicholasa zakłuło nagłe poczucie bezradności. Odwiedził już wszystkich lekarzy od Bostonu po Filadelfię. Jednak żaden z nich nie był w stanie dać mu nawet cienia nadziei.

W końcu dziewczynka nieśmiało uczyniła krok naprzód i wyciągnęła rękę.

- To dla ciebie - rzekła poważnie, podając mu długie, wąskie pudełko.

- Dla mnie?

- Tak. Mam nadzieję, że ci się spodoba, wujku.

Nicholas nie miał pojęcia, jak się zachować. Zawahał się, a potem wziął pudełko i otworzył je trochę niezręcznie. Zdjął pokrywkę i popatrzył na prezent. Nie bardzo wiedział, co to jest.

- Podoba ci się? - zapytała ostrożnie, przygryzając dolną wargę.

Podniósł wzrok i nawet w swojej niewiedzy zauważył, że oczy jej błyszczą nadzieją. Najwyraźniej w świecie Charlotte chciała mu zrobić przyjemność.

- Ależ oczywiście - odparł krótko.

Ujrzał błysk rozczarowania i, gdyby był sam, głośno przekląłby swoją niezręczność.

- Słowo daję - dodał więc. - Uważam, że jest... wspaniały.

Rozczarowanie odrobinę zmalało i twarzyczka dziewczynki pojaśniała.

- Naprawdę? Podoba ci się mój krawat?

A więc to jest krawat.

- Jestem zachwycony. - Odłożył prezent na bok i zaczął zawiązywać krawat, który wybrał sobie na dzisiaj.

Dziewczynka zaplotła palce w fałdy spódniczki i powiedziała:

- Moim zdaniem ten krawat będzie doskonale wyglądał z tym pięknym garniturem.

Nicholas zamarł. Czy ona spodziewa się, że go założy?

- Jasne - skłamał. Wielki Boże, na środku namalowany był wielki, pomarańczowy kwiat. - Ale ten lepiej pasuje.

Mina jej się wydłużyła, ale mała zdobyła się na uśmiech.

- Pewnie, ten mój jest śmieszny. Panna Shamworthy miała rację. Powiedziała, że nie zechcesz go nosić.

Odwróciła się do wyjścia, a Nicholas z niezadowoleniem zdał sobie sprawę, że jest zły na nianię i, co gorsza, męczy go poczucie winy. Rozczarował kogoś, kto tak bardzo się dla niego starał. Jęknął, zdając sobie sprawę, w jakiej znalazł się sytuacji. Albo rozczaruje małą... albo będzie musiał założyć ten nieszczęsny krawat.

- Panna Shamworthy się pomyliła. - Ze zdziwieniem usłyszał własny głos. - Bardzo mi się podoba. Każdy mężczyzna w mieście będzie mi go zazdrościł - dodał, ściągając swój własny krawat i wydobywając z pudełka prezent od Charlotte.

Trochę przeraziły go rozmiary ozdoby, ale pisk radości, jaki wydała z siebie siostrzenica, skłonił go do czynu. Dziewczynka podbiegła i wskoczyła na łóżko.

- Ja ci go zawiążę - zawołała z podnieceniem.

I *rzeczywiście*, zrobiła *to z nieoczekiwaną zręcznością* jak na sześciolatkę. Nicholas wolał nie zastanawiać się, gdzie nauczyła się wiązać krawaty. Jej ojciec niewątpliwie zbyt krótko znajdował się przy niej, by przy nim mogła nabrać wprawy.

- Wspaniały - westchnęła z zachwytem. Cofnęła się niezgrabnie na miękkim materacu i przyjrzała się swemu dziełu. - Tak, jest doskonały.

Nicholas miał swoje wątpliwości. Jednak umknęły one natychmiast, gdy Charlotte spojrzała mu poważnie w oczy.

- Dziękuję - szepnęła, a potem wspięła się na palce i objęła go chudymi rączkami za szyję.

Nicholas stał jak sparaliżowany nie tylko tym nieoczekiwanym uściskiem, ale i wrażeniem, jakie wywarł on na nim.

- Po tacie - szepnęła dziewczynka - jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie.

Coś ścisnęło mu serce, więc zamknął oczy. Potem powoli i niezgrabnie podniósł ręce i przygarnął małą do siebie.

- Znajdź moją siostrę.

Słowa stanowiły polecenie, a skierowane zostały do sekretarza, jak tylko Nicholas *przekroczył* próg swego biura.

Bert uniósł wzrok znad papierów. Okulary zsuwały mu się z nosa, a cienkie pasma rzadkich włosów opadły na czoło. Zanim jednak zdołał zareagować, dostrzegł ozdobę szyi swego szefa.

Nicholas popatrzył w dół i wydawało się, że widok kwiecistego krawata zdziwił go tak samo, jak podwładnego. Zamierzał przecież zdjąć go, jak tylko wyjdzie z domu. Ale kiedy drzwi się za nim zamknęły, nie miał serca tego zrobić. Uśmiechnął się, co jeszcze bardziej zaskoczyło sekretarza. Spoważniał jednak zaraz i warknął:

- Znajdź moją siostrę.

- Pańską siostrę? - zapytał Bert, przygładzając włosy. - W Paryżu?

- Tak, Bert - odparł szef niecierpliwie. - Tę właśnie siostrę. Jedyłą, jaką mam. - Odnajdź też tego wąłkonia, jej męża. Być może nie mogę zrobić wiele dla Charlotte - dodał bardziej do samego siebie - ale niech mnie diabli, jeśli nie sprowadzę tu jej rodziców.

Bert wyrzębał się z za biurka i poszedł za Nicholasem do jego gabinetu.

- Już się za to biorę, proszę pana. Myślę też, że wreszcie udało mi się opracować ofertę, jaką panna Sinclair będzie skłonna rozważyć.

Sekretarz sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego. Jednak jego dumnie wydęta pierś opadła, gdy Nicholas powiedział:

- Daj sobie z tym spokój.

- Jak to? - zapytał Bert z niedowierzaniem.

- Zwyczajnie. To już nieaktualne. Postanowiłem nie kupować własności panny Sinclair.

- Nie kupować? A to dlaczego?

Nicholas popatrzył na swego pracownika i uśmiechnął się.

- Mam zamiar zamiast tego ją poślubić.

Poślubić.

Wypowiedział to słowo bez zastanowienia. Jednak gdy tylko je usłyszał, zrozumiał, iż właśnie tego pragnie. I wcale nie po to, by zdobyć tę nieruchomość.

Wyobraził sobie, jak Ellie odgarnia luźny kosmyk swych jasnych włosów, kiedy się nad czymś koncentruje, jak w arogancki sposób zwraca się do niego per „Drake”, jak odważnie broni swojego zdania i jak marzycielsko błysnęły jej oczy, kiedy mówił o oceanie. Nie, to nie miało nic wspólnego z jej nieruchomością. Pragnął zapełnić jej dni szczęściem, a noce miłością. Pojawszy to, Nicholas nie potrafił już sobie wyobrazić życia bez niej.

Nie odważył się zbliżyć do nikogo od pamiętnych wydarzeń, które miały miejsce, gdy osiągnął lat dwanaście, gdyż uznał wtedy, że w ostatecznym rozrachunku ludzie zawodzą i... zdradzają. Ale Ellie nic takiego nie robi. Jest uparta, ale także lojalna wobec tych, na których jej zależy. Sama myśl o tym, że jako jedenastoletnia dziewczynka próbowała chronić Jima przed łobuziakiem o imieniu Clive, zaskoczyła Nicholasa... a zarazem sprawiła, że sam zapragnął się o nią troszczyć. Nie pozwoli, by jej lęki i niepokoje uczyniły ją ślepa na to, co ich łączy.

Pustka, którą dotychczas wypełniała jego życie, gdzieś znikła. Zaledwie jeden dzień upłynął od chwili, gdy powiedział sobie, że powinien zapomnieć o Harrym Dillardzie, a jego życie ruszyło naprzód jak nigdy dotąd.

Małżeństwo.

Najpierw jednak powinien zacząć starać się o Ellie. Pokazać jej, że nie zależy mu już na jej domu. Udowodnić, że nie są wrogami, tak jak sądziła. A dopiero wtedy poprosić ją, by została jego żoną. Da jej przedsmak życia, o jakim marzyła i które jej się należy. Na początek zawiezie ją nad ocean.

- Nie mogę tam pojechać!

Ellie stała w bawialni, a za jej plecami huśtały się jeszcze drzwi prowadzące do jadalni.

- Czemu nie? - zapytał Nicholas.

- Muszę zajmować sklepem. - Popatrzyła na jego ręce, którymi dotykał jej tak namiętnie i czule. Czy myślał o tym, co robili wtedy pod galerią sztuki? Czy czuł to samo, co ona, leżąc potem bezsennie w nocy? Czy też może wrócił do domu i nie zastanawiał się więcej nad tym?

- Nie słuchasz mnie, Ellie.

Stanęła w pąsach.

- Ależ oczywiście, że słucham - skłamała. - Mówiłeś, że jest sierpień. - Chyba coś takiego powiedział?

- Zgadza się. Jest sierpień. Wiesz równie dobrze jak ja, że o tej porze roku mało kto siedzi w Nowym Jorku, a tym bardziej kupuje kapelusze.

- Ci, którzy mają pieniądze.

- Ci, którzy kupują kapelusze - odparł Nicholas wzruszając wymownie ramionami. - Mam domek na Long Island. Powinniście zrobić sobie przerwę, ty, Hanna i Jim. Nawet staremu Barnardowi dobrze zrobi świeże, morskie powietrze.

- Wszystko słyszałem! - odezwał się ten ostatni z kąta, w którym coś malował. - I nie wierzę w ani jedno słowo, Ellie. Wcale nie musimy wyjeżdżać.

- Właśnie, że musicie - odparł Nicholas, mówiąc bardziej do Ellie niż do Barnarda. - Tak samo Charlotte. Świeże powietrze i letnie słońce mogą jej tylko pomóc. Poza tym sama mówiłaś, że chciałaś zobaczyć ocean.

- Kłamałam.

- Dlaczego o wszystko trzeba z tobą walczyć? - westchnął Nicholas.

Nie podobały jej się te słowa, tym bardziej że zawierały samą prawdę. Już dawno doszła do wniosku, że jest śmiertelnie zmęczona okazywaniem rozsądku. Ale teraz mam szansę, pomyślała z podnieceniem. Raz wreszcie mo-

głaby pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa. Pojechać nad ocean. Jednak mając tę możliwość, czy się na to odważy?

Drzwi do jadalni otworzyły się i pojawiła się w nich zdumiona Hanna i Jim, który najwyraźniej w świecie podsłuchiwał. Jim wyprostował się.

- Strasznie chciałbym pojechać nad ocean, Ellie. Myślisz, że moglibyśmy?

Ellie otworzyła usta, by coś powiedzieć.

- Pomyśl tylko - wtrąciła się Hanna. - Pojechalibyśmy nad ocean. Tak jak ci wszyscy bogacze.

Jeszcze jeden powód, by zrezygnować. Jednak proste słowo odmowy nie mogło przejść Ellie przez gardło. Stała, Przystępując z nogi na nogę i przygryzając dolną wargę. Istotnie, w sierpniu ruch w sklepie był znikomy. Serce zabiło jej w piersiach. Przecież zawsze chciała zobaczyć ocean. Ale...

Hanna odchrząknęła.

- No i zastanów się, ile dobrego przyniosłoby to Charlotte - powiedziała z naciskiem.

- Domek! - wykrzyknęła Hanna, przyciskając pomarszczoną dłoń do obfitej piersi. - To jest domek letni?

Ellie wyrzała przez okienko powozu. Na końcu długiego podjazdu zobaczyła wielką budowlę z marmuru i granitu, którą Nicholas nazwał swoim letnim domkiem. Czy to możliwe, pomyślała z niesmakiem, że zamknęła sklep, spakowała się i wyruszyła nad ocean w towarzystwie człowieka, którego powinna nienawidzić? Jęknęła w duchu i opadła na miękkie poduszki oparcia.

- Nie byłem tu od wielu lat - powiedział Nicholas.

Charlotte pochyliła się do przodu. Jej blade policzki okraślił rumieniec podniecenia.

- Nazywamy go Waverly. Mamusia i ja przyjeżdżaliśmy tu co roku. - Posmutniała na chwilę. - To znaczy, do zeszłego roku - poprawiła się i zaniósła się kaszlem.

Ellie ujrzała wyraz bólu w oczach Nicholas, a potem

zaskoczenie, gdy zobaczyła, jak przygarnia do siebie siostrzenicę.

- Twoja mama wkrótce z nami będzie, księżniczko. Masz na to moje słowo.

Dziewczynka z westchnieniem przytuliła się do jego boku i ujęła jego dużą, mocną dłoń w swe drobne paluszki.

Po chwili Nicholas podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Ellie. Uśmiechnął się. Ellie odwróciła się, zakłopotana, nie wiedząc, dlaczego nagle poczuła pod powiekami piekące łzy.

Po kilku minutach wszyscy wysiedli z powozu. Ellie nigdy dotąd nie widziała, a tym bardziej nie zaznała takich wspaniałości. Poprowadzono ją długim hallem do pokoju, podczas gdy Hanna, Barnard i Jim udali się w drugą stronę. Charlotte zajęła pokoik, w którym najwyraźniej w świecie mieszkała co roku, a obok ulokowała się jej niania. Oba znajdowały się naprzeciwko pokoju Hanny. Serce Ellie zamarło, gdy zdała sobie sprawę, że jedyną osobą, która będzie z nią sąsiadowała, jest Nicholas.

Uczynił to celowo?

Niewątpliwie.

Chciała być zła. Zamiast tego poczuła miłe łaskotanie w sercu.

Podeszła do okna i po raz pierwszy w życiu ujrzała przed sobą szeroki przestwór Atlantyku. Widok zaparł jej dech w piersiach. Ten błękit. Ten bezkres.

Otworzyła okno i wciągnęła w płuca powietrze pachnące piaskiem i morską wodą.

- Tak to sobie wyobrażałaś?

Głos dotarł do niej wraz z wiatrem.

- Jest lepiej - powiedziała. - To przerasta moje najśmielsze marzenia.

- Ach, te sprzeczne marzenia i oczekiwania. - Podszedł do niej. - Zawsze oczekujesz mniej. Bronisz się w ten sposób przed rozczarowaniem?

Zobaczył, że jej ramiona stężyły na chwilę, i zapragnął

ją do siebie przygarnąć. Powstrzymał się jednak. Jeszcze na to za wcześnie. Pomyślał o chwilach, które spędzili pod galerią sztuki. Jakież był wtedy głupi. I nierozważny. Zwłaszcza że teraz chce ją poślubić.

A więc zaczeka. Będzie się o nią starał, tak jak sobie obiecał. Będzie posuwał się powoli, tak aby jej ochronna skorupka pękła, zanim ona cokolwiek zauważy. Pragnął jej łagodności. Nie tylko dla siebie. Dla niej także.

Stali przy oknie w milczeniu, które, o dziwo, wcale ich nie krępowało.

- Cieszę się, że tu ze mną przyjechałaś - powiedział cicho mężczyzna.

- Chyba jestem szalona.

Zaśmiał się.

- To właśnie jedna z wielu rzeczy, które w tobie podziwiam. Uczciwość.

- Myślałam, że właśnie tego we mnie nie znosisz.

- Nie znoszę? Wszystko w tobie mi się podoba. Może nie zawsze... zgadzam się z tobą, ale nigdy nie żywię do ciebie wrogości, Ellie. Nigdy.

Ellie opasała się ciasno ramionami.

- Jeśli zachowujesz się tak, nie żywiąc do mnie wrogości - powiedziała cicho - to drzę na myśl o tym, co by się stało, gdybyś mnie nienawidził. Nie miałbyś litości.

Nicholas zakłopotał się.

- Może. Ale nawet moi najgorliwsi krytycy przyznają, że jestem bezlitosny tylko dla tych, którzy zdradzają moje zaufanie.

18

Sierpień na Long Island.

W ciągu swych dwudziestu sześciu lat życia Ellie nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że kiedykolwiek te cztery słowa oznaczać będą dla niej idyllę. Promienie słońca na twarzy, powiew znad oceanu pieszczący skórę, ale nade wszystko Nicholasa. Budząc się co rano, prosiła Boga, aby sielanka ta nigdy nie miała końca.

Chociaż bardzo się starała, nie udało jej się wytrzymać w swym oporze. Prawdę mówiąc, chyba jej wysiłki w tym celu okazały dosyć nikłe, przynajmniej od chwili, gdy powóz uwiózł ją Mostem Brooklyńskim poza granice Manhattanu.

Jeden Barnard wytrwał w niechęci. Hanna wyraźnie złagodniała, a Jim... cóż, Jim już dawno temu obdarzył Nicholasa swą szczerą przyjaźnią. I była to jedyna rzecz, jaka napawała Ellie niepokojem w związku z pobytem na Long Island. Nie chciała, by Jim ucierpiał. Jednak z coraz większym trudem przychodziło jej o tym pamiętać. Bez śladu znikł bowiem ponury, groźny mężczyzna. Ich gospodarz stał się teraz czarującym, a nawet wesołym człowiekiem, który chętnie opowiadał, jak jego babka piła mocną kawę, aby mieć kręcone włosy. W ten sposób zdołał zniszczyć wszelkie ziarna niepokoju, jakie Ellie usiłowała zasiać.

Zaczęło się od pierwszego wieczoru, kiedy to Nicholas oprowadzał swych gości po całym domu, ściągając jeden po drugim dziwaczne białe pokrowce z mebli, a potem używał jednego z nich jako mulety torreadora, a drugiego jako królewskiego płaszcza. Charlotte aż zanosila się od śmiechu, a Ellie też uśmiechnęła się raz czy dwa wbrew samej sobie.

Potem jednak, gdy zapuszczali się coraz dalej, nie zauważyli, jak dziewczynka gdzieś znikła. Dopiero przy ostatnim pokrowcu Nicholas rozejrzał się dookoła.

- Charlotte! - zawołał, patrząc za siebie. Pytająco zmarszczył brwi. Na jego twarzy odmalowała się troska i ostatni mebel został odsłonięty bez większego zainteresowania.

Dziewczynka wyłoniła się spod pokrowca, promieniejąc z radości, z naelektryzowanymi włosami, zaskakując wszystkich. Nawet tak zawsze opanowanego Nicholasa, którego zdradziłby wyraz oczu, gdyby nie podskoczył z wrażenia.

- Przestraszyłam was! - zawołała triumfalnie Charlotte.

Wszyscy śmiali się, to znaczy wszyscy oprócz Nicholasa. Na jego ustach pojawił się pobłażliwy uśmiech, który jednak nie dotarł do oczu. Przyjrawszy mu się dokładniej, Ellie gotowa była przysiąc, iż wyrażały one miłość i troskę, o jakie nigdy by go nie podejrzewała. Ale były.

Nicholas zaś wytrwale pracował nad tym, aby każdy jej dzień na Long Island był jak z bajki, usuwając jedno po drugim ziarna nieufności, w zamian zostawiając załączki nadziei, która zaczęła rosnąć w jej duszy, pomału krusząc mur. Mur, którym otoczyła się tak pracowicie wiele lat temu.

- Co pani powie na spacer, panno Sinclair?

Ellie stała w bibliotece, przyglądając się złoconym grzbietom książek.

- Spacer? Jeśli się zaniedbam, zanim wrócę na Manhattan, cała będę w piegach - odparła, odwracając się z uśmiechem do drzwi.

- Mnie się podobają te piegi. - Nicholas wszedł do pokoju.

Zatrzymał się tuż przed Ellie. Tak blisko, że mogłaby go dotknąć, gdyby wyciągnęła rękę. Serce zabiło jej mocno, a na policzkach pojawił się rumieniec.

- Podoba mi się także, jak pani się rumieni... tak najzupełniej bez powodu.

- To z upału - zaprotestowała, cofając się o krok w obawie, że wyciągnie dłoń i pogłodzi go po ramieniu. Nie odważyła się jednak na to. Nie tylko dlatego, że byłoby to ponad wszelką miarę śmiałe, ale także dlatego, że od przybycia tutaj Nicholas ani razu jej nie dotknął. Nie pocałował. Nawet nie patrzył tak, jakby miał na to ochotę.

- Upał? - Uśmiechnął się. - Straszna z ciebie kłamczucha, Eliot. Twoja twarz zdradza każde twoje uczucie. A ten rumieniec wcale nie został wywołany upałem.

- To być nie może, Drake. Czyby był pan mistrzem w czytaniu twarzy? Jakichż to więc uczuć doznałam przed chwilą? - Urwała, zdając sobie sprawę, o czym myślała. - Nieważne. Chętnie pójdę na ten spacer.

Nicholas nie upierał się przy swoim, chociaż wyraz jego oczu powiedział jej, iż dobrze wie, jakie myśli krążyły jej po głowie. Ujął ją za rękę i wyprowadził z biblioteki.

Od tego czasu codziennie wychodzili razem na długie spacery plażą. Ellie zdejmowała buty i pończochy i z delectowała się piaskiem pod stopami. Co wieczór jedli na tarasie znakomitą kolację przy świecach. Nicholas zabawiał ją historyjkami z czasów, kiedy był chłopcem, albo opowiadał o swoich planach na przyszłość. Dni upływały jej na prostych przyjemnościach, a noce na marzeniach. A Nicholas nawet jej nie dotknął... aż do tego wieczora, gdy znalazł ją w pokoju na ostatnim piętrze.

- To mój ulubiony.

Spojrzała w stronę, z której dobiegł głos, i zobaczyła swego gospodarza, stojącego w drzwiach, prosto po wieczornej kąpieli w oceanie. Pływał codziennie. Potem mył się w domku ogrodnika. Wracał do swej letniej rezydencji wyświeżony, pachnący trawą. Ciepłym, letnim powietrzem.

Ellie westchnęła głęboko, dziwiąc się, że w ogóle może oddychać. Kiedy wchodził do pokoju, wydawał się zajmować całą przestrzeń, nie zostawiając miejsca dla nikogo innego.

- Podoba ci się tutaj - stwierdził.

Odwróciła się od niego i rozejrzała po wysokim pomieszczeniu o licznych oknach.

- Tak - powiedziała, powoli wypuszczając powietrze z płuc - bardzo. To miejsce jest niezwykle... magiczne. - Wyrzała przez okno. - Mam wrażenie, że znajduję się na wierzchołku świata. - Doskonałe miejsce, żeby malować, pomyślała przelotnie. Miejsce, gdzie czuła się sobą, napełniające spokojem, a zarazem siłą... wydawało się, jakby ktoś zbudował je specjalnie dla niej. Białe ściany z zielonymi akcentami. Czerwona, lakierowana komódka w rogu. A nad wszystko widok sięgającego w nieskończoność oceanu.

Ellie miała wrażenie, że nareszcie znalazła się w domu, jak gdyby przynależała do tego miejsca od zawsze. Do tego pokoju, z Nicholasem, nad oceanem.

- Kiedy zobaczyłem twoją część domu, pomyślałem o tym pokoju. Nie urządziłem go w jakiś specjalny sposób. Ale kiedy byłem chłopcem, lubiłem przychodzić tutaj i wyglądać przez okno. Zawsze panuje tu spokój. Można podziwiać wschód słońca rano i zachód, wieczorem. - Urwał, zagłębiwszy się we wspomnieniach. - Potrzebowałem roku, żeby odkupić ten dom od ludzi, którzy nabyli go od mojego ojca.

- Twój ojciec go sprzedał?

-Tak.

- Dlaczego? - dopytywała się.

Nicholas stanął za plecami Ellie. Odwróciła głowę i spojrzała w jego rzeźbioną twarz, dawniej tak groźną, teraz łagodną na tle mroczniejszego nieba.

- Bo musiał zdobyć pieniądze - odparł cicho.

Jakże się ten człowiek zmienił, pomyślała Ellie. To niemożliwe, żeby to był ten sam gniewny mężczyzna, który prawie siłą wciągnął ją na wierzchołek wieży, kiedy unieвозмоżliwiła mu kupno nieruchomości na Szesnastej Ulicy.

- Zmieniłeś się - rzuciła bez zastanowienia.

Dostrzegła, że sprężył się na chwilę, a potem rozluźnił.

Popatrzył na nią powoli, a w otchłaniach jego oczu pojawiło się wyraźnie wypisane uczucie.

- To ty mnie zmieniałaś - powiedział, gładząc ją po policzku.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Nikt nie może zmienić drugiej osoby. Zmiana odbywa się od wewnątrz.

- Może. Ale dzięki tobie spojrzałem na siebie w inny sposób. Zobaczyłem twardego, bezlitosnego człowieka. Musiałem takim się stać. Było to konieczne. Ale teraz zdaję sobie sprawę, jak mnie to niszczyło. - Uniósł jej podbródek. - Zmieniłaś moje życie, Eliot Sinclair.

Straciła dech, gdy pochylił się i złożył na jej ustach pocałunek.

Nawet jej nie przyszło do głowy, żeby go odepchnąć, by uciekać. Czuła tylko dotyk jego warg i wielką radość. Przez okna wpadał blask księżycy, a człowiek, którego kiedyś tak się lękała, stawał się jej miłością. Wbrew zdrowemu rozsądkowi. Mój Boże, jak mogło się to zdarzyć? Jednak i tym razem, tak jak wtedy, w deszczu, zapomniała o przeszłości, przynajmniej na jakiś czas.

Objęła go ramionami za szyję.

- Nicky - szepnęła.

Zaśmiał się głośno.

- Nareszcie przestałaś mówić do mnie „Drake”.

- Nie przestałam - odparła, zamykając oczy - tylko chwilowo nie gniewam się na ciebie.

Zamarł na chwilę, a potem odsunął się od niej. Ellie dopiero po jakimś czasie zdała sobie z tego sprawę. Otworzyła powoli oczy i ujrzała w błysk przekory we wzroku mężczyzny.

- A więc podoba ci się to - powiedział.

- Uważaj, Drake.

- Jesteś niesamowita, Sinclair. - Roześmiał się na cały głos. - To właśnie w tobie uwielbiam, oprócz wielu innych rzeczy, oczywiście.

Uwielbiam to. Nie kocham cię, ale jak na początek wystarczy. Ellie poczuła uniesienie. Potem pojawiła się wątpliwość: jest przecież córką swojego ojca... ale postarała się o niej zapomnieć, chociaż na chwilę. A może, raz wreszcie, na zawsze.

- Przytul mnie - szepnęła.

Nigdy go o nic dotychczas nie prosiła. W oczach mężczyzny pojawiło się zdziwienie, a w chwilę potem satysfakcja.

- Chcę, żebyś była moja na zawsze - powiedział, czyniąc zadość jej życzeniu.

Ellie poddawała się chętnie jego pieścizotom, sama także przejawiając pewną śmiałość. Urywane oddechy mieszały się, a potem Nicholas porwał ją na ręce i przeniósł na łóżko, mniejsze niż inne w tym domu i starsze. Zapadli się na miękkim materacu. Chciwe dłonie odsunęły zwoje tkaniny.

- Tyle dni byliśmy obok siebie, a ja cię nawet nie dotknąłem - szepnął.

- Dlaczego?

- Obiecałem sobie, że będę się zachowywał jak dżentelmen. Poza tym chciałem dać ci trochę czasu.

- A teraz uważasz, że wystarczy? - zapytała przekornie. Zanurzył twarz w jej włosy.

- Wystarczy? Nie wiem. Ale więcej nie dostaniesz. Pozwól mi się kochać.

Serce biło jej jak młotem, jego pieścizoty stawały się coraz śmielsze.

Nagle przerwał równie raptownie, jak zaczął. Przytulił ją mocno do siebie. Potem westchnął i odsunął się, z zalem patrząc na jej półnagie ciało.

- Wielki Boże, niewiele brakowało, a bym się zapomniał. Przeraziła się.

- A teraz jesteś wściekły? - szepnęła.

Jego napięte rysy złagodniały.

- Nie, skąd. W pewnym stopniu nawet mi się to podoba. Niejeden mężczyzna dałby wiele, by móc się z tobą za-

pomnieć. - Uśmiechnął się lekko. - Mówiłem ci, że spędzimy razem szalone chwile.

Ellie oblała się rumieńcem.

- Niewiele brakowało. - Pocałował czubek jej nosa. - Ale to nie tak ma być. Nie teraz. Jeszcze nie.

Zmarszczyła brwi, nic nie rozumiejąc.

- Po ślubie - powiedział, ujmując jej twarz w dłonie.

Ślub.

Kompletnie ją zaskoczył.

- Tak, Ellie. Jestem częścią ciebie - powiedział, jakby czytając w jej myślach. - Tak samo, jak ty jesteś częścią mnie. Od dnia kiedy ujrzałem cię w sądzie, czułem podświadomie, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Na zawsze. Tylko potrzebowałem trochę czasu, żeby to zrozumieć.

Poczuła, że coś dławi ją w gardle i pieką oczy. Mój Boże, tak bardzo tego pragnęła. Marzyła o tym, by właśnie z tym człowiekiem dzielić życie.

Ale czy jej wolno?

- A teraz, skoro już to pojąłem - ciągnął - wiem, że nie mogę bez ciebie żyć i nie mam zamiaru. Przyjęcie, na którym miałem zamiar ogłosić plany budowy, zamiast tego będzie naszym przyjęciem zaręczynowym.

Zauważył, że drgnęła, i wydawało mu się, że jest to wyraz niechęci.

- Nie chcę żyć bez ciebie, Ellie - powiedział z uporem. - Nie mogę. Pragnę, byś została moją żoną.

19

Kilka dni nad oceanem zmieniło się w kilka tygodni. Ellie zapomniała z kretesem o kapeluszach i kokardach, obowiązkach i terminach, a nawet o malowaniu. Ich miejsce

zajęła radość i słońce, i miłość w blasku księżyca, chociaż przyszła od człowieka, którego Ellie poprzysięgła sobie nienawidzić.

Och, Nicky, szepnęła w duchu, stojąc w najwyższym pokoju, wyglądając przez okno na plażę, po której przechadzał się Nicholas. Jakże mam cię poślubić? zastanawiała się. W jaki sposób powinnam ci odmówić?

Westchnęła z głębi serca. Nicholas wędrował skrajem oceanu, a fale lizały piasek tuż u jego stóp. Szedł, a od jego postaci biła siła niczym żar od brukowanych granitem ulic Manhattanu. Ręce trzymał ukryte w kieszeniach. Ellie czuła, że ma jakiś poważny problem. Ale jaki?

Czyżby żałował swoich nagłych oświadczeń?

Od tamtego wieczoru upłynął już cały tydzień, a oni jakoś unikali tego tematu. Ellie robiła to celowo, ale niepokoiła się trochę, że on go nie porusza.

Nicholas zbliżał się teraz ku domowi. Ellie nie wiedziała, co mu doskwiera, ale czuła, że jest to coś bardzo przykrego. Zmiana nastąpiła pewnego wieczoru, gdy Jim natrafił na stary obraz.

- To moja matka - odpowiedział Nicholas dziwnie szorstko, kiedy Jim zapytał go, kto to jest. Od tej pory ich gospodarz zamknął się w sobie.

Patrząc na idącego w dole Nicholasa, Ellie westchnęła głęboko, zastanawiając się, czy kiedykolwiek dowie się, na czym polega jego zmartwienie.

W tej samej chwili w polu jej widzenia pojawił się Jim. Przebiegł przez taras, a potem ruszył plażą w stronę Nicholasa. Nie słyszała, co mówią, ale widziała, że Jim się z czegoś cieszy, a Nicholas uśmiecha się w odpowiedzi. Widać było, że chociaż taki zimny i zamknięty w sobie, szczerze przywiązał się do Jima i Charlotte.

- Myślę, że nie jest taki zły, na jakiego wygląda.

Ellie podskoczyła z wrażenia i odwróciła się do drzwi.

- Barnard! Przestraszyłeś mnie!

Podszedł do okna i stanął obok Ellie i razem patrzyli ma ocean.

- Jest taki dobry dla Jima - powiedział Barnard, kręcąc głową. - Nie uwierzyłbym, że to możliwe, gdybym nie widział na własne oczy.

- Ani ja.

- Nie, to nieprawda. Ty potrafiłaś ujrzeć w nim cień dobra od pierwszego dnia, kiedy przekroczył próg naszego domu. Tego dnia, kiedy...

- Gadałam jak nakręcona; tak to określiłeś, o ile dobrze pamiętam - dokończyła, gdy urwał w pół słowa.

- Bo tak było - bronił się Barnard. - Rzadko kiedy widzi się takie sceny. Przychodzi kompletnie obcy człowiek, a ty opowiadasz mu całe swoje życie. - Wzruszył ramionami. - Musiałaś od samego początku przeczuwać, że nie jest taki zły.

Nagle na tarasie pojawiła się Charlotte. Jim także musiał ją zauważyć, bo pobiegł do niej. Nicholas czekał na piasku. Jim prowadził dziewczynkę tak ostrożnie, jakby była figurką z porcelany. Jej wuj przykucnął i powiedział coś do małej, a ona mocno objęła go za szyję. Nicholas Z całej siły przytulił do siebie siostrzenicę. Widok ten sprawił, że Ellie poczuła, iż w oczach kręca jej się łązy.

- Nie - powiedział cicho Barnard. - On nie jest zły.

Objął Ellie ramieniem. Był dla niej jak ojciec, którego tak naprawdę nigdy nie znała.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem - ciągnął - ale cieszę się, że na nas trafił.

Ellie westchnęła i chciała coś dodać, ale Barnard jej przerwał.

- Idź do niego. On cię kocha. Widziałem to po jego oczach. Od dawna nie mówi o twoim domu. Podejrzewam, że postanowił zapomnieć o Harrym Dillardzie. Powiedz mu, Ellie. - Zawahał się na chwilę. - Pora, żebyś i ty zrobiła to samo.

Wyszedł, zostawiając Ellie z natłokiem myśli w głowie. *Powiedz mu, kim jesteś. On cię kocha.*

Ale czy dostatecznie mocno?

Słońce zbliżyło się do horyzontu, oblewając świat całą gamą odcieni od żółtego do pomarańczowego. Ellie szła mołem, na którego końcu sylwetka Nicholasa rysowała się niczym latarnia morska. Był sami i widać było, że wciąż coś go trapi. Jim i Charlotte dawno już poszli do domu.

Nicholas nie odwracał się, chociaż Ellie była pewna, że słyszy jej kroki na drewnianej podłodze mola. Podeszła do niego i oparła ręce o barierkę. Stali milcząc i patrząc w rozciągającą się przed nimi nieskończoność oceanu.

Powietrze pachniało morzem i mokrym piaskiem, solą i pianą. To jest szczęście, pomyślała nieoczekiwanie.

- Czy już ci mówiłem, że cię kocham?

Powiedział to cicho, powoli. Ellie z trudnością dosłyszała jego słowa.

- Nie - szepnęła.

- Ale wiedziałaś?

- Chyba tak. - Zawahała się. - A ty? - zapytała.

- Co, ja?

- Czy wiesz, że ja cię kocham?

Wyczuła, że się uśmiecha.

- Czasami - odparł.

- A teraz?

Nie odrywając wzroku od wody, położył dłoń na jej ręce.

- Tak. Słyszę to w twoim głosie. Czuję to w mojej duszy. Podzielałam twoje uczucia. Odgaduję twoje myśli. Już od dłuższego czasu miałem pewne podejrzenia. Upewniło mnie w nich to, że zechciałaś tu przyjechać. - Popatrzył na nią i pogładził ją po policzku. - Jesteśmy sobie przeznaczeni, Ellie.

Powiedział to tak, jakby rzecz była oczywista. Ale czy jego uczucia nie ulegną zmianie, jeśli ujawni, kim jest naprawdę? Nie wiedziała. Nie umiała sobie tego wyobrazić. Chciałaby móc rzucić się mu w ramiona, mając nadzieję, że nigdy nie dowie się prawdy. Ale nie wolała tego nie zrobić, gdyż chciała zyskać pewność, że jego uczucie, o któ-

rym nawet nie śmiała marzyć, nie zostanie jej odebrane, kiedy ona mu wreszcie ulegnie.

- Nicholas - zaczęła.

Uśmiechnął się.

- Czemu nie „Nicky”? Albo po prostu „Drake”?

- Muszę ci coś powiedzieć.

Chyba ujrzał coś w jej oczach, bo psotny uśmiech zniknął z jego ust. Na jego twarzy pojawił się wyraz, który zaparł jej oddech w piersiach. Wyraz, którego nie widziała od czasu ich przybycia tutaj. Gniew.

- Wiem - powiedziała. - Powinniśmy porozmawiać. - Odwrócił się do oceanu, który teraz pogrążony był w odcieniach ciemnej czerwieni.

Jednak zanim ona zdążyła się odezwać, zanim mogła powiedzieć mu o swojej przeszłości, on zaczął mówić, a jej słowa zamarły na wargach.

- Myślałem, że zdołam zapomnieć o Harrym Dillardzie - rzekł Nicholas. - Chciałem zrobić to dla ciebie, pragnąłem zostawić za sobą przeszłość.

Ellie zamarła.

- Staralem się. Naprawdę. - Wziął głęboki wdech. - Ale nie potrafię. Nie mogę poświęcić się naszemu wspólnemu życiu, dopóki z nim nie skończę.

- Dlaczego? - szepnęła, niezdolna powiedzieć nic więcej.

- Dlaczego? - powtórzył. - Jak mam ci na to odpowiedzieć? Od czego zacząć? Mimo wszystko, powinnaś poznać prawdę. Wtedy będziesz mogła mnie zrozumieć. - Popatrzył na nią z ukosa. - Może wtedy pojmiesz, dlaczego muszę mieć twój dom, Ellie. Nie nieruchomości O'Shei. Nie dom pani Lambert. Tylko właśnie twój. Jedyną rzecz, której potrzebuję, by ostatecznie wymazać Harry'ego Dillarda z mojego życia.

Ellie nie mogła oddychać. Marzyła o tym, by gdzieś uciec. Ukryć się.

Wtedy jednak on zaczął opowiadać, beznamiętnie, jak-

by obojętny ton mógł w jakiś sposób złagodzić palący ból. Słowa Nicholasa opłoty ją jak pajęczyna, nie pozwalając ruszyć się z miejsca. Mówił jej o tym, jak, dwunastoletni, patrzył na matkę we łzach wbiegającą do domu. O szalu, który znalazł się w rękach Harry'ego Dillarda. O ojcu, który stał w drzwiach jak posąg gniewu i oznajmiał, że wie, kto zdradził ich tajemnicę. On, Nicholas, zdawał sobie sprawę, że to matka ujawniła sekrety ojca. Ale wtedy padło oskarżenie. Ojciec obwinił jego.

Ellie poczuła zawrót głowy. Jak mógł ojciec winić Nicholasa?

- To niemożliwe - szepnęła. - A co powiedziała twoja matka?

Nastało długie, bolesne milczenie. Woda, rozciągająca się gdzieś po horyzont, cicho pluskała o drewniane słupy mola.

- Powiedz mi. Co powiedziała?

20

Nowy Jork 1873

- *Och, Nicholasie.*

Tylko tyle.

Nicholas stał jak słup soli.

- Mamo - szepnął bez tchu.

- Och, synku - powtórzyła matka z rozpaczą w oczach jak osaczone zwierzę, które nie wie, dokąd może jeszcze uciec.

Ojciec znowu wpadł w szal, ale Nicholas nie zwracał na niego uwagi. Patrzył na matkę.

Pozwoliła, żeby go obwiniano. Chłopiec zacisnął dłoń na szalu, który wciąż miał w kieszeni. W jakimś zakamarku jego mózgu kryła się świadomość, że wystarczyłoby wy-

jąc zwitek materii i przekazać wiadomość od Harry'ego Dillarda. Ale zachował milczenie.

Nie mógł przecież ratować się kosztem własnej matki. Nie ważne, że ona właśnie to zrobiła przed chwilą. Była jego matką

Stał bez słowa, podczas gdy gniew ojca rozbrzmiewał echem po całym domu. Milczenie to przypieczętowało jego losy. Cała jego wiedza o świecie skryzalizowała się tam, w hallu domu przy Lafayette Place, stała się fundamentem jego życia... wszystkim, co wiedział i co miał wiedzieć.

Następnego ranka Nicholas usiadł do śniadania. Miriam odesłano do pokoju dziecinnego, matka została na górze. Tylko ojciec zajął swoje zwykłe miejsce. W domu panowała straszliwa cisza. Ojciec nie zwracał już więcej uwagi na syna: ani go nie ganił, ani nie próbował go zrozumieć. Służba poruszała się tak, jakby ich w ogóle nie było. Nawet zegary przestały wybijać godziny.

Cisza.

Wtedy rozległ się strzał.

Jeden jedyny, rozległ się echem po całej wspianiałej rezydencji.

Oznaczał koniec świata.

21

- *Popęłniła samobójstwo.*

Słowa Nicholasa tchnęły chłodem i smutkiem, a słońce próbowało ugasić swój żar w oceanie.

- Zabrała tajemnicę do grobu. Nigdy nie powiedziała ani słowa na ten temat, ja też nie, aż do tej chwili.

- Och, Nicky - szepnęła Ellie. - Jak twoja matka mogła zrobić coś takiego? Zrzucić na ciebie winę, a potem zostawić cię samego, na łasce losu?

Nicholas stał bez ruchu i wpatrywał się w dal. Nieoczekiwanie przypomniał sobie list od matki. To jedyne, co mu po niej pozostało. *Wybacz mi*. Co? zapytał w myśli, zamykając oczy i zdając sobie sprawę, że na jego twarzy widać wszystko, co odczuwa. To, że się zabiłaś? Czy to, że zdradziłaś mnie?

- Potem dowiedziałem się, że Harry Dillard uwiódł ją - powiedział wreszcie zdławionym z emocji głosem - niespiesznie i metodycznie, bo chciał zemścić się na moim ojcu.

- Dlaczego?

- Harry Dillard wywodził się z wyższych sfer.

Ellie doznała szoku. Jej ojciec, szef gangu, przestępca, był kiedyś człowiekiem z towarzystwa? Co takiego uczynił?

Chociaż bolało ją, że sprawia Nicholasowi cierpienie, musiała dowiedzieć się więcej, nie mogła pozwolić, by na tym skończył swoje opowiadanie.

- O ile wiem - ciągnął Nicholas - Dillard kochał luksusy. Przetracił na nie swój majątek. Potem, zamiast poszukać pomocy u przyjaciół, sięgnął do mniej szlachetnych metod zdobywania pieniędzy. Uprawiał hazard. Handlował opium. - Nicholas zawahał się. - Sprzedawał młodych chłopców jako prostytutki.

Przez chwilę Ellie wydawało się, że chłodne, morskie powietrze zatrzymało się w miejscu. Ucichł gdzieś szum fal. Ellie zamarła. Zrobiło jej się niedobrze. *Chłopcy jako prostytutki?*

Handel ten był jednym z najohydniejszych procederów nowojorskiego świata zbrodni. Rozpaczliwie ubodzy młodzieńcy, prawie dzieci, pozbawieni nadziei na możliwość przeżycia na ulicy, byli wciągani w ten ohydny proceder przez właścicieli domów schadzek, których klienci lubowali się w młodych chłopcach ubieranych i umalowanych jak kobiety. Harry Dillard w tym także maczał palce? Nie! coś krzyknęło w umyśle Ellie. Boże, proszę, niech to nie będzie prawda!

Ellie słyszała pogłoski o tym, że jej ojciec parał się zbrodnią, ale w najgłębszym zakamarku serca żywiła nadzieję, że

nie było tak źle, jak mówiono. Teraz usłyszała listę występ-
ków gorszych, niż mogła sobie kiedykolwiek wyobrazić,
wymienionych przez człowieka, którego szanowała. Był to
śmiertelny cios. Zdała sobie sprawę, że osobnik, który spro-
wadził ją na świat, był niegodzien nawet wzgardy... sprze-
dawał chłopców, o Boże! A ona jest jego córką.

- Tak się stało, że mój ojciec ujawnił jego zbrodnie. Dill-
lard nie miał już wstępu do przyzwoitych domów. - Nicho-
las wzruszył ramionami. - Zapraǳnął więc zemsty. Osiąǳnął
ją, uwodząc moją matkę, kobietę, która, jak się mówiło, ko-
chała go, zanim poślubiła mojego ojca. A Dillard wykorzy-
stał jej uczucie. Obsypywał ją prezentami. Bez przerwy jej
nadszakał. Dawał jej poczucie, że jest kochana, podczas
gdy ojciec rozpaczliwie walczył o uratowanie swojego ma-
jątku. Rury były jego ostatnią deską ratunku.

- A twoja matka opowiedziała Harry'emu Dillardowi
o planach ojca - szepnęła Ellie urywanym głosem.

- Tak. W ten sposób Dillard mógł go wyprzedzić, sprze-
dać towar po zaniżonej cenie, a ojcu zostały składy wypeł-
nione rurami, których nikt nie chciał nabyć.

- To dlatego zamieszkałaś u babki.

- Tak, Miriam i ja przeprowadziliśmy się do naszej bab-
ki po kądzieli, do Bostonu. Zacząłem studia. Przy życiu
utrzymywała mnie przysięga, jaką złożyłem samemu so-
bie, że pewnego dnia pomszczę honor moich rodziców.
Studiowałem i uczyłem się. Pracowałem tak ciężko, jak
nikt na świecie. Ukończyłem Uniwersytet Harvarda.
A potem, kiedy mój ojciec zmarł, nie mówiąc do mnie ani
nie pisząc nawet jednego słowa, wróciłem do Nowego Jor-
ku, gotów zdobywać fortunę, gotów zniszczyć Harry'ego
Dillarda. - Spojrzał na Ellie z zawziętością. - I prawie mi
się to udało. Ale tylko prawie. Widzisz teraz chyba, że nie
mogę zrezygnować? Nie mogę pozwolić, by pozostał po
nim nawet najmniejszy ślad?

- Nicholas, on nie żyje! - zawołała w rozpacz, czując,

że szansa na szczęście oddała się od niej bezpowrotnie. - Jest martwy!

- Dla mnie pozostanie żywy, dopóki nie zmiotę z powierzchni ziemi jego domów i nie postawię na ich miejscu mojego budynku... dopóki nie zniszczę każdej rzeczy, z którą Harry Dillard miał kiedykolwiek coś wspólnego. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Wciąż chcę ogłosić na przyjęciu nasze zaręczyny. - Zawahał się. - Ale pragnę także powiadomić wszystkich o moich planach budowy. Twój dom jest ostatnią przeszkodą. Sprzedaj mi go, Ellie. Wtedy będziemy mogli zacząć nowe życie. Razem. Od czystej karty.

Czystej karty. Niewiele brakowało, a zaśmiałyby się z goryczą.

- Nie odpowiadaj mi teraz, Ellie. Wiem, że to, o co cię proszę, jest dla ciebie bardzo trudne. Ale zastanów się. Ja ci to wynagrodzę.

W jego czarnych włosach czerwonym połyskiem zaśniły promienie zachodzącego słońca, a w niebieskich oczach malowała się szczerość. Zaskoczona i strapiiona Ellie czuła, że Nicholas wierzy w swoje obietnice. Tylko że przecież nie zna całej prawdy. Nie wie, że jego opowieść ma innych bohaterów poza nim samym.

Uśmiechnął się niepewnie i wziął głęboki wdech.

- Ty też chciałaś mi coś powiedzieć. Na razie mówiłem tylko ja: Przepraszam. Teraz twoja kolej.

Jakie to dziwne, pomyślała, czując zamęt w głowie. Stworzyli związek oparty na zaufaniu... chociaż ona walczyła przeciwko temu z całych sił. Nicholas zdradził jej swoje tajemnice. Jednak dar ten, historia jego życia, uniemożliwił jej zrewanżowanie się tym samym, sprawił, że nie mogła przyjąć jego miłości ani mu jej odwzajemnić. Teraz Ellie wiedziała, iż Nicholas nie spocznie, dopóki nie zniszczy wszystkiego, co pozostało po Harrym Dillardzie. Nie może wybaczyć Harry'emu Dillardowi. Ani też jego córce.

- Ellie - powiedział czule. - Co się stało? Powiedz mi.

Zszokowana, nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, jak wyplątać się z tej sytuacji... w jaki sposób zniknąć z jego życia.

Uratowały ją krzyki.

- Nicky! Ellie!

Zaskoczeni, popatrzyli w stronę, skąd dochodziły. Jim biegł plażą, potykając się i zanosząc się płaczem. Nicholas ruszył pędem w jego stronę. Ellie pobiegła za nim, czując narastający lęk.

- Co się stało, Jim? - zapytał Nicholas.

- To Charlotte! Pospieszcie się!

Część druga

Stracona niewinność

„O, wtedy poznasz niewidzialne rany
zadane strzałą okrutną miłości”.

William Szekspir, *Jak wam się podoba?**

* Tłum. Cz. Miłosz.

W szpitalu panowała nienaturalna cisza. Nicholas krążył po pustych korytarzach, a Ellie patrzyła na niego, czując ucisk na sercu. Mogli tylko czekać i modlić się o życie Charlotte.

Podróż powrotna do miasta była okropna. Nicholas i Ellie wsadzili małą do powozu i ruszyli co koń wyskoczy. Barnard, Hanna i Jim zostali, by pomóc pani Shamworthy przy pakowaniu i porządkowaniu domu. Odwieźć ich miała wynajęta dorożka.

Nagle otworzyły się drzwi.

- Jak ona się czuje? - zapytała Hanna, wchodząc wraz z Barnardem, Jimem i panną Shamworthy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział stanowczo Nicholas, obejmując ramieniem Ellie i muskając ustami jej włosy. - Na pewno.

Ellie opanowała się z wysiłkiem, wiedziała bowiem, że Nicholas próbuje uspokoić nie tyle innych, ale przede wszystkim samego siebie. Do końca życia nie zapomni, jak biegł szpitalnym korytarzem, niosąc bezwładne ciało Charlotte w ramionach.

Dlaczego ten koszmar musiał się wydarzyć? zastanawiała się, pragnąc z całej siły, by cofnął się czas. Jak to możliwe, żeby w ciągu kilku godzin jej życie mogło runąć w gruzy? Najpierw opowiadanie Nicholas, a teraz Charlotte. Boże, proszę, modliła się w duchu, zachowaj ją przy życiu.

Dziewczynka pozostawała w stanie krytycznym przez dwa dni. Trzeciego nastąpiła poprawa. A z Europy wrócili jej rodzice.

Ellie natychmiast domyśliła się, że kobieta, która weszła do poczekalni, jest siostrą Nicholasasa. Takie same włosy, taki sam kształt oczu, tylko że ich kolor, podobnie jak u córki, był fioletowy, a nie niebieski. Miriam Drake Welton i jej mąż William, który pojawił się tuż za nią, stanowili wcielenie elegancji.

- Nicholas! - zawołała Miriam.

Stojący wraz z Ellie przy oknie Nicholas odwrócił się powoli.

- Miriam - stwierdził krótko.

W oczach kobiety przemknął cień, ale po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Ja też za tobą tęskniłam, drogi bracie.

William zatrzymał się w drzwiach, sprawiając wrażenie człowieka, który najchętniej znalazłby się daleko stąd.

- Jak ona się czuje? - zwrócił się do Nicholasasa.

- Lepiej. Udało się zmniejszyć przekrwienie płuc. Sprowadziłem specjalistę z Bostonu. Dziś wieczorem można będzie zabrać małą do domu.

Miriam popatrzyła ze zdziwieniem.

- Zaraz tam każę posprzątać.

- Nie fatyguj się. Zostanie u mnie. Załatwiłem już sprzęt medyczny i zamówiłem pielęgniarkę. Charlotte musi jak najprędzej się stąd wynieść.

Miriam uniosła brew.

- Strasznie się zrobiłeś opiekuńczy.

Nicholas rzucił jej mordercze spojrzenie, a potem odwrócił się gwałtownie i stwierdził zimno:

- Ktoś musiał.

Wyrzuty sumienia i ból pojawiły się w oczach Miriam, ale tylko na jedną krótką chwilę.

- Tak - zaśmiała się. - Ktoś musi wziąć na siebie odpowiedzialność.

Czy ta kobieta rzeczywiście niczym się nie przejmuje? zastanawiała się Ellie z niedowierzaniem. Czy wyraz bólu

i żalu, jaki dostrzegła w jej oczach, był tylko wytworem jej wyobraźni, wynikiem przekonania, że inaczej świat nie miałby sensu?

Miriam wreszcie zauważyła Ellie. Uniosła pytająco brwi.

- A kim pani jest?

- Nazywam się Ellie Sinclair. Jestem... przyjaciółką pani brata.

- Przyjaciółką? - Miriam popatrzyła na niego z ukosa. - Nie wiedziałam, że miewasz przyjaciół.

Jednak zainteresowanie Miriam było krótkotrwałe. Odwróciła się na pięcie i podeszła do męża.

- Widzę, że mój drogi brat doskonale zapanował nad sytuacją. Ciekawe, że wcale mnie to nie dziwi - powiedziała z nagłą ironią. - Możemy więc chyba spokojnie wracać do hotelu.

Ellie patrzyła, jak Nicholas aż otrząsnął się z oburzenia, ale kiedy przemówił, jego głos tchnął beznamiętnym spokojem.

- Nie chcesz zobaczyć swojej córki, Miriam?

Miriam zachnęła się, może z powodu oschłego tonu brata, a może z dlatego, że to przecież jej dziecko leżało złożone ciężką niemocą, ale Ellie nie potrafiła powiedzieć, który powód jest bardziej prawdopodobny.

- Ależ, Nicholasie. Zachowujesz się, jakby było to coś nowego. **Skany Anula43, przerobienie pona.**

- Wiedziałaś o tym? - zapytał z gniewem. - Wielki Boże, i nic mi nie powiedziałaś, że ona ma suchoty?

- Suchoty? - Miriam zeszywniała. - Charlotte nie ma suchot. Od czasu do czasu zapada na krup.

- Na litość boską, Miriam! Twoja córka cierpi na rzadką postać gruźlicy - powiedział Nicholas bezlitośnie, nie dostrzegając, że policzki jego siostry nagle pobladły. - Jak mogłaś ją zostawić?

- Gruźlica? - powtórzyła, chwytając się za serce. - Jesteś pewien?

- Jasne, że jestem pewien.

W fiołkowych oczach Miriam zamigotały łzy.

- Muszę już iść.

- Miriam!

- Odwiedzę ją dziś po południu, w twoim domu - dała prawie prosząco.

Nicholas przegarnął włosy drżącą ze zdenerwowania dłonią.

- Nie, Miriam - warknął. - Nie *odwiedzisz* swojej córki. Zamieszkaś z nią. W moim domu. Razem z twoim mężem.

William Welton wyprostował się z oburzeniem.

- Nie masz prawa nam rozkazywać. Chyba wystarczy, że ściągnąłeś nas tutaj. Nie pozwolę ci mną pomiatać.

Nicholas, tracąc resztki cierpliwości, pokonał dzielącą ich odległość kilkoma krokami. Chwytał szwagra za kołnierzyk i przycisnął do ściany.

- Ty draniu - syknął. - Twoja córka myśli, że jesteś najwspanialszym człowiekiem na świecie. I dopóki ja żyję, będziesz właśnie taki. Rozumiemy się?

- Puszczaj mnie - wycedził William przez zaciśnięte zęby. - Będę robił, co mi się spodoba.

Rozległ się głuchy stuk zadawanego ciosu, a potem odezwał się Nicholas.

- Tylko wtedy, gdy spodoba ci się dotrzymywać towarzystwa twojej córce. Charlotte jest teraz chora, ale wyjdzie z tego. A ty masz mi w tym pomóc. - W oczach Nicholasa pojawiły się niebezpieczne błyski i widać było, że jeśli William nie ulegnie jego woli, może go spotkać poważna krzywda. - Rozumiemy się? - powtórzył Nicholas.

William w końcu odzyskał dech, zaciśnął wargi, a potem powiedział:

- Chyba tak.

Nicholas powoli wypuścił z rąk pogniecione klapy marynarki szwagra, wygładził je przesadnym gestem, a potem rzekł:

- Doskonale. Miło mi to słyszeć.

Popołudnie mijało powoli. Minuty zamieniały się w godziny, aż wreszcie Charlotte pozwolono opuścić szpital. Gdy jechali Piątą Aleją, Ellie i Jim siedzieli naprzeciwko dziewczynki, która spoczywała objęta ramieniem Nicholas. Surowe rysy mężczyzny łagodziła miłość i troska.

Miriam i William byli już na miejscu, gdy Nicholas wnosił Charlotte do swego domu. Na widok rodziców w oczach małej pojawiły się łzy.

- Mamo! Tato! - wyszeptała słabo. - Wróciliście.

- Oczywiście, kochanie - powiedziała Miriam czule, wstając z kanapki stojącej w hallu.

- I tata... - Urwała, zanosząc się kaszlem.

Ellie zauważyła, że Nicholas jest spięty, jednak wiedziała, że nic nie może zrobić. Zazwyczaj to ona podejmowała decyzje, ale tutaj, w tym domu, czuła się zupełnie nie na swoim miejscu.

- Pójdiesz teraz do łóżeczka, maleńka - powiedział Nicholas, uśmiechając się uspokajająco, gdy dziewczynka przestała kasłać.

Charlotte jednak wyciągnęła rączki do ojca, którego gest ten całkowicie zaskoczył.

- Tato, proszę. Porozmawiaj trochę ze mną.

Po krótkiej chwili wahania, widząc wymowne spojrzenie Nicholas, William podążył za nim na górę. Miriam, Jim i Ellie zostali w hallu.

Zdając sobie sprawę z tego, że nic tu po nich, Ellie ujęła Jima za ramię.

- Powinniśmy już iść do domu.

- Ale ja nie chcę jeszcze wychodzić - zaprotestował Jim.

Miriam popatrzyła na nich z ciekawością, trzymając w dłoni cygarniczkę z papierosem. Ktoś inny mógłby nie zauważyć, że dłoń ta drży lekko. Ellie jednak dostrzegła to i zastanawiała się, czy owo drżenie wywołał fakt, iż dziecko nie chciało mieć przy sobie matki.

- Chcę zostać - upierał się Jim.

- Wiem - powiedziała Ellie, odrywając się od Miriam. - Ale Charlotte powinna teraz odpocząć.

Nicholas szedł do hallu w chwili, gdy Ellie mówiła te słowa. Uśmiechając się ze zmęczeniem, poklepał Jima po ramieniu.

- Ty też powinienes odpocząć, Jim. Możesz przecież przyjść tutaj jutro.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście. - Ogarnął ramieniem Ellie i lekko pocałował ją w czoło, jakby gest ten miał dodać mu siły. Po chwili wyprostował się. - Zabierz Ellie do domu i dopilnuj, żeby i ona wypoczęła. Mogę na ciebie liczyć?

Jim wyprostował się.

- Jasne, Nicky. Chodź, Ellie. Czas już na nas.

Ciekawość Miriam stała się jeszcze wyraźniejsza, a Ellie doznała wrażenia, że wytworna ta dama zastanawia się teraz, jakiego rodzaju przyjaźń łączy ją z jej bratem. Wtedy, czując jeszcze na swym czole pocałunek Nicholasa, odniosła wrażenie, że wszystko to, nad czym dotychczas panowała, runęło. Coś dławiło ją w gardle i piekło w oczach. Przypomniała sobie opowiadanie Nicholasa i jego nieugaszone pragnienie zemsty za los ojca. Jediną odpowiedzią na pytanie zawarte w spojrzeniu Miriam mogło być tylko to, że są wrogami... od początku do końca... i nic więcej. Ellie powiedziała to przecież Nicholasowi kilka tygodni temu, przed wyjazdem nad ocean. Wtedy nie zastanawiała się zbyt nad tym, co mówi. Teraz stwierdziła, że jej słowa były prorocze i znacznie bliższe prawdy, niż jej się kiedykolwiek wydawało. A teraz, gdy Charlotte nie groziło już niebezpieczeństwo, Ellie 'wiedziała, że nie ma wyboru: musi zerwać te więzy. Jej związek z bratem Miriam musiał się skończyć.

Serce waliło jej jak młotem. Patrzyła Nicholasowi w oczy i kurczowo trzymała go za rękę. Zapragnęła nagle zostać tu i nigdy już nie odchodzić. Chciała rzucić mu się w ramiona i usłyszeć słowa pociechy i ukojenia. Ale prze-

cież coś takiego nie miało prawa nastąpić. Stojąc tak w domu człowieka, którego pokochała, a za chwilę miała utracić, Ellie poczuła, że nigdy już nie zazna spokoju.

Jim przychodził do rezydencji Nicholasa codziennie. Pojawiał się wcześnie, a oddalał późno. Z początku Ellie dotrzymywała mu towarzystwa, starając się spędzić choć chwilę sam na sam z Nicholasem. On jednakże był zbyt zaabsorbowany kuracją Charlotte, swoją przyszłą budową i planowanym przyjęciem, że rzadko mogła liczyć na coś więcej niż przelotny uścisk.

Dopiero w tydzień po ich powrocie z Long Island Ellie uznała, że wreszcie musi ostatecznie rozmówić się z Nicholasem. Zbyt szybko działał i posunął się już za daleko. Należało go pohamować.

- Nicholas - powiedziała, wchodząc do jego gabinetu. - Musimy porozmawiać. - Zawahała się. - O naszym związku.

Nicholas podniósł wzrok znad dokumentów, leżących na biurku.

- Tak, skarbie? Co mówiłaś?

Mimo zmęczenia prezentował się niemal nienagannie, choć długie godziny pracy wycisnęły swoje piętno na jego czole. Ellie miała ochotę pogłodzić to czoło. Jednak nie mogła. Nabrała powietrza do płuc, zbierając się na odwagę.

- Musimy porozmawiać.

- Ależ oczywiście. - Wstał z fotela i obszedł biurko. Poruszał się płynnie, nie tracąc zbędnej energii. Oparł się o blat i objął Ellie ramionami.

Poczuła, jak się odprężyła.

- Cieszę się, że przyszłaś - powiedział.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że jest mu w jakiś sposób potrzebna. Przez cały czas był taki zajęty, że uznała, iż całym o niej zapomniał. A więc nie powinna mu tego mówić. Jakże jednak ma milczeć?

- Zostaw mnie! - Wyrwała się z jego uścisku.

- Co się stało?

Zamknęła oczy, starając się odzyskać stanowczość, która ją tutaj przywiodła.

- Za szybko działasz. Robisz plany budowlane, zaręczynowe, jakby wszystko było już postanowione.

Przechylił głowę.

- Myślałem, że wszystko *jest* postanowione.

- Nie!

Przez dłuższą chwilę patrzył jej w milczeniu w oczy.

- Sądziłem, że się zgadzasz.

Nie chciała tego powiedzieć, ale nie miała wyboru.

- Wiem tylko, że... nie mogę cię poślubić, Nicholasie. Naprawdę.

W pokoju zapadła cisza. Ellie wstrzymała oddech. Czekając, aż błękitne oczy staną się zimne jak lód, a chłodny głos oznajmi jej, że ma wyjść. Uniosła głowę, zamierzając Z godnością przyjąć to, co miało stać się jej udziałem.

Zamiast tego Nicholas łagodnie przygarnął ją do siebie, sprawiając, że zaniemówiła.

- Poświęcałem ci za mało czasu od powrotu tutaj - powiedział.

Patrzył na nią na poły przekornie, a na poły z rozpaczą, łamiąc jej tym serce.

- Przepraszam - dodał. Uśmiechnął się jak psotny uczeń i pocałował ją w czubek nosa. - Denerwujesz się. Trudno cię za to winić. Prawie się nie widzimy. Ale teraz, kiedy Charlotte nie grozi już niebezpieczeństwo, będę miał więcej czasu.

- Ale...

- Żadnych „ale”. Kocham cię, Ellie. I chcę spędzić resztę życia, udowadniając ci, jak bardzo.

- Nicholas...

- Najmocniej pana przepraszam.

Pukanie do drzwi i głos Berta przerwały Ellie w pół słowa.

- Bardzo przepraszam, ale przyszedł pan Healey. Mówi, że to pilne.

Nicholas złożył na czole Ellie czuły pocałunek i mocno ją przytulił.

- Obiecuję - szepnął. - Wszystko będzie dobrze. A teraz będę musiał porozmawiać z Billem. Mam nadzieję, że uda mi się stąd wyrwać jak najwcześniej. Zайдę do ciebie.

Ellie wróciła do domu w stanie oszołomienia. Nicholas nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, co chciała mu powiedzieć. Zaczęła się bać. Co ma teraz zrobić? Jak sprawić, by wziął jej słowa na serio?

Następnego dnia Jim wszedł do kuchni.

- Ellie! Tutaj jesteś!

- Cześć, Jim - odparła w roztargnieniu.

- Charlotte pyta, dlaczego do niej nie przyszedłaś.

- Przepraszam. Obiecałam Charlesowi, że obejrzę jego nowe biuro. - Rzeczywiście, Charles pokazał jej biuro, a następnego dnia zaprosił ją razem ze swoim ojcem do Delmonico na lunch. Wydawnictwo Monroe'ów zaczynało odnosić sukcesy. Jednak w głębi duszy Ellie wiedziała, że zgodziła się na te rozrywki tylko po to, żeby czymś się zająć i zapomnieć o coraz bardziej ogarniającym ją lęku.

Jim zmarszczył brwi.

- Powinnaś do niej przyjść. To nieładnie.

Ellie zrobiło się przykro. W istocie postąpiła nieładnie i było jej wstyd, że zapomniała o małej, zaabsorbowana własnymi problemami.

- No to chodźmy.

Na szczęście, kiedy Jim i Ellie przybyli do domu Nicholas, oprócz Charlotte była tam tylko niania i służba.

- Ellie!

Dziewczynka podniosła się na łóżku. Na jej twarzyczce odmalowała się radość. Jednak widać też było wyraźnie, że mała ma szklisty wzrok i krótki oddech. Ellie zmrużyła oczy. Nicholas mówił, że najgorsze już minęło.

Zmuszając się do uśmiechu, Ellie usiadła na krawędzi łóżka.

- Cześć, Charlotte. - Odgarnęła dziewczynce włosy z czoła, miękkie i jedwabiste, ale wilgotne od potu. Mała miała gorączkę.

Rozmawiały przez jakiś czas. Charlotte opowiadała o swojej radości z powodu przyjazdu rodziców.

- Powiedziałam im - zakaszła - że pokażę im, jak nauczyłam mnie jeździć na wrotkach.

Wrotki. Ellie ścisnęło się serce, bo nagle pomyślała o sobie, że dziewczynka już nigdy nie zazna tej przyjemności.

- To świetnie - powiedziała, chociaż coś dławilo ją w gardle. - Jasne, że tak.

- Tak myślisz? - zapytała Charlotte patrząc na nią błagalnie, jak gdyby sama wątpiła w to, czy jeszcze kiedyś rzeczywiście jej się to uda. Ale jak jest naprawdę? Nicholas powiedział, że kryzys już minął. Ellie nie znała się na medycynie, lecz miała wątpliwości. Charlotte najwyraźniej chciała mu uwierzyć. - Oczywiście, że będziesz, kochanie.

Dziewczynka westchnęła z ulgą.

- Opowiedz mi o Humpty-Dumptym, Ellie - szepnęła, opadając na poduszki.

Ellie przypomniała sobie, jak czytała jej bajki i wierszyki tego samego dnia, kiedy nauczyła ją jeździć na wrotkach. Teraz, kiedy mała była taka chora i pytała, czy jeszcze kiedyś będzie mogła to robić, Ellie pożałowała, że kiedykolwiek opowiedziała jej tę bajkę.

- Proszę - powiedziała Charlotte.

- A może opowiem ci coś innego? - zapytała Ellie, udając wesołość.

- Nie, Ellie, proszę. O Humpty-Dumptym.

- No, niech będzie. Ale tylko jeden raz. - Wzięła głęboki wdech. - „Humpty-Dumpty siedział na murze...”

Chichot Charlotte przerodził się w kaszel, a potem dziewczynka straciła oddech. Kiedy Ellie umilkła, gestem dała jej znak, żeby mówiła dalej.

Mała śmiała się, delektując się rytmem i zabawnymi słowami.

- Cieszę się, że przyszedłaś, Ellie.

Ellie przygładziła dziewczynce włosy, uśmiechając się z czułością.

- Ja też.

Charlotte popatrzyła w bok i dostrzegła Jima, siedzącego w kącie. Westchnęła, jakby z ulgą, że go widzi, jakby jego obecność sprawiała, że wszystko jest w porządku. Potem zapadła w sen.

Ellie siedziała przy niej długo, myśląc o tym, że tak samo jak przeszłości nie da się zmienić, dziewczynki nie da się uratować. Nie trzeba było być jej matką ani lekarzem, żeby to zrozumieć. Stan małej pogarszał się, chociaż Nicholas twierdził coś przeciwnego. Ta świadomość poraziła Ellie. Dlaczego Nicholas nie mówił prawdy?

Wygładziwszy kołderkę, Ellie wstała i, zostawiając Jima w jego kącie, zeszła na dół. Kiedy była już na ostatnim stopniu, drzwi frontowe otworzyły się.

- Nicholas - szepnęła Ellie, pragnąc rzucić mu się w ramiona i wypłakać w nich cały żal, jaki budził w niej nieunikniony los małej dziewczynki.

Jakby wyczuwając myśli Ellie, Nicholas zbliżył się do niej i zamknął w mocnym uścisku.

- Jak miło widzieć cię, kiedy wracam do domu. Będziesz tak na mnie czekała, kiedy już się pobierzemy?

Słowa te tylko zwiększyły jej ból, bo przecież nie nastąpi żaden ślub. Zanim jednak zdążyła się odezwać, zamknął jej usta pocałunkiem, a potem popatrzył w górę.

- Jak ona się czuje? - zapytał, marszcząc brwi, chociaż głos miał spokojny. - Zauważyłaś poprawę?

Poprawę.

- Myślałam...

- To tylko kwestia czasu. Teraz jest zmęczona. Ale wszystko jest na dobrej drodze.

Ellie nie wiedziała, czy Nicholas rzeczywiście wierzy w to, co mówi, czy też nie potrafi przyjąć faktów do wiadomości.

- Chodź ze mną na górę. Chcę ją zobaczyć - powiedział.

- Nie, nie. Muszę wracać do sklepu. Martwiłam się, że jak wrócę znad oceanu, nie będę miała klientek. Tymczasem przychodziły jedna za drugą.

- To wpadnę do ciebie, ale później.

Teraz mu to powiedz, powtarzała sobie Ellie w duchu. Bądź stanowcza. Tylko że gdy Charlotte była taka chora, nie mogła zmusić się do tego zmusić.

Maisy Roberts czekała w sklepie razem ze swoją przyjaciółką z Karaibów, Deirdrą Carlisle.

- Jest pani nareszcie - zawołała Maisy, usadowiona na kanapie. Hanna poczęstowała kobiety kawą w filiżankach z delikatnej porcelany malowanej w maleńkie zielone kwiatki.

- Pani Roberts. Panna Carlisle. Jakże miło mi panie widzieć - powiedziała Ellie, zdejmując kapelusz. - W czym mogę paniom pomóc?

- Potrzeba nam kapeluszy - ćwierknęła Maisy. - A raczej ozdobnych nakryć głowy. Czegoś niezwykłego. Nicholas Drake organizuje wielkie przyjęcie. Będą tam wszyscy.

Ellie opanowała się z trudem.

- Deirdro, kochanie, powiedz panie Sinclair, o co ci chodzi.

Zapytana rzuciła okiem w lustro.

- Chciałabym przezroczysty welon, opadający na plecy, umocowany na głowie stroikiem z pereł.

Maisy otworzyła usta.

- Welon! Z perłami! Myślałam...

- Co myślałaś, Maisy? - zapytała ostro Deirdra.

- No...

- Drogie panie - przerwała im Ellie. - Nie zdążę nic zrobić w terminie. To przecież już za tydzień.

- A więc wie pani o tym przyjęciu! - wykrzyknęła Maisy. - Pewnie były tu już wszystkie panie z towarzystwa. Panno Sinclair, proszę. Musi pani znaleźć dla nas czas.

Wiedza Ellie o przyjęciu nie wynikała z zamówień klientek. To ona miała być tam najważniejszą osobą. Jednak nie zamierzała mówić o tym pani Roberts. Tym bardziej że przecież wcale nie chciała iść na to przyjęcie.

Deirdra posłała Ellie olśniewający uśmiech.

- Panno Sinclair... Welon nie wymaga dużo czasu. - Podniosła kawałek cienkiego, francuskiego woalu o bładożółtym kolorze. - To będzie doskonałe. Dostarczę pani perły.

- Ależ, Deirdro, welon? - jęknęła Maisy.

Deirdra nie poświęciła jej większej uwagi.

- Pod perłami może dać pani małe grzebyki. To naprawdę nie będzie takie trudne. Zapłacę podwójną cenę.

Ellie westchnęła w duchu. Rzeczywiście zrobienie czegoś takiego nie stanowi większego problemu. Hanna w znacznym stopniu przygotowała dotychczas zamówione kapelusze. A na następny tydzień nie miały nic nowego.

- Bardzo panią proszę, panno Sinclair...

Zamówienie przyjęto. Ellie pracowała nad nim codziennie, a jej zawsze pewne ściegi teraz stały się nierówne, gdy starała się nie myśleć o coraz bardziej zbliżającej się fecie. Z początku była pewna, że znajdzie okazję, by przekonać Nicholasa, iż nie może go poślubić. Ale ilekroć próbowała z nim porozmawiać, okazywało się, że jest zbyt zajęty przygotowaniem dokumentacji swojej budowy albo wizytami lekarzy u Charlotte. Prośbę o chwilę rozmowy kwitował słowami: „Nie teraz. Wpadnę później”. Tyle tylko, że owo „później” jakoś nie chciało nastąpić.

Ellie czuła narastający lęk. Niepokój wypełniał jej myśli. Jak ma postąpić? Musi znaleźć jakiś sposób, i to prędko. Miała coraz mniej czasu. I chociaż przez krótką chwilę wydawało jej się, że nawet jeśli zaręczyny zostaną ogłoszone

szone, będzie przecież mogła później się z nich wycofać, wiedziała, że byłoby to tchórzostwo. Poza tym pogorszyłoby to sprawę, gdyż skompromitowałyby tego dumnego człowieka w oczach całego towarzystwa. Musi więc zrobić to jak najprędzej, zanim Nicholas ogłosi światu swoje zamiary.

W dniu przyjęcia, bardzo wczesnym rankiem, Ellie zjawiła się w biurze Nicholasa z bijącym sercem i niemiłym dławieniem w gardle. Niczego więcej nie pragnęła, jak znaleźć się z powrotem w domu. Jednak łagodność jak na razie w niczym jej nie pomogła. Musi zebrać się na odwagę, żeby przekonać Nicholasa o prawdziwości swoich słów. Dzisiaj. Tutaj. Nie w domu, gdzie na górze leży chora Charlotte. Z siedzącym za drzwiami sekretarzem. Jednak kiedy portier otworzył przed nią drzwi, nie zdążyła zrobić kroku, kiedy pojawił się przed nią Nicholas.

- Nicholas!

Mężczyzna zatrzymał się raptownie.

- Ellie - powiedział ze zdziwieniem. - Co ty tutaj robisz?

Rzuciła okiem na zaintrygowanego portiera i przechodniów na ulicy.

- Muszę z tobą porozmawiać. Czy możemy pójść na górę do twojego biura?

- Nie, najdroższa. Mam spotkanie z burmistrzem.

- Nicholas! - Wiedziała, że jej głos zabrzmiał piskliwie i usiłowała się uspokoić. - Proszę, musimy porozmawiać.

Nicholas przechylił głowę, wyrzwał na ulicę, przełożył teczkę do lewej ręki, a potem ujął prawą dłoń Ellie i wciągnął ją do budynku, z dala od ciekawskich spojrzeń. Ellie stała przez chwilę bez ruchu, starając się uspokoić. Wystarczył dotyk jego ręki, by poczuła się jak w niebie. Chciała się do niego przytulić, ale wiedziała, że nie może. Wysunęła dłoń z jego uścisku.

- O co chodzi? - zapytał, przysuwając się do niej, co sprawiło, że serce zaczęło jej bić jak młotem. Zanim zdą-

żyła cokolwiek powiedzieć, znalazła się w jego ramionach i poczuła na swych wargach jego usta.

Pocałunek był długi. Ellie zatraciła się w nim bez reszty.

- Boże - szepnął Nicholas. - Tak za tobą tęskniłem. Sprawiasz, że zapominam, co muszę zrobić.

Wtedy ona wyrwała się.

- Nie, Nicky. To znaczy, Nicholasie.

Smutny uśmiech przemknął mu po twarzy.

- A już zdążyłem przyzwyczaić się do „Nicky”. - Przyciągnął ją do siebie z powrotem.

Zamknęła oczy i zebrała całą swoją odwagę.

- Nie, Nicholasie! Puść mnie.

Poczuła, że uznał, iż mówi serio, gdy rozluźnił uścisk.

- Co się stało, Ellie?

Jego zazwyczaj nieprzeniknione spojrzenie pociemniało. Ellie zdawała sobie sprawę, że od wielu dni pracował ponad siły, rozdarty między chorobą Charlotte a koniecznością prowadzenia interesów. Czy może składać mu na barki dodatkowy ciężar? Jak ma mu to powiedzieć? Nie miała jednak wyboru.

- Nie mogę cię poślubić, Nicholasie. - Powiedziawszy to, poczuła ulgę, a zarazem ból. Z wysiłkiem powstrzymywała łzy. Na płacz czas przyjdzie później.

- Ależ Ellie...

- Nie, Nicholasie - powiedziała stanowczo, wyciągając do niego rękę. - Nie mogę za ciebie wyjść.

Spoważniał.

- Uważaj, bo jeśli będziesz to powtarzać, pewnego dnia cię uwierzę.

- Och, Nicky. - Westchnęła. - *Musisz* mi uwierzyć.

- Dlaczego? Czemu powtarzasz, że nie możesz mnie poślubić?

Na to pytanie nie mogła mu udzielić odpowiedzi. Spróbowała więc skierować wyjaśnienia na inne tory.

- Należymy do dwóch różnych światów. Wszystko nas dzieli.

- To jakieś bajki...

- Nie, Nicholasie! To prawda. Nie dalej jak tydzień temu pani Maisy Roberts przyprowadziła mi do sklepu przyjaciółkę, która potrzebowała kapelusza na twoje przyjęcie.

- Nasze przyjęcie.

- Nie, nie nasze! Twoje! Tylko dla ciebie i twoich przyjaciół i znajomych. Kiedy wymieniłam jego datę, uznali że znam ją, bo robię kapelusze dla innych zaproszonych kobiet, a nie dlatego, że też mam się tam pojawić.

- Wkrótce przekonają się, że bardzo się pomyliły - powiedział, robiąc krok w jej stronę.

Ale Ellie cofnęła się.

- Proszę cię, nie utrudniaj mi.

- Nie mam zamiaru ci ułatwiać. Teraz wahasz się, ale...

- Wcale mnie nie słuchałeś, nie zwracasz uwagi na to, co mówię, od wielu dni! - zawołała z rozpaczą. - Nie mogę cię poślubić, Nicholasie.

Odwrociła się, ale on chwycił ją za ramię. Spojrzał jej w oczy i odniosła wrażenie, że zagłębia w głąb jej duszy. Próbowana się wyrwać, ale chwycił ją pod brodę i przytrzymał. Wydawało się, że patrzy tak całą nieskończoność. Była pewna, że ujrzę całą prawdę, a raczej to, co chciała, żeby zobaczył, czyli to, że nie mogą żyć razem.

- Kochasz mnie? - zapytał.

Tak po prostu. Tak nieoczekiwanie. Chciała zaprzeczyć, powinna zaprzeczyć. Ale chociaż nie mogła mu powiedzieć całej prawdy o sobie, nigdy też nie kłamała. Teraz więc także nie umiała tego uczynić. Nie mogła kłamać na temat czegoś, co było częścią jej duszy, czegoś, co nigdy nie ulegnie zmianie, bez względu na to, jak wiele czeka ją jeszcze lat życia.

Usiłowała odsunąć głowę, ale trzymał ją mocno.

- Kochasz mnie, Ellie. Nie próbuj przeczyć. - Przyciągnął ją do siebie z całą mocą, jakby doznał ulgi.

Ellie miała wrażenie, że serce rozpadnie się jej na tysiąc kawałków.

- Kochasz mnie - powtórzył. - A ja kocham ciebie. Nie pozwolę ci odejść. Nigdy. Już tak niewiele brakuje, żebym został za sobą przeszłość. Bądź przy mnie. Potrzebuję cię, Ellie.

Przytulił ją raz jeszcze, a potem odsunął na odległość ręki.

- Nigdy już tak do mnie nie mów. Proszę. - Uśmiechnął się przelotnie.

- Panie Drake - włączył się odzwierny, otwierając drzwi. - Pański powóz czeka.

Nicholas rzucił okiem na Ellie.

- Wyjdź za mnie. Nie będziesz żałowała. - Cofnął się i sięgnął po teczkę. - Obiecuję.

- Nicholas...

- Przyślę po ciebie powóz na ósmą - powiedział i poszedł, zostawiając ją samą w wysokim hallu, a myśli kłębiły się jej w głowie jak szalone.

Przez dłuższą chwilę starała się zrozumieć, jak to się stało. Bez powodzenia. Wiedziała tylko, że nie osiągnęła swojego celu.

Jak gdyby była chorą, stuletnią staruszką, którą w życiu spotykały wyłącznie niepowodzenia, wyszła, słaniając się, na Piątą Aleję. Nie zwracała uwagi na wozy z beczkami piwa, powozy, wynajęte dorożki, tłoczące się na jezdni. Przebrała. Bo zabrakło jej odwagi. Eliot Sinclair. Taka silna. Waleczna. A w głębi duszy tchórz.

Nie zdawała sobie sprawy, że łzy spływają jej strumieniami po twarzy ani że pojawił się przed nią wóz z piwem, i że furman najpierw krzyknął ostrzegawczo, a potem z całej siły pociągnął lejce i ominął ją w ostatniej chwili. Kiedy poczuła podmuch powietrza i zrozumiała, co się stało, żałowała tylko, że wóz jej nie przejechał.

Wielki Boże, co ma teraz robić? Poślubić Nicholasa? Pragnęła tego ze wszystkich sił. Nie mogła jednak kusić losu. Kogo spotkałaby za to kara? To jasne, że od chwili, gdy usłyszała historię życia ukochanego, nie może wziąć z nim ślubu. Gdyby to uczyniła, w końcu zniszczyłoby to ich obo-

je. Nie mogłaby na zawsze utrzymać w tajemnicy swego pochodzenia. Jej dom, jedyna rzecz, jaką Nicholas musiał mieć, powiązałyby ją ściśle z Harrym Dillardem. A kiedy prawda wyszłaby na jaw, Nicholas dowiedziałby się, że Ellie jest córką człowieka, który zniszczył jego rodzinę... córką nikczemnika odpowiedzialnego za śmierć jego matki.

Myśl ta sprawiła, że prawie pękło jej serce, ale wiedziała już, co musi zrobić.

23

Sala balowa płonęła światłami. Paliły się świece, lampy gazowe, a nawet kilka żarówek elektrycznych, rozniecając w całym pomieszczeniu setki błysków. Wszedłszy do środka, Ellie od razu zauważyła Nicholasa. Nie było słów, które potrafiłyby opisać, jak niezwykle wrażenie czynił, rozmawiając z jedną osobą, śmiejąc się do drugiej. Taki wysoki... przystojny... swobodny. Stanowił nieodłączną część tego pełnego blasku świata. Był dobry i szlachetny. Rycerz w lśniącej zbroi, ratujący małe, umierające dziewczynki, starający się pomścić honor swoich rodziców. Wspaniały człowiek. Ellie z całego serca pożałowała, że sprawy nie mają się inaczej.

Zacisnęła powieki i postarała się odegnąć tę myśl. Dawno już nauczyła się, że nie należy płakać nad tym, czego nie da się zmienić.

Nieco skrępowana, wygładziła spódnicę. Miała na sobie jedwabną suknię w kolorze turkusowym, prostą, ale piękną. Wydała na nią o wiele więcej, niż mogła sobie pozwolić. Kiedy założyła ją po raz pierwszy, efekt był oszałamiający. Nigdy dotąd nie miała tak wspaniałego stroju. Teraz jednak, stojąc pośrodku wielkiej sali balowej Nicholasa, otoczona przez ozdobione perłami i rubinami przedstawicielki nowojorskiej

elity, Ellie zdała sobie sprawę, że w najlepszym razie niczym się nie wyróżnia na niekorzyść. Jeszcze jeden dowód na to, że nawet gdyby nie była córką Harry'ego Dillarda, nigdy nie będzie tutaj przynależać. Zapragnęła ukryć się pośród długich, luźnych draperii, skrywając swe gładkie, białe koronkowe rękawiczki i gołą, pozbawioną klejnotów szyję. Takie rzeczy Nicholas uważał za oczywiste: właściwą suknię, niepokalane rękawiczki, odpowiednie buty. Był taki zajęty, że nawet nie upewnił się, czy Ellie stosownie przygotowuje się do przyjęcia: nawet nie zainteresował się jej suknią.

Ale czy to ważne, co mam na sobie? strofowała się w myślach. Nie przyszła tu wygrać konkursu mody. Jej zadaniem jest przekonać Nicholasa, że w żadnym razie nie może go poślubić.

Dookoła niej ludzie rozmawiali, śmiali się. Ktoś zaczął już tańczyć. Posiłek stanowiący najważniejszą część przyjęcia miał być podany o północy. Bażanty, coq au vin, pate de foie gras. Najlepsze gatunki szampana. Ale Ellie już wtedy tu nie będzie. Teraz też zastanawiała się, co tutaj robi. W domu plan wydawał się jej prosty. Jednak teraz, gdy stała pośrodku sali balowej, niepokój i zwątpienie przytłaczały ją niczym ciężki płaszcz.

- Jesteś pewna, że powinniśmy tutaj być? - zapytał z wahaniem stojący u jej boku Charles Monroe.

Ellie odwróciła się do niego nerwowo.

- Przecież nas wpuszczono. - Rzuciła okiem na drzwi.
- Ale może rzeczywiście lepiej, żebyśmy sobie poszli. Chodźmy.

- Skoro dostałaś zaproszenie, zostanemy - stwierdził Charles z rosnącym podnieceniem. - Patrz. Tam. Theodore Roosevelt rozmawia z gubernatorem.

Ale Ellie już go nie słuchała. Zauważyła bowiem, że Nicholas zdał sobie sprawę z jej obecności tutaj... że ją zobaczył. Stał w drugim końcu sali i odwracał się w jej stronę, a na jego twarzy pojawił się wyraz szczęścia i... mogła przy-

siąc... dumy. Prawdziwej dumy. I miłości. Nie żenowała go ani jej suknia, ani sama jej obecność tutaj. Widziała to wyraźnie. Stała bez ruchu, pozwalając, by zalewała ją fala nieznanych dotąd uczuć, starając się zachować je jak najdokładniej w pamięci. Zdawała sobie bowiem sprawę, że za kilka zaledwie sekund uśmiech ten zniknie, a jej pozostaną już tylko wspomnienia. Chyba że, pomyślała w ostatnim przeblysku daremnej nadziei, uda się jej tego uniknąć.

- Ellie - odezwał się obok niej Charles. - Nie słuchasz, co do ciebie mówię.

Wtedy właśnie Nicholas zauważył obecność mężczyzny u boku Ellie. Uśmiech spełzył z jego twarzy, zastąpiony wyrazem zmieszania. Teraz Ellie nie mogła się już wycofać. Nabrała powietrza do płuc i zmuszona kontynuować raz obraną drogę, drżącą dłońią ujęła Charlesa pod ramię.

Widząc to, Nicholas ruszył do przodu. W jego oczach odmalował się gniew.

Ellie na moment przestała oddychać. Jej chwila nadeszła. Jednak kiedy Nicholas był już blisko, dziewczyna straciła odwagę.

- Zatańczmy, Charlesie - szepnęła.

Zeszli na lśniący parkiet i znaleźli się pośród innych wirujących par. Ellie starała się dotrzymać im kroku. Nie słyszała muzyki ani też nie zdawała sobie sprawy, że jej stopy poruszają się w rytmie walca. Wiedziała tylko, że Nicholas zatrzymał się na skraju parkietu, a jego oczy przeszywają ją na wylot.

Niestety, w końcu muzyka umilkła. Wtedy jednak, zamiast wrócić na miejsce, z którego przyszli, tam gdzie stał sztywny ze złości Nicholas, Ellie pociągnęła Charlesa na drugą stronę parkietu.

- Panno Sinclair!

Serce podeszło Ellie do gardła, ale zaraz dotarło do niej, że wołający do niej głos należy do kobiety. Odwróciła się i ujrzała przed sobą Maisy Roberts.

- Witam, pani Roberts - wykrztusiła. - Miło mi panią widzieć.

- Ależ oczywiście. Kim jest pani towarzysz? Nie przypuszczałam, że tu panią spotkam - stwierdziła, unosząc brew.

Charles wysunął się do przodu.

- Towarzyszę pani Sinclair i mam nadzieję wkrótce zostać jej narzeczonym. Nazywam się Charles Monroe. Ona... my... zostaliśmy zaproszeni.

- Cóż - rzekła Maisy, łagodniejąc - bardzo mi miło. - Uśmiechnęła się jednak z pewnym przymusem. - Widziała pani Deirdrę Carlisle?

Ellie postarała się odpowiedzieć uprzejmie.

- Niestety, nie.

- Cóż, warto. Muszę przyznać, że myliłam się co do tego welonu. Robi ogromne wrażenie. Deirdra ma czasami dziwaczne pomysły, ale... - wzruszyła ramionami. - Potrzebny jej mąż, a po dzisiejszym wieczorze nie wątpię, że go sobie znajdzie. Patrzcie, patrzcie. Miriam Welton. - Maisy cmoknęła ze współczuciem. - Jaka szkoda...

Ellie chciała zapytać, dlaczego, ale do Maisy podeszła jakaś kobieta.

- Maisy, kochanie... - zaczęła.

Mając do wyboru zdobycie nowych informacji na temat Miriam lub też dyskretny odwrót, Ellie wybrała to drugie, tym bardziej że Nicholas ruszył w ich stronę. Oglądając się przez ramię, zobaczyła, że Maisy ujmuje go pod ramię. Nicholas śledził Ellie wzrokiem, dopóki Maisy nie powiedziała czegoś, co wreszcie zwróciło jego uwagę. Ellie zastanawiała się, co to mogło być, bo mężczyzna mocno zaciśnął szczęki. Ellie potknęła się i odzyskała równowagę, chwytając oparcie eleganckiego krzesła.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Charles.

Nie, nie czuła się dobrze.

- Ależ oczywiście.

- To może zatańczymy?

- Lepiej nie...

- Nonsens. Taniec poprawi ci humor. - Charles pociągnął Ellie na parkiet, nie czekając na odpowiedź. Rozległa się muzyka. Czując narastające odrętwienie, Ellie bezwolnie poddawała się jej taktom.

Prawie nie zauważyła, kiedy taniec dobiegł końca i Charles zatrzymał się. Puścił nagle jej dłoń i cofnął o krok. Chciała go zapytać, dlaczego, ale słowa uwięzły jej w gardle, gdyż pojawił się przed nią Nicholas.

- Nicky - wyszeptwała.

Gdy ujął ją za rękę, miała wrażenie, że przebiegł między nimi jakiś prąd. Nicholas odczekał chwilę, patrząc jej głęboko w oczy, a potem objął w talii drugą ręką. Potknęła się, gdy zaczął poruszać się w rytm muzyki, ale on podtrzymał ją z łatwością.

Chciała przytulić policzek do miękkiej tkaniny jego czarnego, wytwornego stroju wieczorowego. Chciała położyć mu głowę na piersi. Najbardziej jednak pragnęła zapomnieć, po co tu przyszła.

- Dlaczego to robisz? - zapytał.

Jego szorstki głos wyrwał ją z zamyślenia. Poza gniewem Ellie dosłyszała w nim także urazę. To samo ujrzała w jego oczach, dostrzegła w lekkiej sztywności ramion, którą próbował zamaskować swój ból. Większość ludzi nic by nie *zauważyła*, jednak Ellie znała już Nicholasa wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jak głęboko został zraniony. Nie przypuszczała tylko, że ją samą zabol to jeszcze bardziej.

- Chcesz zmusić mnie, żebym poświęcał ci więcej czasu? - dodał, kiedy nie udzieliła mu odpowiedzi.

- Nie - szepnęła. - Ależ skąd.

- To dlaczego? - zapytał szorstko. - Dlaczego mówisz ludziom, że jesteś z nim zaręczona?

Drgnęła, widząc gniew w jego oczach. Jednak opanowała się i popatrzyła na niego, prosząc spojrzeniem, by ją zrozumiał, chociaż wiedziała, że jest to niemożliwe.

- Nie mówiłam, że jestem z kimkolwiek zaręczona.

- Maisy Roberts twierdzi co innego.

Ellie skuliła się.

- To Charles. Powiedział, że ma nadzieję zostać kiedyś moim narzeczonym. Ale to nic nie znaczy...

- Nie? - dopytywał się. - A więc co ma dla ciebie znaczenie? Po co go tutaj przyprowadziłaś?

- Jest tutaj, bo... lubię go.

Nicholas zmrużył gniewnie oczy i na chwilę zmylił krok.

- Lubisz go? Przyszłaś na przyjęcie, na którym mamy ogłosić nasze zaręczyny, z innym, bo go lubisz? Powinnaś być tu ze mną, Eliot.

Zrobił gwałtowny obrót i Ellie musiała chwycić go mocniej, by zachować równowagę.

- Ale nie jestem tu z tobą, Nicholasie. Jestem z Charlesem. Przyciągnął ją blisko do siebie, zbyt blisko.

- Nie rozumiem, dlaczego to robisz - powiedział cicho. - Ty jesteś przecież moja. Należysz do mnie.

Minęła dłuższa chwila, a potem zatrzymali się na krawędzi parkietu.

- Nie, Nicky. Nie jestem twoja. - Odwróciła wzrok. Pa-liło ją w gardle. - Nie należę do nikogo.

- Co ty opowiadasz?

- Od dawna powtarzam ci, że nie mogę poślubić ciebie ani kogokolwiek innego, ale ty nawet nie chciałeś mnie słuchać. Więc mówię raz jeszcze: nie mogę za ciebie wyjść.

Odetchnął chrapliwie.

- Wybrałaś sobie świetny moment, żeby mnie o tym powiadomić.

Policzki Ellie zapłonęły rumieńcem gniewu.

- Próbowałam! Wiele razy. Ale ty mnie nigdy nie słuchałeś.

Poderwał głowę, zaciskając zęby, i Ellie widziała, że teraz sobie przypomina. Kiedy znowu na nią popatrzył, w jego oczach malował się gniew pomieszany z rozpaczą.

- Dlaczego? - szepnął zdławionym głosem. - Dlaczego mnie zdradzasz?

Zachnęła się. Ona go zdradza?

Chwytał ją mocniej za rękę.

- Boże, przysięgam, że byłem pewien, jak niczego na świecie, że ty nigdy mnie nie zdradzisz... że jesteś jedyną osobą, na której lojalność mogę zawsze liczyć.

Chciała krzyknąć, zapewnić go, że to nie zdrada. Ale jak miała wyjawić mu prawdę?

Obserwowała bezradnie, jak rozpacz malującą się na jego twarzy powoli zaczyna maskować dobrze wyćwiczony wyraz obojętności, którą wkrótce zastąpi nienawiść. Serce ścisnęło się jej boleśnie, a w oczach zapiekły łzy. Teraz już w żaden sposób nie zdołałaby odwrócić biegu wypadków. Patrząc w oczy Nicholasa, wiedziała, że udało jej się osiągnąć zamierzony cel. Przekonała go. Powinna być zadowolona z siebie, ale czuła wyjątkowo pustkę.

Coś dławilo ją w gardle, a w kolanach czuła niezdolność słabość. Miała wrażenie, że wydarto jej część duszy. Jednak co się stało, to się nie odstanie. Dotychczas łączyły ich silne więzy emocjonalne. Zerwanie czegoś takiego musi boleć.

Nicholas. Imię to przemknęło jej przez myśl, ale usta miała mocno zaciśnięte.

- Nicholas!

Przez chwilę, Ellie wydawało się, że to ona je wypowiedziała.

- Nicholas Drake! Co za wspaniałe przyjęcie!

Nicholas i Ellie odwrócili się, by ujrzeć przed sobą Deirdrę Carlisle.

- Panna Carlisle - powiedział Nicholas, uśmiechając się z przymusem. - Rad jestem, że dobrze się pani bawi.

Miała na sobie jedwabny welon z perłami i, dokładnie tak, jak twierdziła Maisy, wyglądała oszałamiająco.

- Jak zdołał pan sam zorganizować coś tak wspaniałego? - Uśmiechnęła się. - Pewnie jednak zatrudnił pan so-

bie pomocników. - Spojrzała na Ellie. - A jakie było pani zadanie, panno Sinclair?

Ellie wyprostowała się.

- Zostałam zaproszona. A teraz proszę mi wybaczyć, ktoś na mnie czeka.

Odeszła szybko, zanim Nicholas zdołał ją zatrzymać. Deirdra najwyraźniej nic nie zauważyła, bo dalej mówiła coś, opierając dłoń na ramieniu mężczyzny i w ten sposób trzymając go na uwieczu. Ellie wiedziała, że Nicholas obserwuje jej ucieczkę. Jeszcze kilka kroków, powiedziała sobie w myślach. Szybciej. Boże, pomóż mi. Jednak zanim znalazła się przy zbawczych drzwiach, ktoś przytrzymał ją za ramię. Podniosła oczy.

- Miriam?

- Nic pani nie jest, panno Sinclair?

- Zrobiło mi się trochę duszno - Ellie bezskutecznie usiłowała się uśmiechnąć.

- Pójdę z panią.

- Nie! - Ellie nabrała tchu. - Dziękuję - powiedziała spokojniej. - Nic mi nie będzie. Muszę tylko wyjść.

Ale Miriam nie pozwoliła jej odejść.

- Wbrew woli usłyszałam pani rozmowę z Nicholasem. - Zawahała się, a potem zapytała dziwnym głosem: - Jaką krzywdę wyrządził pani mój brat, że został tak strasznie ukarany?

Ellie zachwiała się i wyciągnęła przed siebie rękę. Popatrzyła na długie, smukłe palce dłoni, która ją podtrzymała, a potem spojrzała w fiołkowe oczy, w których malowało się pytanie. Jednak nie potrafiła stwierdzić, czy wyrażają one oburzenie, czy współczucie. Opanowała się z wysiłkiem.

- Jedynym błędem pani brata było to, że obdarzył mnie miłością - szepnęła, a potem wymknęła się przez drzwi i zbiegła po schodach, czując na policzkach ciepło spływających po nich łez. Dlaczego musi odczuwać jeszcze i to? Biegając na oślep pod jasnymi gwiazdami wrześnie no-

cy, pomyślała, że lepsze byłoby odrętwienie, zimna pustka, w której nic już nie mogłoby jej dotknąć.

24

- Wychodzę.

Barnard, stojący w kącie przy swoim malowidle, odwrócił się do Hanny.

- Wychodzisz? - Popatrzył badawczo na jej eleganckie ubranie. - Dokąd to się wybierasz taka wystrojona? Na schadzkę? O dziewiątej rano? - parsknął i zajął się swoją pracą.

- Wyprowadzam się.

Zesztywniał. Popatrzył przed siebie: nie na swój obraz ani na Hannę, tylko w jakiś znajdujący się między nimi punkt, coś, co tylko on mógł zobaczyć.

Po chwili spojrzął kobiecie w twarz.

- Wyprowadzasz się? Nigdy dotąd nie słyszałem nic równie głupiego. A na co ci to? Gdzie ty się, u diabła, zamierzasz podziać?

Uniosła dumnie głowę, starając się równocześnie ukryć zdradzieckie drżenie rąk.

- Kocham cię, Barnardzie Webb, chociaż wiem, że to niemądre. Ale skoro ty nie chcesz odwzajemnić tego uczucia, nie mogę mieszkać z tobą pod jednym dachem. A gdzie zamierzam się podziać, to już nie twoja sprawa.

- Miłość! Też mi coś! Babskie głupoty. Bzdury i tyle.

Hanna zeszywniała, zaciskając okryte białymi rękawiczkami dłonie.

- Jesteś bez serca i sama nie wiem, dlaczego ciebie kocham.

- Powiedziałaś przed chwilą, że zamierzasz się wyprowadzić. Chciałaś mnie przestraszyć i nic więcej. Nie ru-

szysz się stąd tak samo, jak nie zaczniesz biegać nago po Central Parku.

Sapiąc z oburzenia, Hanna usiłowała się uspokoić.

- Mylisz się, starcze. Wyprowadzam się. Dzisiaj.

Popatrzył na nią badawczo, a zegar na kominku odliczał długie minuty.

- No i dobrze - mruknął wreszcie z kamienną twarzą. - Wynoś się. Wcale się tym nie przejmuję. - Odwrócił się raptownie w stronę swojego obrazu i zaklął pod nosem.

Hanna patrzyła na jego sztywne plecy, czekając na znak, na jakikolwiek sygnał, że jemu zależy na tym, by została. Ale mężczyzna sięgnął po pędzel i zaczął malować. Może on ma rację, pomyślała. Jest głupia, jeśli chociaż przez chwilę miała nadzieję, że okaże, iż mu na niej zależy. Sama przecież wie o tym od dawna. Tyle że rozum i serce nie zawsze mówią to samo.

Wzdychając z rezygnacją i po raz pierwszy od wielu lat czując się staro, powoli weszła po schodach. Schodząc wcześniej na dół, spodziewała się, że zastanie tam Ellie. Chciała najpierw rozmówić się z nią. Ale jej tam nie znalazła. Więc Hanna powiedziała o swojej decyzji Barnardowi.

Była sobota i zgodnie z decyzją Ellie sklep miał być dzisiaj zamknięty. Hanna nie chciała budzić Ellie, skoro dziewczyna mogła sobie dłużej pospać. Powinna zatem poczekać. Tylko że czekała już o wiele za długo... sądząc po bezdusznej reakcji Barnarda.

Zapukała do drzwi.

- Kto tam? - usłyszała niewyraźny głos.

- Ellie, kochanie, to ja, Hanna. Muszę z tobą porozmawiać.
Cisza.

- Ellie? - zawołała Hanna.

- Idę - jęknęła Ellie.

Hanna usłyszała kroki i wstrzymała oddech do chwili, gdy drzwi się uchyliły. Zachłysnęła się.

- Ellie, skarbie, jak ty wyglądasz! Jesteś chora?

Ellie skrzywiła się, ale pokręciła głową.

- Nie. Tylko zmęczona.

- Musiałaś wrócić bardzo późno, bo nic nie słyszałam. Ellie parsknęła ironicznie, ale otworzyła szerzej drzwi.

- Nie było tak znowu późno.

- Jak się udało przyjęcie?

Ellie, która właśnie przyglądała sobie włosy, zamarła w pół gestu.

- Bardzo dobrze, Hanno - powiedziała z nagłą niecierpliwością. A potem zawstydziła się. - Przepraszam. Jestem po prostu zmęczona. O czym chciałaś ze mną rozmawiać?

- Odchodzę.

Ellie nie całkiem rozumiała, czemu Hanna uznała za stosowne budzić ją tylko po to, żeby powiadomić ją, iż wychodzi. Przez chwilę myślała, że umówiły się na coś, o czym zapomniała.

- Która godzina? Dokąd się wybierasz?

- Wyprowadzam się, Ellie.

-Co?

- Tak. Wyprowadzam się. Na zawsze.

To wreszcie dotarło do Ellie.

- Chcesz się wyprowadzić? Dlaczego? O czym ty mówisz, Hanno?

- Zaproponowano mi pracę. Chciałam powiedzieć ci o tym wcześniej, ale tyle rzeczy się naraz wydarzyło: sprawa domu i Nicholasa, te zamówienia na kapelusze, no a potem pojechaliśmy na Long Island. Naiwnie przypuszczałam, że Barnard zobaczy sprawy w innym świetle, kiedy znajdziemy się poza miastem.

Ellie rozumiała już wszystko.

- Wyprowadzasz się z powodu Barnarda.

- Tak, skarbie. Przykro mi. Wiem, że powinnam była zawiadomić cię znacznie wcześniej, i o mieszkaniu, i o pracy, ale... kiedy już zebrałam się na odwagę, wiedziałam, że nie mogę z tym zwlekać. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

- Och, Hanno - westchnęła Ellie. - Nie możesz odejść. Coś razem wymyślimy. - Jednak tak samo jak Hanna nie miała najmniejszego pojęcia, co Barnard prawdopodobnie do śmierci będzie wierzył, że syn go kiedyś zabierze do swojego domu. A przecież to właśnie nadzieja trzyma człowieka przy życiu. Nie może go za to winić.

- Tak będzie najlepiej - powiedziała Hanna. Ruszyła stanowczo do wyjścia, zostawiając oszołomioną Ellie w drzwiach. Po chwili jednak zawróciła i chwyciła dziewczynę w objęcia. - Przez siedem pięknych lat byłeś dla mnie jak córka. Będę za tobą tęskniła, dziecino, bardziej niż powinienam. Kocham cię tak samo, jak drogiego Jima. Ale muszę odejść. Nie mogę zostać pod jednym dachem z mężczyzną, który najwyraźniej w świecie nie zamierza odwzajemnić moich uczuć.

- Hanno, nie odchodź. Wszyscy cię kochamy, nawet Barnard, chociaż nie potrafi tego okazać. No, przecież wiesz.

- Nie, Ellie, nie wiem - odparła Hanna stanowczo, a potem odwróciła się w stronę schodów.

Ellie zarzuciła szlafrok i poszła za nią, usiłując rozpaczliwie wymyślić jakieś inne rozwiązanie. Hanna zajmowała się nią jak matka. Nie może utracić ich wszystkich: Charlotte i Nicholasa, a teraz jej. Jednak kiedy zeszła na dół, straciła resztkę nadziei: w hallu ujrzała ustawione rzędem skrzynki i walizy, a przez otwarte drzwi widać było dorożkę.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał Jim, który właśnie nadszedł ulicą.

Hanna uścisnęła mu dłoń.

- Muszę odejść, Jimie.

- Dokąd, Hanno? Kiedy wrócisz? - Na widok spakowanych bagaży na okrągłej twarzy młodzieńca odmalowała się troska. - Po co ci tyle rzeczy?

- Już tu nie wrócę, Jimie.

- Nic nie rozumiem. Musisz wrócić. Nie możesz nas zostawić!

W oczach kobiety zalsniły łzy.

- Jim, tak mi przykro. Ale ja muszę.

- Barnardzie! - zawołała Ellie, usiłując ratować sytuację.

- Powiedz jej, że nie może od nas odejść.

Ale mężczyzna nawet się do nich nie odwrócił.

- Jak chce, to niech idzie. Nie będziemy jej przecież za-
trzymywać siłą.

- Jesteśmy najbliższymi jej ludźmi, idioto!

Zobaczyła, że Barnard drgnął. Do tej pory nigdy nie uży-
wała takich słów. Ale jeśli myślała, że jej wybuch skłoni go
do jakiejś reakcji, pomyliła się. Dalej zajmował się wyłącz-
nie swoim obrazem, pokrywając go grubymi, kolorowymi
liniami, tworząc tylko dla siebie zrozumiałą kompozycję.

Hanna także wydawała się czekać na reakcję Barnar-
da. Kiedy Ellie odwróciła się do niej, westchnęła, a po-
tem zaczęła wydawać polecenia woźnicy, czekającemu
w dorożce.

Ani to, co przez następne dwadzieścia minut mówiła El-
lie, ani ciche łzy Jima nie wywarły wpływu na decyzję Han-
ny. Barnard trwał w swoim milczącym uporze. Za kwa-
drans dziesiąta, w pierwszą niedzielę września, Hanna
Schurr opuściła ich dom.

- Niech cię diabli wezmą, Barnardzie Webb - warknęła
Ellie z gniewem, a potem pobiegła na górę.

Była w połowie schodów, kiedy rozległo się pukanie do
drzwi. Zatrzymała się raptownie. Zobaczyła, że Barnard
odwraca się, i mogłaby przysiąc, iż na jego zniszczonej twa-
rzy odmalowała się ulga.

- Wróciła! - zawołał Jim, wyrażając myśl wszystkich
obecnych.

Barnard pochylił się i wyjrzał przez osłonięte firankami
okno.

- Nic z tego. To Nicholas - stwierdził.

- Nie - szepnęła Ellie. To nie mógł być on. Nie może
się z nim widzieć. - Nie ma mnie w domu, jasne? - syknę-

ła, patrząc błagalnie na Jima i Barnarda. - Niech się nie dowie, że tutaj jestem.

Pobiegła na górę i zamknęła za sobą drzwi, słysząc radosny okrzyk Jima:

- Nicky!

Nicholas stanął w drzwiach, wyglądając na znacznie starszego i bardziej zmęczonego niż wczoraj. Był też bardzo, bardzo zły.

- Przyprowadziłeś Charlotte? - zapytał Jim, zapominając na chwilę o Hannie i nie dostrzegając gniewu Nicholasasa.

- Nie, Jim...

- Jak się ma? Dobrze się czuje?

Twarz przybysza złagodniała nieco.

- Znacznie lepiej. Wszystko jest na najlepszej drodze. - Popatrzył na Barnarda, a na jego twarzy znowu pojawił się wyraz zmęczenia. - Muszę zobaczyć się z Ellie.

Barnard wzruszył ramionami, przechodząc do hallu.

- Przykro mi - powiedział łagodnie. - Nie ma jej w domu.

- Wyszła? - Nicholas rozejrzał się po saloniku, a potem popatrzył na Jima, który odwrócił oczy. Zacisnął pięści. - Do diabła. Muszę z nią koniecznie porozmawiać.

- Chętnie bym ci pomógł, ale nic nie da się zrobić. Mówiłem już, że wyszła.

- Akurat. - Zaskakując Barnarda i Jima, Nicholas ruszył na górę, pokonując po dwa schodki naraz.

Jim i Barnard pobiegli za nim. Nicholas próbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Wziął głęboki wdech i zacisnął powieki, jakby chciał odzyskać panowanie nad sobą.

- Ellie - zawołał i zapukał stanowczo.

Oparła się plecami o drzwi, odczuwając jego głos i stukanie jak gniewną pieszczotę.

- Do diabła, Ellie! - zawołał, stukając mocniej. - Wpuść mnie. Muszę z tobą porozmawiać.

Milczała. Było już za późno na słowa.

Gniewny jęk Nicholasa pobiegł ku legarom sufitu, a potem rozległ się łomot.

- I co jeszcze zamierzasz zrobić? - zapytał Barnard. - Wywalić drzwi?

Ellie przygryzła kciuk, aby nie krzyknąć, aby nie otworzyć drzwi i nie rzucić się w ramiona Nicholasa.

- Do diabła, Ellie! - odezwał się przez drzwi.

A potem wszystko ucichło. Przez długą chwilę po obu stronach trwało milczenie. Ellie wyobrażała go sobie, jak czeka, aż ona się odezwie.

- Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś - powiedział cicho. - Wiem tylko, że gotów byłem dać ci wszystko, gdybyś tylko zechciała dochować mi wiary.

Czas stanął w miejscu, podczas gdy cały świat walił się dookoła niej. Potem na schodach rozległy się gniewne kroki. Ellie daremnie próbowała powstrzymać łzy- Wciąż opierając się plecami o drzwi, powoli osuwała się na podłogę. A kiedy drzwi na dole zamknęły się z trzaskiem, poczuła, że tak samo jak małej Charlotte nikt i nic nie jest w stanie jej uratować.

25

Nicholas został sam w swoim gabinecie. Doktor przed chwilą wyszedł. Nic już nie można było pomóc. Wszystkie starania i obietnice, jakie Nicholas sobie składał, okazały się daremne. Nie było żadnej nadziei. Charlotte będzie musiała umrzeć.

Och, Ellie, pomyślał, zanim zdążył się zreflektować. Dlaczego cię tu nie ma?

Potarł mocno skronie, jakby w ten sposób mógł odpędzić nierealne myśli i przenikliwy ból, który jednak był

czymś więcej niż zwykła migrena: pochodził z głębi duszy. Nicholas usiłował ignorować prawdę tak długo, jak tylko mógł. Teraz było to już niemożliwe. Charlotte umiera. A on może najwyżej próbować złagodzić jej cierpienia.

Kiedy otworzył drzwi, wychodząc z gabinetu, spotkał na schodach swego szwagra, ubranego do wyjścia.

- Nicholas - powiedział William, zdejmując wymagowaną nitkę ze swojej nieskazitelnej marynarki. - Wybieram się do Metropolitan Club. Idziesz ze mną?

Gniew, zazwyczaj z wysiłkiem tłumiony, gotów był dać chwilą wybuchnąć.

- W południe?

- Najlepsza pora, żeby się czegoś napić.

Nicholas kilkoma krokami przemierzył czarno-białe płytki marmurowej posadzki. Zupełnie tak samo, jak owego dnia w szpitalu, chwycił Williama za kołnierzyk i przygwoździł do ściany z taką siłą, iż mogłoby się wydawać, że cały dom zatrzęsł się od tego w posadach.

- Twoja córka umiera. Ty chyba nie masz serca.

William Welton bezskutecznie usiłował się wyrwać.

- Nie umiem zajmować się chorymi, ale przyjdę do niej dzisiaj wieczorem. Poczytam jej.

- Do diabła, człowieku! - Nicholas pchnął Williama na ścianę. - Mało mnie to obejdzie, jeśli zapiszesz się na śmierć. Ale nie dzisiaj. Jeszcze nie.

- Co tu się dzieje? - Na schodach pojawiła się Miriam.

Miała zaczerwienione, podkrążone oczy. Nicholas z trudnością wierzył, że siostra w końcu zaczęła przejmować się losem swojej córki. Podejrzewał, że raczej roztkliwiała się nad sobą... nad tym, że obowiązki, których nigdy nie pragnęła, uniemożliwiają jej prowadzenie dawnego, wypełnionego rozrywkami życia.

Czując głęboki niesmak, uwolnił jej męża. William poprawił ubranie, chrząknął z urazą, a wychodząc z domu, trzasnął drzwiami.

Nicholas pokręcił głową.

- Nie sądziłem, że może upaść tak nisko. - Ruszył schodami w górę, mijając siostrę, która popatrzyła na niego błagalnie. Nie wiedział jednak, o co miała oznaczać prośba, malująca się w jej fiołkowych oczach.

- Nicholas... - zaczęła.

Zatrzymał się na podeście i odwrócił się do niej, nieświadom, że mierzy ją gniewnym spojrzeniem.

- O co ci chodzi, Miriam? - zapytał sztywno.

- To nic takiego - szepnęła, przyciskając chusteczkę do ust, a potem odwróciła się i zbiegła na dół.

Charlotte przeniesiono do pokoju wychodzącego na południe. Dziewczynka zawsze lubiła to jasne, kolorowe i pełne kwiatów pomieszczenie. Kiedy Nicholas cicho otworzył drzwi, leżała nieruchomo na boku, przytulając do siebie lalkę. Pomyślał, że mała śpi. Zaczął się ostrożnie wycofywać, żeby jej nie obudzić.

- Wujek Nicholas?

Zamarł.

- Tak, skarbie. To ja.

- Wiem, że masz masę pracy, ale może mógłbyś posiedzieć ze mną chociaż przez chwilę - poprosiła.

Bert przygotował mu plan dnia, z którego wynikało, że nie ma ani jednej wolnej godziny. Całkowicie wypełniały go spotkania robocze. Nie powinien opuszczać biura nawet na chwilę.

- Ależ oczywiście - odpowiedział.

Miękki dywan stłumił kroki, gdy Nicholas przechodził przez pokój. Dziewczynka przekręciła się na plecy i uśmiechnęła się do niego. Jednak uśmiech ten nie ukrył nienaturalnej bladej jej twarzyczki ani ciężkiego, wysiłonego oddechu. Nicholas odwzajemnił się z trudem. Przysunął sobie wyściełane niebieskim aksamitem krzeselko i popatrzył uważnie na małą.

- Tata już sobie poszedł, prawda?

Powiedziała to ze smutkiem, a Nicholas poczuł ukłucie gniewu.

- Tak, kochanie. Ale wróci.

- Kiedy?

- Już niedługo. Daję słowo. Wiem, że wcale nie chciał wychodzić.

- Naprawdę?

Nie pamiętał już, kiedy opuścił świat, w którym nie istniały uczucia.

- Naprawdę - skłamał, nie troszcząc się o to, iż to uczynił. Zależało mu tylko na tym, żeby uśmiech powrócił na twarz dziewczynki.

- A mamusia? Poszła z nim?

Ani Charlotte, ani Nicholas nie usłyszeli, jak otwierają się drzwi, ani też kroków stłumionych miękkim dywanem.

- Nie, skarbie, nie poszła.

- Myślisz, że gniewa się na mnie o to, że zachorowałam? - westchnęła Charlotte.

- A gdzieżby - powiedział z naciskiem, nie zostawiając małej cienia wątpliwości. - Bardzo cię kocha.

- Naprawdę? - wyszeptła.

Nicholasa znienacka zapiekły oczy.

- Tak, maleńka.

Dziewczynka westchnęła z zadowoleniem i mocniej przytuliła lalkę, a chociaż walczyła z sennością, oczy same jej się zamknęły.

Minęło kilka chwil, a potem Nicholas poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Podniósł wzrok i ujrzał siostrę. Na jej policzkach błyszczały łzy.

- Wiem, że nie robiłeś tego dla mnie, ale dziękuję ci - powiedziała cicho, a potem obeszła łóżko i zajęła krzesło ustawione po drugiej stronie.

Siedzieli tak, nic nie mówiąc, przez kilka godzin, zatopieni w swoich niewesołych myślach. Pokryte chmurami niebo było mroczne i groźne, nawet jeden promień słońca

nie rozjaśniał tego dnia. Od czasu do czasu przychodził lekarz, żeby sprawdzić, jak czuje się Charlotte, a jego zaciśnięte usta mówiły same za siebie.

Dziewczynka obudziła się o trzeciej.

Była bardzo osłabiona, ale na widok matki uśmiechnęła się. Miriam podeszła i usiadła na łóżku, a Nicholas oddalił się cicho, żeby miały chwilę tylko dla siebie. W hallu natknął się na Williama, który niepewnie patrzył w górę schodów.

- Jak się czuje? - zapytał William, marszcząc brwi.

- Tak, jak może czuć się dziecko, któremu ojciec nie poświęca większej uwagi.

- Czego, u diabła, ode mnie chcesz? - Głos Williama rozległ się echem w całym hallu.

- Zapytaj się swojej córki - odparł Nicholas bez najmniejszego współczucia, a potem zszedł na dół, do swojego gabinetu.

Po południu Charlotte poczuła się gorzej. Co jakiś czas miała duszności. Doktor śpieszył do niej za każdym razem, a kiedy pochmurne niebo zaczęło ciemnieć i krótki jesienny dzień pomału przechodził w noc, dziewczynka była wyczerpana. Po ostatnim ataku zapadła w głęboki, ciężki sen. Lekarz przyszedł do gabinetu Nicholasa i powiedział, że, jego zdaniem, mała już się z niego nie obudzi. Po jego odejściu Nicholas długo siedział w swoim fotelu. W końcu wstał i poszedł na górę. Charlotte wyglądała bezcieleśnie jak duch... jak cień samej siebie sprzed siedmiu miesięcy, kiedy u niego zamieszkała... a nawet jak cień samej siebie sprzed kilku godzin.

Miriam spała na krześle. Jej zazwyczaj idealnie uczesane włosy były potargane i najwyraźniej śniło jej się coś niedobrego. W kącie siedział skulony Jim. Kiedy przyszedł, Nicholas chciał go zapytać, gdzie jest Ellie, zapominając, że przecież ona już nigdy nie przekroczy progu jego domu. Zamknął ze złością usta, ale gdy Miriam zażądała, żeby Jim opuścił pokój chorej, popatrzył na nią, z trudem hamując gniew, a potem powiedział:

- On kocha twoją córkę, Miriam, i był dla niej przyjacielem, kiedy ty uznałaś za stosowne wyjechać. Zostanie. - Zobaczył, że drgnęła boleśnie, ale niewiele go to obeszło. Nie był w stanie przejmować się nikim poza Charlotte.

Teraz w pokoju panowała cisza, a Nicholas, nie chcąc nikogo obudzić, przez chwilę stał bez ruchu w drzwiach. Potem podszedł do wielkiego okna i wyrżał na dwór. Niech Charlotte ocknie się, błagał w duchu Boga, tak żarliwie, jak nigdy od swych chłopięcych lat. Niech ja też obudzę się z tego koszmaru i zobaczę, że jej fiołkowe oczy lśnią, niech jej śmiech znowu rozbrzmiewa w tych ponurych murach.

Kiedy się odwrócił, miał wrażenie, że Bóg wysłuchał jego próśb, bo powieki dziewczynki zadrgały. Otworzyła oczy, jak gdyby tylko odpoczywała.

Na jedną chwilę Nicholas doznał szalonej ulgi... wszystko będzie dobrze. A potem chwila minęła i wróciła bezlitosna rzeczywistość.

Popatrzyli na siebie. Oczy młode, niewinne, oczy, które jeszcze tak mało widziały, spotkały wzrok oczu dorosłych, którym dane było zobaczyć o wiele za dużo. Jednak w jakiś sposób te dwie tak różne od siebie dusze odnalazły się i utworzyły więź, coś, czego nigdy przedtem nie zaznały.

Charlotte zebrała wszystkie siły i na jej ustach pojawił się słodki, uroczy uśmiech, który kazał przypomnieć o jej zgasłej urodzie... o tym, jaka mogłaby być piękna, gdyby dane było jej dalej żyć. A potem wargi jej poruszyły się bez dźwięku, lecz wyraźnie wymawiając słowa.

Kocham cię.

Nicholas nie mógł wydobyć głosu. W uszach miał szum, jakby usłyszał krzyk. Tak niewiele osób na tym świecie żywiło do niego miłość, a może tylko ta mała dziewczynka. Przypomniał sobie dzień, w którym po raz pierwszy powiedziała mu, że go kocha, i jej rozczarowanie, kiedy nie potrafił odpowiedzieć jej tym samym. A teraz patrzyła na

niego z tym samym wyrazem twarzy: z nadzieją, a zarazem przebacząc mu, że jego serce jest zimne.

Ja też cię kocham, poruszył wargami, nie wydając dźwięku. *Zawsze cię będę kochał.*

Uśmiech rozjaśnił jej wymizerowaną twarzyczkę, napełniając Nicholasa radością i dumą, a zarazem niewysłowionym smutkiem. Po chwili powieki małej opadły po raz ostatni.

26

Ellie obudziła się znienacka.

Pojedyncze promienie księżyca przebijały się przez pokryte chmurami niebo, wpadały *do* pokoju i wypełniały go lodowatym światłem.

Charlotte nie żyje.

Wiedziała to z równą pewnością jak to, że widzi zimny blask księżyca.

Odrzuciła kołdrę, wstała i popatrzyła na zegar. Północ. Półprzytomnie zaczęła się ubierać, nie zważając na późną porę. Na samą myśl o małej czuła ogromny smutek. Kiedy jednak oprzytomniała na dobre, pomyślała, że może się myli. Może to tylko zły sen.

Zeszła na dół, niepewna, co powinna zrobić dalej. Przygotować sobie szklankę gorącego mleka? Starać się przekonać samą siebie, że to tylko nocne koszmary? Kiedy jednak znalazła się w hallu, zobaczyła Jima skulonego na krześle. Po jego twarzy cicho spływały łzy. Na ten widok Ellie skamieniała. Nie myliła się. Wielki Boże, nie pomyliła się.

- Och, Jimie - szepnęła, obejmując ramionami jego szerokie bary.

Wtedy ukrył twarz na piersi Ellie, mocząc łzami jej szlafrok.

- Nie chcę, żeby ona od nas odeszła - zawodził. - Ja nie chcę.
- Wiem, kochanie - powiedziała łagodnie. - Nikt tego nie chciał. Ale Bóg miał inne plany dla naszego aniołka.
- Nie lubię Boga!

Kołysała go delikatnie, aż ucichły łzy i wybuchy gniewu, a pozostał tylko ból. Cierpiała ze względu na Jima i ze względu na Charlotte. Jednak najbardziej żał jej było Nicholasa. Jak on to zniesie?

A więc właśnie to ją obudziło. Jego ból. To dlatego się ubrała. Jakby nie miała własnej woli, ucałowała Jima w czoło, odnalazła płaszcz i wymknęła się w czerni nocy. Nie zastanawiała się nad tym, co robi. Nie mogła. Po prostu musiała tam iść.

Złapała dorożkę i pomknęli opustoszałymi ulicami do domu przy Piątej Alei. W oknach było ciemno, żadne światło nie pozwalało domyślać się, że ktoś jest w środku. Chciała odejść, ale nie była w stanie. Zamiast tego obeszła dom dookoła, przemknęła przez piękny latem ogródek, teraz zwarzony jesiennym przymrozkiem. Posuwała się powoli, jakby niechętnie, ale wiedziała, że nie może się wycofać. Wyprostowała plecy i wspięła się po granitowych stopniach na taras, sąsiadujący z sypialnią Nicholasa.

Wiedziała, że znajdzie go tam samego. Czuła to. Pomimo wszystko nadal go kochała i nie mogła znieść myśli, że cierpi.

Przez oszklone drzwi zobaczyła, że pokój oświetla jedna wysoka świeca i ogień na kominku. Drżącymi palcami przekreśliła mosiężną gałkę u drzwi. Oddech w niej zamarł, kiedy zobaczyła, że Nicholas stoi przy kominku, tyłem do niej, i patrzy w płomienie. Ból, jaki odczuwał, popłynął do niej falą. Wtedy Ellie zapomniała, że nie powinna była tu przychodzić.

- Nicky?

Ujrzała, że zeszywniał, ale nie odwrócił się.

- Nicky, proszę.

- Odejdź.

Jego głos przeszył powietrze jak rozgrzany metalowy pręt wodę. Ellie wiedziała, że powinna go usłuchać, ale kie-

dy znajdowała się blisko tego mężczyzny, zazwyczaj zapomniała o nakazach rozsądku.

- Nie mogę - szepnęła, zbliżając się powoli.

Czuła, że jest spięty i że z trudnością panuje nad sobą.

- Porozmawiaj ze mną, Nicky.

Jego gniew zdawał się wypełniać cały pokój.

- Wyjdź, Eliot.

Nie mogła.

- Ja też ją kochałam.

Z całej siły zacisnęła szczęki i napiął mięśnie ramion.

- Tak samo jak ty.

- Za mało! - ryknął zniecierpliwiony, waląc pięścią w obramowanie kominka. - Za mało ją kochałem!

Spodziewała się różnych rzeczy, ale nie tego.

- Nie mów tak. Bardzo ją kochałeś.

- Za mało dla niej zrobiłem - warknął. - Za mało.

- Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy.

W kominku coś trzasnęło i zasyczało.

- Ale nie zdołałem jej uratować.

Och, Nicky, jęknęła w duchu, starając się zachować spokój.

- Nie - powiedziała cicho. - Nie uratowałeś jej. To było niemożliwe. Ale dałeś jej miłość, a ona odpowiedziała ci tym samym.

- Nie zasługiwałem na to - szepnął zduszonym głosem.

- Mylisz się - odparła stanowczo. - Nie, Nicholasie. Obdarzyła cię uczuciem, a ty je odwzajemniłeś.

- O Boże - jęknął.

Podeszła do niego i spojrzała mu w twarz.

- Kochała cię, Nicholasie.

Popatrzył na nią dziko i napiął mięśnie. Ona jednak wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku.

- I zasłużyłeś sobie na to.

- Ona nie żyje! - zawołał z rozpaczą, pochwycił Ellie w ramiona i zmiażdżył w uścisku.

Wyrzucał z siebie słowa bólu i żalu. Nie troszcząc się

o to, do czego może to doprowadzić, Ellie tuliła go do siebie, a za oknem obojętny księżyc co jakiś czas wyłaniał się spoza chmur.

- O Boże, dlaczego? - szepnął zdławionym głosem. - Czemu to właśnie ją zabrałeś?

- Jest wiele pytań - odparła Ellie. - Czasem człowiek zastanawia się, czy rzeczywiście Bóg ma jakiś plan, czy nasze cierpienia mają jakikolwiek sens.

Minęła dłuższa chwila, zanim Nicholas odsunął się i popatrzył na nią.

- Dlaczego tu przyszedłeś?

Odwrociła wzrok, ale zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego, Ellie? - nalegał.

- Nie mogłam znieść myśli, że jesteś... sam.

Rzucił jej groźne spojrzenie.

- Potrafisz doświadczać ludzi nie gorzej niż Bóg - powiedział zimno. - Skąd przyszło ci do głowy, że zechcę cię widzieć?

Żachnęła się na widok wyrazu jego twarzy i przez chwilę ogarnęło ją zwątpienie. Teraz nie była już taka pewna, że powinna była się tu pojawiać.

- Przestraszyłaś się? - szepnął jadowicie. - Żałujesz swojej impulsywności? Boisz się być ze mną sam na sam, w mojej sypialni?

- Przestań, Nicholas - odparła, starając się zachować spokój. - Nie jesteś bardziej niebezpieczny niż ja.

- Jakże mnie mało znasz. - Napierał na nią, aż znalazła się pod ścianą. Wtedy wysunął ręce i znalazła się w potrzasku. - Cokolwiek byś o mnie myślała, wiesz o mnie bardzo niewiele. Ja jestem niebezpieczny, Eliot.

- Nieprawda - odparła stanowczo, zapominając o swoich wątpliwościach na widok wyrazu jego twarzy. - Jesteś dobrym człowiekiem. Udowodniłeś to nie raz.

- Bzdura - warknął, a oczy mu zapłonęły. Uniósł jej ręce i przytrzymał nad głową.

- Nie! To ty nie masz racji. Jesteś dobry i hojny, chociaż sam nie chcesz w to wierzyć.

Przysunął się do niej groźnie, ale ona nie dała się zbić z tropu.

- Zatrzaszczyłeś się o Jima, chociaż wcale nie musiałeś. - Poczowała, że drgnął, jakby go uderzyła. Złagodniał na moment. - Obroniłeś go przed łobuzami. Może zapomniałeś o tym, jaką miałeś spuchniętą szczękę i pokaleczone dłonie, ale ja pamiętam.

Patrzył na nią płonącym wzrokiem. Widziała, że toczy ze sobą walkę. Chciał zadać jej ból, chciał ją zranić... ale tak samo gotów był atakować wszystkich innych przedstawicieli rodzaju ludzkiego, który pozwolił umrzeć Charlotte.

- Nie zrobisz mi nic złego, Nicky. Tak samo, jak nie potrafiłeś skrzywdzić Jima i postarałeś się go obronić. Zadbaleś o człowieka, któremu mało kto zechciałby poświęcić uwagę. - Nabrała powietrza do płuc. - Tak samo, jak otworzyłeś serce dla Charlotte.

Wydał z siebie bolesny jęk niczym konające zwierzę, uwięzione w pułapce bez wyjścia. Patrzyła w udręce, jak na jego twarzy pojawiają się tysiące sprzecznych uczuć. Zaczął się od niej odsuwać.

- Nie, Nicky - powiedziała, przytrzymując go z niespodziewaną siłą. - Zostań!

Czuła, jak bardzo jest napięty. Wiedziała też, że nienawidzi słabości, nie znosi myśli, że mógłby jej się poddać.

- Charlotte kochała cię... bo jesteś dobrym człowiekiem.

Wreszcie dał za wygraną i przywarł do niej tak mocno, że straciła oddech.

Później nie potrafiła powiedzieć, kiedy ukojenie zmieniło się w coś więcej. Trudno byłoby jej stwierdzić, kiedy uścisk jego dłoni, zamykających się z rozpaczą na jej ramionach, zmienił swój charakter. Gdy zaś uległa jego pieścizdom, zastanawiała się, czy przyszła tu dlatego, że-

by się z nim kochać. Żeby dowiedzieć się, dokąd prowadzi jego pocałunki. Wykorzystując Charlotte jako wymówkę.

Jego gorące łzy paliły ją, mieszając się z jej własnymi. Smakowała je jak zakazany nektar. Osuwając się na podłogę, dłońmi, wzrokiem i ciałem opowiadali sobie odwieczną historię miłości. Przywarli do siebie, poddając się sobie nawzajem, zapominając o całym świecie. Badał dłońmi jej ciało, jakby obawiał się, że zniknie za chwilę, że jest tylko tworem jego wyobraźni.

- Jestem - szepnęła.

W objęciach.

To było właśnie to. Doskonałość. Rozkosz.

- Ellie - szepnął, czując narastające pożądanie.

Przez dłuższą chwilę nie mówili nic. Potem pocałowali się, a Ellie poczuła, że krew mocniej szumi jej w żyłach.

- Każ mi przestać, Ellie - wymamrotał niewyraźnie Nicholas prosto do jej ucha. - Powiedz mi, żebym przestał, bo za chwilę nie będzie już odwrotu.

- Bóg mi świadkiem, że wcale nie chcę. Nie tym razem. Kochaj mnie, Nicky! - zawołała, wyrzucając z pamięci myśl o jutrze i tym, co może ono przynieść.

Nicholas popatrzył jej badawczo w oczy, starając się znaleźć odpowiedź, której dziewczyna sama nie знаła. Potem rzekł:

- Dobrze, ale pod warunkiem, że już zawsze będziemy razem.

Zawsze. Rozsądek nakazywał Ellie wyrwać się z objęć mężczyzny, odepchnąć go. Tylko że jego pieszczoty sprawiły, iż zakreśliło się jej w głowie i utraciła zdolność jasnego myślenia. Nie znalazła słów, aby mu odpowiedzieć. Zamiast tego pocałowała go, a w pocałunku tym kryło się kłamstwo.

Żywiołowa reakcja Nicholasa świadczyła o tym, że uznał ten gest za wystarczającą odpowiedź. Całował ją i gryzł. Pragnął jej z całej siły. Jego dłonie i usta gładziły, pieściły, szukały.

Ellie instynktownie cofnęła się.

- Już za późno. Musisz być moja. Od wielu miesięcy marzyłem o tej chwili.

Wtedy, pod galerią sztuki, gdy pieścił ją tak bezwstydnie, doświadczenie to zdziwiło ją i zaskoczyło. Teraz, w bezpiecznym zaciszu sypialni, siła jej odczuć była porażająca.

- Nicholas?

- Cśś - szepnął, gładząc ją łagodnie jak młodą, spłoszoną klacz, którą trzeba uspokoić. - Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Pod jego czułymi pieścotami bez śladu znikły resztki jej słabnącego oporu.

27

Krawędź jaskrawopomarańczowego słońca wyłaniała się zza horyzontu, lecz i tak częściowo przesłaniały je chmury. Nicholas stał, patrząc na kartkę wytwornego welinowego papieru.

Kochany Nicholasie,

Wybacz mi.

Ellie

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w krótki tekst. Tych kilka słów. Echo wspomnienia z czasów tak dawnych, a zarazem bliskich, czegoś, o czym nie chciał pamiętać.

Stał w szklanych drzwiach sypialni, prowadzących na taras, i patrzył na ogród. Ellie odeszła. Nie siedziała w kuchni, popijając poranną kawę. Nie zbierała dla niego jesiennych kwiatów. Poszła sobie.

Pod osłoną przedrannych ciemności wymknęła się jak złodziejka, prześlizgując się bezszelestnie obok niego, gdy spał, nieświadomy, naiwnie jej zaufawszy, chociaż dobrze wiedział, że nie powinien.

Zaśmiał się gorzko. Jakże był głupi. Nie uczy się na własnych błędach i zasłużył na to, co go spotkało. Jeszcze jeden list. Jeszcze jedna zdrada. Właśnie ze strony kobiety, którą odważył się pokochać! wściekał się, wrzucając białą kartkę papieru do kominka, gdzie wbiła się ukosem w popiół z wczorajszego ognia, przypominając żagiel tonącego okrętu.

Nie musiał pytać Ellie, żeby zrozumieć, co miała na myśli. Dobrze to wiedział. Jej dotyk kłamał. Jego obsesyjne zainteresowanie tą kobietą miało swoje źródło w pożądaniu, namiętności i miłości, które czekały tylko, żeby właśnie ona pojawiła się na jego drodze. Kiedy zdecydował się na małżeństwo, wszystkie fragmenty jego życia znalazły się na właściwych miejscach, tworząc całość, raz wreszcie czystą i dobrą. Kiedy zaś połączył się z Ellie w jedno, doznał całkowitego spełnienia, choć nigdy nie przypuszczał, że coś takiego jest możliwe. Leżąc obok niej był pewien, że przeznaczone jest im razem spędzić resztę życia. Był gotów wszystko jej wybaczyć. Tylko że ona nie chciała zostać panią jego serca, nie pragnęła przebaczenia. Zerwała łączące ich więzy, wzdorliwie odrzucając ofiarowaną sobie miłość. To właśnie mówił jej list.

Wtedy to, stojąc w drzwiach do ogrodu, przez które ona bez wątpienia opuściła go zaledwie kilka godzin temu, poczuł do niej nienawiść dorównującą tej, jaką żywił jeszcze tylko do jednej osoby na świecie.

Minęły dwa dni. Potem trzy. Dopiero kiedy upłynął cały tydzień, Ellie pozwoliła sobie uwierzyć, że Nicholas zrozumiał jej wiadomość i nie będzie jej szukał. Czy to dobrze, czy źle? zastanawiała się, wyglądając przez okno bawialni.

Barnard stał przed sztalugami, malując zawzięcie, tyle że od czasu odejścia Hanny stał się bardzo milczący. Jim wyszedł, jak powiedział, do parku, bo była to wszak niedziela. Ellie z utęsknieniem czekała, aż nadejdzie jutro. Poniedziałek. Teraz będzie znacznie przychylniej odnosić się do znowu coraz częstszych wizyt Charlesa Monroe. Przyjmując zamówienia, robiąc kapelusze, a nawet słuchając kolejnych argumentów, jakimi Charles usiłował przekonać ją, by za niego wyszła, skoro stał się wreszcie szanowanym przedsiębiorcą, nie będzie musiała myśleć.

Ktoś niecierpliwie zapukał do drzwi. Serce stanęło Ellie w gardle. Czyżby to Nicholas? pomyślała, zanim zdołała się powstrzymać. Dlaczego miałby być to właśnie on? Zobaczyła, że Barnard również odwrócił się do drzwi z wyrazem nadziei w oczach.

Starając się zachować spokój, podeszła do drzwi.

- Czy mieszka tu pan Barnard Webb? - zapytał szorstko posłaniec w uniformie. - Mam listy dla pana Barnarda Webba.

Na chwilę Ellie poraziło rozczarowanie, ale zaraz przekłęła własną głupotę. Barnard szybko podszedł do drzwi i trzęsącymi się rękoma odebrał listy. Posłaniec jakby jeszcze na coś czekał i Ellie domyśliła się, że chodzi napiwek. Wręczyła mu jakąś monetę, odesłała go i wreszcie mogła

zobaczyć, co to za listy przysły do Barnarda. Kiedy jednak odwróciła się, słowa zamarły jej na ustach.

Stary siedział w fotelu, a pisma leżały rozsypane wokół jego stóp.

- Barnardzie, co ci jest? Co się stało?

Podbiegła do niego, zapominając o własnych troskach, i zaczęła podnosić listy. Jeden po drugim. Nie otwarte. Ze starannie wypisanym adresem. Niektóre połówki już ze starości. Na każdym napisano wyraźnie: „Zwrot do nadawcy”.

Listy, które Barnard od tylu lat pisał do swojego syna. Z zimnym wyrachowaniem odesłane.

Przez następne kilka dni Barnard bardzo się posunął. Niegdyś tak żywotny, teraz stał się wrakiem człowieka. Ani prośby Jima, ani namowy Ellie nie mogły wyrwać go z tego stanu. Po raz pierwszy, odkąd Ellie go znała, Barnard zachowywał się jak zgrzybiały starzec u kresu swych dni.

Nocami Ellie krążyła bezsennie po sypialni, usiłując nie myśleć o Nicholasie. W dzień próbowała okazać Barnardowi swoje przywiązanie, przesiadywała z nim godzinami... bez skutku. Barnard poddał się, przyznał do klęski, nie próbując walczyć. Wtedy jej troska przerodziła się w gniew.

Pewnego popołudnia wyszła ze swego pokoju, trzaskając drzwiami, i stanowczym krokiem ruszyła do znajdującego się na drugim piętrze mieszkanca Barnarda. Kiedy nie odpowiadał na jej pukanie, i tak wdarła się do środka. Jednak gniew jej złagodniał, kiedy go zobaczyła. Leżał w łóżku, a jego pomarszczona twarz była blada jak ściana. Jim siedział przy nim, kołyszając się łagodnie na krześle. Widok ten zabolął ją, ale zebrała się w sobie. Jak na razie jej współczucie niewiele pomogło.

- Przestań się nad sobą roztkliwiać, Barnardzie!

Jim zachnął się, ale Ellie zobaczyła, że jej brutalność wyrwała starca z letargu, i nabrała nowej nadziei.

- Syn odesłał ci twoje listy. To bardzo przykre. Ale ży-

cie to nie bajka. Sam wiesz najlepiej. Dlaczego się tak rozkleiłeś?

Widziała, jak staruszek zbiera się, by wybuchnąć gniewem, a potem daje za wygraną.

- Nie naprawisz tego, co stało się wiele lat temu - ciągnęła bezlitośnie. - Znowu chcesz odwrócić się od ludzi, którzy cię kochają? Chcesz ulec słabości i tak po prostu od nas odejść?

Barnard nie ruszał się, ale Jim patrzył na nią, jakby nagle oszalała.

- A więc co będzie z nami? Z Jimem i ze mną? Jesteś nam bliski! I ranisz nas! - Urwała. - Hanna też cię nie obchodzi?!

- Do wszystkich diabłów, przecież się wyniosła! - wrzasnął Barnard, zrywając się z łóżka i prawie przewracając Jima. - Poszła sobie, odwróciła się do mnie plecami, tak samo jak mój syn!

- Odeszła, bo traktowałeś ją szorstko i obojętnie. I dopóki mieszkasz w moim domu, nie pozwolę ci twierdzić, że to ona cię zostawiła. Jedno twoje słowo, a zostałyaby. Chciała zostać. Dawała ci tysiące okazji, żebyś zechciał ją przekonać, by została. - Nabrała powietrza do płuc. - Ale nie! Ty byłeś zbyt dumny albo zbyt uparty! Wolałeś pozwolić odejść kobiecie, którą kochasz, niż powiedzieć jej jedno dobre słowo albo przyznać, że ci na niej zależy. Cóż, Barnardzie Webb, my cię tutaj znamy. Wiemy, że pod tą szorstką skorupą ukrywa się życzliwy, serdeczny człowiek!

Podniósł się, z gniewem zaciskając pięści i zagryzając wargi. Jednak w jego bladoszarych oczach zdradziecko błysnęły łzy.

- Kochasz nas, Barnardzie - powtórzyła z uporem Ellie. - Przyznaj się. To nie takie trudne.

Jim zaczął cicho płakać, nie przyzwyczajony do tego rodzaju konfrontacji. Barnard powoli odwracał się do wyjścia.

- Przyznaj się, Barnardzie - powtórzyła Ellie z uporem. - Nie bądź takim egoistą.

Stary gwałtownie zwrócił się w jej stronę.

- Czego ode mnie chcesz? Żebym przyznał, że byłem złym ojcem? Że nikczemnie potraktowałem Hannę i nie zasługuję na niczyje uczucie?

- Nie - szepnęła Ellie. - Przyznaj, że kochałeś swojego syna i że jak wiele innych osób popełniałeś błędy. Że leży ci na sercu los twoich przyjaciół. Przyznaj, że kochasz Hannę i chcesz, żeby do ciebie wróciła.

- Ale co mi z tego przyjdzie?! Już nigdy nie ujrzę mojego chłopca! A Hanna odeszła.

- To ją znajdź, Barnardzie. Idź do niej i powiedz, że ją kochasz.

Żachnął się.

- Och, Barnardzie, chociaż spróbuj.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, walcząc ze sobą.

- Przecież nie zrobisz nic złego - dodała cicho Ellie.

Powoli i opornie na twarz starca zaczął wypełzać nieśmiały uśmiech.

- Hm - chrząknął Barnard. - Istotnie, cóż w tym złego?

- Czy to znaczy, że sprowadzisz do nas Hannę z powrotem? - zapytał Jim, przecierając wilgotne oczy rękawem.

- Chyba tak - burknął stary, ale w jego oczach błysnęło ożywienie.

- Kiedy? - dopytywał się Jim.

- Jak tylko się ubiorę i pójdę do tego cholernego pensjonatu, w którym zamieszkała.

- Wiesz, gdzie ją znaleźć? - Ellie była zaskoczona.

- No, tak. Byłem tam raz czy dwa.

- Nic nam nie powiedziałaś. I co mówiła?

Barnard przestąpił z nogi na nogę.

- Właściwie to nic. - Zawahał się.

- Jak to?

- Właściwie *to* wcale się nie widzieliśmy.

- Szpiegowałeś ją?!

- Nie, nie, nie. Musiałem sprawdzić, jak jej tam jest, i tyle. Oczy Ellie zaświeciły rozbawieniem i czułością.

- Jesteś zacnym człowiekiem, Barnardzie Webb.

Jim rzucił się staremu w ramiona, prawie zbijając go z nóg. Po chwili Barnard odzyskał równowagę, uściśnął Jima i popatrzył znad jego ramienia na Ellie.

- Dziękuję - powiedział cicho.

Ellie uśmiechnęła się.

- To ja tobie dziękuję.

Skierowała się do drzwi.

- Ellie! - zawołał za nią Barnard.

- Tak?

- Chyba już czas, żebyś zastosowała się do swojej własnej rady...

Zmrużyła oczy.

- O czym ty opowiadasz?

- Pora, żebyś i ty podjęła ryzyko.

- Względem czego? - zapytała cierpko.

- Nicholasa Drake.

Zesztywniała, zupełnie tak samo jak wcześniej Barnard.

Stary posłał jej znaczące spojrzenie.

- Wcale nie jesteś taka pewna swego.

- Moją sytuacja jest inna.

- Próbować trzeba, bez względu na sytuację. Hanna może przecież posłać mnie do wszystkich diabłów. Może już sobie znalazła nowego kawalera. Ale, jak sama mnie przekonywałaś, może właśnie zgodzi się wrócić tutaj, gdzie jej miejsce, i dać mi szansę. Więc i ty powinnaś spróbować. Raz już cię przekonywałem, żebyś wyznała Nicholasowi prawdę o twoim pochodzeniu. Tylko że potem zaczęły się kłopoty z Charlotte. Teraz biedaczka nie żyje. - Zawahał się. - Pora, żebyś przemówiła.

Ellie raptownie odwróciła się do okna. Powiedzieć Nicholasowi, kim jest? Że jest córką jego znienawidzonego

wroga? A jeśli on jej nie wybaczy, a na dodatek rozgłosi na wszystkie strony prawdę o jej pochodzeniu?

- No, Ellie - nalegał Barnard, a w jego szorstkim głosie słychać było czułość. - Zaryzykuj, że miłość do ciebie pozwoli Nicholasowi zapomnieć, kim był twój ojciec.

- Ale jak? - szepnęła, przykrywając usta ręką. - Jak mogę mu to powiedzieć, po wszystkim, co się wydarzyło?

- Wyznaj mu prawdę. On cię kocha, Ellie. Zaufaj jego miłości.

Był poniedziałek, trzy tygodnie po tym, jak Ellie uciekła z domu Nicholas pod osłoną ciemności. Czuła się źle. Siedziała przy biurku, a na podłodze walały się pogniecione arkusze papieru. Zaczynała swój list już wielokrotnie, ale nie wiedziała, co ma w nim napisać.

Drogi Nicky...

Najdroższy Nicky...

Drogi Nicholasie...

Jak na razie nie wyszła poza nagłówek. Jęknęła i zgniotła następną kartkę. No, Ellie, powiedziała sobie stanowczo, wysił się trochę.

W końcu napisała krótko.

Drogi Nicholasie,

Kiedy byliśmy na Long Island, powiedziałam, że mam ci coś do oznajmienia, a potem jakoś nigdy nie trafił się właściwy moment. Zechciej więc teraz dać mi po temu szansę.

Czekam na twoją odpowiedź

Ellie

W południe Jim pobiegł z listem do domu Nicholas.

Ellie chodziła po bawialni, co kilka chwil wyglądając przez okno, czy nie wraca. Mijały minuty. Zrobiło jej się gorąco. Czuła też słabość. Przez myśl przebiegł jej obraz Charlotte.

Powolne umieranie. Ale ja przecież nie jestem chora, powiedziała sobie stanowczo. To tylko przemęczenie, wystarczy się dobrze wyspać. Jednak gdy pomyślała o jedzeniu, zakręciło jej się w głowie, a żołądek podszedł do gardła. Kiedy w godzinę później wrócił Jim, Ellie była już bardzo słaba.

- Proszę - Jim wręczył jej kopertę.

- Ależ to mój list, Jim! Miałeś go zanieść Nicholasowi.

- Starałem się. Robiłem co mogłem. Ale ten sekretarz Nicholas, Bert, napisał coś na wierzchu i oddał mi list z powrotem.

Nicholas nie chce jej widzieć, odmówił przeczytania jej listu, czuła to w głębi duszy. Zaryzykowała i przegrała. Przytrzymując się oparcia krzesła, podziękowała Bogu, że Barnard zdążył już wyjść po Hannę, więc jej porażka już go nie zniechęci. Potem z ciężkim sercem wzięła zaklejoną kopertę i przeczytała to, co było na niej napisane.

Panno Sinclair, pan Drake wyjechał na stałe na Karaiby. Zamykam jego biuro tutaj i będę szukał innego zatrudnienia. Jeśli w najbliższym czasie będę mógł służyć pomocą, proszę się ze mną skontaktować.

Z poważaniem

Bert Hall

Zawirowało jej w głowie, a żołądek podszedł do gardła. Nicholas wyjechał.

Nie będzie miała okazji opowiedzieć mu swojej historii i czekać na słowa wzgardy... albo przebaczenia.

- Ellie, kochana!

Minęła dłuższa chwila, zanim głos Hanny przeniknął Ellie do świadomości. Odwróciła się jak we śnie. Obejmując Hannę, która śmiała się i płakała jednocześnie, usiłowała ukryć rozpacz. I może w końcu by się jej to udało, gdyby nie odezwał się Jim:

- Patrz! Jest Nicky!

Nagła fala nadziei sprawiła, że Ellie zaparło dech. Ale natychmiast zastąpiło ją zmieszanie, bo okazało się, że Jim pokazuje gazetę, którą Barnard, wchodząc, położył na stole.

- To Nicky! - powtórzył Jim. - Patrz, jego fotografia.

Barnard i Hanna ze zdziwieniem spojrzeli na gazetę, ale Ellie podniosła ją, zanim oni zdążyli się jej lepiej przyjrzeć.

NICHOLAS DRAKE, NAJBARDZIEJ POSZUKIWANY KAWALER W NOWYM JORKU, WYJEŻDŻA NA KARAIBY, BY WZIĄĆ TAM ŚLUB

Pod tytułem znajdował się artykuł.

Ellie ogarnęła rozpacz. Z największym wysiłkiem oparowała się i zaczęła czytać. Pisano, że Nicholas Drake pojechał na Karaiby, żeby wziąć tam ślub z piękną panną Deirdrą Carlisle, dziedziczką wielkiej fortuny, która to panna niedawno zachwyliła swoją urodą najlepsze nowojorskie towarzystwo.

Dalej było coś jeszcze, ale Ellie upuściła gazetę.

- Ellie - odezwała się Hanna, obejmując ją za ramiona.

- Ellie, powiedz coś.

- Wyjechał - szepnęła dziewczyna. - Spóźniłam się.

Zanim jednak zdążyła cokolwiek dodać, ogarnęły ją takie mdłości, że musiała czym prędzej pobiec do łazienki.

Dwa tygodnie później Ellie nie miała wątpliwości, że jest w ciąży. Urodzi dziecko Nicholasa. Kochali się tylko jeden raz... a ona zaszła w ciążę. Była tym zaskoczona i przerażona... ale też ogromnie uszczęśliwiona. Jednak radość ta nie pozbawiła jej poczucia rzeczywistości. Sama poznała najlepiej, jaki jest los dziecka nieślubnego. Nie chciała narażać na to samo własnego maleństwa. Pytanie tylko, w jaki sposób je przed tym uchronić.

- Ellie, kochanie. - Do drzwi zastukała Hanna. - Przyszedł pan Charles.

Charles Monroe. Ellie zatrzymała się w miejscu, gdyż wiedziała już, co musi zrobić.

Nie zastanawiając się dłużej, zawołała:

- Powiedz mu, że zaraz do niego zejdę.

Starając się nie myśleć, zaczęła się ubierać. Ręce jej się trzęsły, gdy szykowała się z niezwykłą jak na siebie starannością. Od człowieka, który na nią czekał, zależały życiowe szanse jej dziecka. Nie może teraz troszczyć się wyłącznie o swój własny los.

- Charles - powiedziała z uśmiechem, schodząc na dół.

- Witaj, Ellie. Muszę z tobą koniecznie porozmawiać.

Był poważny jak nigdy dotąd.

- Chętnie. Po prawdzie, ja też mam ci coś do powiedzenia.

Milczeli, jadąc w zamkniętym powozie Siódmą Aleją w stronę Central Parku. Serce dziewczyny waliło jak młotem.

- Ellie - zaczął Charles, kiedy budynki zaczęły się przeczadzać. - Znamy się już bardzo długo.

- Tak - przyznała, zastanawiając się, do czego ma zmieścić ta rozmowa.

- Podczas tego czasu wielokrotnie prosiłem cię, żebyś została moją żoną.

Zacisnęła palce na torebecce. Czy teraz powie jej, że wycofuje swoją propozycję?

- Za każdym razem czułam się zaszczycona, Charles.

- Tak? Czułaś się zaszczycona, a w duchu śmiałaś się ze mnie?

- Nigdy się z ciebie nie śmiałam. Owszem, niekiedy czułam się zniecierpliwiona, ale nigdy nie traktowałam lekko twoich oświadczeń. Zawsze sobie ceniłam twoją przyjaźń.

- Tylko że ostatnio byłaś taka... daleka.

Nabrała powietrza do płuc.

- Och, Charlesie, życie zrobiło się takie skomplikowane.

- Ale wciąż żywisz do mnie pozytywne uczucia? - zapytał żałośnie.

- Oczywiście. Byłeś mi dobrym przyjacielem i nigdy o tym nie zapomnę.

- Przyjacielem? I to już wszystko? A może raz wreszcie zdecydujesz się i zechcesz zostać moją żoną?

Powinna być zachwycona. Chciał jej dać dokładnie to, czego pragnęła, i nie mógł wybrać sobie lepszej po temu chwili. Było to jak idealne zakończenie romantycznej bajki. Tylko że to nie jest bajka, która musi się dobrze skończyć.

- Będę zaszczycona.

- Naprawdę?! To cudownie! - Twarz Charlesa rozjaśniła radość. Wyciągnął ręce, by przygarnąć Ellie, ale ona powstrzymała go gestem.

- Zanim wpadniesz w entuzjazm, muszę ci coś jeszcze powiedzieć.

Nie chciała ujawniać prawdy, ale Charles był przyzwyczajony człowiekiem, zawinił tylko tym, że się w niej zakochał. Nie może zacząć ich wspólnego życia od oszukiwania go.

- Jestem w ciąży.

Uniosła wysoko głowę, usiłując ukryć zażenowanie. Czytała w twarzy Charlesa jak w otwartej książce: najpierw zmarszczył brwi, jakby sądził, że się przesłyszał. Potem, powoli, prawda zaczęła docierać do jego świadomości.

- Kim jest ten łajdak?! Zabiję go!

- Nie powiem ci, Charlesie. Jeśli w tej chwili wyrzucisz mnie z powozu, nie będę cię za to winić. Ale jeśli nadal będziesz skłonny mnie poślubić, wiedz, że nigdy nie wyznam ci, kim jest ojcem mojego dziecka.

Charles opadł na poduszki powozu i przez chwilę partrył przez okno.

- Jeśli tylko w ten sposób mogę cię zdobyć, to cóż... niech i tak będzie.

- Nie żeń się ze mną, kierując się wypaczonym poczuciem obowiązku. Zrozumiem, jeśli nie zechcesz mnie już nigdy więcej widzieć.

- Poczucie obowiązku? - popatrzył na nią spod opadających na czoło blond włosów. - Nie, to nie to. Chcę cię poślubić, Eliot Sinclair, dlatego, że cię kocham.

Część trzecia

Tęsknota

„Miłość, co łatwo serc zacnych się chwyta,
skryła go czarem swej ziemskiej postaci;
wzdragam się patrzeć, jak była zabita”.

- Dante Alighieri, *Boska komedia**

* Tłum. E. Porębowicz.

Marzec 1899

TAJEMNICZY MALARZ POJAWIA SIĘ ZNOWU
Able Smythe

Dwa i pół roku od swego ostatniego obrazu M. M. Jay powrócił do świata sztuki. Ale jakież to powrót! Tak jak dawniej najnowszy obraz pojawił się pod drzwiami galerii sztuki, a jego twórca pozostał równie tajemniczy jak poprzednio.

Zręczne pociągnięcia pędzlem i zamiłowanie do szczegółu mogłyby nasuwać mniemanie, że głównym dążeniem artysty jest sztuka dla sztuki. Jednak, gdy patrzący cofnie się o kilka kroków, by lepiej ogarnąć całość, dozna wrażenia realności tak wyrazistej, iż zapomni o tym, że ogląda obraz, nie żywych ludzi.

Erotyk? zapytacie. Muszę przyznać, że tak. Chociaż, jeśli uważniej przyjrzeć się obrazowi, erotyzm w nim zawarty wyraża się bardziej w emocjach, jakie ewokuje, niż w kształtach i barwach odmalowanych na płótnie. Tęsknotę i rozpacz. Uczucia prawie dotykalne, choć przedstawione są tylko ciała, nigdy twarze, jakby twórca pragnął zachować anonimowość swoich modeli.

Jestem pełen podziwu, ale także i ciekawości. Dlaczego wróciłeś, panie M. M. Jay, jeśli ciągle nie chcesz ukazać nam swej twarzy?

- Dzień dobry!

Ellie Sinclair Monroe wpłynęła do jadalni. Uśmiechając się promiennie, pocałowała męża w czoło.

Charles Monroe odrzucił „Timesa”, wstał i podsunął żonie krzesło.

- Jak się masz, moja droga?

- Cudownie, po prostu cudownie - odparła Ellie, kładąc sobie serwetkę na kolanach, a potem westchnęła radośnie na widok wielkiego półmiska pełnego jajek, grzanek, pieczonej szynki oraz pieczonych ziemniaków, który przed nią postawiono.

Jej jasne, jak dawniej jedwabiste włosy, uczesane były w elegancki kok. Jej sylwetka pozostała szczupła, mimo obfitych śniadań. Suknia była nadal prosta, z pozbawionej ozdób miękkiej wełenki, tylko że teraz styl taki stał się modny. Dzięki swemu wrodzonemu wdziękowi i urodzie, ale także temu, że została żoną Charlesa Monroe, którego ojciec, Rupert, był właścicielem kwitnącej firmy wydawniczej, Ellie stała się osobą poszukiwaną w towarzystwie. Chociaż rodzina Monroe doszła do majątku bardzo niedawno, okazał się on jednak znaczny. Rupert Monroe strzegł reputacji i pozycji rodziny niczym najcenniejszego skarbu. Zarówno zdaniem ojca, jak i syna, Ellie stanowiła atut, który pomagał im osiągnąć ten cel.

- Jesteś dzisiaj radosna jak skowronek - powiedział Charles, umieszczając na krześle swą korpulentną postać.

Ellie zaśmiała się.

- Jest tak pięknie. Chłodno, ale słonecznie. Pomyślałam, że wyskoczę do Hanny, Barnarda i Jima.

- Doskonały pomysł. - Charles ugryzł grzanekę, którą jadł bez masła.

Przez chwilę pożywiali się w milczeniu, aż wreszcie Ellie zapytała:

- Co dzisiaj piszą ciekawego?

- Nic godnego uwagi. Same bzdury - powiedział Charles, patrząc tęsknie na kryształową miseczkę zawierającą

apetyczne konfitury truskawkowe. - Tyle już lat minęło, a oni znowu rozpisują się o tym M. M. Jayu.

Ellen zamarła, przerywając smarowanie konfiturą ciepłej grzanki. *M. M. Jay?* Zmusiła się do uśmiechu.

- Tak - ciągnął Charles, nie dostrzegając zmieszania żony.
- Ten zwyrodnialec znowu wypłynął na powierzchnię. Kilka lat temu widziałem jedno z jego malowideł i muszę ci powiedzieć, że to, co on robi, wcale nie jest sztuką. To nieprzyzwolite! Moim zdaniem to skandal, żeby szanująca się gazeta, jaką jest „Times”, zniżała się do pisania o takim obrzydliwie.

Siedzieli w pokoju śniadaniowym, którego okna wychodziły na ogród ich dopiero co wykończonego domu w stylu romańskim, położonego przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Ku niezadowoleniu Ellie nie dalej niż dwadzieścia metrów od niego znajdowała się rezydencja rodziców Charlesa. Jednak skoro nie da się tego zmienić, Ellie postanowiła się z tym pogodzić. Przynajmniej, powtarzała sobie, ma wreszcie własny dom. Jej życie upływało bez wstrząsów, przynajmniej do tej chwili.

Jak to możliwe, żeby po tylu latach pojawił nowy obraz M. M. Jaya? zastanawiała się w rosnącej panice, jednak rozważania te zostały szybko przerwane, gdyż w drzwiach pojawił się jej mały synek.

Na jego widok odczuła ogromną radość. Nigdy przedtem nie przypuszczała, że można kochać kogoś z taką mocą i bez żadnych ograniczeń. Gotowa była mu wszystko poświęcić od chwili, gdy przyszedł na świat.

- Jonah! - zawołała radośnie, wyciągając ręce.

Chłopczyk ruszył ku niej na niepewnych jeszcze nóżkach, potykając się na kosztownym perskim dywanie. Ellie już się zrywała, by go podtrzymać, ale on odzyskał równowagę i roześmiał się wesoło.

- Mama! - zawołał, gdy Ellie pochwyciła go i posadziła sobie na kolanach, nie troszcząc się o swoją piękną suknię.

- Jak się miewamy? - zapytała, mierzwiąc atramentowoczar-

ne włoski chłopca i patrząc z uśmiechem w jego błękitne oczy.

- A gdzie jest jego niańka? - zapytał z irytacją Charles.

Radość znikła z twarzy Jonaha. Chłopiec popatrzył czujnie i mocniej przytulił się do matki.

- Jestem, jestem - obwieściła panna Hobart, wyłaniając się z kąta. - Straszny z niego łobuziak - zaśmiała się. - Odwróciłam się tylko na chwilę, a jego już nie ma, już pobiegł szukać mamusi.

Na widok dziecka niesmak, jaki wywołała u Charlesa sprawa M. M. Jaya, przerodził się we wrogość i obrzydzenie. Ellie umiała już je rozpoznać. Kiedy mąż odepchnął krzesło i gniewnym krokiem opuścił pokój, a trzaśnięcie drzwiami obwieściło, iż wychodzi do biura, mocniej przytuliła do siebie synka, a na jej twarzy pojawił się wyraz żalu.

Jaka szkoda, że tak się między nimi ułożyło. Przecież próbowała. Usiłowała pokochać Charlesa, a on starał jej się odwzajemnić. Jednak to, co miała mu do zaoferowania, okazało się niewystarczające.

Na początku, kiedy była w stanie odmiennym, zachował się wspaniale: ślub wzięli prawie natychmiast. Zaspakajał jej wszystkie zachcianki i zapewniał, że miłość przyjdzie z czasem. I rzeczywiście, Ellie pokochała go w pewien sposób. Stawał w jej obronie wobec swoich rodziców i nie zdradził nikomu, nawet własnej matce i ojcu, że dziecko, które ma urodzić, nie jest jego. Wszystko szło dobrze, dopóki nie pojawił się na świecie Jonah, szczęśliwie w późniejszym terminie, ze swymi czarnymi włosami i błękitnymi oczkami, które nigdy nie zmieniły koloru. Charles raz tylko spojrzął na dziecko i wszystko uległo zmianie.

Od urodzenia Jonaha Ellie i Charles mieszkali pod jednym dachem, lecz spali w osobnych pokojach, odnosząc się do siebie grzecznie, ale z dystansem. Kiedy Ellie przyszła do siebie po porodzie i Charles mógłby wypełnić obowiązki małżeńskie, świadomość, że jego żona ma dziecko z innym, ochłodziła jego zapały.

Pół godziny po tym, jak pan domu wyszedł do biura, pod drzwi zajechał elegancki, brązowo lakierowany powozik. Ellie i Jonah wybierali się na Szesnąstą Ulicę. Miesiąc po ślubie Ellie i Charlesa Barnard i Hanna także się pobrali i zamieszkali tam właśnie.

- Ellie, Jonah! - zawołała Hanna. Jej radosna twarz tryaskała zdrowiem.

- Nana! Nana! - odpowiedział Jonah, rzucając się jej w ramiona.

Barnard wstał ze stołka ustawionego w wykuszowym oknie, gdzie nadal malował swoje obrazy.

- O, przyszedł mój mały chłopiec!

- Bapa! - kwiknęła Jonah, przytulając się do Barnarda.

- Co was tu dzisiaj sprowadza? - zapytał gderliwie starszy pan, równocześnie gładząc chłopca po głowie.

- Przyjechaliśmy - powiedziała Ellie, siłąc się na spokój - w sprawie pewnego artykułu, który ukazał się w dzisiejszym „Timesie”.

- Jakiego artykułu? - zapytał Barnard, stawiając chłopca na podłogę i częstując go miętówką.

- Barnard! - zaprotestowała Ellie. - Nie dawaj mu teraz słodyczy. Jest dopiero dziesiąta. I nie udawaj niewiniątka. Nie wierzę, żebyś nie widział artykułu Able'a Smythe'a.

Staruszek poderwał głowę.

- Jego artykułu? Jeszcze nie czytałem gazety. - Odwrócił się oskarżycielsko do żony. - Hanna nic mi nie powiedziała.

- No... - Hanna skuliła się. - Miałam zamiar ci go pokazać, naprawdę. - Niechętnie wydobyła gazetę z torby, w której trzymała robótkę.

Barnard mechanicznie otworzył czasopismo na trzeciej stronie i przeczytał artykuł raz, a potem drugi.

- Nie najgorzej - mruknął.

- Barnard! - zawołała piskliwie Ellie. - Jak to się mogło stać? Obiecałeś, że nigdy więcej nie wyniesiesz żadnego z moich obrazów.

- I nie wyniosłem!
- No to kto to zrobił?

- Ja.

Wszyscy odwrócili się w stronę schodów.

- Jim! - zawołał Jonah, podbiegł do przyjaciela i mocno objął go za nogę.

- Ty?! - zapytała ze zdumieniem Ellie.

- Tak - oznajmił z dumą, pochylając się, by przytulić Jonaha.

Ellie poczuła, że robi jej się słabo. Zabrakło jej tchu. Od chwili kiedy Charles powiedział jej o artykule, miała rozpaczliwą nadzieję, że cała sprawa okaże się pomyłką. Albo, jeśli nie, to że rzecz wcale nie dotyczy jej. Jadąc tutaj, wyobraziła sobie tysiąc różnych wyjaśnień. Ktoś użył tego nazwiska, żeby wykorzystać związek z nim rozgłos. Właściciel galerii próbuje poprawić swoje interesy, używając jako przynęty jej starego obrazu. Przecież od dwóch lat nie nikomu nie posyłała. Jednak wszelkie nadzieje rozwiało krótkie wyznanie Jima.

Świat znowu zaczynał jej się walić. Życie z Charlesem dalekie było od ideału... jej teściowie niewątpliwie mieli zbyt wielki wpływ na syna i traktowali go jak małe dziecko... ale ciężko pracowała, żeby osiągnąć nawet i to, co miała. Chociaż Charles przekonał ją, żeby sprzedała sklep, i była teraz od niego kompletnie zależna finansowo, jednak czuła się jak nigdy dotąd bezpiecznie... do chwili, kiedy przyniesiono porannego „Timesa”.

- Ale dlaczego, Jim? - zapytała, starając się zachować spokój.

Młodzieniec podniósł na nią oczy.

- Spotkałem takiego miłego pana, który lubi ładne obrazy. Ma sklep, w którym je wystawia. Powiedziałem mu, że ja też mam w domu ładny obraz. Kiedy mu go przyniosłem, powiedział tylko: „Ach!”. - Jim uśmiechnął się z zadowoleniem. - Bardzo się mu spodobał.

Serce zabiło Ellie mocniej z radości. Z łatwością pohamowała jednak to uczucie. To nieważne, co inni myślą o jej sztuce, liczy się tylko jej nowe życie i to, żeby znowu nie zostało zrujnowane.

- Popatrz, Ellie - wtrącił się Barnard, podsuwając jej gazetę. - Pisze, że ewokujesz uczucia. - Zagwizdał z podziwu, cytując to uczone sformułowanie. - Mówiłem ci, że jesteś dobra. Pogódź się z tym wreszcie. I wiesz, że kiedy miesiąc temu zaczęłaś znowu malować, od razu zrobiłaś się inna... jesteś pełniejszym człowiekiem.

- To prawda - dodała Hanna. - Rozmawialiśmy na ten temat z Barnardem. Bez sztuki stajesz się zagubiona.

Ellie odwróciła się od nich, przyciskając dłoń do ust. Do dnia, kiedy miesiąc temu nieoczekiwanie odczuła nieodpartą potrzebę, by znowu ująć pędzel i usiąść przed pustym płótnem, nie malowała... od czasu swojego ślubu. To prawda, że bardzo brakowało jej tego zajęcia, a jedyną jej radością był jej mały synek. I to powinno ci wystarczyć, powtarzała sobie wielokrotnie przez ostatnie lata. Kobieta nie potrzebuje innych radości poza wychowywaniem dzieci.

Jednak mimo że stale sobie o tym przypominała i że obdarzała swego synka bezgraniczną miłością, wiedziała w głębi duszy, że jej to nie wystarcza. Tęskniła za malowaniem. I wreszcie, pewnego dnia, mniej więcej miesiąc temu, poszła do domu przy Szesnastej Ulicy, wspięła się na trzecie piętro do swojego dawnego mieszkania, zaczęła malować i znowu jej świat stał się pełny.

Teraz zaś stojąc w bawialni na Szesnastej Ulicy - chociaż lękała się, iż porządek jej bytowania może zostać zagrożony - nie mogła zaprzeczyć, że dzięki powrotowi do pracy znowu poczuła, że żyje. Jednak wzięła się na nowo do malowania nie tylko dlatego, że sprawiało jej to radość. Tamtego dnia obudziła się rano, bez tchu, czując, że *musi* zacząć malować.

- Nic nie rozumiem - powiedziała półgłosem. - Nie pojmuję, dlaczego nagle znowu muszę to robić.

- Powody są nieistotne - stwierdził Barnard, podchodząc do niej i kładąc jej dłonie na ramionach. - Pora, żebyś zajęła się tym na serio. Jest ci to potrzebne do życia, Ellie. - Urwał na chwilę. - I myślę, że powinnaś poważnie zastanowić się nad wystawą.

Odwróciła się gwałtownie.

- Co?

- Wystawą. Pokazem twoich prac. Przecież zawsze o tym marzyłaś.

- Nie mogę - szepnęła, chociaż pomysł ten sprawił, iż krew szybciej zaczęła krążyć jej w żyłach.

- Oczywiście, że możesz. Sama widzisz, jakie jest teraz twoje życie. Nie masz już sklepu. Zajmujesz się tylko pustymi rozrywkami towarzyskimi.

- Mam przecież syna, no i ciebie, Hannę i Jima.

- To za mało, Ellie. Owszem, wiem, że nas kochasz. Tylko że w ostatnich latach umarła jakaś część twojej istoty. Maluj. A potem pokaż ludziom swoje prace, chociażby jako M. M. Jay.

Ze świstem wciągnęła powietrze do płuc.

- Tylko jak? - zapytała zafascynowana, chociaż wiedziała, że powinna z punktu odrzucić ten pomysł.

- To proste. Ja się wszystkim zajmę. - Barnard rzucił okiem na Jima. - I obiecuję, że będę go pilnował. Żaden obraz nie opuści tego domu bez mojej wiedzy.

- Ale...

- I - dodał, wyprzedzając jej protesty - tak jak poprzednio nikt, ale to nikt, przysięgam, nie dowie się, skąd pochodzą obrazy.

- Jak możesz obiecywać coś takiego?

- Zostaw to mnie, moja droga. Jestem mistrzem tajemnicy. Maluj, a ja zajmę się resztą. No i co ty na to?

Ellie westchnęła. Wieki Boże, móc znowu malować, i to jeszcze mając taki cel. Ta myśl uderzyła jej do głowy i przez jedną chwilę opanowała ją bez reszty. Ale jeśli zgo-

dziłaby się na ten pomysł, to czy dzięki niemu czeka ją ocalenie... czy zagłada?

Prawdę mówiąc, wiedziała, czemu znowu maluje. Powodem był Nicholas. Pewnego ranka obudziła się nagle, myśląc właśnie o nim. Czuła jego obecność przy sobie. Choć nie słyszała o żadnych jego poczynaniach od czasu, gdy opuścił Manhattan, myślała o nim stale. Wystarczył rzut oka na ich dziecko. Jonah i jego ojciec byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Była tym zachwycona i przerażona zarazem, bo znów musiała kłamać. Kiedy ktoś twierdził, że mały w niczym nie przypomina ani jej, ani Charlesa, mówiła, że jej ojciec i matka mieli ciemne włosy i niebieskie oczy. Była to nieprawda, bo wcale nie pamiętała swojej matki, a ojciec miał jasne włosy i piwne oczy. Jednak musiała trwać w kłamstwie, dla dobra swego dziecka.

W miarę jak Jonah rósł, Ellie coraz rzadziej pozwalała mu wychodzić. Spędzał czas albo w domu, albo przy Szesnastej Ulicy. Mijały miesiące i z każdą chwilą stawał się coraz bardziej podobny do ojca. Ellie zaczęła się poważnie obawiać, że ktoś może odkryć prawdę. Czasami wydawało się jej, że Charles wszystkiego się domyśla. Jednak nigdy nie powiedział tego głośno, jakby zawarli ze sobą tajemne porozumienie na temat dziecka, które nosiło jego nazwisko, ale nie miało w sobie jego krwi.

Teraz nadeszła chwila, w której Ellie, jeśli nie chciała żyć w zakłamaniu, musiała sama przed sobą przyznać, że nie ma pojęcia, jak to się może skończyć. Nie potrafiła sobie wyobrazić, na jakiego człowieka wyrośnie jej syn, jeżeli nie będzie wypuszczać go z domu i nie pozwoli mu biegać po ulicach miasta. A przecież kochała go z całego serca tak samo jak mężczyznę, który był jego rzeczywistym ojcem, chociaż ów człowiek znajdował się o setki mil stąd, gdzie na Karaibach, poślubiony Deidrze Carlisle.

Modląc się co wieczór, Ellie dziękowała Bogu za pomoc Charlesa... ale również była wdzięczna za to, że mąż nie pra-

gnął spełniać swych małżeńskich obowiązków. Zarazem jednak brakowało jej bliskości fizycznej, dotyku silnych, męskich dłoni. Pragnęła znaleźć się w ramionach... Nicholasa.

Jak to możliwe, że przez tyle lat wciąż za nim tęskni, jakby dopiero wczoraj kochali się po raz ostatni?

Och, Nicholasie, szepnęła w duchu. Gdybyś mógł zobaczyć, jak piękny jest twój syn.

Westchnęła i zamknęła oczy. Czy jesteś teraz szczęśliwy, Nicky? Czy masz już własną rodzinę, drugiego syna, który jest podobny do ciebie jak dwie krople wody?

Gdzie się teraz podziewasz, Nicky?

30

Nicholas złożył „New York Timesa” i odłożył na bok. W pomieszczeniu było ciepło, chociaż okna pokrywał szron. Mężczyzna odchylił się w fotelu i rozejrzał po swoim gabinecie. Dom przy Piątej Alei niewiele zmienił się pod jego nieobecność. Kiedy wrócił tu miesiąc temu, miasto również wyglądało tak jak poprzednio, ulice pełne były spieszących się ludzi.

Wyjechał na długo i naiwnie przypuszczał, że wróciwszy, zauważy wielkie różnice. Tymczasem okazało się, iż bez niego życie toczyło się nadal, niezmiennie. To tylko on był teraz inny.

Popatrzył na swoje odbicie w szklanych drzwiach biblioteczki. Chyba wygląda tak samo jak dawniej, może trochę posiwiały mu skronie. Tyle tylko, że szklane drzwi nie odbijały tego, co stało się z jego duszą.

Była martwa.

Panował w niej chłód i pustka. Nicholas często myślał, że jest wrakiem człowieka, zupełnie tak samo, jak zanim po-

znał Ellie. Miał tylko znacznie więcej pieniędzy. Pojechał na Karaiby, potem do Włoch, a w końcu zajął się handlem. Oliwa z oliwek okazała się żyłą złota. Im większy stawał się jego majątek, tym łatwiej przychodziło mu go pomnażać.

Od dawna nie myślał o budowaniu. Podróżując po Europie, podziwiał tamtejszą architekturę, czasami nawet wyobrażał sobie, że sam coś znowu postawi. Nigdy jednak nie wyszedł poza to. W głębi duszy wcale tego nie pragnął, a nawet nie chciał o tym pamiętać.

Ale oczywiście nie był w stanie zapomnieć, nie mógł bowiem przestać myśleć o Ellie. Zawsze o niej. Była jak cudowny sen, który przerodził się w koszmar, i pamięć o nim dręczyła go, sprawiając, że dusza jego obumarła.

Od czasu gdy opuścił Amerykę, coś po raz pierwszy drgnęło w jego sercu przed chwilą, gdy spojrzął na artykuł o M. M. Jayu. Ciekawe, dlaczego? Czemu poczuł iskrę zainteresowania z powodu krótkiego tekstu o pewnym tajemniczym i nieco skandalizującym artyście?

Jedyną odpowiedzią na te pytania było to, że zawsze tak się działo, od dnia kiedy przeczytał pierwszy artykuł Able'a Smythe'a. Malarz, o którym pisał M. M. Jay, niezawodnie budził zainteresowanie Nicholasa.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołał Nicholas.

W gabinecie pojawił się szczupły mężczyzna o gęstych rudych włosach.

- Dzień dobry panu. Jak się pan dzisiaj czuje?

Nicholas popatrzył kwaśno na swego nowego sekretarza. W ciągu miesiąca, który Henry Brown spędził na tym stanowisku, dał się poznać jako pilny, wysoko kwalifikowany pracownik, tyle że nazbyt, jak dla Nicholasa, pogodny. Było już jednak za późno na zmianę, a poza tym nie można wyrzucać kogoś z pracy za to, że zawsze jest w dobrym humorze. A więc Henry został i uśmiechał się nadal.

- W jakim stadium znajduje się remont? - zapytał Nicholas.

- Pański gabinet jest prawie wykończony. Jeszcze tydzień i wszystko będzie gotowe. Zatrudniłem recepcjonistkę i mam kilka kandydatek na sekretarkę.

Przez następną godzinę rozmawiali o interesach, aż znowu rozległo się pukanie do drzwi.

- Pani Welton - powiedział Henry. Lekko skłonił głowę i uśmiechał się szeroko, najwyraźniej zachwycony widokiem nowo przybyłej.

- O, Henry - odrzekła krótko Miriam i minęła go, wchodząc głębiej do gabinetu.

Od swego powrotu Nicholas widział się z siostrą trzykrotnie. Patrząc na nią teraz, musiał przyznać, że nie wszystko pozostało takie samo. Miriam zmieniła się i nie była to zmiana na lepsze. Jednak Nicholas nie umiał zdobyć się na współczucie. Gdyby postarała się być lepszą matką, jej dziecko mogłoby nadal żyć.

Nie chciał pamiętać, że nikt, nawet matka, nie był w stanie uratować dziewczynki. Nie potrafił zapomnieć swojej siostrze, że zostawiła małą, i nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek będzie do tego zdolny. Fakt, że Miriam nie prosiła go o wybaczenie. Wydawało się, że w najmniejszym stopniu nie żałuje swego postępowania, a przynajmniej tak sądził Nicholas, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że minione lata pokreśliły jej twarz zmarszczkami i sprawiły, iż przestał na niej pojawiać się uśmiech. Zniknął z jej życia, zupełnie tak samo jak mąż.

William Welton rozpoczął postępowanie rozwodowe kilka dni po śmierci Charlotte. Potem wyjechał za granicę, jak wszystkim było wiadomo, na stałe, zostawiając żonę bez jednego centa. Mimo to Nicholas nie był skłonny okazać Miriam współczucia. Płacił jej rachunki i pozwalał jej stroić się w najmodniejsze suknie, ale poza tym nie mieszał się do życia siostry.

- Miriam - powiedział teraz chłodno.

W jej oczach pojawił się wyraz zmęczenia, który zaraz jednak zniknął.

- Domyślałam się, że nie dostałeś mojej wiadomości - stwierdziła.

- Jakiej wiadomości?

- Na temat obiadu. Pomyślałam, że może zechciałbyś zjeść ze mną obiad w niedzielę.

- Nie mam ani czasu, ani cierpliwości, żeby chodzić na przyjęcia.

- Nie robię przyjęcia. Będziesz tylko ty i ja.

Nicholas uniósł brew.

- Jeśli czegoś ode mnie chcesz, Miriam, to poproś. Nie musisz próbować mnie przekupić.

Na chwilę skamieniała.

- Nic od ciebie nie potrzebuję, Nicholas - powiedziała sztywno. - I tak jesteś dla mnie bardzo dobry. Chciałam tylko, żebyśmy razem zjedli obiad. To wszystko.

Popatrzył na nią, nie zdradzając swoich uczuć.

- Dziękuję za zaproszenie, ale muszę odmówić. A teraz bardzo cię przepraszam, mam masę pracy.

Kilka minut po wyjściu Miriam Nicholas odesłał także Henry'ego. Chciał wyjść z domu i pogalopować konno gdzieś po otwartych polach. Jednak na Manhattanie nie było to takie łatwe jak na Karaibach, gdzie uganiał się wierzchem dniami i nocami, aż zaczęto szeptać, że chyba jest szalony. I faktycznie, przez kilka miesięcy taki właśnie był stan jego ducha.

Podczas swego tam pobytu prawie nikogo nie widywał. Odwiedzała go wyłącznie Deirdra Carlyle, na którą natykał się poza tym na każdym kroku. Jasno też obwieściła mu, iż jej zdaniem stanowią idealną parę. On zaś poinformował ją równie dobitnie, że nawet o tym nie może być mowy. W końcu dała mu spokój i poślubiła świeżo owdowiałego plantatora.

Po roku Nicholas wyjechał do Włoch. Jednak tak samo jak tropikalna wyspa, Europa nie stała się dla niego drugim domem. Musiał więc wrócić do Nowego Jorku, bo wiedział, że to tam jest jego miejsce na ziemi.

Tylko że teraz, mając jako alternatywę podróż na pół-

noc do Central Parku, gdzie właśnie zaczynano budować większe ilości domów, musiał zadowolić się energicznym spacerem pokrytymi śniegiem ulicami miasta.

Ubrany w płaszcz, kapelusz i rękawiczki, z przyjemnością wystawił twarz na ostry, zimowy wiatr. Jednak kiedy przeszedł kilka przecznic, zdał sobie z niezadowolaniem sprawę, że jego rodzinne miasto wypełniają wspomnienia o Eliot Sinclair. Zmiał w ustach przekleństwo i złapał tramwaj konny.

Jak wszyscy wrzucił monetę do specjalnego otworu, rozsiadł się wygodniej na twardym siedzeniu, a chudy koń ruszył swoją trasą. Nicholas jechał, zadowolony, że ogłuszający klekot żelaznych kół na ulicznym bruku nie pozwala mu na myślenie. Kiedy wreszcie miał już dosyć, zeskoczył z drewnianego schodka omnibusu, gotów znowu ruszyć na piechotę, lecz zwolnił kroku, ujrawszy, gdzie się znalazł. Był u drzwi galerii sztuki, która kiedyś eksponowała „W objęciach”.

Zmrużył oczy i popatrzył na wystawę... pod którą obejmował Ellie, pod którą odkrył swoją do niej namiętność. Ellie i „W objęciach”. Zawsze będzie tak je pamiętał. Razem. Splecione.

To chyba dlatego odczuł takie zainteresowanie na widok notatki o M. M. Jayu. Ze względu na Ellie. I, jak zawsze, było to nie do zniesienia.

- Niesamowite, prawda?

Nicholas odwrócił się, zaskoczony, i ujrzał obok siebie niskiego, łysiejącego mężczyznę.

- Owszem - zgodził się krótko i po raz pierwszy zauważył obraz, który teraz wisiał na wystawie, bo przedtem widział na niej ten dawny, sprzed lat. - Owszem - powtórzył.

- To kolejne dzieło M. M. Jaya. - Mężczyzna pokręcił głową. - Jaka szkoda, że nikt nie wie, kto to naprawdę jest. Wiele bym za to dał, żeby zadać mu kilka pytań.

- Mówi pan jak Able Smythe - stwierdził sucho Nicholas.

W szybie wystawy zobaczył, że mężczyzna rzuca mu zdziwione spojrzenie.

- Bo jestem Able Smythe.

Nicholas popatrzył na niego badawczo.

- Naprawdę? Czytałem wszystkie pańskie artykuły o M. M. Jayu.

Able Smythe zamyślił się na chwilę.

- I co pan sądzi? Czy to wielki talent, czy tylko skandalista? Do którego obozu pan należy?

Nicholas rzucił okiem na obraz, przypatrując się pięknym, lecz śmiałym liniom.

- Jaki jest tytuł?

- „Teśknota”. Przynajmniej ja tak sądzę. One zawsze pojawiają się bez tytułu, ale jakże inaczej można by go nazwać?

Rzeczywiście, Nicholas musiał przyznać, że takie właśnie uczucia obudził w nim ten obraz.

- Jednak tylko Jay jest do tego zdolny - ciągnął Smythe - żeby gorszyć ludzi, malując kobietę, osłoniętą jedynie skrawkiem przezrzystej materii, jedną ręką dotykającą piersi, a drugą... muskającą miejsca... hm... niewypowiadalne, i jakby marzącą, aby dłoń ta należała do jej kochanka. - Able Smythe oblał się pąsem. - Mimo to muszę przyznać, że każda jego praca jest lepsza od poprzedniej. - Pokiwał stanowczo głową. - Pewnego dnia, zapamiętaj pan moje słowa, stanie się słynny jako wielki artysta. Niech pan tylko spojrzy na ten obraz. Jest piękny i pełen nastroju. Niełatwo go będzie zapomnieć.

- Nie - zgodził się Nicholas.

- Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

- Nie podawałem go panu - odparł Nicholas, zwracając się do swego rozmówcy. - Nazywam się Nicholas Drake - powiedział po chwili wahania.

- Nicholas Drake? Ten budowniczy?

- Ongiś.

- Ach, rzeczywiście, przypominam sobie, słyszałem, że wyjechał pan z Nowego Jorku, nie realizując projektowanej budowy. Dlaczego...

- Za pozwoleniem - przerwał mu Nicholas. - Spieszę się. Odszedł, zanim Able zdążył dokończyć pytania. Nie chciał,

żeby mu przypomniano o tamtych czasach, ale zarazem był z siebie niezadowolony. To, że nie pozwoli komuś wspominać przeszłości, nie sprawi przecież, że o niej zapomni. I o Ellie. Jej obraz dręczył go stale i budził w nim uczucie jakże podobne to tego, które przedstawił M. M. Jay. Tęsknotę. Tak, czuł ją i nienawidził za to samego siebie. Stanowiła dowód, że jego dusza jeszcze do końca nie obumarła.

Nicholas szedł zatłoczonym chodnikiem, za każdym krokiem przeklinając samego siebie, bo wiedział, dokąd zamierza się udać. Jak ćma wabiona blaskiem świecy musiał dążyć ku niej.

Zrozumiał, że właśnie tego pragnie od dnia, kiedy jego statek zawinął do New York Harbor. Tego właśnie chciał, gdy wychodził rano z domu i kiedy przerwał w pół słowa Able'owi Smythe'owi. Nie pragnął myśleć o Ellie. Chciał ją zobaczyć. Musiał ją zobaczyć, chociaż, stojąc pod grubymi, dębowymi drzwiami i patrząc na owalne w nich okienko, przeklinał swoją głupotę

Całe jego ciało rwało się do ucieczki. Zamiast tego wspiał się po schodkach i zastukał. Minęło kilka minut i kiedy podnosił już rękę, by zapukać raz jeszcze, drzwi otworzyły się

Milczenie.

A potem radosny krzyk:

- Nicky!

Jim rzucił się do przodu i prawie go przewracając, chwycił Nicholasa w niedźwiedzi uścisk.

- Witaj, Jim - powiedział Nicholas, uśmiechając się blado.

- Och, Nicky, Nicky. Tak bardzo za tobą tęskniłem.

- Hm, tak. To świetnie - powtarzał z zakłopotaniem Nicholas.

- Codziennie myślę o tobie i Charlotte. Wieczorami modłę się za nią. Prosiłem ją, żeby sprowadziła cię z powrotem do domu, i proszę, jesteś! - Uścisnął go jeszcze raz.

Nicholas nie mógł wydobyć słowa, i to nie tylko dlate-

go, że uścisk Jima mógłby zmiażdżyć kogoś mniej odpornego.

- Jestem pewien, że i ty tęsknisz za Charlotte, prawda, Nicky?

Bez ustanku.

- Tak - przyznał krótko Nicholas, nie wiedząc, co może jeszcze powiedzieć.

- Barnard poszedł z Hanną na targ - ciągnął Jim, wchodząc do środka.

Po chwili wahania Nicholas ruszył za nim. Wewnątrz pachniało świeżo upieczonym chlebem i słońcem, chociaż na dworze panował mróz. Dom. Rodzina. Czy Ellie jest na gorze?

Jim podszedł do stołu i zaczął grzebać w puszcze z ciastkami.

- Nie powinieneś być teraz w pracy? - zapytał Nicholas, z wysiłkiem odrywając oczy od schodów.

- W pracy?

- No, w sklepie.

- Ach, nie - odparł Jim poważnie, jakby tłumaczył coś małemu dziecku. - Nie mamy już sklepu. Sprzedaliśmy go. Już nie robimy kapeluszy.

- Naprawdę? - Nicholas przekrzywił głowę, a potem wzrok jego padł na kącik przy oknie, w którym stały sztalugi i inne sprzęty malarskie. - Widzę, że Barnard nadał maluje.

Jim popatrzył w tamtą stronę, jakby widział to po raz pierwszy.

- Aha. Cały czas. Mówi, że pewnego dnia będzie sławny.

Jim natychmiast przestał się śmiać, kiedy Nicholas podniósł mały obrazek, który stał oparty o ścianę za stołem.

- Nie, Nicky! - zawołał, wyciągając rękę. - Odłóż to! Miałem go schować! Barnard kazał mi złożyć przyrzeczenie!

- Zaraz go schowasz - powiedział Nicholas, usuwając obrazek z zasięgu rąk Jima. - Tylko go sobie obejrzę.

Jim opadł z jękiem na krzesło, a Nicholas popatrzył na obrazek. Był mały, ale niezwykły.

- Wielki Boże, nie wiedziałem, że Barnard potrafi tak malować!

Na okrągłej twarzy Jima odmalowało się zakłopotanie; wizyta Nicholasas nie sprawiała mu już przyjemności. Zerwał się z krzesła i niechcący strącił puszkę z cukierkami, które rozsypały się po całej podłodze. Ale Jim tego nie zauważył.

- Oddaj mi go, Nicky!

- O co chodzi, Jim?

- Musisz już iść, Nicky. Oddaj mi to, a potem idź.

Nicholasa zdziwił szorstki ton Jima.

- Nie możesz tu zostać, Nicky. Ellie będzie wściekła, jak się dowie. Idź stąd.

Nicholas zmrużył oczy, ale nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Wiedział, że źle zrobił przychodząc tutaj, ale Jim nie powinien mu tego wypominać.

- Prawdę mówiąc, przyszedłem właśnie do niej.

- O, nie! - powiedział Jim szeroko otwierając oczy z przerażenia i przyciskając obrazek do swej szerokiej pierśsi. - Nie wolno ci. Nie możesz jej widzieć. Będzie się bardzo gniewała.

- Po prostu powiedz jej, że tutaj jestem - nalegał chłodno Nicholas.

- Nie ma jej, Nicky! A teraz idź! Bo będę miał kłopoty.

Nicholas zawahał się. Chęć ujrzenia Ellie walczyła z głosem rozsądku. Nagle poczuł się głupio. Po co tutaj przychodził? Czemu miałoby to służyć? Niczemu.

Wyszedłszy na dwór, ruszył Szóstą Aleją, a potem skierował się na północ. Nie potrzebował dowodu, że Ellie nie chciała mieć z nim nic wspólnego, ale mimo to go uzyskał. Nic z tego powodu nie odczuwał, a przynajmniej tak sobie powiedział. Nie przejął się wcale tym, że wykreśliła go ze swojego życia... chociaż on nie mógł o niej zapomnieć.

2 rękoma w kieszeniach płaszcza Nicholas dotarł piecho-

tą do dzielnicy handlowej, minął wielkie domy towarowe B. Altmana i Siegel-Coopera. Nowiutki, elegancki, lakierowany na brązowo powozik zatrzymał się przy krawężniku i lokaj w liberii pomagał wysiąść z niego jakiejś damie. Później Nicholas miał przeklinać pomysł, żeby iść pieszo, żałować, że nie znalazł sobie dorożki, albo chociażby nie pojechał kolejką nadziemną. Ale wtedy, gdy pięknie ubrana kobieta, znalazłszy się już na chodniku, odwróciła się, by powiedzieć coś do osoby znajdującej się w powozie, i na widok Nicholas zamarła w pół gestu, mógł tylko patrzeć w milczeniu.

- Nicky - wyszeptała, a jej oddech zamienił się w obłoczek pary na mroźnym powietrzu.

- Witaj, Ellie.

Stali pośrodku chodnika, a ludzie obchodzili ich dookoła.

- Wróciłeś - powiedziała.

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech, za którym Nicholas tak bardzo tęsknił.

- Nie wiedziałem, że zauważyłaś mój wyjazd - odparł.

Policzki jej pokryły się delikatnym rumieńcem. Kiedy to ostatnio spotkał u jakiejś kobiety taką reakcję? Kiedy widział się z Ellie. Kiedy Ellie zagościła w jego życiu i jego sercu.

Mimo że tak długo przez nią cierpiał, jej uroda podziałała na niego jak balsam. Nie mógł oderwać wzroku od jej szmaragdowych oczu, jedwabistych włosów ukrytych częściowo pod kapeluszem, smukłej sylwetki. Jej piękność wciąż zapierała mu dech w piersiach.

- Jak się miewasz?

- Dziękuję, dobrze - odpowiedziała grzecznie jak uczennica. - A ty?

Patrzyli na siebie, nie zwracając uwagi na otaczający ich tłum.

Wzruszył ramionami.

- Też dobrze.

- Świetnie wyglądasz.

Wiedział, że mówi szczerze. Zawsze taka była. Szczera. Śmiała i dzielna. Boże, jak jej mu brakowało.

Przeszłość gdzieś znikła. Nicholas zbliżył się do Ellie i wyciągnął ręce. Chciał jej dotknąć, porwać ją w ramiona i nigdy już nie wypuścić. Widział, że wyczuła jego zamiary, bo wydawało się, że przestała na chwilę oddychać, a wargi jej rozchyliły się. Jej oczy powiedziały mu, że tęskniła za nim tak samo, jak on za nią.

- Hmm - odezwał się lokaj, zwracając się w stronę drzwi powozu. - Przepraszam, pani Monroe, czy mam pomóc chłop...

Nadmiar wrażeń sprawił, że Nicholas przestał rozumieć cokolwiek. Najważniejsze jednak były dwa słowa. *Pani Monroe*. Prawie nie zauważył, że Ellie popatrzyła na niego w panice, a potem nagle zatrzasnęła drzwi powozu.

- Pani Monroe? - powtórzył Nicholas.

Kiedy nie odpowiedziała mu, tylko stała bez ruchu, chwycił ją mocno za rękę. Nie zwracając uwagi na oburzenie lokaja i słabe protesty Ellie, ściągnął z jej dłoni rękawiczkę.

Widok obrączki stanowił cios. Nie mógł myśleć, a tym bardziej cokolwiek powiedzieć. W końcu oderwał wzrok od jej smukłych palców.

- Znalazłaś sobie rycerza w lśniącej zbroi, który zechciał zbudować dla ciebie zamek nad brzegiem morza? - Jego błękitne oczy stały się twarde jak stal. Tak samo jego głos. - A więc ja nie byłem dla ciebie dość dobry?

Z niesmakiem puścił jej dłoń. Powrócił dawny gniew, tyle tylko że przerodził się w uczucie znacznie silniejsze: zapiekłą nienawiść.

- I pomyśleć, że uwierzyłem w twoją bajeczkę.

- O czym ty mówisz? - zapytała z napięciem.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem prychnął Z niesmakiem.

- O niczym. Tylko o głupich słowach wypowiedzianych przez głupią kobietę, które wziął sobie do serca głupi mężczyzna. - W jego słowach brzmiały drwina i nienawiść,

choć skierowane były tak samo przeciwko niemu, jak i niej. Chciał krzyczeć, walić na oślep pięściami.

- Och, Nicky.

- Nie! Nie, pani Monroe - powiedział ostro przez zaciśnięte zęby. - Proszę zwracać się do mnie Nicholas. Nicholas Drake.

Stali w odległości kilku centymetrów od siebie, a ich oddechy mieszały się, jakby byli kochankami.

- Przepraszam - rzekła w końcu Ellie. Rumieniec nieśmiałej pensjonarki zniknął z jej policzków, a na jej twarzy pojawił się wyraz rezygnacji. - Bardzo mi przykro.

Nicholas ujrzał, że oczy jej zwilgotniały, i to tylko powiększyło jego gniew. Był zły, bo ona już nigdy nie będzie należeć do niego. Zdradziła go. A dla niego wciąż miało to znaczenie.

- Doprawdy? - zapytał jadowicie. - Przykro ci, że to nie w moich ramionach zasypiasz? Żachnęła się, ale to go nie pohamowało, ani też wyraz zgorzenia, jaki odmalował się na twarzy zdumionego lokaja. - Żałujesz, kiedy dotykają cię jego dłonie?

- Przestań! Nie rób tego, Nicholasie.

- Czegóż to mam nie robić, skarbie? - zapytał z udawaną swobodą, a czułe słowo zabrzmiało jak obelga. - Przecież nigdy nie lubiłaś owijać w bawełnę. Dlaczego oczekujesz tego od innych?

- Po co to robisz? - jej szept zabrzmiał jak krzyk.

Jednak to tylko jeszcze bardziej go rozgniewało.

- Nie wiesz? - Zaśmiał się głucho. - To sobie przypomnij, maleńka, jeśli nie pamiętasz. - Chciała się odwrócić, ale chwycił ją za ramię. Lokaj chciał ruszać Ellie na ratunek, ale Nicholas powstrzymał go groźnym spojrzeniem. - Przypomnij sobie salę balową pełną gości. Albo tę noc potajemnej....

- Przestań - wyszeptała zdławionym głosem. - A potem nabrała powietrza do płuc i wyprostowała się dumnie. -

Nie musisz mi tego przypominać - stwierdziła. - Sama doskonale pamiętam.

Patrzyła mu w oczy i siła jej spojrzenia oraz malujące się w nim rozczarowanie sprawiły, że prawie się załamał... prawie. Jednak za mocno go ugodziła i już nic nie mogło wyrzeć na niego wpływu, a przynajmniej tak sobie pomyślał, kiedy nagle wyrwała mu rękę. Teraz znalazła się poza jego zasięgiem. O ile o przeszłości można było zapomnieć, o jej małżeństwie nie.

- Bez względu na to, czy chcesz mi wierzyć, czy nie - powiedziała sztywno - jest mi bardzo przykro.

Wskoczyła do powozu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki, woźnica błyskawicznie znalazł się w koźle, strzelił z bata i lśniący brązowy powozik popędził co koń wyskoczy.

31

Miesiąc później Nicholas siedział w świeżo odnowionym gabinecie. Chociaż była ósma wieczorem, wciąż pracował bez wytchnienia i to właśnie bardzo mu odpowiadało. Jednak w dzisiejszym „Timesie” przeczytał notatkę zawiadamiającą, że tego wieczoru, w renomowanej galerii sztuki, odbędzie się pokaz prac M. M. Jaya. Malarz ten znowu zdołał zaintrygować i zaskoczyć Nicholasa. Do tej pory wystawiał przecież na raz tylko po jednym obrazie.

Nicholas wyszedł z biura i kazał się wieźć do galerii. Jak zawsze zawahał się, podchodząc do wejścia we wnęce. Jak zwykle pamięć przywiodła mu znajome obrazy. Słodką gładkość ciepłej skóry. Nieoczekiwaną namiętność. Zanim otworzył drzwi, postać przez chwilę, by opanować zalewającą go falę wspomnień.

W pełnej gości galerii panował śmiech i gwar. Cygane-

ria. Malarze, tancerki, poeci. Nie była to elita towarzyska Nowego Jorku. Ci, gdyby chcieli zobaczyć obrazy, przyszliby prywatnie na specjalnie dla siebie zorganizowane pokazy. Jednak nie ludzie przykuli uwagę Nicholasa, lecz prace, rozwieszane na ścianach. Zmuszały, by na nie patrzył. Obrazy... niektóre wielkie i śmiałe, inne małe, nieomal skromne, ale wszystkie pełne niekłamanej namiętności. Budziły do życia jego duszę.

- I co pan o tym sądzi?

Nicholas z wysiłkiem oderwał się od obrazów i ujrzał u swego boku Able'a Smythe'a. Nie był jednak w stanie mu odpowiedzieć. Serce tłukło mu się w piersi w jakimś niesamowitym rytmie.

- Widzę, że odbiera pan M. M. Jaya tak samo, jak ja - wyręczył go Able. - Coraz bardziej mnie ten facet zadziwia. Do obrazów załączono notatkę: „Do wystawienia”. I to wszystko. Cholera - dodał z przejściem. - Kiedy się wreszcie dowiemy, kto to jest?

- Może nigdy. - Nicholas zmusił się do mówienia, nie rozumiejąc, czemu ma w głowie ten dziwny szum.

- Chciałbym go odnaleźć.

- Tak - przyznał z roztargnieniem Nicholas, ignorując dziennikarza i na powrót skupiając uwagę na obrazach.

Oglądał je etapami: barwa, faktura, przedstawienie. Odnosił wrażenie, że zna je wszystkie, i to od zawsze. W głowie szumiało mu coraz głośniejsze, a duszę przepełniały niezrozumiałe uczucia. Nic z tego nie pojmował.

Wtedy jednak natrafił na nieduży, jakby ukryty w kącie obrazek.

Me, *Nicky!* *Odtóż to!*

Nicholas usłyszał głos Jima tak, jakby młody olbrzym stał tuż obok niego. Ale przecież nie było go tutaj, tylko ten obrazek... ten sam, który Nicholas oglądał w domu Ellie.

Poczuł, że czegoś tu nie rozumie. Pamiętał, jak podczas swojej pierwszej wizyty w domu przy Szesnastej Ulicy

Barnard powiedział: „Są tacy, którzy twierdzą, że to ja jestem M. M. Jayem”. I komentarz Hanny: „Ten stary koziół nie potrafiłby przyzwoicie pomalować nawet ściany”.

Serce waliło mu jak młotem, a w uszach szumiała krew. Able Smythe znowu zadał mu jakieś pytanie, ale Nicholas nawet go nie usłyszał. Odwrócił się i wybiegł z galerii. Potem ruszył przed siebie, coraz szybciej. Po kilku minutach znalazł się na Szesnastej Ulicy i walił do drzwi.

W domu nie było ciemno, wręcz przeciwnie, paliły się wszystkie światła. Nicholas popatrzył na zegarek. Za piętnaście dziewiąta. Zapukał znowu. Po, jak się wydawało, kilku godzinach oczekiwania, Barnard otworzył mu drzwi.

- Nicholas!

Jego zdziwienie było szczere. Tyle tylko, że Nicholas nie zwrócił na to uwagi. Wyminął Barnarda, nie dbając o wymogi grzeczności, i ruszył prosto do kąta, w którym starszek malował i trzymał swoje obrazy.

- Co to ma znaczyć, do diabła? - zapytał Barnard. Jego zakroczenie przerodziło się w oburzenie, a może także niepokój.

Nicholas, patrząc gniewnie i dziko, jednym szarpnięciem zerwał białe płótno, zakrywające sztalugi. Zrozumienie, co przed sobą widzi, zajęło mu dłuższą chwilę.

- Byłem idiotą - powiedział w końcu.

Teraz wszystko stało się jasne. Czuł, że „W objęciach” jest mu bliskie, bo to była Ellie. I on sam. W deszczu. Przypomniał sobie panikę w jej oczach, kiedy wspomniano przy niej o M. M. Jayu. Farbę na jej palcach. Własne poczucie, że skądś zna dzieła tego artysty.

Żołądek ścisnął mu się, a w głowie pulsowało. I, jak gdyby sprawił to własną siłą woli, drzwi otworzyły się i przypłynął do niego srebrzysty śmiech. Ellie.

- Barnardzie, to nie do wiary!

Nicholas powoli odwrócił się w jej stronę. Dostrzegła go natychmiast i jej radość zamieniła się w przerażenie.

- Nicky! - zawołała.

- Tak - odparł, z wysiłkiem panując nad głosem - to ja. Dziwisz się?

- Czemu tutaj przyszedłeś?

- Powiedzmy, że z ciekawości.

Widział, że spojrzenie jej na chwilę pomknęło w stronę obrazu, stojącego w kącie na sztalugach.

- Tak - odpowiedział na jej nie wypowiedziane pytanie. - Przyszedłem obejrzeć prace Barnarda.

- Myślę, że powinieneś stąd wyjść - stwierdziła stanowczo, odzyskując opanowanie.

- Nie mogę. Nie tak zaraz. Moja ciekawość nie została wszak zaspokojona. Nie chciałybyś przecież, żebym wyszedł... z poczuciem niespełnienia, prawda?

Podszedł do niej, skradając się jak drapieżnik, aż znalazł się o kilka centymetrów. Znienacka chwycił ją brutalnie za rękę. Bez słowa, powoli, rozgiął jej palce i znalazł ów szczególny znak. Miał ochotę śmiać się z samego siebie, bo poczuł rozczarowanie. W głębi ducha liczył na to, że się pomyli. Jakże był naiwny.

- Farba - stwierdził z pogardą. - Pomagałaś Barnardowi? Nie odwróciła wzroku, ale też nic mu nie odrzekła.

- Nie - odpowiedział za nią, przyglądając się jej paznokciom. - Ty mu nie pomagałaś.

I wtedy nagle odczuł bliskość jej ciała, delikatnej skóry, a słodki zapach jej włosów owładnął nim, prawie go dusząc.

- A więc do tego byłem ci potrzebny, pani Monroe? - zapytał sarkastycznie, puszczając jej dłoń.

Barnard wysunął się do przodu.

- Wynos się stąd, Drake, albo wezwę policję.

Nicholas nie zwrócił na niego uwagi. Jego twarz zamieniła się w ohydną maskę.

- Czy po to byłem ci potrzebny, żebyś mogła namalować to, co odczuwałaś?

Ellie pobladła.

- I pomyśleć, że wierzyłem, iż przyszłaś do mnie w środ-

ku nocy, żeby mnie pocieszyć. - Zaśmiał się głucho. - Czy dlatego pozwalając mi się kochać, żeby móc przenieść na obraz nasze wspólne doznania?

Sięgnęła przed siebie i mocno chwyciła się oparcia krzesła. Barnard dławił się gniewem.

- Czy właśnie do tego ci posłużyłem? - dopytywał się bezlitośnie Nicholas. - Jako inspiracja artystyczna?

- Do diabła, Drake! Zostaw ją w spokoju!

- Nigdy jej nie zostawię w spokoju! - warknął Nicholas.

Barnard poczerwieniał, zaciskając pięści. Potem wybiegł przez drzwi frontowe i Nicholas domyślił się, że pójdzie na policję. Jednak wcale się tym nie przejął. Wbił wzrok w Ellie.

- Ciekawe, czy byłem jedynym, który cię inspirował, czy jest nas kilku?

Jej dłoń świsnęła w powietrzu i trafiła go w policzek, zanim zdał sobie sprawę z tego, co się stało. Oboje byli jednakowo zaskoczeni tym, co uczyniła Ellie. Jednak po chwili Nicholas uśmiechnął się chłodno, dotykając czerwonego śladu na twarzy.

- Chyba już trochę za późno na dziewiczy wstyd.

- Wynos się - powiedziała, drżąc na całym ciele.

- Zdenerwowałem cię, M. M.? A może powinienem się zwracać „panno Jay”?

- Dotąd nie przypuszczałam, że jestem w stanie cię znienawidzić. Ani przez chwilę. Ale teraz wiem, że się pomyliłam.

Lodowaty uśmiech zniknął z twarzy Nicholas.

- Świetnie. Byłoby mi przykro, gdybyś nie odwzajemniła moich uczuć.

Zamknęła oczy i wstrząsnął nią dreszcz.

- Wyjdź.

Poczucie troski na moment owładnęło Nicholasem. Zapragnął dotknąć Ellie, zapytać, jak się czuje. Zaraz się jednak opanował.

- Proszę - wyszeptwała, oddychając z wysiłkiem. - Zostaw mnie samą.

Sięgnął szybko jak błyskawica i gniewnie chwycił ją za ramiona, przyciągając ją do siebie tak blisko, że poczuł mocne bicie jej serca.

- Dlaczego ty mnie nie zostawiłaś w spokoju? - zapytał zdławionym głosem. - Nawet jeśli musiałaś wykorzystać mnie do swego malowania, nie musiałaś sprawiać, bym cię pokochał!

Resztki lęku znikły z jej oczu, zastąpione przez siłę, która pojawiła się nie wiadomo skąd.

- Wcale cię nie szukałam! Tyle razy ci powtarzałam, że nie ma dla nas przyszłości. To ty nie chciałaś tego zrozumieć. Jesteś równie winny jak ja temu, co się teraz porobiło. Bądź mężczyzną i chociaż po części przyjmij na siebie odpowiedzialność!

- Na początku rzeczywiście to ja wykazywałem inicjatywę, ale po twoim... wielkim wystąpieniu na balu, kiedy to jasno i wyraźnie oświadczyłaś, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego, dałem ci spokój. Tylko że twoje słowa to jedno, a twoje czyny to coś zupełnie innego. To ty, Eliot, przyszłaś do mojego domu w środku nocy. I kiedy powiedziałem ci, że jeśli mamy to zrobić, to pod warunkiem, że zostaniemy razem na zawsze, po prostu pocałowałaś mnie, kłamiąc każdym gestem. Zawsze kłamałaś!

- To ten, panowie!

Nicholas poderwał głowę i ujrzał dwóch policjantów. Barnard stał za nimi w drzwiach. Kiedy policjanci wyciągnęli po niego ręce, Nicholas cofnął się, powstrzymując ich gestem. Odezwał się, a w jego głosie tlił się z trudem hamowany gniew:

- Właśnie wychodzę.

Popatrzył jeszcze raz na Ellie, a potem wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

Przez jakiś czas szedł bezmyślnie, a potem, będąc już na Szóstej Ulicy, złapał dorożkę. Warknięciem poinformował woźnicę o tym, gdzie ma jechać, a potem jednym skokiem

znalazł się w środku i bezwładnie opadł na siedzenie. Przeciagnął dłońią po twarzy i włosach. Klekot kół i wstrząsy pojazdu szarpały mu nerwy. Oparł głowę o drzwiczki: ich krawędź wbijała mu się boleśnie w czoło.

Dopóki woźnica nie zastukał styliskiem bata w jej bok, nie zauważył, że dorożka zatrzymała się.

- Koniec trasy! - zawołał woźnica.

Nicholas wysiadł, zapłacił, a potem poszedł prosto do swego gabinetu. Nie miał zwyczaju nadużywać alkoholu. Ale tego wieczoru, z przyczyn, w które wolał nie wnikać, otworzył kryształową karafkę i zaczął się systematycznie upijać. Pil, by oswobodzić swój umysł, by przestać myśleć. Czas jednak mijał, a alkohol nie pomagał. Myśli wciąż wirowały mu w głowie jak szalone.

- Przepraszam, proszę pana.

Nicholas odwrócił się do drzwi. Nie był jeszcze pijany, a przynajmniej tak uważał, nalewając sobie następny kieliszek.

- O co chodzi, Albercie?

- Przyszedł jakiś pan.

- Powiedz mu, że nie ma mnie w domu.

- Bardzo pana przepraszam, ale on mówi, że to pilne. Mówi, że musi porozmawiać z panem o osobie nazwiskiem M. M. Jay.

Palce Nicholasa znieruchomiały na kryształowym kieliszku, a po chwili gospodarz odezwał się:

- Wpuść go.

Able Smythe wszedł do gabinetu z wyrazem chytrych i zadowolenia z siebie na twarzy.

- Pan Drake. Przepraszam, że niepokoję o tak późnej porze, ale...

- Ale co, panie Smythe?

- Szedłem do domu i zobaczyłem, że światło jest zapalone.

- Do domu? A gdzie to pan mieszka? Obok Vanderbilców?

Able Smythe miał na tyle przyzwoitości, że okazał zawstydzenie.

- Przepraszam. Jeśli chce pan wiedzieć, przyszedłem tu wyłącznie dlatego, że... jestem pewien, iż wie pan coś na temat M. M. Jaya. - Jęknął żałośnie. - Od lat staram się czegoś o nim dowiedzieć.

Nicholas pociągnął długi łyk bursztynowego napoju i skrzywił się.

- Tak. Więc niech mi pan powie, panie Smythe, czegoż to zdołał się pan dowiedzieć o tym niesławnym M. M. Jayu?

- Niczego. Nie jestem ani na krok bliżej poznania jego tożsamości niż kiedykolwiek. Tak, jakby człowiek ten wcale nie istniał.

Nicholas prychnął wzgardliwie, a potem napił się znowu.

- Ależ M. M. Jay istnieje.

- Wiedziałem! - Able przysunął się bliżej. W jego oczach odmalowało się podniecenie. - Byłem pewien, że pan coś wie. Widać to było po sposobie, w jaki patrzył pan na obrazy, i pańskim zainteresowaniu. Coś mi mówiło, że ta fascynacja ma swoje powody.

- Fascynacja, Smythe? - W gabinecie rozległ się gorzki śmiech. - Do diabła, ja kochałem M. M. Jaya.

Able Smythe potrzebował dłuższej chwili, by przyjąć to do wiadomości, a potem oczy wyszły mu na wierzch z zaskoczenia.

- Pan... pan... kochał... M. M. Jaya?

Nicholas zaśmiał się sardonicznie, bawiąc się zmieszaniem swego gościa.

- Tak, niestety. - Popatrzył na niego nad swym kryształowym kieliszkiem, a potem napełnił kieliszek pozostałym w karafce płynem. - Ale nie tak, jak pan myśli. - Rozejrzał się, czy nie ma gdzieś więcej alkoholu, zapominając na chwilę o swoim gościu.

- A więc jak? - wykrztusił Able.

Nicholas odwrócił się do niego, przez co zakręciło mu się w głowie.

- Co, jak?

- Powiedział pan - przypomniał mu Able - że nie jest tak, jak myślę o M. M. Jayu.

M. M. Jay. Kłamca i zdrajca. Nicholas poczuł gniew.

- Nie odnalazł pan swojego artysty, panie Smythe, bo szukał pan niewłaściwej osoby.

- Niewłaściwej osoby? A co to ma znaczyć?

- To, że szukał pan mężczyzny.

- A...?

Nicholas znalazł drugą kryształową karafkę: ta zawierała portwajn. Nie fatygował się szukać czystego kieliszka. Włać ciężkie, aromatyczne wino do tego, który trzymał w ręku.

- M. M. Jay jest kobietą. Kobieta, Smythe. - Nicholas zamarł w bezruchu i zniżył głos. - Piękną kobietą *o jasnych*, prawie białych włosach i szmaragdowozielonych oczach.

- Eliot Sinclair! A teraz Eliot Monroe! - zawołał Able.

Nicholas rzucił mu kose spojrzenie, wylewając przy tym nieco wina z kieliszka.

Able wzruszył ramionami.

- Jestem reporterem. Kilka lat temu krążyły plotki na temat pana i panny Sinclair. Próbowałem dojść prawdy. Ale wtedy pan opuścił kraj, a ona wyszła za mąż za kogoś innego, więc uznałem, że nic w nich nie było. Więcej o tym nie myślałem. Do teraz. - Able gwizdnął przez zęby. - Jezus Maryja! Żona Charlesa Monroe jest M. M. Jayem. - Popatrz na Nicholasa. - Wciąż pan ją kocha? To dlatego pan wrócił?

- Wystarczy, Smythe - warknął gniewnie Nicholas.

- Ależ oczywiście - wymamrotał nerwowo Able. - Przepraszam, że zakłóciłem panu spokój.

Odwrócił się i wybiegł, zostawiając Nicholasa samego, z bólem głowy i ściśniętym sercem.

Wielki Boże, co ja narobiłem, wściekał się na siebie Ni-

cholas, a potem cisnął kieliszek do wygasłego kominka. Szkło rozprysło się na tysiąc kawałków, a wino popłynęło strumykami, jak ciemnoczerwona krew, na szare popioły.

32

WIEMY JUŻ, KIM JEST M. M. JAY

Able Smythe

Ci, którzy od dawna, usiłowali odkryć tożsamość M. M. Jaya, nie muszą się dłużej o to starać. Nasz tajemniczy artysta został ujawniony... i okazuje się, że jest nim nikt inny, jak pani Eliot Monroe, żona znanego obywatela Nowego Jorku, Charlesa Monroe, synowa Ruperta Monroe.

Nasz reporter dowiedział się z godnego zaufania źródła, że ta znana w towarzystwie dama malowała w sekrecie od wielu lat. Czy to możliwe, żeby Rupert Monroe pozwalał na to, by jego synowa zajmowała się czymś takim? Czy widział prowokacyjne obrazy namalowane przez żonę swego syna?...

- Jak mogłeś?

Miriam stała w drzwiach do jadalni. Nicholas siedział u szczytu stołu. Potwornie bolała go głowa. Powtarzał sobie, że jego koszmarne samopoczucie jest wynikiem nadużycia alkoholu. Częściowo była to prawda. Jednak właśnie przeczytał notatkę w „Timesie” i wołał nie dopuszczać do swojej świadomości tego, jakie uczucia obudził w nim ten tekst. Poczucie winy? Wstyd? To chyba nie takie proste. Czuł, że ujawniając tożsamość M. M. Jaya, wyrządził Ellie krzywdę, której rozmiarów nie potrafił ogarnąć.

- Co, jak mogłem, Miriam? - zapytał niecierpliwie.

Weszła do pokoju, mierząc go gniewnym spojrzeniem.

- To - syknęła, rzucając mu gazetę w twarz. - Jak mogłeś to zrobić?

- Dziękuję, mam swoją.

- Ach, masz więc własny egzemplarz swojego świństwa?

- *Mojego* świństwa! - ryknął nagle, zrywając się i przewracając z łoskotem ciężkie krzesło.

- Tak, twojego! - krzyknęła, nie pozwalając się przestraszyć. - Jesteś jedyną osobą, która mogła to zrobić, albo, powiedzmy raczej, była do tego zdolna.

- Wiedziałaś?

- Nie, tak samo jak wszyscy przeczytałam o tym dziś rano, w gazecie. Ale nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, kim jest to „godne zaufania źródło”. Ty. Ty to zrobiłeś!

- Nie możesz mieć pewności.

- Oczywiście, że tak, bo tylko ty jesteś na tyle nikczemny, żeby móc ją aż tak skrzywdzić.

Zacisnął zęby.

- Nie miałem takich zamiarów, chociaż teraz to już nieważne.

Miriam spojrzała mu w oczy.

- Wiele razy żałowałam, że jesteśmy rodzeństwem. Nigdy jednak nie odczuwałam tego tak mocno, jak teraz. Zasługujesz na najwyższe potępienie. - Gwałtownie odwróciła głowę i popatrzyła za okno. Wtedy jej twarz złagodniała, a ramiona opadły bezradnie. - Czemu nasza rodzina wydała tylu ludzi bez serca? - Spojrzała prosząco na Nicholasa. - Dlaczego ona to zrobiła?

Nicholas poczuł, że robi mu się gorąco.

- Mama - wyjaśniła Miriam. - Dlaczego się zabiła? Ty wiesz.

Miał wrażenie, że ściany walą się na niego. Rzucił okiem na swoją siostrę.

- Skąd miałbym to wiedzieć? - zapytał.

- Bo widziałam to w twoich oczach. Może byłam wte-

dy jeszcze mała, ale znałam cię, byłeś moim ideałem... kochałam cię.

Kochała.

Naprawdę? Myśl ta była dla niego zaskoczeniem.

- Nicholasie, proszę cię. Zawsze wyczuwałam, kiedy było z tobą coś nie w porządku. Powiedz mi, co wiesz.

Przez dłuższą chwilę ciszę przerywało tylko tykanie zegara na kominku.

- Mylisz się - skłamał Nicholas. - Nie mam pojęcia, dlaczego mama popełniła samobójstwo.

Ellie siedziała w swoim pokoju, patrząc przez firankę na tłum stojący przed granitowo-marmurową fasadą domu, w którego tworzeniu brała udział. Reporterzy krążyli swobodnie wokół ich rezydencji, tratując świeżo posadzone, modnie przystryżone tuje. Jednak ona prawie tego nie dostrzegała. Popadła w odrętwienie.

Nicholas im powiedział.

Wiedziała, że nie powinno jej to dziwić: nienawidził jej i miał po temu powody. Tak strasznie go przecież zraniła. Teraz się na niej zemścił. Jednak, atakując ją, wyrządził krzywdę wielu innym osobom. Po raz pierwszy zmuszona była przyznać, że właściwie wcale nie zna tego człowieka. Jak mogła tak nietrafnie ocenić jedyne go mężczyznę, którego obdarzyła miłością?

Naiwnie przypuszczała, że odpokutowała już to, że pozwoliła sobie go pokochać. Myślała, że jej życie wróciło na normalne tory. Jonah otrzymał nazwisko, a ona odzyskała spokój na tyle, żeby móc znowu malować.

Tak, byłam głupia, pomyślała, nie reagując na wezwanie męża. I nigdy sobie nie wybaczy, że przez swoją naiwność pozwoliła, by jej synowi stała się krzywda.

- Ellie! - zawołał Charles.

Jednak ona mu nie odpowiedziała, tylko jak zahipnotyzowana patrzyła przez okno na twarze ciekawskich, któ-

rzy chcieli zobaczyć M. M. Jaya. Jakie to dziwne, pomyślała w oszołomieniu. Jestem teraz osobą publiczną.

- Powiedz coś! - wściekał się Charles.

Kiedy zrozumiała, że nie zostawi jej w spokoju, oderwała oczy od tłoczących się na ich dziedzińcu ludzi i popatrzyła na męża.

- Co mam ci powiedzieć?

Twarz nabiegła mu krwią.

- Powiedz mi, że to nieprawda!

Z westchnieniem odwróciła się do okna.

- Nie mogę. Musiałabym kłamać.

- Czemu nie?! - ryknął. - Oszukujesz mnie od lat! Co się zmieniło?!

Po prawdzie nigdy nie utrzymywała, że nie maluje. Nie chciała jednak spierać się o drobiazgi. Nie mówiąc nic, także go oszukiwała. Teraz prawda wyszła na jaw i nie było już odwrotu.

Nieoczekiwanie Charles uklęknął i chwycił ją za ręce.

- Powiedz, że to nieprawda. Będziemy wszystkiemu zaprzeczać. Nasze słowo przeciwko temu, co twierdzi Able Smythe. - Popatrzył na nią błagalnie. - Kocham cię. Będę przy tobie stał, tylko im zaprzecz.

Delikatnie pogładziła go po policzku.

- Och, Charles...

- Ellie! Ellie! - do pokoju wpadł Jim, dysząc ciężko, jakby biegł całą drogę z Szesnastej Ulicy.

-Jim?

- To chyba ten chłopak na posyłki!

Charles wstał i podszedł do Jima.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

- Obrazy! Z sutereny! To chyba chłopak na posyłki ukradł je dziś rano!

- Co ty opowiadasz? - powtórzył Charles.

Ellie skamieniała.

- Chłopiec, który przynosi Hannie zakupy z targu. Po-

leciała mu, żeby zostawił je w kuchni, jak zwykle. A teraz okazało się, że wszystkie obrazy Ellie zniknęły. Barnard kazał mi natychmiast biec do was z ostrzeżeniem.

- Cholera! - zaklął Charles. - Były jeszcze inne obrazy? - Odwrócił się do Jima. - Dlaczego go nie przypilnowałeś?

Jim skulił się.

- Nie wiń go, Charlesie. Wszystko przeze mnie - jęknęła Ellie.

- Boże, co za koszmar! - zawołał jej mąż, chwytając się za głowę. - Muszę powiedzieć ojcu. Będzie wściekły.

Ellie chciała krzyknąć, żeby sam podjął decyzję, zamiast lecieć do papy. Ale czy to takie ważne? Za późno próbować zmienić dorosłego mężczyznę, pomyślała, zapadając na powrót w odrętwienie.

Przez wiele dni Ellie odzywała się rzadko, tylko mocno przytulała do siebie małego Jonaha, ilekroć do niej przyszedł, szepcząc do niego czule. Ostatnia szansa, by zadać kłam słowom Able'a Smythe'a, przepadła, gdy ukradzione obrazy trafiły do galerii sztuki.

Wzywani przez Charlesa lekarze uznawali ją to za szaloną, to za zdrową psychicznie, a jej było to najzupełniej obojętne. Nie potrafiła o tym myśleć.

Nicholas zdradził jej tajemnicę.

Świadomość ta dręczyła ją, wypierając wszystko inne, nie pozostawiając miejsca na nic innego poza twarzą Nicholasa, mówiącego: *Zdenerwowałem cię, M. M.? A może powinienem się zwracać „panno Jay”?*

Dni mijały, teś przychodził i odchodził, kłóćąc się ze swym synem, wykrzykując o reputacji, zerwanych kontraktach, straconej opinii, na którą pracowało się przez lata. Ellie trudno było się tym przejąć.

Tydzień po ukazaniu się artykułu przyprowadzono do niej adwokata. Próbował z nią rozmawiać, wyjaśniać. Jednak jego słowa nie miały dla niej sensu. W końcu zerwał

się z krzesła i wyszedł, trzaskając drzwiami, pozostawiając gruby plik papierów.

Następnego ranka Ellie spakowała się. Charles nie zszedł na dół, żeby się z nią pożegnać. Wiedziała, że jest na to zbyt oszołomiony i urażony. To jego ojciec był na nią wściekły. To on wymógł na Charlesie decyzję o rozwodzie. Rupert Monroe ze wszystkiego na świecie najbardziej kochał swoją nową pozycję na świecie. Ellie zaś zbrukała ich nazwisko.

Palił ją wstyd. Rozwódka. Jeszcze jeden dowód na to, że jest nieodrodną córką swojego ojca. Niepotrzebnie dała Barnardowi przekonać się co do tej wystawy. Nie, to nieprawda. Chciała jej, tak samo jak czuła potrzebę, by znowu malować. A, co najgorsze, pragnęła, by jej obrazy zostały wystawione, żeby każdy mógł je oglądać.

Wzięła Jonaha za rączkę i kazała ruszać woźnicy wynajętej dorożki. Tylko niania Jonaha, panna Hobart, stała w drzwiach i ze łzami w oczach machała im na pożegnanie. Ellie i Jonah pojechali do domu przy Szesnastej Ulicy, a tam, jakby umówieni, Hanna i Jim czekali na nich w progu.

- Założę się, że to ojciec Charlesa cię wyszczuł - stwierdziła Hanna, chwytając Jonaha w objęcia.

- Miał swoje powody - odparła Ellie, czując dziwną pustkę.

- Rodzina powinna trzymać się razem.

- Ale rodziny nie powinno się okłamywać.

Hanna zacisnęła usta.

- Dlaczego ich bronisz?

- Muszę. Nie zrobili nic złego. To wszystko moja wina.

Barnard stał w hallu, w każdym calu wyglądając na swoje sześćdziesiąt osiem lat.

- Przepraszam - szepnął.

- Nie trzeba, Barnardzie. To nie ty zawiniłeś.

- To przeze mnie wszystko się zaczęło!

- Jestem dorosła. Nie musiałam się zgadzać.

- Ale ja to zacząłem, wynosząc obrazy bez twojego pozwolenia.

- Sam wiesz, że nie to jest przyczyną moich kłopotów.

- Ellie - jęknął.

Ona jednak go nie słuchała. Weszła na górę, na trzecie piętro, do pokoju, z którego się nigdy naprawdę nie wyprowadziła. Czyżbym przeczuwała, że pewnego dnia tutaj wrócę? zastanawiała się, siadając w fotelu przy oknie. Może było to nieuniknione. Kusiła los, bo mając dziecko z jednym mężczyzną, poślubiła drugiego. Trudno się dziwić, że równowaga musiała zostać przywrócona.

Mijały dni. Mieszkańców domu przy Szesnastej Ulicy ogarnął niepokój. Przez trzy lata Charles utrzymywał Ellie, a ona wszystkich pozostałych. Barnard wiedział, że Charles zabrał pieniądze uzyskane ze sprzedaży sklepu z kapeluszami i „zainwestował” je, tyle że na swoje nazwisko. Kiedy Barnard poruszył tę kwestię, Ellie była zbyt wdzięczna Charlesowi, żeby coś z tym zrobić.

Teraz, kiedy pieniądze przestały napływać, starszy pan zrozumiał, że trzeba się dostosować do nowej sytuacji. Szybko znalazł sobie pracę przy dostarczaniu produktów spożywczych. Jim zbierał szmaty i sprzedawał je za nędzne grosze, Hanna opiekowała się Jonahem.

A Ellie sprzątała.

Odkurzała, zmywała podłogi, szorowała. Nic ponadto. Nie wychodziła z domu i rzadko się odzywała. Sprzątała. A kiedy już skończyła i cały dom lśnił jak lustro, zaczynała od nowa. Odkurzać, zmywać podłogi, szorować.

- Ellie - zaczął pewnego dnia Barnard. - Musisz wziąć się w garść. - Z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę. To ona zawsze stanowiła dla nich opokę. Ale teraz sytuacja odwróciła się. Ellie się załamała i chociaż udawała, że wszystko jest w porządku, wcale tak nie było.

- Kochanie, proszę cię - powiedział, patrząc, jak bierze

się za czyszczenie podłogi. - Musimy zastanowić się, skąd zdobyć więcej pieniędzy. Jim i ja nie zarabiamy tyle, żeby wystarczyło na nas wszystkich.

- Będzie dobrze, Barnardzie - odparła z nieobecny uśmiechem, a potem zaczęła znowu szorować szczotką kafelki, od wielu dni idealnie już czyste. - Tak, wszystko będzie dobrze.

Kiedy rozeszła się wieść o tym, że Ellie się przeprowadziła, reporterzy i zwykli ciekawscy przenieśli się spod rezydencji przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy pod dom przy Ulicy Szesnastej. Miesiąc po ukazaniu się artykułu Miriam przecisnęła się przez tłumek, jak zwykle stojący pod drzwiami.

Na twarzy Jima ukazało się zdziwienie, kiedy ujrzał ją, uchylwszy drzwi.

- Pani Welton? Czego pani tu szuka? - Otworzył szerzej drzwi i wpuścił ją do środka, wołając z podnieceniem: - Mama Charlotte przyszła!

- Czego pani chce? - zapytał Barnard.

Miriam zmusiła się do uśmiechu. Spodziewała się, że nie czeka jej tu gorące powitanie. Jest bądź co bądź siostrą Nicholasa, a poza tym musiała przyznać, że nie odnosiła się do nich szczególnie uprzejmie, kiedy Charlotte jeszcze żyła.

- Czy mogłabym porozmawiać z Ellie? Bardzo proszę.

- A co też ma jej pani do powiedzenia? - zapytał wojowniczo Barnard.

Miriam sama wielokrotnie zadawała sobie to pytanie. Czytała gazety. Nowy Jork potraktował sprawę M. M. Jaya jako skandal dziesięciolecia. Przestępczy bossowie i ich zbrodnie bladły w porównaniu z faktem, że kobieta z towarzystwa malowała gorszące obrazy. Po każdym kolejnym artykule Miriam czuła się coraz gorzej. Tego popołudnia, nie zastanawiając się dłużej, zdecydowała, że musi tutaj przyjść.

- Chciałabym pomóc, panie Webb.

Barnard zachnął się.

- Ellie nie potrzebuje pomocy od rodziny Drake'ów.

- Proszę pana. Niech mi pan pozwoli z nią porozmawiać.

W tej samej chwili do pokoju weszła Hanna.

- Barnardzie, co się tutaj dzieje...? O, pani Welton.

- Dzień dobry, pani Schurr - powiedziała grzecznie Miriam.

- Mówi, że chce nam pomóc - warknął Barnard. - Kazałem jej się wynosić.

Miriam poczuła na sobie badawczy wzrok Hanny.

- Barnardzie, mój drogi - rzekła po chwili Hanna. - Chciałabym zamienić kilka słów z panią Welton. Idź na górę i zajmij się... Sprawdź, czy drzwi są dobrze zamknięte. - Popatrzyła na Miriam. - Co za bałagan.

- O czym ty mówisz, kobieto? - zapytał Barnard.

Po chwili jednak, widząc znaczące spojrzenie Hanny, zrozumiał, o co jej chodzi, kiwnął głową i ruszył na górę. Miriam nie miała szansy, by domyślić się, co to ma znaczyć, bo odezwała się do niej Hanna.

- Żadne z nas nie potrafi jej pomóc, pani Welton. Proszę wybaczyć Barnardowi. On tylko troszczy się o Ellie tak jak umie, nie chce, żeby spotkała ją znowu jakaś krzywda.

- Rozumiem. Ale ja nie przyszedłam po to, żeby sprawić jej przykrość.

- Wcale tak nie myślę. Poza tym może to pani jest prędzej w stanie pomóc Ellie niż którekolwiek z nas.

- Dziękuję. Zrobię, co w mojej mocy.

Miriam weszła na górę i zastukała do drzwi, należących, jak jej powiedziała Hanna, do pokoju Ellie. Nie uzyskawszy odpowiedzi, wzięła głęboki wdech, nacisnęła klamkę i weszła do środka. Ellie wyglądała przez okno, trzymając w dłoni zapomnianą ściereczkę do kurzu.

- Dzień dobry.

Ellie nie odpowiedziała, tylko dalej patrzyła przez okno. Miriam westchnęła.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób pozwalasz im wygrać?

Zauważyła, że Ellie drgnęła, ale nie uzyskała od niej innej reakcji.

- Pozwalasz im zniszczyć twoje życie.

- Nie - nagle odezwała się Ellie. - To ja zniszczyłam swoje życie.

- Tylko że to wcale nie koniec! To nie koniec, jeśli tylko zechcesz. Nie jesteś jedyną osobą na świecie, dotkniętą skandalem.

Ellie odwróciła się powoli i po raz pierwszy spojrzała na Miriam.

- Wiem wszystko na temat skandalu i ruiny - ciągnęła Miriam - i znam smak niekończących się wyrzutów sumienia. - Nabrała tchu. - Jak dobrze pamiętasz, zostawiłam moją córkę pod opieką jej wuja, którego prawie nie znała, żeby móc sobie pojechać do Europy i tam bawić się beztrudnie, nie ponosząc za nic odpowiedzialności, bo uważałam, że mi się to należy. - Zaśmiała się gorzko. - Wróciłam, kiedy była umierająca.

- To nie twoja wina, że Charlotte zachorowała - powiedziała z ciężkim westchnieniem Ellie.

- Nie? A gdybym zaprowadziła ją wcześniej do doktora? A jeśli zauważyłabym, że coś jest z nią nie w porządku, może dzisiaj wszystko byłoby inaczej?

- Lekarze twierdzili, że nie ma lekarstwa. Charlotte nie zapadła na pospolitą odmianę suchot. Sama to dobrze wiesz, Miriam.

- Myślisz, że mi to coś pomoże? Moje dziecko nie żyje! Ciężko chorowało. A ja pojawiłam się przy niej dopiero pod sam koniec! I to tylko dlatego, że Nicholas ściągnął mnie tutaj, chociaż broniłam się zaciekle. Za to się obwiniam, tak samo jak czynią to Nicholas i William.

- Charlotte cię kochała i z całą pewnością nie miała do ciebie żalu.

Na twarzy Miriam pojawił się grymas bólu, a w oczach jej nagle zabłyśły łzy.

- Wiem. Codziennie nawiedza mnie pamięć o tym, jak na mnie patrzyła. - Wyprostowała się. - Czy wiesz, że William się ze mną rozwiódł?

- Tak, i bardzo jest mi z tego powodu przykro. Postąpił niegodnie. Jego też nie było przy małej.

- Ale on jest mężczyzną! Mężczyzn pewne rzeczy nie obowiązują. Sądziłam, że już to zdążyłaś zrozumieć. Ci, którzy zachwycali się twoim obrazami, sądząc, że malował je artysta płci męskiej, wyrażają się o nich z politowaniem, kiedy okazało się, że stworzyła je kobieta... te same obrazy! - Pokręciła głową. - Ale czasu nie sposób cofnąć...

Ellie odwróciła oczy.

- Tak samo dotyczy to ciebie, Ellie. Nic z tego nikomu nie przyjdzie, jeśli będziesz cały czas ukrywała się w domu.

- A co mam robić, twoim zdaniem? Zaprosić tu reporterów? Pobierać opłatę od ciekawskich?

- Po prostu wyjdź z domu. Zacznij normalnie żyć. Pokaż się im z podniesioną głową. Gdzie się podziała ta odważna dziewczyna, która pojawiła się na wielkim balu Nicholasa pod ramię z innym?

Ellie zamknęła oczy.

- Już nie istnieje.

- Ależ skąd! Jest tutaj, żywa, i pora, żeby wróciła do tego, co umie robić najlepiej! Do malowania!

- Malować? - zawołała Ellie. - Wielki Boże, przecież przez to wybuchnął ten cały skandal!

- I właśnie dzięki temu wyjdiesz z tego cało. - Oczy Miriam zapłonęły. - Jesteś dobra. Wszyscy mówią o twoim pokazie.

- Mówią o tym, jaki jest gorszący, a nie że ja potrafię dobrze malować.

- Mylisz się. Nie liczy się to, co twierdzi się na twój temat jako o osobie, tylko to, co sądzi się o tobie jako o malarce. Mówią, że jesteś dobra i masz ogromne możliwości. Pora, żebyś przestała się ukrywać. Pokaż im, że jesteś silna. Powinnaś wrócić do malowania... i zacząć sprzedawać swoje obrazy.

Ellie odwróciła się do niej gwałtownie.

- Na Boga, Miriam. Kto zechce kupić mój obraz?

Wtedy Miriam uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- A kto nie? Kto nie zechciałby nabyć obrazu sławetnego M. M. Jaya? Może teraz patrzą na ciebie z góry, ale jeśli staniesz przed nimi z podniesionym czołem i pokażesz im, że cię nie pokonali, przyjdą. Będą się zabijać o twoje obrazy.

- Nie chcę zarabiać na mojej niesławie.

- Będziesz czerpać zyski ze swojego talentu. Będziesz malować. Za pieniądze. Portrety, prace na zamówienie. Ludzie z towarzystwa mają znacznie więcej pieniędzy, niż im naprawdę potrzeba, sama to dobrze wiesz.

W pokoju zapadła cisza. Ellie przyglądała się Miriam bez słowa.

- Dlaczego to robisz? - zapytała wreszcie.

Tym razem to Miriam spuściła oczy.

- Może dlatego, że nie potrafię walczyć o samą siebie. A jeśli ty będziesz walczyć i kiedy wygrasz... twoje zwycięstwo posłuży nam wszystkim, tym, którzy okazali się niedostatecznie doskonali w oczach społeczeństwa. - Podniosła wzrok. - A także dlatego, że wiem, jak się czułam, kiedy Charlotte umarła, a William się ze mną rozwiódł. Pamiętam, jak bardzo potrzebowałam, żeby ktoś mnie zrozumiał, a nie tylko wyrażał konwencjonalne współczucie. Chciałam usłyszeć, że ktoś inny też popełnił błąd, że nie jestem sama. - Zawahała się. - I pragnęłam dowiedzieć się, że ktoś inny także to przetrwał.

Upłynęło kilka minut milczenia.

- A ty przetrwałaś, Miriam?

- Próbuję - szepnęła Miriam. - Każdy dzień to nowe wyzwanie.

Ellie podeszła do niej i wzięła ją za rękę. Jakie to dziwne, pomyślała, że znajdzie pomoc u osoby, po której najmniej by się tego spodziewała

- Dziękuję.

- Nie, to ja jestem ci wdzięczna. Mam dzięki tobie świadomość, że i ja jestem w stanie zrobić coś dobrego.

- Udało ci się. Zastanowię się nad tym, co mi powiedziałaś.

- Tylko się zastanowisz?
- W tej chwili jedynie na to mnie stać.
- Niech będzie - Miriam odwróciła się do wyjścia, ale zatrzymała się. - Jeśli cię to pocieszy, uważam, że mój drogi brat postąpił karygodnie.
- Ellie nie odzywała się przez chwilę.
- Został zraniony i dlatego zemścił się na osobie, która zawiniła. On wiele w życiu wycierpiał.
- Jesteś zbyt dobra, Ellie - odparła Miriam z nieoczekiwaną goryczą. - Wszyscy cierpią. Nicholas niczym się od nas w tym nie różni. Tylko że on jest w stanie zadawać dotkliwsze rany.

33

Nicholas musiał ją znowu zobaczyć.

Po wszystkim, co się wydarzyło... po kłamstwach i zdradach... wciąż tego pragnął.

Zamknął oczy i usiłował zwalczyć tę słabość.

Mijały dni, a on ciągle miał wrażenie, że ją widzi. Nagle, nieoczekiwanie. Patrzącą na wystawę sklepową. Mówiącą coś ze śmiechem do kwiaciarki. Ale za każdym razem okazywało się, że to pomyłka. Błysk szmaragdowych oczu i lśniąca, prawie białe włosy stanowiły tylko wytwory jego wyobraźni. Widział ją na ulicach tak, jak widzi się mirażę na pustyni.

Pomimo wszystko.

Nie miał nawet jasności, dlaczego tak bardzo pragnie ją znowu ujrzeć. Czy to możliwe, że po tylu latach ciągle jeszcze nie znalazł odpowiedzi na swoje pytania? Czy być może, że kiedykolwiek zrozumie, co w tej kobiecie sprawia, że przyciąga go jak płonąca świeca ćmę? Czy dowie się,

dłaczego nie jest w stanie o niej zapomnieć? I czy wiedza ta pozwoli mu się wreszcie od niej uwolnić?

Tyle pytań, a tak niewiele odpowiedzi. No i poza tym jakaś cząstka jego duszy pragnęła ją ukarać... zemścić się za kłamstwa i zdradę.

Chce ją spotkać, żeby ją ukarać? To nie miało sensu i wcale nie zmieniało faktu, że z całej siły pragnie ją znowu zobaczyć. I robi to. Zmusi ją, by spojrzała mu w oczy. Nie przypadkiem, na ulicy. Nie w jej bawialni, w obecności Barnarda albo Hanny, którzy wezwą policję. Chciał ją zobaczyć w jakimś miejscu, z którego nie będzie mogła mu uciec, gdzie nie będzie mogła odwrócić się do niego plecami.

Tak, zrobi to. Co prawda w tej chwili nie miał pojęcia, jak do tego doprowadzić. Mógłby oczywiście pójść do jej domu, ale tam będzie pilnował twierdzy Barnard albo Hanna.

Nie chciał zastanawiać się nad tym, czego dowiedział się z gazet. Że był skandal. I rozwód. Zamiast tego wziął głęboki wdech i wyszedł ze swego biura.

Robiło się coraz cieplej, bo wiosna powoli ustępowała latu. Nicholas wiedział, że Henry nie spodziewa się go dzisiaj w biurze. Powinien znajdować teraz w drodze do New Jersey, a celem podróży była wizyta u potencjalnego klienta, hurtownika, który zamierzał rozprowadzać w Kanadzie oliwę z oliwek. Jednak Nicholas chciał wziąć jeszcze akta innego przyszłego kontrahenta i przestudiować je sobie w drodze powrotnej. Tak więc przed wyjazdem z miasta zatrzymał się pod swoim biurem.

Słyszając kobiecy głos, zatrzymał się przed pokojem swojego sekretarza.

- Tylko wybrane nazwiska, Henry.

To była Miriam. Czego ona tu szuka? zastanawiał się, ruszając znowu, a potem zatrzymując się na dźwięk jej słów.

- Potrzebne mi tylko te osoby, które zechciałyby zamówić obraz.

- Czemu pani mnie o to prosi? - zapytał Henry.

- Bo wiesz wszystko o każdym. Ja nie. I nie mam pojęcia, kto co lubi, a tym bardziej kto kolekcjonuje dzieła sztuki. Musisz mi też obiecać, że nic nie powiesz mojemu bratu.

- Chce pani pomóc pani Monroe, prawda?

- A jeśli tak, to co?

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której, jak się domyślał Nicholas, jego sekretarz zastanawiał się, czy powinien zrobić taką listę, czy nie.

- Henry! - zawołał Nicholas, wchodząc do pomieszczenia. Miriam odwróciła się błyskawicznie.

- Miriam - rzekł Nicholas. - Mam nadzieję, że masz się dobrze.

- Jak długo tutaj stoisz?

- Stoję? - zapytał niewinnie. - Ależ o czym ty mówisz? W tej chwili przyszedłem.

Zobaczył, że siostra oddycha z ulgą, i zachciało mu się śmiać. Poczuł, że ogarnia go podniecenie.

- Henry, znajdź mi akta Vanderweera. Zabiorę je ze sobą. Henry wstał i podał mu żądane dokumenty.

- Coś jeszcze, proszę pana?

- Nie, to wszystko. Ruszam w drogę - powiedział, wpadając w doskonały humor. Dzięki swojej siostrze wiedział już, jakiego pretekstu użyje, żeby zobaczyć Ellie.

- Powiedziałam nie, Barnardzie!

- Ależ, Ellie...

- Jeśli mówię nie, to znaczy „nie”. Nie będę przyjmowała zamówień na obrazy.

Działo się to tydzień później. Ellie i Barnard stali w bawialni i kłócili się w najlepsze.

- To nie ma sensu. Przecież uwielbiasz malować.

Odwróciła się do niego z dzikim wyrazem twarzy.

- Malowanie zrujnowało mi życie. Rozumiesz? Będę pracować... zajmę się czymś godnym szacunku. Znajdę sobie coś przyzwoitego. Dla dobra mojego dziecka.

Barnard zachnął się.

- Ciekaw jestem, czym też się zajmiesz? Sprzątaniem domów? Praniem? No, czym? Co potrafisz robić, żeby zdobyć dosyć pieniędzy na utrzymanie twojego syna?

- Będę znowu robić kapelusze. Na pewno znajdą się klientki. Zacznę pracować tu, na górze. A jak tylko interes się rozkręci, coś sobie wynajmę.

- Kto zechce kupić od ciebie kapelusz?

- Kobiety zachwycały się moimi wyrobami!

- Twoje kapelusze kupowały kobiety z towarzystwa. Pannie z socjety, które miały pieniądze!

- I znowu będą je kupować!

Barnard ścisnął sobie palcami nos, jakby starał się w ten sposób odzyskać cierpliwość.

- Jak możesz sobie wyobrazić, że kobiety, które odtrąciły cię ze wzgardą, zechcą przyjść do twojego domu, albo nawet i sklepu, żeby kupić sobie kapelusz?

- Powiedziałaś, że kupią moje obrazy - perswadowała.

- Dlaczego nie miałyby nabyć kapeluszy?

- Bo M. M. Jay nie zajmuje się wyrobem nakryć głowy! M. M. Jay maluje, tak napisano w „Timesie”, i o tym wszyscy mówią. Interesuje ich malarz, nie modystka.

Ellie przygryzła palec, żeby się opanować. Barnard miał rację. Reporterzy i ciekawscy nie wołali: „Chcemy obejrzeć twoje nowe kapelusze!” Pragnęli zobaczyć jej obrazy.

Zamknęła oczy. Malować na zamówienie. Jak mogłaby się zajmować czymś takim? Tworzyć krajobrazy, pasujące stylem do rezydencji jakiejś szacownej matrony? Portrety osób, które z taką łatwością wykreśliły ją ze swego życia? Musiała sama przed sobą przyznać, że się boi.

Ludzie interesowali się nią ze względu na jej niesławę. Na pewno też ciekawiło ich przede wszystkim to, w jaki sposób obrazy pojawiały się tak tajemniczo w galerii, frapowała ich anonimowość malarza. Do tej pory nie oglądano jej prac dla nich samych. Nawet Able Smythe w swo-

ich najbardziej przychylnych recenzjach twierdził, że jej styl jest ograniczony.

A teraz wszyscy wiedzieli, że to ona jest M. M. Jayem. Znali jej obrazy. Nie mogła już ukrywać się za nazwiskiem, które pamiętała z dzieciństwa. Jeśli teraz znowu zacznie malować, nie sprostą oczekiwaniom... ani odbiorców jej sztuki, ani swoim własnym. Co stanie się, jeśli wszystkich zawiedzie?

- Boże jedyny, co ja mam robić? - szepnęła.

- To, co potrafisz najlepiej. Malować.

- Nie mogę - jęknęła.

- Możesz. I będziesz. Spróbuj chociaż raz. To jedno zamówienie.

- Kazałam ci odmówić.

- Zrobiłem to, ale agent wrócił i powiedział, że jego klient zapłaci pięć tysięcy dolarów. Pomyśl tylko, Ellie. Więcej niż trzeba, żebyś mogła sama o sobie stanowić. Przyjmij to zamówienie. Później zdecydujesz, co robić dalej.

- Kto przy zdrowych zmysłach zechciałby zapłacić mi pięć tysięcy dolarów za portret?

Barnard wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Agent, który prowadzi tę transakcję, nie chciał nic powiedzieć. Ale domyślam się, że to jakaś dama z towarzystwa, która chce, żeby sławetny M. M. Jay namalował jej portret. Wszystkie inne panie będą jej zazdrościły. **Skany Anula43, przerobienie pona.**

- Mówisz jak Miriam.

- Ona zna tych ludzi. Wie, że wzdraliby spotkać cię na gruncie towarzyskim, ale będą się zabijać o twoje obrazy.

Ellie jęknęła i wyjrzała przez okno, jakby szukając tam podpowiedzi. Tylko czy miała jakiś wybór?

- Niech będzie - powiedziała wreszcie, przygryzając dolną wargę. - Ten jeden raz.

- Bardzo dobrze. Agent przyprowadzi klienta za godzinę.

- Barnard!

- No, co? - zapytał z udawaną niewinnością.

- Jesteś bardzo pewny swego.
- Nie, moja droga. Po prostu wiedziałem, że w końcu usłuchasz głosu rozsądku.

Istotnie dokładnie po upływie godziny zabrzmiał dzwonek u drzwi. Ellie wzięła głęboki wdech. Siedziała w ulubionym fotelu Hanny, zastanawiając się, kim okaże się jej pierwsza klientka. Jedną z kobiet, z którymi od bez mała dwóch lat brała udział w dobroczynnych przyjęciach? Czy będzie ją traktowała jak służącą? Co powie?

- Ja otworzę! - zawołał Barnard.

Ellie miała nieprzemyślaną ochotę zerwać się z fotela, chwycić Barnarda za ramię i powiedzieć mu, że zmieniła zdanie. Znajdzie jakiś inny sposób zdobycia pieniędzy.

Jednak wiedziała, że to nieprawda. Charles nie dawał jej ani centa, nawet nie chciał mówić o pieniądzach uzyskanych ze sprzedaży sklepu z kapelusznymi, nie mówiąc o tych, które dostał za dom, w którym znajdował się sklep. Prawo zaś było przeciwko niej.

Wyprostowała się, wygładziła spódnicę, gotowa stawić czoło nawet największej okropności. Jednak to, co nastąpiło, przekraczało jej najczarniejsze przypuszczenia. W drzwiach nie pojawiła się wcale któraś z dam z nowojorskiej socjety. Nie była to w ogóle kobieta.

- Nicholas - wyszeptała Ellie.

- Pani Monroe - odparł, witając ją lekkim skinieniem głowy. Grymas na jego ustach przy pewnej dozie dobrej woli można było nazwać uśmiechem.

- Boże, zmiłuj się nade mną - mruknął Barnard, wciąż trzymając rękę na klamce, niepewny, czy ma zatrzaskać drzwi, czy też zaprosić przybysza do środka.

Nicholas podjął za niego decyzję, wchodząc do hallu.

- Przypuszczam, że mnie pan pamięta, panie Webb - stwierdził, wpatrując się uporczywie w Ellie.

- Jak cholera. Pytanie tylko, skąd się pan tutaj wziął.

Nicholas spojrział z lekkim rozbawieniem na starszego mężczyznę.

- Myślę, że obaj znamy odpowiedź.

- Ty podstępny sukinsynu!

- Jeśli zatrudnienie agenta do pośrednictwa w uzyskaniu zamówienia na portret nazwiemy podstępem, to zgoda. Ale gdyby żyła moja matka, mógłbyś zostać pozwany za oszczerstwo. - Popatrzył groźnie. - Niestety, jestem ponad wszelką wątpliwość synem mojego ojca.

Ellie patrzyła jak zaczarowana. Nicholas spojrział na nią wzrokiem pozbawionym jakichkolwiek uczuć. Wydawał się jej też wyższy, niż pamiętała. Stał przed nią, opanowany, elegancki; jego czarne włosy były nieco dłuższe, niż nakazywała to obecna moda, ale nadal tak samo jedwabiste. Prawem kontrastu jego oczy sprawiały wrażenie nienaturalnie jasnych i wpatrywały się w nią tak, jakby ich właściciel potrafił zajrzeć do wnętrza jej duszy.

Gdyby potrafiła zemdleć, nastąpiłoby to niezawodnie. Pożałowała, że nie posiada tej umiejętności. Dałaby wszystko, żeby uciec od koszmaru, który rozgrywał się w jej bawialni.

- Wyjdź!

W odpowiedzi uniósł brew.

- Ależ pani Monroe - odparł stanowczo - czy w taki sposób traktuje się klienta?

- Mówię serio, Nicholas. Natychmiast opuść mój dom. - Ellie mówiła cicho, ale wyraźnie.

On zaś spokojnie podał kapelusz Barnardowi.

- Nigdy nie byłaś gościnną. Ale wybaczam ci.

Wybaczam.

Jego oczy rozszerzyły się nagle, gdy zdał sprawę z tego, co powiedział. Widziała to wyraźnie, jak również i to, że potem zaraz zwięził je gniew. Nie, on jej nigdy nie wybaczy. Ani niemiłego powitania, ani całej reszty.

Zrozumiała, że przyszedł tu po to, żeby ją ukarać. Nic

go nie obchodziła ani sztuka, ani malowanie portretu. Był to tylko pretekst. On chce wymierzyć jej karę. Znała go już dostatecznie dobrze. Nie wystarczyło mu zdemaskowanie jej jako M. M. Jaya. Pamiętała, jak bezwzględnie tropił jej ojca. Teraz ta obsesja najwyraźniej przeniosła się na nią.

Kiedy Nicholas opanował się, a jego oczy znowu wyglądały jak dwie spokojne, ciemnogrnatowe sadzawki, zdobył się także z wysiłkiem na uśmiech. Potem wzruszył ramionami.

- Gdzie będziemy pracować?

- Nigdzie. Nie mam zamiaru ciebie malować!

- Ależ z ciebie złośnica. Rozumiem, że trudny charakter jest typową cechą malarzy, ale czy możesz sobie pozwolić na humory?

- To nie twój interes.

- Niech i tak będzie, ale jestem tutaj, zapłaciłem... ba-jońską sumę... i oczekuję, że dostanę coś w zamian.

- Nie masz dosyć pieniędzy, żeby mnie kupić, Drake.

- Ach, więc znowu wróciliśmy do „Drake'a”. No cóż. Możesz się do mnie zwracać Drake, panie Drake, Nicholasie, Ni...

Oboje wiedzieli, że niewiele brakowało, a powiedziałyby „Nicky”.

- ...jakkolwiek - ciągnął, nie będąc w stanie ukryć, że na chwilę stracił pewność siebie - to nieistotne. Jesteś artystką. Malujesz. Ja płacę ci za wykonanie dzieła. - Popatrzył na nią chłodno. - Dotychczas nie dostawałaś wynagrodzenia za swoje prace.

Odpowiedziała mu wrogim spojrzeniem.

- Nie znam nikogo, kto dorównałby ci bezczelnością i brakiem manier.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Chyba nie jesteś najlepszym sędzią w tych sprawach.

Słowa te zraniły ją bardziej, niż powinny. Wiedziała, że Nicholas jej nienawidzi i uważa ją za kobietę upadłą. Ale i tak zabolało.

- Dlaczego to robisz? - spytała, starając się ukryć drze-

nie głosu. - Czemu nie możesz zostawić mnie w spokoju?

Po raz pierwszy spojrział jej prosto w oczy, a ona ujrzała w nich ból, drobne drgnienie, które zaraz gdzieś znikło. To jednak jej wystarczyło. On cierpiał, więc musiał ją zranić, żeby poczuła to samo. Miała ochotę roześmiać się szyderczo. Przecież ona i bez tego cierpi, i to jak. Tyle tylko, że na nic w świecie mu tego nie okaże.

- Umowa jest umową, pani Monroe. Zamówiłem u pani portret. Pani przyjęła zamówienie. Ufam, że spełni pani wymogi naszej umowy.

- Nie mogę - odparła napiętym głosem.

- Możesz, Ellie, możesz. I zrobisz to. - Spojrział na swój kieszonkowy zegarek, a potem na nią. - Ale chyba nie dzisiaj. Liczę na to, że wkrótce zmienisz zdanie. Nie masz wyboru.

Następnego dnia Ellie zaskoczył dzwonek do drzwi. A jeśli to Nicholas? Miała nadzieję, że będzie się od niej trzymał z daleka. Jednak chyba to właśnie czynił, bo gdy otworzyła drzwi, ku zmieszanej z rozczarowaniem uldze znalazła za nimi rozwścieczoną Miriam.

- Ellie!

Ellie popatrzyła na gościa, nie wiedząc, co o tym sądzić. Czy Miriam uknuła razem z Nicholasem tę intrygę, której jedynym celem było wywarcie na niej zemsty?

- Wiem, co sobie myślisz, Ellie, i trudno mi za to ciebie winić. Ale musisz mi uwierzyć, nie mam nic wspólnego z wczorajszą wizytą mojego brata tutaj. Dowiedziałam się o niej zaledwie godzinę temu.

W jasnym świetle poranka, padającym na twarz Miriam, Ellie widziała wyraźnie, że kobieta jest szczerze przejęta.

- Wierzę ci - powiedziała.

Miriam odetchnęła z ulgą.

- Co za potwór - rzekła, kiedy odzyskała panowanie nad sobą.

- Wszystko jedno, kim jest. I tak nie przyjmę tego zamówienia.

- Przecież już to zrobiłaś!

- Po prostu zwrócę mu pieniądze, i już.

- Z moim drogim bratem nic nie jest proste i dobrze o tym wiesz, Ellie. Poza tym powinnaś wykonać tę pracę. Niech ci zapłaci.

- Nie chcę jego pieniędzy.

- Ale są ci potrzebne! - Miriam zawahała się na chwilę. - Wiem, że Charles zerwał z tobą wszelkie stosunki i nie da ci ani centa.

- Skąd wiesz? - zapytała Ellie, upokorzona.

- Takie rzeczy szybko się rozchodzą.

Ellie zapragnęła zniknąć z powierzchni ziemi. Nie mogła jednak pozwolić sobie na ten luksus. Musiała myśleć o Jonahu i o Barnardzie, Hannie i Jimie.

- Wszystko jedno, Miriam. Nie będę malować Nicholasa.

- Jest ci coś winien. Niech płaci.

W tej właśnie chwili fatum zadało Ellie następnny cios.

- Mamo! Mamo!

Ellie rzuciła się do drzwi, zamierzając je zatrzaskać. Ale nie zdążyła i do pokoju wkroczył Jonah, kołysząc się jak kaczką i uśmiechając radośnie na widok matki. Zanim Ellie zdążyła powiedzieć choć jedno słowo, nadbiegła Hanna i z niezwykłą na swoje lata szybkością porwała chłopca na ręce.

- Przepraszam - mruknęła. - On teraz bez przerwy gdzieś biega i już za nim nie nadążam.

Usunęła dzieciaka z widoku tak szybko, jak mogła. Ellie odwróciła się do Miriam i zrozumiała, że i tak było za późno.

- Wielki Boże - sapnęła Miriam. Oszołomiona, wpatrywała się w drzwi, przez która Hanna wyniosła dziecko. *W jej oczach* pojawiły się łzy. - Nie miałam pojęcia...

- Mało kto wie. Charles był bardzo opiekuńczym ojcem - skłamała Ellie.

Miriam patrzyła tak, jakby Ellie nie powiedziała ani słowa.

- On wygląda zupełnie tak samo jak Charlotte.

Ellie milczała.

- Ellie... - zaczęła Miriam, lecz umilkła, widząc jej spojrzenie.

- Powiedziałaś, że chcesz zostać moją przyjaciółką, Miriam.

- Tak.

- A więc udowodnij to mnie i mojemu synowi. Przysięgnij, że nigdy nie powiesz Nicholasowi.

- Ale, Ellie...

- Nie, Miriam! Żadnych „ale”. On nie może się dowiedzieć.

- Czemu? Dlaczego nie chcesz powiedzieć prawdy ojcu twojego dziecka?

- Jonah należy do mnie! I do nikogo więcej! Rozumiesz? Do mnie! - Ellie odwróciła się, nie chcąc, by Miriam widziała, jak bardzo jest przerażona.

- Ty mu powiedz, Ellie. Niech wie... Powiedz mu. On ci pomoże.

- Nie pomoże! A ja nie dam mu po raz kolejny broni przeciwko mnie! Przecież on mnie zniszczy!

- Nigdy by tego nie zrobił.

- Mylisz się, Miriam. Sama powiedziałaś, że jest potworem. On chce mnie zniszczyć, tak samo jak zniszczył mojego... - urwała. Czuła, że jej świat się wali, a ona o mało nie zdradziła swojej najważniejszej tajemnicy. - Nie możesz mu tego powiedzieć, Miriam - wykrztusiła po chwili. - Proszę. Zniosę jego wzgardę i to, jak potraktowała mnie rodzina Monroe i cała reszta świata. Ale nie mogę utracić mojego syna.

Miriam zamarła, jakby w duszy odpowiadała sobie na pytania dotyczące spraw, o których wiedziała ona jedna. W końcu kiwnęła głową.

- Dobrze. Nie powiem Nicholasowi o Jonahu. Ale pod warunkiem, że namalujesz ten portret.

W oczach Ellie błysnęło się niedowierzanie.

- Zastanów się. Potrzebujesz pieniędzy. Jeśli nie dla siebie, to dla swojego dziecka. Nie karz Jonaha za to, co zrobił ci Nicholas. Weź pieniądze, a potem wyjedź z Nowego Jorku. Zaczynj nowe życie daleko stąd. Daj Jonahowi szansę.

- O czym ty mówisz? Miałabym wyjechać?

- A czemu nie? Z tego, co rozumiem, ukrywasz swojego syna. Domyślam się, dlaczego. W tym mieście wielu osobom wystarczy, żeby raz na niego spojrzały i już zgadną, kto jest jego prawdziwym ojcem.

Ellie poczuła niemiłe ssanie w żołądku. Wiedziała, że Miriam ma rację. Nie chciała jednak opuszczać Nowego Jorku. Nie miała pojęcia, dokąd się udać. Tyle tylko, że istotnie nie powinna tu zostawać.

- Namaluj Nicholasa, Ellie. Potem będziesz miała dosyć czasu na podjęcie decyzji.

Dzwonek u drzwi zadzwonił raz jeszcze tego popołudnia. Zanim to jednak nastąpiło, Ellie spędziła wiele godzin, krążąc po swoim pokoju i starając się rozplątać swoje myśli. Powiedziała Barnardowi, że nie chce nikogo widzieć. Musiała mieć czas do namysłu.

Jednak jej życzenie się nie spełniło, bo drzwi otworzyły się bez pukania i stanął w nich nie Barnard, lecz Nicholas. Przez chwilę Ellie patrzyła na niego w oszołomieniu. Nie trwało to jednak długo.

- Wynoś się!

- Spodziewałem się po tobie czegoś bardziej oryginalnego, Eliot.

Barnard pojawił się za plecami Nicholasa, ciężko dysząc.

- Powiedziałem mu... że ma nie wchodzić... ale on... nie posłuchał.

- I owszem - przyznał Nicholas z irytującym uśmiechem. - Nie posłuchałem.

- Wynoś się! - syknęła przez zaciśnięte zęby.

Nicholas zwiesił głowę.

- Ellie, naprawdę, już to przerabialiśmy. Przyszedłem, bo mam tu zamówiony portret.

Na dole rozległy się jakieś dźwięki i gdy Ellie je usłyszała, oczy jej rozszerzyły się.

- Barnardzie, proszę, pomóż Hannie. Najlepiej idźcie na spacer.

Starszy pan zawahał się, ale potem nagle, jakby mu się coś przypomniało, pospiesznie zszedł na dół.

- A więc - powiedział Nicholas - chcesz zostać ze mną sama.

- Coś ci się przyśniło, Drake.

- Może, ale teraz to jest jawa.

- Masz się stąd natychmiast wynosić!

Nicholas przyjrzał się jej badawczo.

- Boisz się mnie malować, Ellie? O to chodzi?

Otworzyła usta, ale nie miała mu nic do powiedzenia. Kipiała z gniewu. Powtarzała sobie, że wcale się tego nie boi, ale nie była to prawda. Bala się. Obawiała się, tego, co może zrobić, jeśli będzie musiała przebywać w jego towarzystwie dłuższy czas... wyciągnie rękę i dotknie go. Ich usta spotkają się.

Będzie się z nim znowu kochać.

Stłumiła krzyk.

- Widzę, że dręczenie mnie sprawia ci przyjemność.

Patrzyła, jak Nicholas zmienia się na twarzy, jak uśmiech znika z jego oczu.

Wzruszył ramionami.

- Ani przyjemność, ani nic innego. To, co czujesz, nic mnie nie obchodzi.

Kłamał i dobrze o tym wiedział. I to właśnie stanowiło główny problem. Obchodziło go. Trudno mu było uwierzyć, że to ta sama kobieta. Wyglądała tak samo. Jej włosy, jej ciało, jej ubrania. Tylko wyraz jej oczu uległ zmianie. Były inne niż w czasach, zanim świat poznał, kim jest M. M. Jay. Nie malowała się już w nich niewinność ani go-

towość pomagania innym. Zabrakło w nich ognia i śmiałości. A on gardził sobą za to, że go to obchodzi.

- Nie stać cię na to, żeby mnie spławić, Ellie. Te pieniądze są ci potrzebne.

- Dlaczego wszyscy usiłują mnie pouczać, czego potrzebuję, a czego nie?!

No właśnie, dlaczego? zastanawiał się Nicholas. Ale przecież nie szukał odpowiedzi na to pytanie. Chciał się tutaj znaleźć. Miał ochotę przebywać w jej towarzystwie. Żeby ją ukarać, powtórzył sobie w myślach. Nic ponadto.

- Może wszyscy pouczają cię dlatego, że jako jedyna nie widzisz, w jaki sposób możesz łatwo zarobić pieniądze.

- Łatwo? - zapytała sucho, przez chwilę przypomiwała dawną siebie. - Chyba nie.

Nicholas nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem, jednak szybko się opanował.

- Łatwo, czy nie, czy możesz uczciwie powiedzieć, że rzeczywiście są ci niepotrzebne?

Zmrużyła gniewnie oczy.

- Wiesz doskonale, że nie.

Uniósł ironicznie brew, jakby chciał powiedzieć *A co, nie mówiłem?* I rzeczywiście, nie trzeba było słów. Ellie zdawała sobie z tego sprawę tak samo, jak wszyscy dookoła. Niech go diabli razem z jego racją. Nie miała wyboru.

- Niech będzie - przyznała chłodno, zaciskając pięści. - Zgadzam się. Przyjdź po południu.

- Dobrze - odparł po prostu, a potem skierował się do drzwi.

- Zaczniemy jutro. Dzisiaj nie jestem gotowa.

Zawahał się, gotów do dalszej sprzeczki. Potem wzruszył ramionami.

- Świetnie. Niech będzie jutro.

Wyszedł bez słowa, nawet się za siebie nie oglądając. Na szczęście. Bo gdyby to uczynił, zobaczyłby na jej twarzy wyraz lęku i użył tego przeciwko niej.

Następnego dnia Nicholas pojawił się punktualnie o trzeciej. Na czas, kiedy Ellie miała go malować, Hanna i Barnard mieli zabrać Jonaha z domu. Ellie powinna czuć się bezpiecznie. Ale nie mogła. Nie wtedy, kiedy Nicholas stał przed nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Jak mam pracować, kiedy się tak na mnie gapisz? - warknęła, wściekła, że znalazła się w tej sytuacji i że nie potrafi sobie z nią poradzić.

- To co mam robić? - zapytał, irytująco unosząc ciemną brew.

- Poczytaj książkę, wyglądaj przez okno. Rób coś, zamiast się we mnie wpatrywać. Muszę się zastanowić. Muszę się ci przypatrzeć, przeanalizować twoje rysy, jeśli rzeczywiście mam namalować twój portret. - W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że zna na pamięć każdy rys jego twarzy. Zabolało ją serce. - Siadaj! - zażądała, kiedy wciąż na nią patrzył. - O, tam, gdzie jest najlepsze światło.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie, a potem posłusznie podszedł do okna, usiadł w fotelu i zaczął wyglądać na ulicę. Gdy tylko się tam znalazł, Ellie zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, polecając mu usiąść w miejscu, gdzie było dobre światło. Poczowała, że traci dech. Wyglądał oszałamiająco, kiedy tak patrzył gdzieś w dal. O czym on teraz myśli?

Bez pytania otworzył okno, wpuszczając do pokoju ciepły, letni wietrzyk. Ellie czuła, że zaraz zacznie się dusić. Zrobiło jej się gorąco. Ale wtedy on zaskoczył ją, wydobywając z kieszeni cygaro. Patrzyła jak zaczarowana, gdy odprawiał rytuał przycinania, zapalania zapałki i wciągania dymu. Siedział sobie, kompletnie odprężony. Jednak Ellie wiedziała, że pod pozorami spokoju kryła się potężna siła.

- Nie wiedziałam, że palisz.

- Przeszkadza ci to? - zapytał, wypuszczając dym.

- Nie - odparła i odwróciła się gwałtownie.

Nie musiała już ukrywać swojego zajęcia i trzymała wszystkie materiały malarskie we własnym pokoju. Skoń-

czyło się bieganie do piwnicy po terpentynę albo olej lnia-ny. I płótna. Wszystkich rozmiarów. Nie tylko te, które można schować za parawanem.

Zajęła się przygotowaniem, wybierając kolory, wyciągając płótno, wycierając pędzle. Nic z tego nie musiało być zrobione w tej chwili. Powinna najpierw dobrze się przy-patrzyć modelowi, wykonać szkic, wszystko sobie przemyśleć. Tylko że nie potrafiła się skupić. Trudno jej było od-dychać, a co dopiero narysować coś z sensem. Jak mogła sobie wyobrażać, że poradzi sobie z tym zamówieniem?

Wydawało się, że Nicholas nie ma podobnych proble-mów. Siedział w fotelu, najwyraźniej myśląc o czymś zu-pełnie innym. Nie o niej. Wzięła głęboki wdech i spróbo-wała się skupić.

Jak ma go namalować?

Spędziła więcej niż pół nocy, myśląc o tym, bo czuła, że obraz musi być doskonały, że powinien zapierać dech. Za-snęła dopiero nad ranem i obudziła się, sparaliżowana per-spektywą tego zadania.

Być obok Nicholasa i malować go. Bezbłędnie. Tak, jak po-winno się namalować tak doskonałe ciało. Tymczasem ją para-lizowała sama myśl o bezimiennych ludziach, którzy znają ją jako malarkę. Tylko że teraz nie są to już jacyś tam ludzie, tyl-ko Nicholas. A ona, jak idiotka, nie chce sprawić mu zawodu.

Godzina upłynęła niepostrzeżenie. Kiedy spojrzała przytomniej, zobaczyła przed sobą niezliczoną ilość szki-ców. Różne ujęcia. Różne kolory. Żaden z nich nie był dobry. Na żadnym nie uchwyciła charakteru tego człowie-ka. No, ale to dopiero początek.

- Cóż - odezwała się - to wszystko na dziś.

Wyrwany z zamyślenia, Nicholas podniósł na nią oczy, a potem spojrzeł na zegar stojący na półce nad kominkiem.

- Ledwo zaczęliśmy.

Przez chwilę myślała, że będzie nalegał. Jednak zaraz wstał i podszedł do niej.

- Mogę zobaczyć?
- Mowy nie ma.
- Dlaczego?
- Nie możesz nic oglądać, dopóki nie skończę. A teraz do widzenia.

Zbliżyła się do drzwi i otworzyła je. On zaś stał, patrząc w jakiś punkt pośrodku pokoju, już nie na okno, ale jeszcze nie na sztalugi.

W końcu podszedł do drzwi. Kiedy znalazł się blisko, poczuła płynące od niego ciepło. A gdy pomyślała, że ją po prostu minie i będzie mogła odetchnąć z ulgą, zatrzymał się.

Zamarła, kiedy musnął palcami jej policzek, a potem przesunął dłonią po szyi. Jedno jego dotknięcie sprawiło, że jej ciało zapłonęło tak samo jak wtedy, gdy byli blisko siebie po raz ostatni. On chce mnie pocałować, pomyślała, gdy poczuła na twarzy jego oddech, i niczego innego nie pragnęła.

- Cieszysz się, że nie mogę o tobie zapomnieć? - szepnął chrapliwie. Przez chwilę w jego oczach malowało się nieskrywane pragnienie.

Wydawało się, że upłynął wiek, zanim Ellie dostrzegła zmianę... i nieskończoność, zanim w pełni zrozumiała, co powiedział. Zarzucał jej jeszcze jeden prawdziwy, a może wyimaginowany grzech. Jeszcze jedną winę, której nigdy nie będzie w stanie odkupić.

Nabrała powietrza do płuc i wyprostowała plecy.

- Czy się cieszę? Nie - szepnęła, przełykając coś, co nagle stanęło jej w gardle. - Obawiam się, że nie potrafię już się cieszyć.

Zacisnął szczęki, a jego oczy zapłonęły żądzą. Przez chwilę Ellie myślała, że zaraz ją obejmie. Zamiast tego, po upływie dłuższej chwili, cofnął się, odwrócił na pięcie i wyszedł, zostawiając ją w drzwiach. W pamięci jej zaś krążyły nie jego słowa, tylko wspomnienie dotyku jego dłoni.

Następnego dnia Nicholas zjawił się punktualnie.

Ellie modliła się przez całą noc, żeby zrezygnował ze swego pomysłu. Daremnie. Wkroczył do jej mieszkania na ostatnim piętrze tak swobodnie, jakby został zaproszony na herbatę. Był spokojny i opanowany, podczas gdy ona, cała drżąc, stała przy oknie. Serce biło jej tak mocno, że on musiał to słyszeć. I jeśli sądziła, że zdoła go przekonać, żeby zostawił ją w spokoju, była w błędzie.

Przyszedł także następnego dnia, i następnego. Bez zmiłowania. Za każdym razem kiedy wychodził, Ellie była coraz bardziej roztrzęsiona. Muskał jej ramię, przytrzymał kosmyki włosów, które wymknęły się jej z koka, a raz nawet przesunął palcem po jej dolnej wardze.

W jego oczach widziała pożądanie. Niepokojące. Prymitywne. Czuła jego żar. Jego pragnienie budziło w niej lęk, bo ona odpowiadała mu tym samym. Tlił się w niej płomień, któremu nie mogła pozwolić rozpaść się na dobre.

- Spóźniłeś się - warknęła piątego dnia, zła, że jego widok wywołał w niej falę gorąca.

Zauważyła jego rzut oka na zegar i wiedziała, że zdradziecki czasomierz wskazywał dokładnie tę godzinę, o której Nicholas miał się pojawić.

- Hmm - brzmiała odpowiedź.

- Masz zamiar stać - zapytała - czy będziesz łaskaw usiąść? - zapytała Ellie, wiedząc doskonale, co sobie pomyślał.

- Dla ciebie, pani Monroe - rzekł z drwiącą galanterią - zrobię wszystko.

Ellie zaczerwieniła się z gniewu.

- Skoro tak, to może zechce pan stąd wyjść.

Przestał się uśmiechać, ale Ellie gotowa była przysiąc, że w jego oczach odmalował się cień szacunku.

- Nie wszystko. Skłamałem.

- Ciekawe, dlaczego mnie to wcale nie dziwi.

Zmierzyli się wzrokiem.

- Nie wiedziałem, że... M. M. Jay tak kocha prawdę. - Pogodny nastrój, z jakim Nicholas się tu pojawił, zniknął bez śladu. Jego twarz stała się zamknięta i obca, a Ellie z niezadowoleniem stwierdziła, że żałuje tego, co przed chwilą powiedziała.

Zebrała się w sobie, usiłując się skupić. Wszelkie jej dotychczasowe próby okazały się nieudane. Teraz obraz zaczął się powoli pojawiać. Był mglisty i niewyraźny. Prawie nierozpoznawalny. Niemniej zawierał w sobie ziarno prawdy. Ellie zaczęła z ulgą odczuwać, że nie zapomniała, jak malować. Nie do końca.

Odprężyła się odrobinę. Na chwilę zdołała zapamiętać się w pracy. Brakowało jej tego. Czuła narastające podniecenie. Jej ręka zaczęła poruszać się swobodnie i bez wysiłku. Krew zaczęła żywiej krążyć w jej żyłach i zapomniała o bożym świecie... udało jej się zatonać w świecie linii i proporcji.

Ellie rysowała w zapamiętaniu, aż światło przestało być dobre. Przeszła przez pokój i stanęła przed Nicholasem. Zapominając, że to on, przyjrzała się dokładniej jego profilowi. Chcąc lepiej opracować cieniowanie, nie zdając sobie sprawy, co czyni, lekko dotknęła policzka mężczyzny. Czując jej dotyk, drgnął, jakby go uderzono, i ostro spojrział jej w oczy, niszcząc tę odrobinę dystansu, jaką zdołała między nimi wytworzyć.

- Przepraszam - mruknęła, cofając się o krok.

Jednak on schwycił jej rękę i przytrzymał. Jego dotknięcie było jak płomień.

- Dlaczego? - szepnął szorstko. - Czemu cię nie mogę zapamiętać?

- Proszę... - odparła zdławionym głosem. Nie wiedziała tylko, co chce, żeby uczynił.

- Czy kiedykolwiek o mnie myślisz? - zapytał z rozpaczą. - Czy wspominasz to, co nas kiedyś łączyło?

Oczywiście. Myślała o tym codziennie.

- Nie - szepnęła, niezdolna powiedzieć nic więcej.

Spróbowała wyrwać rękę, ale nadaremnie.

- Kłamiesz - syknął, całując przegub jej ręki i przyciągając dziewczynę do siebie. - Drzenie twojej ręki mówi mi, że tak. Tak samo często, jak ja myślę o tobie. - Pocałował wewnątrz jej dłoni. - Bez przerwy.

- Nie, Nicky - jęknęła bez zastanowienia.

Rozum nakazywał jej ucieczkę, jednak coś silniejszego niż rozsądek trzymało ją na miejscu. Patrzyła bezradnie, jak Nicholas zbliża dłoń do jej policzka. Jego dotyk przeniknął całe jej jestestwo.

- Nicky - zaśmiał się cicho - Marzyłem o tym, żebyś mnie tak znowu nazwała.

- Nie - szepnęła.

Podniósł się z fotela i stanął naprzeciwko niej, zaglądając jej głęboko w oczy. Ciekawe, co w nich ujrzął? pomyślała. Jednak gdy pochylił się i musnął ustami jej włosy, straciło to jakiegokolwiek znaczenie. Przesunął dłonią po jej policzku i odsunął długi jasny kosmyk. Ellie westchnęła.

- Nie - powiedziała cicho.

- Dlaczego? - zapytał. - Mój Boże, dlaczego nie?

Odczuł raczej, niż zobaczył, jak oddycha głęboko. Zauważył, że na szyi mocno pulsuje jej żyła, zdradzając jej stan. Teraz była tutaj, razem z nim, nie w jakiejś własnej, odległej krainie, do której oddaliła się, malując. Dostrzegła go jako żywego człowieka, nie obiekt, który należy odtworzyć na płótnie. Widział to wyraźnie i odczuwał dziecinne zadowolenie, że zdołał ją do siebie zwabić.

Dotknęła go lekko, ale tylko po to, żeby móc się oparować. Jednak muśnięcie jej ręki podziałało na niego jak podmuch wiatru na tłący się żar. Mimo to Nicholas zdawał sobie sprawę, że powinien zostawić ją w spokoju. Wyjść, zamknąć za sobą drzwi, bo w tej grze nie mogło być zwycięzcy.

Nie potrafił jednak odsunąć swej dłoni... która podążała niebezpiecznym kursem, aż dotarła do jej podbródka. Uniósł go i spojrzął dziewczynie w twarz. Z przepastnych, szmaragdowych otchłani płynęły strumieniami łzy. I wtedy się poddał, pozwolił, by ogień buchnął płomieniem.

Przyciągnął ją do siebie z całej siły.

- Przestań - zażądał, całując ją w czoło. - Przestań mnie odpychać.

- Nie mogę.

- Nie? - Powoli przesunął dłońmi po jej ramionach. - A może nie chcesz? - Nie czekał na odpowiedź. Pochylił głowę i zaczął całować jej usta. - Jesteś taka piękna - wyszeptał.

Jednak kiedy po chwili sięgnął do zapięcia jej gorsetu, wyrwała mu się.

- Nie! - powtórzyła, tym razem półgłosem. - Nie mogę! Oddam ci twoje pieniądze, co chcesz, ale zostaw mnie!

Odwróciła się, ale on chwycił ją za rękę i przyciągnął z powrotem.

- Nie żądaj tego ode mnie - powiedział, a jego dotyk wprawił jej myśli w pomieszanie.

Marzyła przecież, żeby znowu był przy niej blisko, by wargi ich się spotkały. A teraz jej tęsknoty stawały się prawdą i nie miała już siły, by dłużej się bronić.

- Nawiedzałaś mnie w snach i na jawie, Eliot. Walczyłem z tym. Ale nie mogę już dłużej. Pragnę cię - szepnęła złowieszczo. - Tak samo, jak ty mnie.

- Nie.

- Tak, Ellie. Przyznaj się.

- Nie! - zawołała, zamykając oczy.
- Pragniesz mnie - powtórzył.

Słońce przesunęło się na niebie i jego promienie wpadły przez otwarte okno. Powoli, niechętnie, Ellie uświadomiła sobie, gdzie jest... spojrzała na porzucony wczoraj szkicownik i ołówki; porzucane ubrania, ale nie zobaczyła swoich czerwonych pończoch, które nosiła na szczęście. Nagle przypomniała sobie dzień, kiedy je wyrzuciła; dawno temu, kiedy Nicholas wyjechał z Nowego Jorku, zabierając ze sobą nadzieję. Dlaczego teraz właśnie przyszło to jej na myśl?

Uliczne hałasy zaczęły wpadać do środka, burząc ich nietrwały świat. Skończywszy się kochać, Nicholas i Ellie przez dłuższy czas leżeli przytuleni, nie mówiąc nic ani się nie poruszając.

W końcu Nicholas spojrzał w pełne łez oczy Ellie. Jego chłód i surowość dawno gdzieś znikły. Została tylko rozpacz.

- Dlaczego, Ellie? - zapytał.

Wiedziała oczywiście, o co mu chodzi. *Dlaczego go zdradziła?* Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Nie mam na to odpowiedzi - rzekła w końcu.

- Nie masz odpowiedzi - powtórzył, czując na nowo gniew - a może nie masz odwagi odpowiedzieć?

Spojrzała na niego ze spokojem, który ją samą zdziwił.

- A nawet, gdybym ją miała, cóż to zmieni? Pytasz mnie o to tak uparczywie, a przecież cokolwiek ci odpowiem, musi okazać się nieistotne... liczy się sam fakt zdrady.

Zobaczyła, że zrozumiał prawdę zawartą w jej słowach, i poczuła, że boli ją serce. Ach, gdyby...

Nicholas zaklął, podniósł się z łóżka, ubrał i dopiero wtedy znowu na nią spojrzał. Ich oczy spotkały się i Ellie zrozumiała go lepiej, niż kiedykolwiek. Pojęła, że tak samo jak ona był wstrząśnięty tym, co uczynili... wstrząśnięty i zdruzgotany... bo okazało się, że w ogólnym rozrachunku nic się nie zmieniło. Zbyt wiele wydarzyło się wcześniej

i chociaż nie potrafił wyrzucić jej ze swych myśli, nawet łączący ich żar namiętności nie był w stanie wymazać minionych zdrad. Pociąg fizyczny to za mało. Nicholas nie mógł wybaczyć Ellie, że pojawiła się na przyjęciu, zorganizowanym w celu ogłoszenia ich zaręczyn, w towarzystwie innego mężczyzny. Nie przebaczył jej tego, że poślubiła tegoż człowieka. Poza tym nie potrafił znieść świadomości, że okazała się M. M. Jayem i przenosiła na płótno spędzone z nim chwile. W rezultacie nie mógł już dłużej wierzyć w szczerość jej uczuć, gdyż być może dla niej ważne były tylko ich intymne spotkania. Ona zaś, odpowiadając na jego pełne udręki spojrzenie, także nie potrafiła całkowicie zapomnieć o tym, że zdradził światu jej sekret.

Ellie żałowała, że nie mogą oczyścić swoich serc. Nie wiedziała jednak, w jaki sposób można by to osiągnąć. Skoro jest to niemożliwe, ich związek nie ma przyszłości, gdyż zawsze przeżerać go będą zwątpienie i brak zaufania.

Teraz wiedziała już, dlaczego przypomniały jej się te czerwone pończochy. Nie było nadziei na oczyszczenie serc, tak samo jak kilka lat temu nie miała szansy, by opowiedzieć Nicholasowi swoją historię.

- Przepraszam - odezwał się Nicholas.

Słowa te odbiły się długim echem w jej myślach. Przepraszają ją? Za co? Za to, że się z nią kochał... czy że ośmielił się ją pokochać? Kiedy wreszcie była w stanie jasno sformułować te pytania i poprosić go, żeby na nie odpowiedział, już go nie było. Znowu została sama.

35

Łzy strumieniami spływały jej po policzkach. Zamknęła oczy. Zapomniała o pędzlu, trzymanym w ręce.

Nicholas zapytał ją kiedyś, czy boi się go namalować. Teraz sama zadała sobie to pytanie.

Obrazy wirowały, wywołując zawrót głowy. Oczami duszy widziała jego rękę, której dotyku już nigdy więcej nie poczuje. Napięcie. Siłę. Żar. Jednak przede wszystkim ujrzała Nicholasa, stojącego na tle okna, z rozpaczą w oczach, bo utracił nadzieję i wolę, w którą tak przecież wierzył. Zobaczyła wspomnienie o chłopcu. Nieznośną tęsknotę. Za dzieciństwem. Za Charlotte. I, jak teraz już wiedziała, za niewinną miłością, której przedsmaku dane im było zaznać podczas tamtego pięknego sierpnia.

Jej ręka zaczęła się poruszać, jakby miała własną wolę, maczając pędzel w farbie, a potem malując, z początku powoli, lecz z chwili na chwilę coraz prędzej. Żadnych szkiców. Żadnych przygotowań. Tylko mocne pociągnięcia pędzlem, oddające całą prawdę. Malując tak, Ellie zdała sobie sprawę, że rzeczywiście się bała, ale nie tego, o czym mówił Nicholas. Nie tylko obawiała się, że zawiedzie oczekiwania innych. Lęk jej dotyczył sprawy znacznie głębszej. Nie tylko tego, że wszyscy dowiedzą się, że jest nieślubną córką ogólnie pogardzanego człowieka... lecz że nigdy nie będzie mogła stać się niczym ponad to.

A teraz, nazwany po imieniu, strach ten zalał ją szeroką falą, przerwawszy mur, za którym się dotychczas chroniła. I wtedy Ellie zdała sobie sprawę, że poddała się dawno już temu, że sama zadbała o to, żeby nie zostać nikim więcej, jak tylko córką Harry'ego Dillarda.

Przeszłość i teraźniejszość połączyły się w jedno.

Ze zdławionym okrzykiem Ellie przetarła twarz rękawem, starając się skoncentrować, próbując wyrzucić z siebie bezładny natłok szalejących myśli.

Powoli, prawie boleśnie, linie proste i krzywe zaczęły przejmować nad nią kontrolę. Najpierw prędzej, potem wolniej, jej umysł wyzwalał się. I wtedy zapomniała o wszystkim. Malowała, jak nigdy przedtem, w imię zagi-

nionego dziecka, którym był Nicholas. W imię swojej własnej duszy.

Pochłapała sobie farbą policzek i kitel, ale nawet tego nie Zauważyła. Włosy rozsypały się jej na ramiona. Nie zwracała uwagi na nic poza pędzlem, posuwającym się po płótnie.

Malowała. Żyła poprzez malowanie.

Nie wiedziała, czy upłynęły godziny, czy minuty. Kiedy jednak odsunęła się od sztalug i popatrzyła na swoje dzieło, zaparło jej dech.

Portret Nicholasa? Nie. Raczej samo życie, zatrzymane na płótnie. Nie potrzebowała ekspertów, by mieć pewność, że jest to najlepszy obraz, jaki kiedykolwiek namalowała.

36

Następnego dnia Nicholas nie dał znaku życia. Ani dwa dni później. Wyglądało to tak, jakby wiedział, że obraz jest gotowy. Nie musi więc już pozować. Lub też, jak przypuszczała Ellie, tak samo jak ona pojął daremność ich spotkań. Wiedziała, że powinna być mu za to wdzięczna. Powtarzała sobie, że chce ujrzeć go tylko raz jeszcze, żeby zobaczyć jego reakcję. Ale on gdzieś zniknął, jak się wydawało, na dobre, i nie miała jak poprosić go, żeby wrócił. Zobowiązanie zostało wypełnione, a sprawa skończona.

Kiedy upłynęło jeszcze trochę czasu, Nicholas nadal się nie odzywał, a jego portret wysychł i można już go było zapakować, Ellie poleciła Jimowi zanieść go do domu Nicholasasa. Potem przez długie godziny czekała, że może kiedy Nicholas zobaczy obraz, prześle jej jakąś wiadomość. Jest zachwycony. Nie podoba mu się wcale. Cokolwiek. Jednak gdy zapadła noc, a odpowiedzi nie było, zrozumiała, że nie będzie jej nigdy. Nigdy nie pozna jego zdania.

Następnego ranka, ledwo świt sprawił, że świat pokryły róże i fiolety, mocne uderzenia do drzwi przedarły się do świadomości Ellie przez opary głębokiego snu.

- Ellie! Obudź się!

Rozpoznała głos Barnarda i nagle oprzytomniała. Coś złego stało się Jonahowi. Podbiegła i jednym szarpnięciem szeroko otworzyła drzwi.

- Co się stało?!

- Patrz! Patrz! Tutaj, w gazecie!

Przerażenie zastąpiła zgroza.

- Na trzeciej stronie - dorzucił Barnard.

Zacisnęła powieki i musiała uchwycić się drzwi, żeby nie upaść.

- Do licha, dziewczyno! Czytaj!

Ellie drżącymi rękoma wzięła od niego otwartą na trzeciej stronie gazetę.

M M. JAY POKAZUJE LWI PAZUR

Able Smythe

Myście sobie, co chcecie, na temat konduity M.M.Jaya. Jedno jest jasne: artysta ten ma wielki talent. Przed laty pisałem, że Jay nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Teraz to się zmieniło.

Jej najnowsza praca jest niewątpliwie jej najlepszą. Malarka bezbłędnie uchwyciła charakter przedstawianego przez siebie mężczyzny: jego siłę i jego wdzięk, uchylając zarazem maski, by ukazać ukryte pod nią głębokie, zazwyczaj niedostrzegalne, rany. To portret człowieka cierpiącego, uwikłanego między nienawiść i tęsknotę.

Gdyby obraz ten namalował mężczyzna, wzbudziłby zachwyt. Niezaprzeczalnie widać w nim doskonałość techniki, umiejętność doboru barw i faktury. Ale, pytam, czy jakkolwiek mężczyzna władny jest stworzyć coś takiego? Czy potrafiłby zajrzeć pod swoją własną

maskę? I czy odważyłby się namalować to, co zobaczył?

Odpowiedź na to pytanie brzmi: nie, gdyż większość mężczyzn świadomie lub nieświadomie zamyka oczy na własne uczucia. Tylko M. M. Jay, jako kobieta, jest w stanie przeniknąć za fasadę, którą każdy mężczyzna doskonalili przez całe życie.

Kimkolwiek jest M. M. Jay i cokolwiek sądzi się o niej jako o kobiecie, musimy pogodzić się z faktem, że jako malarzka wykazała się niezwykłą głębią myśli i godnym szacunku talentem. Pewnego dnia, i to całkiem niedługo, jej obrazy będą warte krocie.

Ellie zamarała w bezruchu, a łzy radości spływały jej po woli po policzkach.

- No i co?! - zawołał Barnard. - Mówiłem, że ci się uda. I udało się. Bez żadnych ale i niedopowiedzianych ostatecznych słów. Udowodniłaś im, że potrafisz malować.

Jednak Ellie uważała tylko, że nie zawiodła. Sprawdziłam się, pomyślała, śmiejąc się przez łzy.

- Poczekaj tylko - dodał Barnard stanowczo, kiwając głową. - Zobaczysz. Wszystko się teraz zmieni.

I rzeczywiście, zaczęło się zmieniać, w ciągu zaledwie kilku godzin. Okazało się, że każdy pragnie posiadać obraz malowany przez M. M. Jaya. Ellie rozchwytywano, a jej przeszłość przestała się liczyć. Barnard triumfował, Hanna była opiekuńcza, Miriam dyskretnie pomocna, zaś Jim po prostu się cieszył. Tylko Ellie nie podzielała ogólnej radości. Tuliła do siebie Jonaha z gwałtownością, która ją samą przerażała.

Kiedy opadła fala wywołanego sukcesem uniesienia, do Ellie dotarło, że jej nieoczekiwane powodzenie spotkało ją dzięki temu, że Nicholas pokazał swój portret Able'owi Smythe'owi. Ale dlaczego to zrobił? zastanawiała się z niepokojem. Czy usiłował w ten sposób naprawić krzywdę, jaką jej wyrządził... czy też po raz kolejny chciał jej doku-

czyć, lecz mu się nie powiodło? Zbyt dobrze pamiętała, jak wielką nienawiść żywił do jej ojca i jak zawitych sposobów używał, by doprowadzić go do upadku. Czy nadal stara się ją ukarać? Jeśli tak, to kiedy to się skończy? I jak?

- Co się z tobą dzieje?

Ellie podniosła oczy i ujrzała zatroskaną twarz Miriam.

- Ach, nic, doprawdy.

Jonah zsunął się jej z kolan, a jego śmiech rozbrzmiewał po całym pokoju. Wszyscy tak się cieszyli, doznali takiej ulgi. Dziecko wyczuwało to doskonale. Czemu więc i ona nie może być szczęśliwa? Czemu lęka się zaufać dobremu losowi? Chyba zbyt długo znajdowała się na łasce innych, by móc tak łatwo mu zawierzyć.

Mamrocząc jakieś usprawiedliwienia, Ellie wybiegła z pokoju. Musiała gdzieś spokojnie pomyśleć. Wyszła z domu i długo wędrowała przez nagrzaną słońcem, parne ulice Nowego Jorku. Nie wiedząc jak, znalazła się pod wieżą, na którą zaprowadził ją Nicholas tego wieczoru, gdy storpedowała jego próbę wykupienia innych domów na jej ulicy. Zaczęła wspinać się na górę po twardych, granitowych stopniach.

Poczuła, że ogarnia ją bezbrzeżne poczucie osamotnienia. Zawsze żyła w izolacji, komunikując się tylko z istotami równie samotnymi jak ona. Ale potem pojawił się Nicholas, który zaoferował jej coś znacznie więcej... aż tyle, że nie mogła tego przyjąć.

Ale czy to prawda? pomyślała nagle, patrząc na rozpalone sierpniowe niebo.

Zawsze żyła tylko sztuką, zamykając się w świecie, nad którym potrafiła zapanować. Czy mogłaby wyjść poza ten świat, żyć prawdziwie, a nie zastępczo? Nie jako niewolnica swoich lęków? Czy może pozwolić sobie doznawać w życiu uczuć, na które zezwalała sobie tylko podczas pracy?

To prawda, Nicholas ukazał jej miłość, do której nie miała dostępu. Jednak kiedyś przecież sądziła, że nigdy nie zazna miłości, którą obdarzy ją własne dziecko. Teraz nie

potrafiła sobie wyobrazić dnia, w którym jej synek by się do niej nie przytulił z całego serca.

Miała dziecko... pomimo wszystko.

Przeszył ją leciutki dreszczyk podniecenia, coś, na co dotychczas bała się sobie pozwolić.

No i jest jeszcze Miriam. Miriam, która przetrwała tak wiele. Pomimo odniesionych ran. A teraz jest jej przyjaciółką. Prawdziwą przyjaciółką, a nie osobą zależną od niej finansowo.

Ellie poczuła nagle porywającą świadomość, że nie jest już tylko córką Harry'ego Dillarda. Jest malarką, matką i przyjaciółką... własnymi siłami osiągnęła sukces. Jest kimś więcej niż tylko nieślubnym dzieckiem kryminalisty.

Myśl ta zaparła jej dech i wprawiła w nieoczekiwane zadowolenie. Jakie to dziwne, że wpadła na nią właśnie dzięki temu, że Nicholas ujawnił światu jej malarską tożsamość. Gdyby nie on, nikt nie wiedziałby, że to ona jest M. M. Jayem. Gdyby nie on, wciąż mieszkałaby z Charlesem, ukrywając swoje prace. Nigdy nie namalowałaby Nicholasowi portretu. A w takim razie, gdyby go nie namalowała, czy potrafiłaby kiedykolwiek udowodnić światu, że jest coś warta?

I wtedy, jaśniejsze niż letnie, błękitne niebo, spłynęło na nią zrozumienie. Nicholas nie chciał zrobić jej krzywdy. Kiedy przyszedł do niej ostatniego dnia, tego dnia, kiedy się kochali, ujrzała w jego oczach ostateczną, porażającą świadomość, że nigdy nie będą razem... że mimo iż ją kocha, chociaż sam nie rozumie, dlaczego, nie mogą zrzucić brzemienia przeszłości. To, że pokazał swój portret Able'owi Smythe'owi, było jego pożegnalnym prezentem dla niej. Nienawidził jej, ale także ją kochał. I dlatego właśnie to zrobił.

Gdy zrozumiała, jakimi kierował się pobudkami, ogarnęła ją wielki smutek, ale jeszcze gorsza była świadomość, że oznaczało to, iż ich wspólna historia dobiegła końca. I że nie będzie już happy endu.

Jak ma z tym żyć?

Postanowiła, że zapanuje nad swoim żalem. Zdławi lęk,

iż bez Nicholasa nigdy już nie osiągnie pełni. Obiecała sobie, stojąc na szczycie tej granitowej wieży, że nie pozwoli, żeby kiedykolwiek rządził nią strach. Nigdy więcej.

Istniała dla niej nadzieja. Będzie malować. I przetrwa. Nawet bez Nicholasa. Jest przecież Eliot Sinclair, kobieta spełniona, wolna i niezależna.

Nieoczekiwanie przypomniała sobie słowa, wypowiedziane dawno temu przez Nicholasa. *Każdy może osiągnąć wszystko, co zechce. To kwestia woli i ciężkiej pracy.* Ellie nigdy nie bała się pracy. Lękała się tylko tego, czym była.

Poczuła, że ma przed sobą niesłychane perspektywy. Odwróciła się, chcąc jak najprędzej znaleźć się w domu i razem z najbliższymi cieszyć się odniesionym sukcesem, a potem śmiało wyruszyć swoją nową ścieżką. Zaabsorbowana myślami, nie zauważyła, że nie jest już sama.

Niewiele ponad sześć metrów od niej stało trzech mężczyzn. Wyraz ich twarzy sprawił, iż krew jej się ścięła w żyłach.

- No, no, przyjaciele - odezwał się najwyższy - długo na to czekaliśmy. Ale wydaje się, że nareszcie los się do nas uśmiechnął.

Ellie zadrżała na całym ciele. Mężczyzna zachichotał.

- Chłopcy, zapomnieliśmy o dobrych manierach. Nie przedstawiliśmy się. Ja nazywam się Rudy. - Objął wielkim łapskiem stojącego obok kolegę. - To jest Billy, a to Bo.

Ellie zrobiła krok w stronę schodów. Nie trzeba jej było tłumaczyć, że to jest właśnie element niepożądany na ulicach Nowego Jorku.

Rudy uniósł brew.

- Wygląda na to, że panienka się śpieszy. Niestety - wzruszył ramionami - nie możemy na to pozwolić.

Zrobiła krok naprzód, ale oni także.

- Nie, śliczna panienko, nie wyjdiesz stąd tak łatwo. Śledzimy cię już od dawna i właśnie na taką okazję czekaliśmy. Nareszcie wyrównamy rachunki.

- O co wam chodzi? Nawet was nie znam.

- Cóż, na twoje nieszczęście my poznaliśmy twojego przyjaciela, pana Nicholasa Drake. A on gdzieś nam się zmył. Teraz wrócił znowu i Bo przypadkiem zobaczył, jak wychodzi od ciebie jakiś tydzień temu. Pomyśleliśmy sobie, że pewnie odwiedzał swojego kumpla, Jima, ale...

- To wy! - wybuchnęła Ellie, zapominając o własnym bezpieczeństwie. - To wy zaczepialiście Jima!

- Wolelibyśmy tego tak nie nazywać. Prawda, chłopcy? Ellie zapłonęła gniewem.

- Rzeczywiście, to coś gorszego. Ty i twoi przyjaciele jesteście mięczakami, którzy próbują poprawić sobie samopoczucie, żerując na słabszych. Tchórze z was, i tyle. Nie odważylibyście stawić się czoła takiemu mężczyźnie jak Nicholas Drake i dobrze o tym wiecie. Więc mścicie się na kobietach - parsknęła, ignorując ich narastającą złość. - Jesteście zbyt słabi, żeby dać sobie radę nawet ze mną.

Rudy zamachnął się na nią wściekłością. Jednak Ellie wyrwała mu się i pobiegła w stronę schodów. Już się prawie wymknęła swoim napastnikom, kiedy długa spódnica owinęła się wokół jej nóg, a stopa ześlizgnęła się ze schodka. Ellie daremnie próbowała czegoś się chwycić. Jej dłonie trafiły w próżnię i młoda kobieta, niczym nie powstrzymana, spadła na sam dół wysokiej wieży.

Część czwarta

Zamki nad oceanem

„Czas bez przerwy naprzód bieży
w końcu wszystko nam odbierze
więc szanujmy, co nam daje”.

- Ben Johnson, *Volpone albo Lis**

* Tłum. M. Słomczyński.

Sierpień 1899

Nicholas biegiem pokonał schody prowadzące do szpitala Bellevue. Dotarł na miejsce, pędząc jak szalony przez całe miasto, chociaż przysiągł sobie kiedyś, że jego noga nigdy już tu nie postanie. Jednak dzisiaj przeszłość przestała się liczyć, czy chodziło o daremną walkę o życie małej Charlotte, czy też prawdziwe lub wymaginowane występki Ellie. Zostało tylko dotkliwe pragnienie, żeby zobaczyć Ellie, żeby się przekonać, że Jim nie mówił prawdy.

- Gdzie ona jest? - zapytał Nicholas pielęgniarkę.

Na widok szalejącego z niepokoju mężczyzny kobieta z zaskoczeniem zamruwała powiekami.

- O kogo pan pyta?

- Ellie Sincl... Monroe.

- Ach - mruknęła, a w jej brązowych oczach pojawiło się współczucie. - Pan Monroe?

Chciał ją poprawić, ale zanim zdążył, powiedziała, że odwiedzać Ellie może tylko ktoś z rodziny, i to na bardzo krótko. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia Nicholas podszedł pod człowieka, którym pogardzał.

Wprowadzono go do ponurego, pozbawionego okien pokoju o nagich ścianach. Nieopisany ból przeszył mu serce, kiedy zobaczył Ellie, leżącą bezwładnie w szpitalnym łóżku. Nie chciał wierzyć słowom Jima, ale teraz nie mógł już przeczyć faktom. Ellie miała zamknięte oczy, a jej pierś poruszała się prawie niezauważalnie. Jej jasne, prawie białe włosy zniknęły niemal całkiem pod bandażami. Dobrze

widać było natomiast sińce i zadrapania. Wyglądała, jakby pobito ją na całym ciele.

- Nie - powiedział, jakby jego słowa mogły zmienić to, co zobaczył. - Nie, Ellie.

- Lekarze twierdzą, że ona z tego nie wyjdzie.

Nicholas odwrócił się i ujrzał Barnarda, stojącego w drzwiach.

- Co to ma znaczyć?

- To, co powiedziałem - odparł starszy pan, starając się zachować panowanie nad sobą. - Odniosła poważne obrażenia. Bardzo mocno uderzyła się w głowę.

- Jak? - zapytał Nicholas przez zaciśnięte zęby. - Jak to się stało?

- Spadła ze schodów tej granitowej wieży niedaleko domu. Wiesz, której, prawda?

Jasne, że wiem, pomyślał Nicholas, podchodząc do łóżka i biorąc Ellie za rękę, która wydawała się teraz dziwnie mała i krucha. *Dlaczego tam poszłaś? zapytał w duchu, czując, że serce pęka mu z bólu. I jak to się stało, że spadłaś?* Jednak usta Ellie nie poruszyły się. Na te pytania nie było na razie odpowiedzi.

Nicholas porozmawiał z lekarzem dyżurnym, a potem wezwał specjalistę, który pojawił się po godzinie. Niski, żylasty mężczyzna potwierdził wstępną diagnozę. Siedział, potem chodził po pokoju, a potem znowu usiadł, przez cały czas coś mówiąc. Ale Ellie nie reagowała.

Było już późne popołudnie, kiedy pojawiła się Miriam.

- Nicholas?

Milczał przez chwilę, a potem rzekł:

- Odejdź.

Miriam stała nieruchomo w drzwiach, przerażona stanem swojego brata. Ze wstydem musiała przyznać, że źle go oceniała. Przez cały czas uważała, że żywi on do Ellie nienawiść, kiedy w rzeczywistości jasne było, iż kocha ją bardziej niż życie. Nie potrafił tylko wyjść poza zakłęty

krag kłamstw i zrad. Stojąc tak, Miriam przypomniała sobie, jak pewnego dnia powiedział Charlotte, jak bardzo jej mama ją kocha. Prosty dar. Dla Charlotte. Jednak Miriam też zawsze będzie za niego wdzięczna. Z tą myślą podjęła decyzję. Nabrała tchu i powiedziała:

- Idź do domu Ellie.

Wyrwała tym Nicholasa z zamyślenia.

- Co? - zapytał.

- Tam są... informacje, potrzebne lekarzom - wyjaśniła.

- Sama po nie idź - warknęła gniewnie.

- Nie mogę. - Przygryzła wargę, a potem dodała: - Mam co innego do zrobienia.

Nicholas zazgrzytał zębami.

- Umówiłaś się na spotkanie? Chcesz uwieść jakiegoś bogacza?

Słowa te zabolaty, ale Miriam ukryła łzy. Wiedziała, że brat jej nienawidzi, ale teraz było to nieważne. Liczył się tylko Nicholas i dar, który miała dla niego.

- Tak. Jest bardzo bogaty. Inaczej sama poszłabym do domu Ellie.

- Poślij Barnarda albo Jima.

- Jim nie zdoła tego znaleźć, Nicholas. To bardzo ważne, a Barnard zasnął jak kamień w poczekalni. To stary człowiek i bardzo się przejął tym wypadkiem. Idź do domu Ellie, to przecież jest blisko. - Serce zabiło jej jak młotem, kiedy spojrzała na stolik, ustawiony w pobliżu łóżka. Rzeczy Ellie. Buty, ubranie. I klucze.

- Wyślę gońca.

- Nie! - wybuchnęła, ale szybko odzyskała spokój. - To teczka, tak, teczka, a ja wiem, że Ellie nie chciałaby, żeby ktoś obcy ją zobaczył.

Nicholas popatrzył na siostrę podejrzliwie.

- To skąd ty o niej wiesz?

- Bo Ellie jest moją przyjaciółką.

- Twoją?

- Idź do jej domu, Nicholas! Idź tam i rozejrzyj się. Jestem pewna, że Hanna zamartwia się na śmierć.

- Chcesz, żebym poszedł do domu Ellie i po prostu się tam „rozejrzał” w poszukiwaniu jakiejś teczki? - zapytał z niedowierzaniem.

Zaczęła myśleć gorączkowo.

- Poszukaj w jej biurku - poleciła, nie mając lepszego pomysłu. Wzięła klucze i podała je bratu. - Tak, teczka w biurku. - Dzięki temu wejdzie do środka. Sumienie nie pozwoliło jej powiedzieć nic ponadto.

Nicholas nie chciał opuszczać Ellie, ale nie widział innego wyjścia, jeśli rzeczywiście lekarz potrzebował tych informacji. Przeklął siostrę, ale wstał z krzesła, które zajmował już od wielu godzin. Jeszcze raz rzucił okiem na Ellie, pocałował ją delikatnie i wyszedł.

Zanim jednak opuścił szpital, dał Jimowi kartkę do starego przyjaciela, którego wiele lat temu poznał w policji. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że coś było nie w porządku z upadkiem Ellie.

Gdy Nicholas znalazł się na Szesnastej Ulicy, w domu Ellie panowała cisza. Wszedł na trzecie piętro i kiedy otworzył tam drzwi, owładnęła nim fala wspomnień. Letnie słońce wyłączało całe pomieszczenie. Pokój, w którym kochał się z Ellie. Mój Boże, czy można kogoś kochać aż tak?

Biurko stało opodal drzwi. Nicholas nie mógł sobie wyobrazić, jakich to informacji może potrzebować lekarz, chyba że Ellie chorowała na coś, o czym on nie miał pojęcia.

Przeszukał biurko szuflada po szufladzie. Najpierw pozwoli. Starannie. Ale nie znalazł nic, co przypominało dane medyczne. Zaczął się niecierpliwić. Przeglądał jeden paperek po drugim. Znowu nic. Kiedy wreszcie po raz drugi otworzył ostatnią szufladę, ogarnęła go złość, bo przyszło mu do głowy, że siostra wysłała go tu, żeby nie był przy Ellie... chciała się na nim zemścić.

Rozwścieczony, zaczął podnosić się z krzesła. Jednak zamarł w bezruchu, kiedy w oko wpadło mu nazwisko napisane na dokumencie, znalezionym w ostatniej szufladzie.

Harry Dillard.

Nie pozwalał sobie myśleć o swoich daremnych usiłowaniach usunięcia z powierzchni ziemi wszelkiej ziemskiej własności tego człowieka. Został powstrzymany. Przez Ellie. A teraz znalazł nazwisko tej kreatury w jej biurku... co to ma znaczyć?

Z narastającym gniewem wyszarpnął dokument z szuflady. Dłuższą chwilę potrwało, zanim zrozumiał jego treść. Był to akt przeniesienia własności. Podobno zaginiony. Prowadzący do niezaprzeczalnej prawdy.

Ellie była córką Harry'ego Dillarda. Nieślubną.

Na chwilę zastygł w oszołomieniu. Potem jednak, pchany nieprzewartą chęcią, by zrozumieć rzecz do końca, zaczął zawzięcie przeszukiwać biurko w nadziei, że znajdzie tam dalsze fragmenty układanki. Zatrzymał się nad pożółkłym listem, zaadresowanym do niego samego, i notatką napisaną przez jego dawnego sekretarza, Berta. *Panno Sinclair, pan Drake pojechał na stałe na Karaiby...* Był tam też stary artykuł z gazety. **NAJBARDZIEJ POSZUKIWANY KAWALER W NOWYM JORKU WYJEŻDŻA NA KARAIBY, BY WZIĄĆ TAM ŚLUB**, który zauważył już wcześniej. Teraz rozerwał pieczęć na liście, który dane mu było przeczytać teraz, po trzech latach.

Drogi Nicholasie,

Kiedy byliśmy na Long Island, powiedziałam, że mam ci coś do oznajmienia, a potem jakoś nigdy nie trafił się właściwy moment. Zechciej więc teraz dać mi po temu szansę.

Czekam na twoją odpowiedź

Ellie

Co chciała mu wtedy powiedzieć? Nagle przypomniał sobie rozmowę na molo. Chciała go wtedy o czymś zawiadomić, lecz to on opowiedział jej o swojej przeszłości... o swoim nieprzepartym pragnieniu, żeby zniszczyć wszystko, co zostało po Harrym Dillardzie.

Nie zdawał sobie sprawy, że jęknął głośno. Wielki Boże, jak mógł być taki ślepy? Odwrócił się gwałtownie i wtedy jego życie zmieniło się na zawsze.

Ujrzał bowiem chłopczyka, wyglądającego zza futryny drzwi. Nie mógł oderwać od niego wzroku. Kiedy ostatnio widział coś podobnego? Trzy lata temu, kiedy Charlotte zaglądała do jadalni i kiedy poprosiła go o kawę. Chłopczyk bowiem, chociaż młodszy niż jego siostrzenica, wyglądał dokładnie tak samo jak ona.

I tak samo jak on, Nicholas.

Ellie miała jasne włosy i zielone oczy, Charles był brązowookim blondynem, więc widok ten mógł oznaczać tylko jedno. On, Nicholas, jest ojcem chłopca.

Zakręciło mu się w głowie, kiedy zrozumiał nagłe, dlaczego Ellie nie chciała sprzedać mu domu ani w pełni przynależać do niego, ani też dlaczego w końcu poślubiła innego mężczyznę.

Kiedy tak siedział pod niewinnym spojrzeniem błękitnych oczu małego chłopca, pojawił raz wreszcie, że Ellie wcale go nie zdradziła. Zrobiła to, co musiała, wiedząc o tym, jaki gniew budził w nim jej ojciec, żeby dać swojemu... nie, ich... synowi nazwisko.

Miał ochotę krzyknąć na cały głos. Jak mógł być taki ślepy? Zrozumiał też, że próbując ukarać ją za jej domniemane zdrady, sam zdradzał ją, i to nie raz. Nie był lepszy niż ludzie podobni Harry'emu Dillardowi, którzy niszczyli słabszych od siebie. W upartym dążeniu do spełnienia swoich własnych, egoistycznych zachcianek, bezpowrotnie skrzywdził Ellie i zaprzepścił wszelkie szanse na ich miłość. Może jest nawet gorszy niż jej ojciec. Harry Dillard

przynajmniej nie udawał kogoś innego. Nicholas zaś przybierał szaty Katona, cały czas zadając innym ból.

Nie mógł się poruszyć ani wyrzec słowa. Jednak nie musiał nic robić, bo z dołu dobiegł go głos Hanny.

- Jonah, kochanie, gdzie jesteś?

Jonah. Tak właśnie miał na imię jego syn. Jonah. Nicholas poczuł, że dreszcz przebiega mu po plecach.

Jednak chłopiec nie odpowiedział na wezwanie. Bez mrugnięcia wpatrywał się w Nicholasa, który w innych okolicznościach ucieszyłby się pewnie na widok takiej śmiałości u swego syna.

- Jonah, co ty tam robisz? - Hanna, sapiąc, wspinała się po schodach. - Przecież ty jeszcze nie umiesz dobrze chodzić, chłopaku. Wystarczy chyba, że twoja matka spadła ze scho...

Zamarła w drzwiach na widok Nicholasa.

- Na miłość boską! - wyzapała, wodząc wzrokiem od Jonaha do jego ojca. - Co pan tu robi!

- Jestem - szepnął łamiącym się głosem.

- To niemożliwe - jęknęła.

Dobiegł ich stukot zamykanych drzwi frontowych. Po chwili Barnard znalazł się na górze, oddychając ciężko. Kiedy wreszcie mógł mówić, wyjąkał:

- Niech cię diabli. Chyba już dosyć szkody narobiłeś. Zostaw Ellie w spokoju!

- Nie przyszedłem tu, żeby sprawiać kłopoty. Nawet nie wiedziałem... że spotkam tu Jonaha.

- To Miriam! - wykrzyknął Barnard. - Wszystko przez nią!

Nicholas wiedział, że to prawda. Wysłała go, by znalazł swojego syna i, być może nieświadomie, żeby w nowym świetle ujrzeć swoje uczynki. Zrobiło mu się wstyd, że mógł pomyśleć, iż uczyniła to z zemsty.

- Nie bój się, Barnardzie. Nie uczynię nic przeciwko Ellie... nic ponad to, czego już narobiłem.

Starszy pan rzucił okiem na dokumenty i papiery porzucane na biurku.

- Rozumiem, że teraz wiesz już wszystko.

- Tak. Poznałem całą tę żalną historię. Boże, jak mogłem być taki głupi! - zawołał Nicholas z gniewem i zamknął oczy. - To przecież było od samego początku oczywiste. Nie wiem, czy rzeczywiście byłem ślepy, czy też nie chciałem widzieć. - Otworzył oczy i popatrzył na syna. Wstał i podszedł do drzwi. Chłopiec przyglądał mu się spokojnie. Nie bał się. Nicholas przykucnął obok niego.

- Cześć - powiedział Jonah, powoli wyciągając dziecięcą łapkę, by bardzo ostrożnie dotknąć policzka Nicholasasa.

- Cześć - odpowiedział mężczyzna.

Oczy dziecka zabłyśły radośnie.

Z niezmierną ostrożnością Nicholas ujął drobną rączkę chłopca. Poczują, że ma łzy w oczach.

- Mój Boże, gdybym tylko wiedział.

- To *co?* - *zapytał* Barnard. - *Co wtedy byś zrobił?*

- Nie wiem - odparł Nicholas szczerze. Spojrzał w oczy swego małego syna. - Jedno, co wiem, to to, że zawiodłem. Małżonek i pieniądze nic nie znaczą. Nie umiem ani kochać, ani żyć.

Barnard zmrużył oczy.

- Gdybyś wpadł na to wcześniej, Ellie nie byłaby teraz umierająca.

Nagle oczy Nicholasasa zapłonęły srebrnym blaskiem.

- Ellie nie umrze. Nie pozwolę na to. Nie potrafiłem ocalić Charlotte... ani mojej matki, ale, na Boga, ją muszę uratować.

Pocałował dziecko i wstał.

- Zrobię to. Muszę mieć szansę, żeby wszystko naprawić.

Nicholas wszedł do szpitala, a za nim Hanna i Barnard. Miriam stała w poczekalni, wyglądając przez przybrudzone okno. Słyszając ich nadejście, odwróciła się i oczy jej się rozszerzyły na widok Jonaha, niesionego przez ojca.

Serce w niej zamarło. Czy postąpiła słusznie? Nie potrafiła wyczytać odpowiedzi na to pytanie na twarzy Nicholasa.

Podszedł do niej, mierząc ją twardym spojrzeniem. Zatrzymał się, kiedy był już blisko. W końcu wzrok jego złagodniał jak lód topniejący w słońcu.

- Dziękuję - powiedział tylko. Wyciągnął dłoń i ujął ją za rękę. - Dziękuję ci - powtórzył.

- Nicky! - do poczekalni wpadł Jim, wymachujący zakłakowaną kopertą. - Mam dla ciebie wiadomość od twojego przyjaciela.

Nicholas podał Jonaha Jimowi, który usiadł z chłopcem na sfatygowanej kozetce i zaczął go zabawiać. Potem otworzył pismo, przeczytał je i zaklął.

- Co się stało? - zapytał Barnard.

- Aresztowali mężczyzn, podejrzanych o spowodowanie wypadku Ellie.

- Kto to jest?

- Trzech łobuzów, z którymi miałem do czynienia kilka lat temu. - Zmiał list. - Zabiję ich - powiedział i ruszył do wyjścia.

Hanna zastąpiła mu drogę.

- Kiedy się to skończy? - zapytała.

Zmarszczył groźnie brwi.

- To wieczne pragnienie zemsty - wyjaśniła. - To szaleństwo, które wymyka się spod kontroli i zatacza coraz szersze kręgi. Nie masz już dosyć, Nicholasie? Mówiłeś, że chcesz wszystko naprawić. Zaczynj więc od dziś. Pozwól policji zająć się tymi ludźmi. Ty masz Ellie i Jonaha.

Stojąc tak i czując na swoim ramieniu rękę Hanny, Nicholas musiał przyznać jej rację. Zemsta rodzi zemstę. Pożera wszystkich dookoła. Nareszcie to zrozumiał. Zostawi Rudy'ego, Billy'ego i Bo w rękach policji. Pora, żeby zajął się Ellie i ich synem.

Odwrócił się nagle i wezwał lekarza dyżurnego. Po chwili doktor opiekujący się Ellie stał przed nim.

- Ale pan nie może zabrać stąd pani Monroe. - Lekarz przełknął ślinę. - Jej stan jest bardzo poważny.

- Już pan to mówił. - Nicholas popatrzył na niego lodowato. - Powiedział pan także, że nic więcej nie jesteście władni dla niej zrobić.

Doktor przestąpił z nogi na nogę.

- To prawda...

- Więc nie powinien pan oponować przeciwko temu, że bym ją stąd zabrał.

- Ale...

- Żadnych ale. - Nicholas ruszył do pokoju Ellie, nie zwracając uwagi na dalsze protesty lekarza. Widok Ellie sprawił, że zapomniał o wszystkim. Była śmiertelnie blada, a potłuczenia i zadrapania odznaczały się na czerwono i siaroniebiesko. Kiedy przypomniał sobie, skąd spadła, wiedział, że to istny cud, iż została przy życiu. Cud... musiał w to wierzyć... dzięki któremu on... nie, oni... mają nową szansę.

- Jestem, maleńka - szepnął, podchodząc do niej, jakby mogła go usłyszeć. - Poznałem Jonaha. Zaraz cię stąd zabiorę.

Nie zrażony jej brakiem reakcji, wziął ją na ręce. Po kilku minutach wszyscy znajdowali się w powozie. Hanna i Barnard, Miriam i Jim. Jonah. I Ellie.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Jim.

Nicholas przytulił Ellie i pocałował ją lekko w skroń.

- Do domu na Long Island.

Tak, pomyślał, do miejsca, o którym Ellie kiedyś powiedziała, że ma w sobie magię, gdzie morze i słońce na pewno ją ulecza.

Nicholas zawsze był człowiekiem czynu, nieskłonny pozwolić losowi sobą pomiatać. Bez skrupułów brał to, czego zapragnął, i niełatwo mu było to wydrzeć. Teraz wziął w swoje ręce los Ellie. I nie pozwoli jej odejść. Kiedyś zawiódł swoją matkę. Nie uratował Charlotte. Wielokrotnie zawinił wobec Ellie. Jednak tym razem wszystko musi się dobrze skończyć.

Mijały dni. W pokoju na ostatnim piętrze, który tak jej się kiedyś spodobał, Ellie leżała, nie poruszając się. Nicholas siedział *przy niej* dzień po dniu. Jonah spędzał tu większość czasu i obaj, tacy do siebie podobni, mówili do Ellie, jakby ona mogła ich usłyszeć. Tylko kiedy dziecka nie było w pobliżu, Nicholas pozwalał sobie okazywać prawdziwe uczucia. Wtedy albo błagał ukochaną, albo od niej żądał, żeby wróciła do przytomności. Jednak ona leżała nieruchomo, stracona dla świata.

Siódmego dnia, kiedy wszyscy inni już nie mieli nadziei, Nicholas siedział przy Ellie przez całą noc. Gdy nadszedł świt, z otumanienia wyrwał go głos, dobiegający od drzwi. Odwrócił się i zobaczył swoją siostrę. Spróbował się uśmiechnąć. Nie rozmawiali ze sobą od szpitala.

- Wejdz.

- Idź, pośpij trochę. Ja przy niej posiedzę.

- Nie. Ale dziękuję.

Miriam westchnęła.

- Mogę tu trochę pobyc?

- Proszę - odrzekł krótko.

Powoli mijały minuty.

- Przepraszam cię, Miriam - powiedział Nicholas, prze-

rywając milczeniem. - Za tyle lat... obojętności. Chciałbym to jakoś odpracować.

Miriam wzięła go za rękę.

- Już to zrobiłeś, Nicholasie.

- Ale...

- Cśś. Nic nie mów. Przeszłość minęła, teraz już jesteśmy razem.

Nicholas przytrzymał na chwilę jej dłoń, czując ściskanie w gardle, a potem oparł się wygodniej na krześle.

Siedzieli w zgodnym milczeniu, aż słońce zaczęło wschodzić nad oceanem. Dochodziła siódma rano, kiedy Nicholas poderwał się nagle.

- Widziałaś?

- Co? Co takiego?

- Ellie! Poruszyła się!

- Och, Nicholasie - Miriam westchnęła. - Jak długo to jeszcze będzie trwało? Czas, żebyś zaczął myśleć o przyszłości.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- O czym ty mówisz?

- O Ellie, Nicholasie. I Jonahu. Pora, żebyś zaczął zastanawiać się nad tym... co masz zrobić dalej.

- Teraz mogę myśleć tylko o tym, jak przywrócić Ellie do zdrowia.

- Masz także syna. A któregoś dnia będziesz musiał przyjąć do wiadomości fakt, że Ellie już nigdy nie wyzdrowieje.

- Nieprawda! - stwierdził stanowczo. - Musi wyzdrowieć.

Od tego poranka Nicholas zaczął z uporem przemawiać do Ellie. Był przekonany, że widział, jak się poruszyła.

Siedział przy niej bez ustanku, gimnastykując ją delikatnie, masując, czesząc włosy, aż zaczęły lśnić. Z upływem czasu domyślił się, że Barnard i wszyscy pozostali uznali, iż oszalał. Jednak kiedy oni załamali ręce i próbowali pogodzić się z sytuacją, Nicholas zaczął zauważać pewną

zmianę. Ellie powoli i opornie zaczęła wydobywać się z mrocznej otchłani nieświadomości, która ją więziła.

Pewnego dnia wyniósł ją na dwór. Gorące sierpniowe słońce płonęło na modrym niebie. Ustawił wcześniej na plaży leżak, budząc tym gniew Barnarda i troskę Hanny. Jednak był pewien, że szum fal i zapach oceanu, które tak lubiła Ellie, dotrą do jej świadomości i ostatecznie wydobędą ją z uśpienia.

Był tam też Jonah, który domagał się, żeby ojciec bawił się z nim w piasku. Po upływie długich minut, kiedy oczy Ellie nie otworzyły się, tak jak się tego spodziewał, Nicholas odwrócił głowę. Może Barnard, Hanna i Miriam mieli rację. Może rzeczywiście oszalałem, pomyślał nagle z kosztownym poczuciem klęski, tym samym, którego doznał, słysząc strzał z pistoletu, a potem kiedy zrozumiał, że Charlotte musi *umrzeć*. Nie uratował matki ani siostrzenicy. Może jego wysiłki, by przywrócić życiu kobietę, którą kochał, również spełzną na niczym.

- Baw się! - zażądał Jonah, uderzając łopatką o piasek. - Baw się ze mną!

Ellie obudziła się, czując gorące promienie słońca na twarzy. Zobaczyła jego światło. Mocne i przyjazne. Żyła.

Głęboko wciągnęła do płuc pachnące solą powietrze.

Wielki Boże, więc żyję.

Przypomnienie minionych wydarzeń prawie ją przytłoczyło, ale budzący się umysł odrzucił złe wspomnienia. Ellie sztywno odwróciła głowę, jakby chciała wyrzucić z pamięci niepożądane myśli, i wtedy ich zobaczyła... jasno i wyraźnie, jak namalowanych, ale teraz wiedziała, że to rzeczywistość. To było życie, nie obraz na płótnie. Jonah, jej mały synek, klęczał obok Nicholasa i obaj budowali zamek z piasku na plaży, oświetleni jasnymi promieniami słońca. Poczwała nagle, że nic już jej nie boli.

Upłynęło zaledwie kilka sekund, zanim Nicholas pod-

niósł wzrok, jakby usłyszał jej myśli, i dłoń jego zastygła w bezruchu. Wyglądał na bardzo zmęczonego, a jego rzeźbione rysy naznaczone były bólem. Jednak w jego oczach Ellie ujrzała bezmiar miłości i troski, który krył się tam zawsze, tylko że stłumiony przez nienawiść. Wiedziała też, siedząc wśród poszumu fal, że Nicholas poznał historię jej życia. I że kocha ją nadal.

Ogromna radość wypełniła jej serce. Wtedy, jakby wyczuwając zmianę, Jonah odwrócił się także i spojrzął na Ellie.

- Mama! - kwiknął, a potem podniósł się trochę niezgrabnie i podreptał w jej stronę. - Mama! - zawołał znowu i rzucił się jej w ramiona.

Nie skrzywiła się, choć ją zabolalo. Znacznie silniej odczuła radość, że może przytulić do siebie swojego małego synka, poczuć dotyk jego rączek i nóżek, jego słodkie pocałunki... tak samo cieszyła się, że obok niej jest jego ojciec.

Spojrziała na niego ponad ramieniem Jonaha. Nicholas, jak zawsze silny, klęczał na piasku, a w oczach lśniły mu łzy. Dostrzegła też w nim niepewność, chociaż była niezbytnie przekonana, że ten twardy człowiek jest do niej niezdolny. A potem zrozumiała, że on nie tylko poznał jej przeszłość, lecz również cierpiał z powodu roli, jaką sam w niej odegrał.

- Pomyśleć, że zmarnowałem tyle czasu - powiedział drżącym głosem. - Ścigałem demony, które istniały tylko w mojej głowie. Wyrządziłem ci wielką krzywdę. - Westchnął. - Jednak wciąż jestem egoistą. Wiem, że powinienem cię zostawić w spokoju, tak jak mnie o to prosiłaś, pozwolić ci żyć z tymi, którzy cię nie ranią. Ale nie mogę. Daj mi chociaż powiedzieć ci, jak bardzo żałuję... - głos mu się załamał, jakby obawiał się, że ona mu nie uwierzy. Wyprostował ramiona i nabrał tchu. - Teraz wszystko zależy od ciebie. Jeśli każesz mi odejść, zrobię to natychmiast.

Ujrzała jego żal i cierpienie. Czując na sobie ciepłe pocałunki słońca i słysząc łagodny szum fali uderzającej

o piaszczysty brzeg, pojęła, że znowu będzie mogła się śmiać. Jej życie zaczynało się od nowa, pełne obietnic i możliwości, tak jak sobie postanowiła na chwilę przed upadkiem. W najśmielszych jednak marzeniach nie przypuszczała, że będzie je mogła dzielić z Nicholasem. Na jej ustach pojawił się drżący uśmiech, gdy wyciągnęła do niego ręce.

Jemu zaś nie trzeba było więcej. Rzucił się ku niej, przewracając wiaderko, które odsłoniło ostatnią wieżyczkę zamku z piasku. Z delikatnością, która przyprawiła ją o łzy, objął ją i Jonaha, ukrywając twarz w jej szyi.

- I kto by uwierzył - szepnęła - że moje sny się spełnią i rycerz w lśniącej zbroi zbuduje dla mnie zamek nad brzegiem morza?